

Maciej  
Lewandowski



**CIENIE  
NOWEGO  
ORLEANU**



Maciej Lewandowski

# CIENIE NOWEGO ORLEANU



Copyright © by Maciej Lewandowski, MMXIX  
Wydanie I  
Warszawa, MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

[Motto](#)

[Rozdział 1. Big Easy po północy](#)

[Rozdział 2. Sekrety umarłych](#)

[Rozdział 3. Porady fachowca. Cień](#)

[Rozdział 4. Sprawy zawodowe](#)

[Rozdział 5. Obiektywne przeszkody. Cień](#)

[Rozdział 6. Spartaczona robota](#)

[Rozdział 7. Cherem. Cień](#)

[Rozdział 8. Niespodziewany sojusz. Cień](#)

[Rozdział 9. Drugie dno](#)

[Rozdział 10. Ronald Renee Antoinette](#)

[Rozdział 11. Oferta do odrzucenia. Cień](#)

[Rozdział 12. Piwnica diabła](#)

[Rozdział 13. Brudna robota](#)

[Rozdział 14. Spuścizna LaLaurie](#)

[Rozdział 15. Początek nowej drogi](#)

[Przypisy](#)

Znam rzeki:

Znam rzeki odwieczne jak świat,  
starsze niż bieg krwi w ludzkich żyłach.

Moja dusza sięgnęła głęboko, jak rzeki. (...)

Słyszałem śpiew Missisipi,

gdy Abe Lincoln zaszedł do Nowego Orleanu,

I widziałem,

jak jej muliste łono zamieniło się w złoto o zachodzie.

Znam rzeki:

Antyczne, mroczne rzeki.

Langston Hughes *Czarnoskóry mówi o rzekach*, tłum. własne

## Rozdział 1. Big Easy po północy

Dzielnica Francuska zamarła w bezruchu w oczekiwaniu na wschód słońca. Rozświetlone korony gazowych latarni rzucały migotliwe cienie na brukowaną ulicę. Nikłe światło rozganiało ciemność, omijając szare plamy oblepiające niskie budynki oraz szlam wgrzający się w szczerbate krawężniki. Chłodny wiatr znad rzeki niósł smród rynsztoku. Kwartal leżący na styku z Faubourg Tremé tonął w nocnym bezruchu. Ci, którzy mieli jeszcze siły, sejmikowali wzdłuż Bourbon Street. John Raymond Legrasse spojrział na kieszonkowy zegarek, odliczał minuty.

„Już czas” – pomyślał chłodno.

Ciszę zakłócił łoskot kopniętej puszką toczącej się po kocich łbach. Wzdłuż smugi światła przemknęła ciemna, przygarbiona postać. Nim hałas pożarła pustka nocy, komisarz poprawił fedorę i ruszył intruzowi na spotkanie. Sunąc wzdłuż muru, wyglądał niczym gotujący się do ataku niedźwiedź. Podszedł ofiarę sprawnie, niezauważenie, z drapieżną zwinnością.

Postać o fizjonomii sępa drgnęła nerwowo, gdy mężczyzna w kapeluszu wyłonił się z ciemności i szarpnięciem wciągnął ją w rozwartą czeluść cuchnącej bramy. Legrasse trzymał zdobycz żelaznym uchwytem.

– O Boże... – rozległ się pełen przerażenia szept.

– Boże ci nie pomoże, gdy ktoś włada kulę w żywot – syknął komisarz. – Po kiego czorta rwetes mi tu robisz? – Mierzył wzrokiem gładko ogoloną twarz młodzika, na której grymas przerażenia ustąpił zakłopotaniu.

Chłopak potrzebował kilku nerwowych wdechów, by odzyskać rezon. Maskując zakłopotanie, potarł potylicę, przy czym bezwiednie przekrzywił hełm noszony na brytyjską modłę. Wyglądał niczym żart kwatermistrza.

– Tak jest, panie poruczniku. Przepraszam, panie poruczniku. Sierżant Stuglik przykazał, co następuje: „Śmignij, ino migiem,

lejtnantowi Legrasse'owi donieś, że możemy bigosować, bo fircyk już na dach wlaźł” – wyrzucił z siebie potok słów, jakby od tego zależało życie całej kompanii.

John Raymond Legrasse pokiwał głową, uświadamiając sobie, że chłopak w życiu prochu nie wahał; świeży narybek, ledwo co od fartucha matki oderwany. Zwolnił uchwyt, oswabadzając dłoń młodzika nadal spoczywającą na kaburze. Poirytowany pokręcił głową.

– Czego was tam teraz uczą. – Nie mógł sobie przypomnieć imienia chłopaka, co go jeszcze bardziej zirytowało. – W zwarcu, w takiej sytuacji nie łap za broń, tylko od razu bij w szczękę. Nim byś wygrzebał tę pukawkę, pięć razy poderżnąłbym ci gardło. Kto ci dał ten mundur? Jutro z rana masz się u mnie zameldować.

Twarz chłopaka wykrzywił nerwowy grymas. Wyglądał, jakby miał się rozpłakać. Przez sekundę w umyśle Legrasse'a pojawiła się myśl, że powinien dokonać analizy stanu przeszkolenia własnych ludzi, po czym natychmiast zgasła. Porucznik postanowił skupić się na sprawach pilnych. Zlustrował bacznie ulicę. Zdawało się, że nikt nie zauważył zamieszania w bramie, choć w tym slumsie pełnym niespokojnych duchów niczego nie można było być pewnym. Komisarz zmrużył oczy. Jego uwagę przykuł kształt ponad pstrokatymi fasadami domów. Na dachu przyczajony przy kikucie komina klęczał mężczyzna z karabinem. Strzelec wykonał niewielki gest lewą ręką. Legrasse wyłonił się na chwilę z cienia, odpowiadając na sygnał. Gargulec z bronią skinął głową i wycofał się znad krawędzi dachu.

– Lepiej nic nie mów – mruknął porucznik, poprawiając mocowanie wysłużonego LeMata.

Rewolwer może i był staroświecki, gdyż służył kolejno jego ojcu oraz jemu, jednak nigdy nie zawiódł żadnego z nich. Sprawdził się w spływających błotem okopach, sprawdzał się na ulicach Nowego Orleanu. Rozpędzony ołów, kaliber czterdzieści dwa, był w stanie zatrzymać praktycznie każdego, wyrywając w ciele wroga solidną dziurę.

– Zaczynamy? – rzucił za siebie komisarz i spojrzał ku postaciom

skrytym w głębi bramy.

Jeden z cieni poruszył się nieznacznie, krzesząc ogień na zapałce. Płomień wydobył na moment surowe, zacięte oblicze wieńczące klockowaty masyw. Po chwili w bramie rozszedł się przyjemnie gryzący zapach papierosowego dymu.

– To pana teren, *monsieur le lieutenant* – mruknął olbrzym. – My jesteśmy gotowi.

Głos miał spokojny, pozornie serdeczny, lecz tkwiła w nim wyczuwalna zadra.

„Skurwysyński buldog” – przemknęło Legrasse’owi przez myśl, ale nie pozwolił gniewowi urosnąć ponad małą gorzką gulę, którą splunął przez zęby.

– Wybornie – mruknął.

Wiedział, że sprzeczką z agentami *Section de Centralisation du Renseignement*<sup>1</sup> w mroku zaszczonej bramy nie jest dobrym pomysłem. Zresztą jakikolwiek zatarg z przedstawicielem ambasady Francji nic nie zmieni. Choćby nawet Legrasse miał na czole wytłoczone *commandant de police*, będzie dla psów z Paryża najwyżej chłopkiem z tytułem *élève gardien de la paix*<sup>2</sup>. Pod warunkiem że to naprawdę byli wysłannicy z policji kryminalnej. Nie tylko w Waszyngtonie coraz częściej mówiło się o obecności szpiegów. Skoro Niemcom się udało, czemu Francuzi mieliby nie umieścić agentów Departamentu XII? Na froncie zetknął się z byłymi siepaczami *Brigades du Tigre* cholernego Clemenceau<sup>3</sup>, rzeźnikami o moralności zwierząt. Szczerze wątpił, aby przekształcenie centrali wywiadowczej i podporządkowanie jej *Sûreté Nationale*<sup>4</sup> wiele zmieniało. SCR nie przysłało ułomków. Zaklął w duchu. Sytuacja była poważna, a on przypadkiem trafił na świecznik.

– W środku spotkamy się z drugą grupą i zobaczymy, z jakiej gliny ulepione są te wasze gagatki. O ile tam są.

– Proszę się tym nie przejmować – mruknął sardonicznie Francuz. – Są tu. Nasi wywiadowcy zrobili stosowny rekonesans, nim rozpoczęliśmy oficjalne postępowanie.

Legrasse zignorował prowokację, był na nią przygotowany. Nie



mógł jednak podarować sobie drobnej złośliwości.

– Sądziłem, że okoliczności podpalenia Starego Kontynentu pochłonęły większość waszych rezerw ludzkich i zaskórniaków na kontaktach.

– Republika ma dostatecznie dużo zasobów. I obszarów zainteresowania. – Francuz stanął naprzeciw Amerykanina, mierząc go obojętnym, zimnym spojrzeniem. – Pana zadanie to dopilnować amerykańskiej części umowy w ramach przyjacielskiej współpracy – dodał cierpko.

Legrasse wykrzywił twarz w mizernej imitacji uśmiechu. Osobiste sympatie i antypatie musiał schować do kieszeni. Nie było sensu ciągnąć jałowego sporu, tym bardziej na oczach podwładnych.

– Zapraszam.

Przecieli ulicę, kierując się ku dwupiętrowej ruderze wyglądającej niczym malaryczny wrzód ulepiony z cegieł oraz zgnilizny. Koślawe okna albo ziały wytłuczonymi dziurami, w których łopotały poszarpane szmaty, albo były zabite dechami. Balkony były częściowo zarwane. Melina, jakich wiele w upadłej dzielnicy Vieux Carré<sup>5</sup>. Bieda oraz szaleństwo niczym robactwo toczyły trupa hiszpańskiego przepychu, mnożąc w zapyziałych zaułkach ludzkie zwierzęta.

Dopadli mokrej fasady budynku. Legrasse, dobywając rewolweru, z rozpędu uderzył barkiem w zdezelowane drzwi. Zawiasy nie utrzymały się w sfatygowanej framudze i puściły z trzaskiem. Z wnętrza ciemnego korytarza buchnął tłusty kłęb podłego odoru. Komisarz odruchowo zasłonił twarz rękawem, mimo to kwaśnośladki zapach kręcił w nosie, przywierając do ubrania, włączając głęboko między włókna materiału.

Na tyłach budynku zawrzało. Porucznik uśmiechnął się pod nosem, słysząc miarowe pokrzykiwania oraz pojedyncze strzały dudniące echem w całej ruderze. Grupa Stuglika miała mocne wejście, robiła planowe zamieszanie w spelunie, w której nad szklankami bimbru załatwiali swoje porachunki chłopaki z lokalnej ferajny. Co jak co, ale Polak potrafił robić kipsisz. Legrasse podrapał ryżowisko na policzku, walcząc z przemożną ochotą dołączenia do reszty oddziału, ale nie po to tu przybyli. Rwetes chaotycznej walki zagłuszyły tubalny głos

sierzanta oraz trzask obalanych stołów i dźwięk tłuczonego szkła. Porucznik instynktownie zgarbił się, starając możliwie zredukować masywną sylwetkę. W okopach pierwsza zasada brzmiała: „Niech Bóg ma nas w opiece”, lecz ci, którzy przeżyli frontowe piekło, zwykle dopowiadali: „Ale trzeba mu w tym dopomóc”. Nie zamierzał rezygnować ze starych przyzwyczajzeń. Żołnierze piechoty opuścili krwawy teatr wielkiej wojny z zadziwiającym zmysłem przetrwania. Legrasse dopadł spróchniałej futryny i wcisnął się w niewielkie zagłębienie.

Kula świsnęła tuż obok jego ucha. Zastrzyk adrenaliny był nagły i orzeźwiający. Rzeczywistość na jedno uderzenie serca zwolniła. Legrasse poczuł, jak od policzka odbijają się drzazgi spróchniałego drewna. Wyrobione dechy podłogi skrzypnęły, coś huknęło głucho, wywołując falę stłumionych krzyków. Porucznik zadziałał automatycznie. Spokojnie złożył się do strzału. Wycelował, zawierając zmysłom sprawniejszym i bystrzejszym niż wzrok. Nim wypatrzył cel, zdążył strzelić dwukrotnie. Dwukrotnie trafił. Rozległ się odgłos ciała bezwładnie toczącego się po wyrobionych stopniach i trzaski rozpadającej się na części rozklekotanej konstrukcji. Nim trup opadł na wysłużony parkiet, znów postawiono zaporowy ogień. Tym razem, krzycząc, padł jeden z mundurowych.

Zakotłowało się na wąskiej klatce schodowej. U każdego wylotu korytarza wyrastały sylwetki policjantów groźnie pokrzykujących w mieszaninie języków Nowego Orleanu. Kanonada rozgorzała na dobre. Legrasse zignorował bojowe nawoływania i pozwolił się wieść intuicji. Zamiast jak większość skierować się ku schodom, runął niczym grom ku wyjściu, idąc za ledwie słyszalnym w rozgardiaszu obławy dźwiękiem tłuczonego szkła. Wypadł na ulicę pogrążoną w cieniach i pognał wzdłuż ściany. Był niczym pies myśliwski wietrzący trop zwierzyny. W biegu zgubił fedorę. Wyglądało, że podskakujący na łańcuszku zegarek podzieli los kapelusza. Porucznik szarpnięciem zerwał czasomierz, wciskając go niedbale do kieszeni spodni. Chwilę później wpadł w niewielki zaułek – jedną z widmowych odnóg urbanistycznego raka.

Raptownie pochłonął go kłęb ciepłego, śmierdzącego powietrza

kołującego się w zawilgotniałej uliczce. Potknął się o ciśnięty bezładnie rupieć, poślizgnął na rozmiękłym klepisku. Zamachał rękoma, by złapać równowagę. Zaklął podle. Ledwie zdołał zapanować nad niezgrabnym piruetem, gdy o mur zazgrzytały pociski. Kule niczym rozpedzone trzmiele świsnęły mu tuż obok głowy i na ramiona posypał mu się ceglany miąż. Legrasse zjechał plecami po ścianie i kucnął, świdrując spojrzeniem rozlewającą się przed nim ciemność. Strzelił w chwili, gdy dostrzegł charakterystyczny błysk towarzyszący wypluciu przez broń pocisku. Huk poniósł się wściekłą falą i załomotał o ściany kamienicy. W oddali zaczął ujadać pies.

– Pudło, łajzo!

W głosie apasza wibrowała szydercza nuta. Legrasse sapnął gniewnie, naciskając spust, ale także i tym razem nie usłyszał wyczekiwanego bolesnego jęku. Znowu chybił, na dowód czego nad jego głową przefrunął ołowiany trzmiel i z łoskotem uderzył w przerdzewiałą kratę broniącą dostępu do bocznych drzwi meliny. W poruczniku wzbierał gniew, tłumiący z wolna racjonalne myślenie. Impas frustrował go bardziej niż porażka. Przywołał w myślach obraz Klary i skierował na nią całą swoją irytację. W myślach ją dławił, czekając błysku światła zwiastującego spokój. Potrzebował chwili, by poskromić frustrację, zazwyczaj wyładowywaną na szmacianej lalce. Odsapnął, witając z ulgą trzeźwą myśl. Oczy zdążyły przystosować się do ciemności, Legrasse zaczął wychwytywać w cuchnącym mroku coraz więcej detali.

– Noga bardzo boli? – huknął.

Kucnął za stertą spleśniałych skrzynek. Sprawnie przełamał ramę rewolweru, zerkając pośpiesznie do bębna. Umieścił naboje w komorach i z trzaskiem zamknął broń.

Po przeciwnej stronie poruszyły się cienie. Kula z łoskotem ugrzęzła pomiędzy wysłużonymi włóknami starych desek.

„Blisko” – pomyślał komisarz i uśmiechnął się pod nosem.

– Czyli nadal tam jesteś. Kostka czy kolano? No dalej, skoro już obaj usiłowaliśmy się zabić, możemy też chwilę porozmawiać.

Przez chwilę trwał w bezruchu w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Jeżeli się pomylił i człowiek mu prysnął, może zapomnieć o pochwalnym telefonie od gubernatora. I premii.

– Kostka – wychrypiął podszyty alzackim dialektem głos. Był blisko. Legrasse niemal poczuł nasiąknięty alkoholem i cebulą oddech. – Pieruństwo boli jak diabli.

Na głównej ulicy się zakotłowało. Ponad wrzawą ludzkich głosów przebijał warkot silników samochodów. Zgodnie z planem kierowcy podciągnęli wozy pod budynek, odcinając do niego dostęp. Odgłosy strażaków ucichły i ustąpiły policyjnemu nawoływaniu. Sytuacja została opanowana w błyskawicznym tempie. Komisarz uśmiechnął się zimno.

– Skakanie z okien na bruk zwykle tak się kończy. Wiesz, że nie uciekniesz?

Odpowiedziało mu milczenie. Legrasse dźwignął się powoli zza prowizorycznego ukrycia, odrywając się od ściany. Wolnym krokiem wyszedł na środek zaułka i wypatrywał najmniejszego ruchu przeciwnika. Czarne oko lufy LeMata sunęło od lewa do prawa, czekając na pojawienie się celu.

– Możemy to jeszcze rozwiązać.

Szedł ostrożnie, stopa za stopą zbliżając się do miejsca, skąd uprzednio dobiegł męski głos. Komisarz spowolnił oddech i nieznacznie zmodyfikował krok, zbliżając się po łuku do ceglanej linii kamienicy, a broń skierował w przeciwną stronę. W niewielkim załamaniu, wsparty o okute, solidne drzwi stał mężczyzna, celując w pierś porucznika. Krzywił usta w głupkowskim grymasie zadowolenia.

– Niezbyt mądrze – ocenił. Głos miał spokojny, ale wibrowała w nim nieprzyjemna nuta.

Legrasse się uśmiechnął, gdy usłyszał charakterystyczny akcent. Decyzja Wilsona oznaczała dla niego coś więcej niż blizna na udzie i barku.

– Alzacja? Dezerter czy z VII Korpusem szedłeś zająć Colmar<sup>6</sup>?

Drab zamrugał zaskoczony, ale po chwili przytaknął. Broni jednak nie opuścił. Uśmiechał się niewyraźnie przez cały czas.

– *Oui*, jestem spod Saverne. Zdezerterowałem od Niemców zaraz po

wcieleniu. Skąd wiedziałeś? – odezwał się wreszcie.

Porucznik uniósł ostrożnie dłoń, nieznacznie odchylił lufę, ni to w geście przyjaźni, ni to niezdarności.

– Znałem kogoś, kto miał tam rodzinę.

Drab kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Mój brat walczył pod von Woyschem. Zginął, broniąc Festung Thorn.

Legrasse'owi nic to nie mówiło, ale przecież obaj walczyli o nic niemówiące im punkty na sztabowych mapach. Opuścił broń. Nie czuł strachu, choć wiedział, że powinien. Wojna zmienia ludzi bardziej, niż są w stanie przyznać nawet przed sobą.

– Jak wielu. – Wbił spojrzenie w weterana. – Za śmierć na froncie dają przynajmniej order, za tę w zaszczanym zaułku nic. – Nie czekając na odpowiedź, rzucił pod nogi mężczyzny kajdanki. – Nadal możemy to rozwiązać bez zabijania.

– A jeśli się nie zgodzę?

Drab starał się mówić obojętnym tonem, ale emocje były zbyt mocne, aby się nie przebijały na powierzchnię. To wystarczyło, by napięte mięśnie ramion policjanta zagrały w rytm kotłujących się nerwów. Jego oblicze, ukryte w cieniu, wyglądało niczym pęknięta, porcelanowa maska.

– Zmuszę cię.

Schował rewolwer do kabury. Wiedział, co zrobi, zanim o tym pomyślał. Decyzję podjął w chwili, gdy ruszył biegiem, musiał jedynie poczekać na świadomość, która czasem nie nadążała za impulsywnymi nakazami woli. Tak samo było i teraz. Legrasse zamierzał zatłuc swojego rozmówcę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Alzacyjny przez chwilę spoglądał spode łba na policjanta. W końcu splunął przez zęby. Krzywiąc usta w pogardliwym uśmiechu rzucił broń, pokazując puste dłonie. Lekko kulejąc, ruszył powolnym krokiem ku policjantowi. Legrasse spiął mięśnie. Apasz zaatakował szybko, wyprowadzając uderzenie, jednocześnie usiłując chwycić poły płaszcz policjanta.

Legrasse miękko przeniósł ciężar na lewą nogę i balansując ciałem, wykonał unik. Szybko uderzył, trafiając lewą ręką w gardę.

Alzacyjny drgnął, wyprowadzając błyskawiczną kontrę. Porucznik pozwolił mu uderzyć, przyjmując blokiem serię ciosów, kuląc się za zastawą. Łokciami bronił boków, amortyzując wściekłe ciosy kierowane w żebra.

Walka trwała zbyt długo. Legrasse wiedział, że oprych zaraz przypomni sobie, że nie walczą na ringu i porzuci czystą grę. Opuścił gardę, pozwalając ulicznikowi zadać cios.

Gnany gniewem i frustracją bandzior wpadł w pułapkę. Uderzył dokładnie tam, gdzie chciał policjant, na chwilę się odsłaniając.

Legrasse błyskawicznie wykorzystał sposobność. Zdzielił przeciwnika czołem w nos, poprawiając ciosem w bok. Chwilę później apasz ugiął się pod gradem szybkich, precyzyjnie wymierzanych uderzeń. Pozbawiony impetu bandyta obrócił się na pięcie, szeroko bijąc na odlew, usiłując trafić krążącego wokół policjanta. Komisarz, wykorzystując skręt tułowia, wyprowadził właściwe uderzenie pięścią. Siła uderzenia zawsze kryje się w nogach. Palce stóp lekko dźwignęły ciało, pozwalając kolanom skierować się ku sobie. Szybko i sprężysto. Uderzenie poparł kolejnym, wymierzonym w skroń napastnika.

Alzacyjny nie zamierzał się jednak poddać. Apasz atakował szybko, ale nieporadnie. Uderzenie w skroń oraz prawy sierpowy wyraźnie go otumaniały. Legrasse uchylił się. Silnym ciosem w brzuch odepchnął Alzacyjka. Były dezterter zgiął się wpół.

– Ty kurwi synu – wychrypiał, plując krwią.

Porucznik uśmiechnął się podle.

– Masz dość, kundlu?

– Chuja tam!

Doskoczył do policjanta w desperackim ataku. Legrasse wiedział, że starcie należy do niego. Katowane w trakcie treningów mięśnie oraz ścięgna działały niczym wewnętrzne sprężyny, napędzając zaprawioną w boju maszynę. Prawa pięść zablokowała dostęp do zawiasów nieogolonej zuchwy. Lewa, kołysząc się nieznacznie, wabiła i odciągała uwagę. Wszystkie ruchy wykonywał mechanicznie, pozwalając na chwilę zawładnąć sobą instynktowi oraz pamięci mięśniowej. Zamarkował uderzenie obliczone na pacnięcie w gardę

i wymuszenie spodziewanej kontry. Uderzył ponownie, atakując lewą dłoń, krótkim, szybkim niczym atak bata strzałem. Rzeczywistość nieśpiesznie zwolniła, podczas gdy pobudzone adrenaliną zmysły raptownie przyśpieszyły.

Wdech.

Kolejny unik i kopnięcie pod kolano.

Wydech.

Prosty blok i zbiecie niecelnego uderzenia.

Wdech.

Lewe biodro oraz bark nakręcały śrubę odbitą nieporadnym blokiem, który jedynie zwiększał siłę momentu obrotowego ciała. Porucznik spał mięśnie. Prawa pięść okuta w żelazną koronę z furją sięgnęła przeciwnika. Trzasnęły gruchotane kości.

Wydech.

Szybka seria precyzyjnie odmierzonych ciosów. Prawa ręka uzbrojona w kastet zgruchotała twarz przestępcy, rozbijając wargi oraz nos. Z amoku walki Legrasse'a wyrwał dopiero dźwięk kruszonej kości. Dźwignął się, spoglądając ku ciemnemu klepisku, na rozgnieciony strzęp człowieka. Oblizął usta, czując na języku metaliczny posmak krwi.

Splunął przez zaciśnięte zęby. Gniewna kipiela rozsadzająca mózg cichła, niknąc równie nagle, jak się pojawiła. Lewą dłoń nieustannie zaciskał i rozluźniał, wyobrażając sobie, jak dusi szmaciane gardło Klary. Wdech, wydech. Czerwień powoli odpływała mu z oczu. Nadchodził spokój. Dopiero teraz poczuł palenie w lewym boku.

– Panie poruczniku...

Odwrócił się nieśpiesznie. Pobity mężczyzna oddychał ciężko. Legrasse spojrział w stronę, z której doszedł go głos.

– Panie poruczniku! – Młody chłopak w błękitnym mundurze stał kilka kroków od wejścia do zaułka. – Czy wszystko w porządku?

Legrasse przez chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem. Ze smutkiem skonstatował, że uczciwa odpowiedź nie byłaby zadowolająca dla żadnej ze stron. Dlatego też jedynie odchrząknął i uniósł dłoń. Szybkim, pewnym ruchem skuł oprycha i dźwignął go na nogi. Ten, plując krwią, przebierał niezdarnie nogami i potykał się

bez przerwy. Porucznik pchnął mężczyznę lekko w stronę policjanta.

– Zabierz go. Niech go opatrzą i dadzą coś na ból głowy. Będę chciał z nim później pomówić.

– Tak jest. Sierżant kazał panu przekazać, że sytuacja jest opanowana. Z tym tu mamy komplet, choć francuzi zastrzelili chyba tych, po których tu przyszli.

Legrasse przyjął raport skinieniem głowy. Informacja, że podejrzani, po których przysłano hycli z Paryża, zginęli w obławie, wcale go nie zdziwiła. Spodziewał się tego. Utwierdził się jednocześnie w przekonaniu, że sprawa ma drugie dno. Młodzik stał, podtrzymując nieporadnie Alzarczyka. Wyglądał przy tym jak uczeń wyrwany niespodziewanie do odpowiedzi. Szczęśliwie więzień nie sprawiał wrażenia skorego do ucieczki.

– Coś jeszcze?

– Tak. – Chłopak przestąpił z nogi na nogę. – Sierżant prosił, by pan przyszedł jak najszybciej. Zabójcy nieźle się zagotowały, jak to zobaczyły.

– Co takiego?

Chłopak poblądł i w końcu wypluł z siebie dławiącą głos gulę:

– Kobietę. – Słowo zabrzmiało jak najgorszy grzech. – Ale lepiej niech pan sam zobaczy...

Legrasse ruszył już z powrotem ku wyważonym drzwiom frontowym. Na ulicy przed speluną roило się od umundurowanych policjantów. Pomiedzy wozami siedziały skute oprychy. Tych, co mieli mniej szczęścia, niebawem wyniosą nakrytych płótnem. Wezwani sanitariusze opatrywali rannych. Kilku mundurowych odganiało gapiów, a nad wszystkim czuwał sierżant Stuglik. Tubalnym głosem nadzorował drugą fazę akcji. Legrasse z zadowoleniem podsumował w myślach: nalot błyskawiczny i skuteczny.

– Panie poruczniku!

Sierżant podszedł do przełożonego sprężystym krokiem i podkreślił wąsa. Wykonał nieokreślony ruch ręką, ogarniając cały uliczny rozgardiasz.

– Naszych lekko poszczerbiło, ale bez strat. Dupnęlim wszystkich.



France postrzelali się z tymi swoimi. – Kiwnął głową w stronę dwóch przedstawicieli francuskiej dochodzeniówki, którzy stali na uboczu, paląc papierosy i wymieniając się zdawkowymi uwagami. – Dobrze, że cupnął pan tego jednego. Ale, ja nie to... – Uniósł czapkę i energicznie przeczesał szopę posiwiałych włosów. – Francuzi chciały same zleźć, ale im nie dałem. Poszliśmy przodem do tej piwnicy. A zresztą, proszę za mną.

Sierżant, nie zważając na przełożonego, ruszył w stronę rudery. Legrasse uśmiechnął się i podążył za Polakiem. Przymaszerowali ze Stuglikiem kawał francuskiej, belgijskiej oraz pruskiej ziemi w czasie wojny i takie drobiazgi jak różnica szarzy nie miała dla nich większego znaczenia. Porucznik cenił w towarzyszach broni zarówno krewkość, jak i intelekt.

– Ponoć znaleźliście tam kobietę – rzucił, gdy zrównał się z sierżantem ramieniem. – Przez co nasi nowi przyjaciele mocno się zirytowali. – Posłał francuskim agentom zimne spojrzenie, gdy mijali ich w drodze do resztek drzwi frontowych.

Agenci skinęli ostentacyjnie głowami, nie przerywając rozmowy.

– Ano – mruknął sierżant i przepuścił porucznika w prog. – Wyglądali, jak byśmy im namieszali, znajdując ją. Ale ciężko powiedzieć, szefie. – Odwrócił się niespodziewanie, prawie wbijając swój połamany nos w brodę Legrasse'a. – Przed wejściem postawiłem trzech chłopaków i zabroniłem podchodzić. Ci z SRC, jeśli po to tu przyjechali, nic nie mówią i udają jedynie, że są tym zszokowani. Ale ja swoje wiem. Cholerne szpiegi.

Legrasse rozejrzał się po terenie niedawnej strzelaniny. Miejsca gwałtownego zwania sił porządkowych z typkami z półświatka nigdy nie wyglądały krzepiąco. Korytarz przypominał ścianę strzelnicy, aż cud, że obyło się bez strat po stronie mundurowych. Widać szajka zupełnie nie spodziewała się nalotu, za co trzeba dziękować losowi. Inaczej wąskie gardło przejścia byłoby ich Termopilami, a policja w roli Persów za wygraną musiałaby drogo zapłacić. Ciało zastrzelonego bandziora leżało tam, gdzie padło. W głębi zastygł w bezruchu inny obrońca spod ciemnej gwiazdy. Wszyscy teraz czekali na przybycie koronera.

– Do rzeczy, sierżancie Stuglik. – Legrasse zerknął z ukosa na przypatrującego się im posterunkowego, który blokował zejście do piwnicy. – Bez spiskowania. Wojna za nami, nowe porządki przed nami.

Polak odkasznął.

– Proszę o wybaczenie, panie lejtnant – rzucił bez cienia skruchy. – Chodzi tylko, że to na dole to... Cóż. Zdaje się, że siatka przemytnicza to nasz najmniejszy problem.

Sierżant odwrócił się do posterunkowego i skinieniem ręki nakazał odsunąć się od schodów. Legrasse ruszył za Polakiem, ostrożnie stąpając po rozklekotanych, drewnianych stopniach. W piwnicy śmierdziało parszywym, zastanym powietrzem. Ze zdziwieniem nie dostrzegł śladów bytności szczurów, zwyczajnej dla takich miejsc. Dotknął chłodnej ściany. Była sucha jak pieprz. Trafili do lichy oświetlonego pomieszczenia będącego ni to korytarzem, ni to przedłużeniem klatki schodowej. Na środku leżała przewrócona beczka i kilka połamanych zydli. Obok, wyciągnięci na podłodze, właściciel asa pik w rękawie oraz jego niedoszły dłużnik, jeśli sądzić po rozsypanych dokoła pieniądzech. W powietrzu unosił się słodkawy zapach alkoholu oraz ludzkiego nieszczęścia. W rogu pomieszczenia stał kolejny mundurowy, wpatrujący się w przesłonięte brudną szmatą przejścia.

– Tu trzymali lokalne atrakcje – mruknął Polak, odsłaniając pierwszą kurtynę. Domyślając się, co za chwilę zobaczy, Legrasse zajrzał za słowiałe prześcieradło. Wewnątrz, w niewielkiej piwnicznej celi, na poplamionym materacu siedziała młoda czarnoskóra dziewczyna. Wielkimi z przerażenia oczami spojrzała na policjanta i bezwiednie opuściła koc, odsłaniając nagie ciało. Westchnął ciężko, cofając się do przedsionka. Spojrzał pytająco na sierżanta, ale ten tylko pokręcił głową.

– Znaleźliśmy trzy. – Polak stracił formalny, nieustępliwy ton. Nie było tajemnicą, że sierżant Stuglik miał miękkie serce dla pracujących dziewczyn. – Wszystkie są tu na dole. Jak przyjedzie kolejny wóz, to je przeniosę. Nie chciałem ich na bruk od razu wyciągać...

– I o to to zamieszanie?

– Nie. – Policjant wskazał czwarte przejście, jedyne przesłonięte prowizorycznymi drzwiami, teraz wyważonymi. – Tam jest czwarta, szefie. I o nią całe to zamieszanie.

Legrasse bez słowa przeszedł przez próg. Pokonał krótki korytarz, mijając trzeciego policjanta trzymającego wartę przed zamkniętymi drzwiami. Posterunkowy zaszalutował z malującą się na twarzy ulgą i przemknął wąskim przejściem ku głównemu rozwidleniu. Porucznik pełen najgorszych przeczuc pchnął cherlawe drzwi, które natychmiast cofnęły się z cichym skrzypnięciem.

Piwniczne zapachy ustąpiły miejsca kręcącym w nosie nutom chemicznym. Podobnie śmierdziały sale prosektorium, dezynfekowanego lizolem.

Pomieszczenie, do którego weszli, było większe, przestronniejsze i lepiej oświetlone. Próżno jednak było szukać tu czegoś, co pozwoliłoby uciec wzrokiem od zawieszzonego w centralnym punkcie makabrycznie okaleczonego ciała. Pokrwawiona postać tkwiła pomiędzy świecami, wbijając puste oczodoły w porucznika.

Legrasse odruchowo cofnął się o krok, opierając o brudną ścianę. Sierżant stanął tuż za nim, zamknął drzwi. Komisarz potrzebował chwili, aby uspokoić rozszalałe nieoczekiwanym koszmarem zmysły. Sięgnął po zegarek, z ulgą witając chłodny, analityczny spokój, który na niego spłynął, gdy dorachował do piątego cyknięcia sekundnika. Porucznik podrapał szorstki policzek i ponownie przyjrzał się upiornej konstrukcji.

Drewniane rusztowanie otaczały wielkie skupiska na wpół wypalonych świec, wyrastających ze szczytów woskowych kopców. Pomędzy masywnymi ramionami trójnożnego zwisało nagie, kobiece ciało. Twarz skrywała zatknięta na głowę naga czaszka jelenia, poryta nieczytelnymi, zatartymi symbolami. Legrasse poczuł nieprzyjemne zgrzytnięcie dawno zapomnianych myśli. Coś, co zepchnął w głąb podświadomości, nagle zaczęło przypominać o swojej obecności. Spojrzał raz jeszcze na koślawe, prymitywne symbole wyryte na starej kości. Zębaki myśli ponownie przeskoczyły, z wolna wprowadzając w ruch cały mechanizm.

Zmusił się, aby nie patrzeć na zameczoną kobietę. Wiedział, że nie

mógł już jej pomóc inaczej, niż znajdując oprawców. Skupił uwagę na otoczeniu, usiłując zbadać kontekst tej śmierci. W końcu dostrzegł to, co skrywało się za przesłoną oczywistości. Dostrzegł porządek oraz konsekwencję rozstawienia łożowych świec, otaczających ludzką ofiarę. Geomancką figurę rombu o przedłużonym górnym wierzchołku. Figurę męskiej seksualności, wojny, gniewu oraz Samaela. W cieniu wielkiej, na wpół stopionej łożowej świecy dostrzegł niewielką, kamienną płaskorzeźbę zapomnianego boga, starszego niż piekło oraz niebo. Spośród wieńca prymitywnych znaków spoglądał na policjanta spowity mackami pan snów oraz kosmicznej pustki.

Legrasse przymknął na moment oczy. Czuł załęgający na barkach ciężar. Odwrócił się do sierżanta, kręcącego się ostrożnie po pomieszczeniu.

– Widziałem już takie symbole – mruknął ni to do siebie, ni do Stuglika.

Polak coś odpowiedział, ale porucznik go nie słuchał. Nerwowo zaciskając i rozprostowując palce prawej ręki, dusił w myślach terapeutyczną lalkę i przyglądał się udreżonej kobiecie.

Naga, wisiała rozpięta, przypominając krwawą banderę wojenną. Ramiona oraz nogi uwięzione w konopnych pętach podtrzymywały okaleczone ciało przed upadkiem. Legrasse przesunął się wzdłuż ściany, starając się objąć wzrokiem jak najwięcej.

Zwykła śmierć nie robiła na nim wrażenia. Dawno obłaskawił jej widmo. Na dnie wypełnionych deszczówką okopów widywał gorsze rzeczy. Mimo to skala bestialstwa wprawiła go w osłupienie. Co innego okrutna i zdehumanizowana wojna, a co innego sadystyczny mord. Ponownie spojrzął na oliwkową skórę, smukłe kształty i plątaninę ran. Przysięgłby, że dostrzega pajęczynę bólu oplatającą ciało.

Nie wiedział, co bardziej szokowało: pokracczne nacięcia ciągnące się od stóp po nadgarstki, czy też wyrżnięty płat skóry z pleców. Przyjrzał się uważnie równym krawędziom. Ktoś, potwór, z chirurgiczną precyzją, wyciął kawałek ciała nieszczęśnicy. Zero pomyłki, zero drżącej dłoni – idealne, czyste cięcie. Wzdłuż brzegu

rany, po zewnętrznej stronie, ciągnęły się bolesne zaczerwienienia i bruzdy opuchlizny. Zmarszczył brwi, przygryzając dolną wargę. Rozejrzał się uważnie, szukał jakiejś podpowiedzi. Wbił wzrok w gliniany garniec oraz rzuconą obok chochlę. Czubkiem buta stuknął naczynie.

– Polewali ją wodą. Pewnie wrzątkiem – mruknął, ignorując pełne konsternacji spojrzenie sierżanta.

„Myśl!” – ponaglił sam siebie.

Odstąpił krok w tył, przyglądając się ciału poznaczonemu pajęczyną drobnych nacięć. Regularność wzoru nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości. Nie potrzeba było szkoły, by dostrzec imitację pisma. Skóra kobiety wyglądała niczym pergamin początkującego ucznia kaligrafii usiłującego wyćwiczyć diabelski alfabet.

– Wielokrotnie nadpisane. – Wskazał na cięcia nachodzące na siebie. – Gryzmoлили po niej jak po kawałku papieru. Wołaj tu ekipę. I jeszcze jedno, sierżancie. – Spojrzał wymownie na Polaka. – Pod kluczem mam jednego Alzarczyka. Głowę daję, że przemytnik z krewniakami po obu stronach granicy. Twoja głowa w tym, abym zdążył z nim porozmawiać. Jeżeli trzeba, możesz pan obwarować komisariat.

## Rozdział 2. Sekrety umarłych

Stuglik przyglądał się, jak jego szef z pasją dusi Klarę. Nabiegłą krwią twarz porucznika wykrzywił grymas furii. Wściekłość znajdowała ujście w palcach zaciśniętych niczym szczęki imadła.

– Ty parchata skurwysyńska suko... – charczał, nie bacząc na świadka. Toczył z ust pianę niczym dziki zwierz. – Kurestwo ostateczne!

Legrasse trząsał się ze złości. Pięścią huknął w paciorkowate oczy Klary. Napięte mięśnie drżały, gdy wymierzał kolejne uderzenie. I kolejne. W końcu rubinowa fala ustąpiła... Komisarz odetchnął głęboko, rozluźniając morderczy chwyt. Po napadzie furii pozostał jedynie rumieniec na policzku oraz Klara rzucona niedbale na podłogę. Stuglik chrząknął znacząco, ale Legrasse nie zaszczycił sierżanta uwagą. Wsłuchiwał się we własne wnętrze i upajał ulgą, która następowała po napadzie szału. Wpatrywał się w nocne niebo podziurawione gwiazdami. Przez chwilę zdawał się zagubiony we własnych rozważaniach. Za oknem z wolna przebrzmiewało nocne życie ósmego dystryktu i przechodziło niepostrzeżenie w głuchą ciszę poranka.

– Szefie?

Porucznik posłał sierżantowi niechętne, ciężkie spojrzenie i westchnął zrezygowany.

– Chciałem tylko zameldować

– Nie musisz. Dzwonili do mnie z Miłosierdzia.

Sierżant przestąpił z nogi na nogę. W końcu odchrząknął ponownie, rzucając przełożonemu harde spojrzenie. Polak znany był zarówno z buty, jak i honorowego podejścia do życia. W praktyce oznaczało to tyle, że był twardym, nieustępliwym mundurowym, o posłuchu i autorytecie. Nielichym autorytecie.

– Simons zareagował słusznie. Na jego miejscu...

– Na jego miejscu, gdybyś się znalazł, Stuglik, nie byłoby tej rozmowy – rzucił Legrasse, rozcierając skronie. Po chwili namysłu

sięgnął między nogi i podniósł Klarę. Przyjrzał się szmacianej lalce o rudych puklach z włóczki i ukrył zabawkę w szufladzie. – Gdyby wszyscy byli tobą, to Simons nie zabiłby dzisiaj człowieka, a MacKenna miałby całą szczękę. Swoją drogą, na wszystkie diabły, jak do tego doszło?

Stuglik pogładził mundur i szukał przez chwilę odpowiedzi w błysku wypolerowanych czubków butów. Nie znajdując jednak ratunku w lśniącej skórze, skrzywił się nieznacznie.

– Ten farbowany na Francuza szkop zasymulował, psia mać. Jak Boga kocham, ta nacja tylko szwindle i udawanki potrafi.

– To właśnie w tobie cenię – rzucił cierpko Legrasse. – Erudycję całkowicie pozbawioną cywilizacyjnych obciążeń.

Stuglik zamrugał i przyglądał się przełożonemu w milczeniu. Po minie łatwo było poznać, że rozważa bardziej stanowcze przedłożenie argumentów. Ku uldze komisarza Polak poniechał idei spontanicznego mordobicia. Ostatni raz, gdy złapali się za łby, jeszcze na froncie, wióry leciały.

– Dziękuję – burknął. – Jak mówiłem: udawał. Padł niby konwulsjami zdjęty. Tłukł łbem po posadzce, toczył pianę. No to chłopak wlaź sprawdź, co mu tam. I wtedy gnój mu zawinął, gruchnął w zęby. Wyłowił broń z kabury i wymierzył w Simonsa. Absurd jakiś, szefie. Łajdak nie miał szans, musiał wiedzieć.

Legrasse pokiwał głową. Znał historię z relacji innych policjantów, ale chciał usłyszeć, co ma do powiedzenia Polak. Opinia sierżanta była niepokojąca. Wszystko wskazywało na świadome działanie więźnia, który wolał dać się podziurawić, niż pozwolić, aby wydarto z niego sekret. Sprawa była poważniejsza, niż się pozornie mogło zdawać. Ze wszystkich pochwyconych to właśnie Alzatzczyk był najbardziej frapujący. Rozpaczliwa próba samobójcza potwierdzała domysły porucznika. Komisarz musiał zmienić podejście do problemu.

– Siadaj, Stuglik – zaczął i na dobry początek wyciągnął z szafki biurka dwie szklanki i butelkę burej wódki. – Nie odpuścisz mi tego pana, szefa czy porucznika, prawda? Nawet za zamkniętymi drzwiami, nawet w środku nocy?

– Lejtnant jest moim szefem. – Stuglik wyszczerzył się w uśmiechu.

– I niepodobna, abym zwracał się do niego per ty, jak do pierwszego lepszego. To nie okopy, jeśli mogę pozwolić sobie na taką uwagę.

Legrasse parsknął, szczerze rozbawiony. Pewnych ludzi nawet batem nie nakłonisz do zrobienia czegoś, czego zrobić nie chcą. Nalał bimbru do szklaneczek i podsunął jedną towarzyszowi broni.

– Ale wódki z przemytu się napijesz, co?

– Myślałem, że preferujesz Sazerac<sup>7</sup> – odparł z uśmiechem. Oddał salut szklanką, mało nie rozlewając zawartości. – Przełożonemu nie wypada odmawiać, gdy częstuje.

„Cholerny Polak” – pomyślał Legrasse bez złości.

Alkoholem spłukał z gardła gorzką gulę, ale nie stąpił nieprzyjemnego uczucia. Coś niepokojącego rozdzierało mu wnętrze. W widmowym mieście skąpanym w świetle latarni umysł wysnuwał najupiorniejsze wizje. Przepili bez przekonania, każdy pogrążony we własnych myślach. Na środku biurka leżała nieforemnie obłupana płaskorzeźba przedstawiająca piekielną poczwarę. Sierżant raz po raz zerkał to na nią, to na pryncypała, ale nie odezwał się słowem.

– To idol samych diabłów – rzekł głucho Legrasse. – Sam arcydiabeł we własnym odrażającym cielsku.

– Obrzydliwy – zgodził się sierżant. – Ale diabeł jak diabeł. – Polak wzruszył ramionami z typową dla siebie obojętnością zbudowaną na silnym i niezachwianym religijnym fundamencie. Katolicyzm impregnował sierżanta niczym najzmyślniejsza zbroja. W parze z przekonaniem o miłosierdziu nieobecnego Boga Stuglik przejawiał całkowicie racjonalne myślenie, że diabeł oraz jego poplecznicy to wymysł chorych umysłów i starych bab. – Rogów nie ma – odrzekł spokojnie, sącząc samogon. – Sąsiadka ze wsi obok zwykła ostrzegać moją matkę i mnie przed czarownikami. Starczy chwila nieuwagi, a wystrzelą niewidzialną strzałę, która zatruje krew. Tyle w tym diabła, co gadania.

John Raymond Legrasse pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie dziwiło go to podejście do wiary. Martwiły natomiast zbyt oczywiste podobieństwa, groteskowe analogie, które nie dawały mu spokoju, drapiąc jaźń niczym dzikie bestie. Porucznik osuszył szklankę i sięgnął do stojącej pod oknem niewielkiej kasy pancерnej.



– Znalazłem to prawie dwadzieścia lat temu. – Ustawił na biurku groteskowy fetysz. – Byłem wtedy głupim, skupionym na drobnostkach człowiekiem. Poznajesz?

Polak obrzucił spojrzeniem kamienny posążek wykuty z dziwnego, opalizującego kamienia.

Matową, zielonkawą powierzchnię wygładził przez dziesięciolecia trwania sekretnego kultu dotyk setek dłoni muskających trwoźnie bożka. Niewysoki, ledwie kilkucalowy, był dziełem sprawnego rzemieślnika, któremu udało się ze skalnej masy wydobyć człekokształtne monstrum przycupnięte na zdobnym cokole. Płaskorzeźba znaleziona w nowoorleańskiej piwnicy, choć dalece bardziej prymitywna, była uderzająco podobna. Lśniący, nagrobkowy granit maskował niedoskonałości formy, uwypuklając upiorne kontury skulonej sylwetki. W świetlnych refleksach macki oplatające ciało zdawały się wić niczym żywe węże.

– Aaaaa, to to, co szef znalazł i przywlekl z bagien. Razem ze zgrają tych cudaków.

– Nie, Stuglik. – Legrasse ustawił na biurku fetysz. – Ukradłem. Zabrałem z diabelskiego kręgu. Są podobne. Podobne, bo odzwierciedlają to samo.

– To figurki szatana, szefie. Wudu, szatańskie sprawy. To nie są rzeczy, o których winno się mówić... No i to tylko symbol. Obrzydliwy, Panu Niebieskiemu niemiły, ale tylko symbol. – Sierżant rzucił ostentacyjnie pogardliwe spojrzenie skrzydlatej kreaturze, która kuciała złowrogo na prostokątnym bloku porożonym zatartymi napisami.

– Myślałem podobnie swego czasu. Że koszmarna figurka, że kacerstwo, jakiego wiele. Powierzchowne myślenie prostego człowieka. Ja łapałem złodziei, zabójców, stręczycieli.

– Szef wybaczy, ale się gubię. Tym się właśnie zajmujemy. To tu to szatańska sprawka, ale sprawka czyniona przez człowieka, czyli z gruntu fałszywa. Pochwycimy go i ukręcimy łeb wężowi. Swoją drogą... – Stuglik wyjął z kieszeni mundurowej marynarki złożoną na pół żółtą kartkę, po czym podał przełożonemu.

Legrasse rozłożył tanią ulotkę reklamującą objazdowy kościół. Ten jedyny, ten prawdziwy, z kaznodzieją natchnionym duchem tak

rzeczywistym, że wręcz namacalnym. Legrasse nie kojarzył żadnych plakatów lub ogłoszeń informujących o przybyciu jakiegoś charyzmatycznego kaznodziei, jakimi obwieszano zwykle miasto. Spojrzał uważnie znad kartki pokrytej krzykliwymi zapewnieniami zbawienia przy niewielkich datkach.

– Wiadomo o tym coś więcej?

Sierżant pokręcił głową.

– Było w rzeczach tego Alzacyjnyka. Jedyne, co znalazłem. Zdaje się, że tam chadzał...

– Hmm... – Legrasse przyjrzał się sugestywnemu wyobrażeniu boskiej sylwetki kroczącej pośród stada wiernych. – Bez adresu. Wygląda na to, że dołączenie do tego kościoła wymaga determinacji.

– Albo znajomości – odparł Stuglik. – Pewnie tak pilnują, by przypadkowe nosy nie niuchały w ich okolicy.

Porucznik zapatrzył się w posępną figurę stojącą na biurku oraz opalizującą, bliźniaczo podobną płaskorzeźbę. Żółta ulotka sprawiła, że dawno zapomniana myśl zapulsowała w jego mózgu. Leniwe żarna pamięci meły żwir skojarzeń na jałowym biegu. Legrasse wiedziony bardziej impulsem niż realną potrzebą sięgnął ponownie do sejfu, tym razem dobywając opasłą teczkę. Cokolwiek kryło się pod mętłym refleksem pamięci wywołanym ulotką, związane było ze starą sprawą bagiennej sekty.

Stuglik nie musiał się dopytywać o dokumentację. Doskonale znał upiorną fascynację Legrasse'a. Jego słabość, źródło spalającego go gniewu oraz frustracji.

– Jesteś katolikiem, prawda, sierżancie?

– Od urodzenia, z dziada na pradziada. Czemu pan pyta?

– Bo blisko dwadzieścia lat temu nie zadałem wielu pytań – odparł gorzko. – Bo szukałem nie tam, gdzie trzeba. Człowiek, istota ludzka, jest największym demonem. Od niego, nie od nadprzyrodzonego, pochodzi zło. Bestialstwo czynimy dla ułudy zbawienia.

– Sądzis... – odparł sierżant. Legrasse'owi nie umknął bezpośredni zwrot Stuglika. – Sądzis, że tam w piwnicy i tam na bagnach to byli ci sami szaleńcy?

– Tak i nie. – Komisarz na chwilę ukrył twarz w dłoniach. – Nie

wiem, co sądzić. Uważam, że to my tworzymy bogów, nie oni nas. Ludzkie dłonie wyrzeźbiły to plugastwo. To coś to echo selekcji kulturowej, efekt działania mechanizmu naszego umysłu, który sprawia, że idee i wyjaśnienia niesione religią mają moc przekonywania, bo wpisują się w egzystencję wyznawców. To wszystko – wykonał nieokreślony ruch ręką – to tylko efekt uboczny... Cholerny, okrutny efekt uboczny. Ten człowiek w celi, Stuglik. Jeśli to wróciło...

– Straszny z lejtnanta racjonalista. Myślę jednak, że Bóg panu wybaczy, bo jesteś pan dobrym człowiekiem. Ino zagubił się pan. Choć trudno się dziwić, gdy widzi się tyle zła na co dzień.

Legrasse przez chwilę przyglądał się sierżantowi. Sinym liniom tatuaży wylazających spod rozchełstanego munduru. Otarł usta, uświadamiając sobie, że obaj mówią o dwóch różnych rzeczach.

– Idź do żony, sierżancie. Późno już.

Stuglik uśmiechnął się blado.

– Prosiła, abys przyszedł na obiad. Nie, nie patrz tak, szefie. To nie zaproszenie. Mia nie negocjuje.

– Pomyślę. Idź już.

Legrasse z flaszką w dłoni opadł na wysłużoną kanapę tworzącą wraz z dwoma fotelami i niskim stołem imitację towarzyskiego salonu dla co ważniejszych gości szefa posterunku. Mebel zaskrzypiał boleśnie, a komisarz poczuł niespodziewanie reumatyczny ból stawów, potęgowany przemęczeniem. Z pamięci przywołał oblicze starego Castro, diabelskiego sługusa, domniemanego przywódcy morderców z bagien. Staruch szczeł w kazamatach, odcięty od świata zewnętrznego i reszty członków sekty, których Legrasse zdołał pochwycić w 1907 roku. Ciągle zachodził w głowę czy to, że guru sekty wyjawiał swój sekret, nim skończył swoje parchate życie, było prawdziwą próbą pokuty czy przekleństwem. Policjant pamiętał nieobecne spojrzenie Castro i bełkotliwe słowa, gdy ostatni raz widział go w więzieniu. Stary, szczerząc szerniałe pieńki zębów, opowiadał o bogach z bagien. Istotach starszych niż ludzkość. Na drugi dzień nie żył. Znalaziono go martwego we własnej celi. Powiesił się, klęcząc, na pętli ukreconej z własnej koszuli. Strażnik więzienny

klął się na własną matkę, że chwilę przed tym, nim wbiegł do celi, stary jeszcze wołał swoich bogów. Porucznik przymknął oczy, przywołując słowa starego szarlatana. Nieśmiertelni i obłąkani trwają na krawędzi ludzkiego poznania. Czekają, pogrążeni w letargu. Wielki Cthulhu śni, marząc o powrocie do świata śmiertelników. Jak każdy śpiący, może kiedyś się przebudzić.

*Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu*

*R'lyeh wgah'nagl fhtagn!*

Złowieszczy dwuwiersz wypełnił umysł Legrasse'a, wywołując w nim przemożny, atawistyczny strach. Spierzchnięte wargi ułożyły się w plugawe zgłoski, struny głosowe napięły się, usiłując zaintonować diabelską inkantację. Porażony paniką umysł sięgnął do głębi, do korzeni człowieczeństwa, stawiając opór cisnącemu się na usta bluźnierstwu. Policjant, trzęsąc się niczym w febrze, utopił bulgoczące słowa w potoku palącego krtań alkoholu.

Obudził się z ciężką głową, przytulony do pustej butelki bimbrow. Zamrugał, czując obezwładniającego kaca. Suchy niczym wiór język, oblepiony smrodliwą śliną, przywarł do podniebienia.

Spróbował zetrzeć dłonią lepkie wspomnienie sennego koszmaru. Bezskutecznie. Nocna mara zakorzeniona głęboko we wspomnieniach nie chciała opuścić Legrasse'a. Ciała kobiet oraz dzieci nawleczonych na pale lizały cienie, a wkoło ognisk wili się niesieni ekstazą tancerze. Bagienny smród rozkładu mieszał się z odorem śmierci oraz krwi, tworząc narkotyczną, mdłą mieszankę. Z każdym przebytym krokiem w lepkiej mazistej wodzie John i jego ludzie zmierzali ku piekłu.

Potarł skronie, usiłując przyzwyczać wzrok do blasku poranka. Senne koszmary rozpadały się niczym mydlane bańki. Pozostała jedynie młoda dziewczyna tkwiąca na oblepionym krwią palu. Spoglądała na porucznika oczami zasnutymi obłędem oraz bólem. Spękane wargi poruszały się, ale zamiast słów spomiędzy rozchylnych ust wypływały czarne pnąca.

Legrasse spoliczkował się, wrywając z objęć sennej mary. Tkwił w fotelu z dala od bagna. Z dala od trupów, aligatorów oraz duszącego zapachu olszyny, moknącej w stojącej wodzie mokradeł.

Czując wewnętrzną odrazę, odchrząknął i przełknął obrzydliwą gulę. Potoczył na wpół przytomnym spojrzeniem po gabinecie.

„Gabinet. Czyli daleko nie zawędrowałem” – pomyślał sarkastycznie, zerkając odruchowo ku drzwiom.

Były zamknięte, a żaluzje opuszczone. Okno prowadzące na ulicę szeroko otwarte. Na zydłu ktoś ustawił obok siebie dwie misy wody, kostkę szarego jak odleżały trup mydła i przetarty ręcznik.

„Stuglik” – pomyślał komisarz.

– Stuglik! – wrzasnął, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Szcście w nieszczęściu, biuro na piętrze jeszcze jego poprzednik przystosował do potrzeb „dłuższych dyżurów”, jak to były szef był łaskaw określać. Tajemnicą poliszynela były przesłuchania co bardziej atrakcyjnych ulicznic, które często przeciągały się długo w noc. To jednak nie było główne zainteresowanie byłego szefa Legrasse’a. Williams większość uwagi skupiał nie na sprawach obyczajowych, ale szpiegowskich. Dokładniej – tropił socjalistyczną propagandę, czerwonych aktywistów oraz agitatorów. Głównie skupiał się na przesłuchiowaniu kobiet, których mężowie przebywali dostatecznie daleko, a zanim wyjechali, byli zamieszani w protesty związkowe. W obu wypadkach młode damy dostawały ofertę: oskarżenia wobec mężów zostaną wycofane w zamian za zapomnienie. W znakomitej większości przypadków chodziło o czasowe zapomnienie przysięgi wierności. Legrasse wyrzucił z głowy obrazy wymuszeń, jakich świadkiem było to pomieszczenie. Podszedł do zgrabnie zagospodarowanej komody. Zrzucił z siebie przepoconą koszulę. Z szuflady wygrzebał zestaw: świeża koszula, krawat i onuce. Przemył pośpiesznie stopy w emaliowanej misce. Wyszczotkował zęby z cuchnącego osadu. Sypnął talkiem do butów, a to, co zostało na dłoniach, wtarł pieczołowicie w pachy. Nim uporał się z zasupłaniem krawata, w drzwiach stanął Stuglik z kubkiem kawy w rękę.

– Ciężka noc, szefie?

– W papę dawno nie zebrałeś?

Sierżant z uśmiechem podał przełożonemu kubek, nie zamknął jednak za sobą drzwi. Przerabiali ten scenariusz nie pierwszy raz. Dla postronnych pracowników cywilnych, którzy dopiero przychodzili do

pracy, przekaz był czytelny: szef jednostki od bladego świtu ślęczy nad papierami. Sierżant, jego nieformalny zastępca, prawa ręka oraz wieloletni druh, także zdaje się nie sypiać, ciągle na służbie. Ulokowanie na piętrze obok biura porucznika całej administracji i obsługi cywilnej także było pomysłem Williamsa, z czego Legrasse skwapliwie korzystał. Detektywi i policjanci mieli swoje pomieszczenia na parterze.

– Stuglik – rzucił komisarz, siorbiąc łąpczywie mocną, aromatyczną kawę. – Weź ze dwóch młodych i ruszaj zaraz w miasto. Zrób mi kipisz na jakiejś melinie.

– Której?

– Bez znaczenia. Wybierz taką, gdzie ci wygodniej. Obij tyle pysków, ile wlezie.

– To może wezmę więcej chłopaków. I jedną budę, skoro ma być nalot.

– Nie. Bez budy. Masz tylko wydusić z tych zapitych mord informacje. Każda gęba, która coś wie, ma być spisana, rozumiemy się?

– Tak jest.

– Jak skończysz trzepać pijusów, alfonsów czy kogo tam znajdziesz, zamelduj się w jednostce. Zostawię informację dla ciebie, gdzie mnie szukać, jeśli będzie potrzeba.

Polak uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Przywykł do dziwactw Legrasse'a. Skoro porucznik chciał kontaktować się z nim przez sekretarkę, oficera dyżurnego czy choćby wróżkę, musiał mieć ku temu konkretny powód.

– Tak jest.

– A Stuglik...

Policjant spojrział na szefa przez ramię.

– Nie proś się o kulę albo macher pod żebro – dodał z bladym uśmiechem Legrasse.

Sierżant odpowiedział równie zdawkowym grymasem i odmaszerował, zostawiając skacowanego przełożonego samego z jego myślami. Porucznik odprowadził podwładnego wzrokiem, a gdy drzwi zamknęły się za plecami Polaka, odetchnął z ulgą. Przez

chwilę zastanawiał się nad harmonogramem dnia. Po wczorajszych wydarzeniach oraz siłach weń zamieszanych oczekiwał kilku rozmów, z czego trzech z ludźmi usadzonymi na stołkach ważniejszych niż jego. Spodziewał się telefonu kolejno od komendanta wyrażającego umiarkowane pochwały, szefa biura, wyrażającego umiarkowane pogroźki za fasadą szczątkowych gratulacji, oraz kogoś z magistratu wyrażającego bliżej nieokreślony bełkot polityczny.

„Przy odrobinie szczęścia – pomyślał Legrasse – odtrąbią sukces i nikt nie będzie wiercił dziury”.

Tak też się stało. Nim kawa przyniesiona przez sierżanta Stuglika wystygła, a biurka zajmowane przez pracowników administracji się zapełniły, rozdzwonił się telefon. Zgodnie z oczekiwaniami porucznika bilans ostatniej sprawy oraz nocnej obławy okazał się nie najkorzystniejszy. Formalnie wszystko było poprawne. Francuzi potwierdzili swojemu łącznikowi w magistracie, że dostali wariant podstawowy i wyrazili ubolewanie, że nie zdołali porozmawiać z przemytnikami. Magistrat w osobie prokuratora zaserwował mdły koktajl wymieszanej reprimendy z gratulacjami, Biuro Śledcze ograniczyło się do podkreślenia, że gdyby to oni prowadzili operację, profity byłyby znaczne, a gubernator osobiście wystąpił w poranku radiowym i pogratulował wszystkim zaangażowanym, czyli sobie. Nikt nawet nie zająknął się o znalezionej kobiecie. T.S. Baird, jako naczelnik policji, z typową dla siebie angielską flegmą grzecznie zasugerował, że ogólnikowy raport będzie idealny, bo szkoda tracić czasu na biurokrację. Naturalnie, sprawa była w rękach porucznika, a naczelnik jako dżentelmen nie chciał przesadnie instruować tak doświadczonego policjanta. Legrasse prychnął na wspomnienie rozmowy z przełożonym.

Porucznik nie mógł jednak zaprzeczyć słuszności opinii Bairda. Sekciarskie zabójstwo w sercu Nowego Orleanu nigdy nie jest dobrym tematem dziennikarskich spekulacji. Wystarczy, że zarówno w mieście, jak i w całych Stanach, ludzie nadal sprawdzają, czy sąsiad nie rzuca czerwonego cienia na lokalną gospodarkę. Okultystyczna panika, satanistyczne sekty i nagonka na czarne koty były ostatnią rzeczą, której potrzebował Legrasse.

Dźwignął się z fotela, ruszając ku przeszklonym drzwiom. Ledwie zdołał wystawić głowę poza gabinet, gdy dopadł go miękki głos panny May.

– Interessant do pana.

Asystentka wskazała na mężczyznę, który niczym za skinieniem magicznej różdżki poderwał się z krzesła, zapinając guzik marynarki.

– Moje uszanowanie, panie komisarzu. Francis Wayland Thurston.

Legrasse przez chwilę mierzył wzrokiem elegancika. Natręt był młody. Na karku miał przynajmniej o połowę mniej krzyżyków niż porucznik. Mimo to w manierze, w zachowaniu, w stroju widoczna była żelazna konsekwencja w uporczywym postarzaniu wizerunku. „Pewnie jakiś świeży belfer” – przemknęło policjantowi przez głowę. Otworzył usta, aby odprawić Thurstona z kwitkiem, ale zamarł na chwilę, mrużąc brwi. Tknięty przecuciem, zaprosił mężczyznę do gabinetu.

– Proszę, by nam nie przeszkadzano, panno May.

Zamknął drzwi, przepuszczając elegancika. Bez słowa przemierzył gabinet, rozważając przyczyny swojej nieoczekiwanej reakcji. Było coś w postawie, w spojrzeniu tego człowieka, co kazało Legrasse’owi wysłuchać historii, z jaką przybył. A że przybył z daleka, zdradzał akcent, odmienny od typowego, południowego mamrotu.

Policjant zasiadł za biurkiem i splótł dłonie na blacie stołu. Thurston siedział po przeciwnej stronie i w milczeniu, wpatrywał się we własne dłonie złożone na kolanach. W końcu odchrząknął, ponaglony bladym, urzędniczym uśmiechem policjanta.

– Jestem krewnym George’a Gammella Angella.

Mężczyzna wymówił to nazwisko tonem obwieszczającym, że jego krewnym jest sam Mojżesz.

Legrasse skinął głową kurtuazyjnie i sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów.

– Pali pan?

– Nie, dziękuję. Moje ciało jest świątynią nauki.

Legrasse z trudem powstrzymał parsknięcie. Nie pomylił się w ocenie: miał przed sobą świeżo upieczonego belfra, tak poważnego i tak nasiąkniętego swoimi ideami, że nie zdawał sobie sprawy, iż



ludziom spoza murów akademickich zdaje się przybyszem z innej planety.

– Angell – rzekł, ostukując papierosem wymiętą, zieloną paczkę lucky strike'ów – mówi mi coś to nazwisko.

– Profesor Angell był powszechnie cenionym autorytetem w dziedzinie starożytnych zapisów. Jego opinii często zasięgali dyrektorzy najświetniejszych muzeów.

Legrasse przymknął oczy. Zapytany, byłby gotów dopowiedzieć, że opinii profesora Angella zasięgali też przedstawiciele służb mundurowych. Sam rozmawiał swego czasu z profesorem. Wiedziony nerwowym skojarzeniem zerknął na szafkę, gdzie skrył oba kamienne artefakty.

– Tak. Już pamiętam. Kiedyś rozmawialiśmy. Co u szacownego profesora? Teraz będzie miał pewnie ze sto wiosen. Imponujący wynik.

– Dziewięćdziesiąt dwa. Byłoby trzy, ale zmarł niedawno.

– Przykro mi to słyszeć, ale nadal nie do końca rozumiem, czemu zawdzięczam wizytę.

Młodzieniec oblizał spierzchnięte wargi.

– Profesor zmarł, wracając z Newport; nagle się przewrócił, jak powiadają świadkowie. Został potrącony przez Murzyna wyglądającego na marynarza, który wyłonił się z jakiegoś zaułka. Lekarze nie znaleźli żadnych obrażeń. Zawyrokowali, że przyczyną śmierci były dziwne zmiany patologiczne w sercu spowodowane szybkim wejściem starszego człowieka na wzgórze.

Legrasse miał ochotę zapytać, jakiego typu zmiany patologiczne zaobserwowano w sercu Angella. Ugryzł się jednak w język.

– Wuj zanotował pana opowieść o obrzydlistwach, jakie pan widział w 1908 roku. O diabelskiej przesiece na bagnach, o ofiarach z kobiet i dzieci. Koszmar niczym na obrazach Angaroli...

Policjant zmrużył oczy i podpalił papierosa. Przez chwilę sycił się gorzkim posmakiem tytoniu. Nie podobało mu się, że jakiś przybłęda ze środkowych stanów grzebie w starej sprawie. Nie podobało mu się, że jakiś chłoptaş w garniturku roztrząsa notatki człowieka, który opiniował materiał dowodowy. Na sam koniec zaś nie podobało mu

się, że wymuskany okularnik spogląda na niego, jakby znał Legrasse'a od lat.

– Do rzeczy, proszę.

Francis Wayland Thurston wciągnął powietrze, gubiąc gdzieś wystudiowaną pozę nad wiek nobliwego badacza starożytności. Zaciskając dłonie na kolanach, odchrząknął i wyrecytował z pamięci:

– W tym domu w R'lyeh czeka w uśpieniu zmarły Cthulhu.

Legrasse zamrugał oczami. Nie było to coś, co można przeczytać w niedzielnym dodatku ani tekst, którym otwierano kolumnę sportową. Nachylił się nad biurkiem, skracając dystans. Niewiele brakowało, a chwyciłby młodzika za poły marynarki i wytłukł zeznania. Na twarzy policjanta musiały malować się takie zamiary, gdyż Thurston cofnął się instynktownie.

– Skąd pan zna tę frazę?

Krewniak Angella przełknął ślinę, ale szybko odzyskał rezon, rzucając dumne spojrzenie policjantowi.

– Z dziennika wuja. Badam tę sprawę – odparł szybko. Usiłował na powrót odzyskać chłodną, poważną twarz młodego sługi nauki, co mu ewidentnie nie wychodziło. Uprzedzając kolejne pytania, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobył złożone zdjęcie. Rozprostował je przed Legrasse'em. – To fotografia pewnej rzeźby stworzonej przez artystę pod wpływem koszmarów. I pewnie jakiś używek. Chciałem to skonfrontować z tym, co pan pamięta.

Legrasse uniósł zdjęcie. Uchwycona w kadrze płaskorzeźba była odrażająca. Wyglądała jak diabelstwo wyobrażone na artefaktach, które policjant znalazł na bagnach i w piwnicy obok zamęczonej kobiety.

– Kiedy powstała ta szkarada?

– Niedawno. Stworzył ją Henry Anthony Wilcox. Czy może pan potwierdzić, że wygląda to jak to, co znalazł pan na bagnach?

Legrasse otarł usta i odsunął zdjęcie piekielnej płaskorzeźby.

– Proszę posłuchać...

– To niech pan posłucha! Mój wuj umarł, zamordowany jakimś czarcim sposobem przez czarnoskórego marynarza. Pan wyłapał czarnoskórych marynarzy i miejscowych dzikusów czczących to

piekielstwo. Piekielstwo, które odtworzył młody artysta w efekcie zwid i urojeń spowodowanych gorączką. W Norwegii zginął marynarz, który wedle notatek mego krewnego wiedział bardzo dużo o kulcie piekielnego krakena. Przybyłem do Nowego Orleanu, bo jako spadkobierca, ale i człowiek nauki, winny jestem wujowi wyjaśnienie tej tajemnicy.

– Też czytałem *Krakena* Alfreda Tennysona – mruknął Legrasse, usiłując skierować rozmowę na inne tory. – Rozumiem, że romantyczna wizja głębinowej bestii, kryjącej się przed wzrokiem ludzi do czasu apokalipsy, może rozpałać umysły. Ale to tu...

– Proszę mnie nie zbywać. Z Bostonu do Nowego Orleanu przebyłem długą drogę, zginęli ludzie, a wszystko łączy się z czarnoksiężnikami czczącymi na bagnach demona o wyglądzie krakena.

Legrasse przez chwilę mierzył młodzieńca badawczym spojrzeniem. W końcu westchnął i ustawił na biurku dwie szklanki, polewając ostrożnie burbonem.

– Moje...

– Słyszałem. To na popicie.

Nim Thurston zareagował, Legrasse odwrócił się do niskiej szafki. Zgrzytnął zamek i po chwili na blacie policyjnego biurka pojawiły się kamienne figury. Od opalizujących fetyszy biła nieprzyjemna aura grozy.

Thurston przez chwilę spoglądał na rzeźby, po czym bezwiednie sięgnął po szklankę i wypił palący trunek jednym haustem, krzywiąc się przy tym boleśnie.

– Jedną pokazałem pańskiemu wujowi. Drugą znalazłem niedawno.

– Boże... Czyli... Należy odnaleźć tych ludzi!

– Proszę posłuchać...

– Czy mogę wypożyczyć tę rzeźbę? Mam znajomego w Bostonie. Jest ekspertem religioznawstwa. Może by mógł...

– Nie, panie Thurston. To niebezpieczna szajka, mająca środki i możliwości operowania... – Legrasse zawiesił na moment głos. – To nie są głupcy, drogi panie. Jeżeli jakimś sposobem dowiedzieli się, że drąży pan sprawę śmierci profesora, najpewniej już jest pan

obserwowany. Musimy założyć, że wiedzą też o naszym spotkaniu.

– Jakim sposobem?! Nikomu nie mówiłem, gdzie się wybieram. Ani w jakim celu.

Legrasse uśmiechnął się zimno.

– Nie musiał pan. Skoro zdecydowali się zamordować pana krewnego, podejrzewając, że wie za wiele, znaczy, że lubią pozostawać w cieniu. Teraz... – Komisarz dźwignął się zza biurka. – Teraz bliski krewny, spadkobierca człowieka, który w jakiś sposób zagrażał tym ludziom, trafia na drugi koniec kraju. I tak się składa, że trafia akuratnie na posterunek zawiadywany przez człowieka, który swego czasu przetrzebił ich szeregi.

Legrasse uważnie przyglądał się zmianom zachodzącym na obliczu Francisa Waylanda Thurstona. Z gorączkowej ciekawości, przez determinację, po przerażenie, gdy młodzieniec zdał sobie sprawę z realności zagrożenia.

– Radzę wracać do Bostonu, panie Thurston. Czarnoksiężnicy, których wtedy chwyciłem, nie żyją. Tamta sprawa jest zamknięta. Proszę być mądrzejszym od swego wuja. – Odprowadził wychodzącego młodzieńca. – Proszę trzymać się od tego z daleka. – Legrasse chwycił młodzieńca pod łokciem. – Nie chcę przeczytać w gazecie o pana śmierci. Nie mogę panu pomóc, ale pan możesz pomóc sam sobie. Ciekawość wiedzie do piekła. Proszę obiecać się nie mieszać – zakończył.

– Tak... Tak, oczywiście. Do widzenia.

– Oby. Żegnam pana.

Legrasse pokręcił głową, zamykając drzwi gabinetu. Wrócił za biurko. Pytaniem nie było, czy Thurston zignoruje ostrzeżenie, ale kiedy ktoś wyłowi jego ciało. I gdzie.

Komisarz przez chwilę siedział w milczeniu, przyglądając się kamiennym idiom. Różne, choć niezaprzeczalnie podobne. Cienie niczym węże przesuwają się wzdłuż rzeźbionych cielsk bestii. Legrasse pokręcił głową z niedowierzaniem. Zamknął sejf i wciągnął na grzbiet płaszcz.

– Jeśli ktoś zadzwoni – mruknął do asystentki już w drzwiach. – Proszę... – Zawahał się na chwilę. – Proszę kazać mu iść od diabła.

Posterunek zdążył nabrać już biurokratycznego pędu, tonąc w gwarze rozmów, dymie papierosów, mdlącym zapachu miętówek i kobiecych perfum. Nie czekając na odpowiedź panny May, porucznik zatknął fedorę i ruszył szybkim krokiem, ignorując ciekawskie spojrzenia podkomendnych.

\*\*\*

Dzielnica Francuska żyła swoim kolorowym życiem, kusząc zapachami. Legrasse wbił ręce w kieszenie spodni. Obowiązek wymagał zweryfikowania ponurych domysłów.

Porucznik znalazł się na zalanej słońcem Royal Street, pachnącej kuchnią i błyszczącą wszystkimi barwami dzielnicy. Ruszył w stronę Canal Street, rozważając różne implikacje podjętej decyzji. W normalnych okolicznościach poszedłby w przeciwną stronę, prosto do Café du Monde, na solidne śniadanie zakończone aromatyczną café au lait. Możliwe, że zagryzaną brioszką. Jednak zapachy dochodzące z Jackson Square także kusiły, doprowadzając kiszki Legrasse'a do bolesnego skrętu na samo wspomnienie serwowanej w Billy Cabildo zupy z wołowiną. To nie były jednak normalne okoliczności, a sprawa, jaka mu się trafiła, nie była rutynową papierologią, służącą jedynie jako przejściowa dekoracja biurka. Bynajmniej. To była sprawa sięgająca głęboko w przeszłość, dotykająca wrażliwych strun.

Roztrząsając punkt po punkcie okoliczności zgłoszenia porwania kobiet z 1907 roku, dotarł do głównej ulicy. Tu John Raymond Legrasse utonął w harmiderze wielkiego miasta. Gazeciarz wymachiwał egzemplarzem „The Times-Picayune”.

– Kongres astronomiczny! Jutro rozpoczynają się panele! Niecodzienny układ planet odsłonił nową gwiazdę!

Legrasse przystanął na chwilę, rzucając chłopakowi monetę. Ten chwycił ją w locie i z uśmiechem wręczył gazetę.

– Przerażające samobójstwo znanego profesora! Czytajcie na trzeciej stronie!

Wagon tramwajowy linii Desire z narastającym wizgiem przeciął ulicę. Łoskocząc, pomknął tropem zlikwidowanej linii Carondelet,

skierował się w stronę śródmieścia i dalej, ku Napoleon Avenue. Stójkowy, nadzorujący ruch, zagwizdał przeciągle, puścił dorożki oraz wysłużoną ciężarówkę na ramie forda T z dużym logotypem Coca-Coli wymalowanym na burcie. Legrasse'owi raptownie zaschło w gardle.

Złorzecząc, przebiegł na drugą stronę ulicy. Machnął odznaką kierującemu ruchem policjantowi i zniknął w Gravier Street. Minął szybkim krokiem ulicznego grajka, który dał z całych sił w trąbkę. O mało nie skręcił kostki na nierównym bruku. Dopiero teraz, ciężko oddychając, pożałował, że nie złapał dorożki.

„Kiedyś ten odcinek bym przebiegł i nawet kropli nie uronił” – skonstatował smutno. Szczęśliwie Union Street była tuż za rogiem.

Tym samym zziębnięty oraz rozdrażniony Legrasse wkroczył do sanktuarium nagłej, nieoczekiwanej śmierci. Sanktuarium zostało przeniesione, bo ostatni obrany Haron wymusił na mieście istotne zmiany. Zaczęło się od lokacji.

Sam budynek niczym się nie wyróżniał na tle klockowatej zabudowy okolicy. Czerwona cegła, oszczędne ozdoby zgodne z klasycystycznym wysmakowaniem architektów. Próżno było tu szukać gotyckich cieni, ponurych gargulców oraz lodowatego powiewu znamiennego dla cmentarnych konduktów. Tu królowała nauka, o czym informował wykuty pomiędzy ryzalitami napis *Scientiae*.

Co innego żywy personel. Ten wyglądał na dobierany według klucza określonego przez samego Poego. Pedel witający interesantów wyglądał jak brat bliźniak bostońskiego mistrza makabry. Legrasse zdjął kapelusz, sunąc korytarzem zgodnie z instrukcjami wiekowego portiera, który najpewniej nim objął aktualne stanowisko, układał do snu hrabiego Drakulę.

Minął korytarz, szereg drzwi, kilka roślin, które miały najwyraźniej nadać wnętrzu nieco życia, i w końcu dotarł do schodów wiodących ku podziemiom. Przez cały ten czas nie spotkał żywej duszy. Słyszał jedynie odległe kroki, kaszlnięcia oraz zniekształcone z powodu ścian strzępy rozmów. Miał wrażenie, że przechadza się po nawiedzonej posiadłości. Kręcąc głową, obejrzał się przez ramię, ale korytarz był wyludniony.

Komisarz zstąpił w piwniczny chłód, żałując swojej decyzji. Z każdym kolejnym krokiem zapominał, jak pachniało powietrze na zewnątrz. Nozdrza wypełniał drażniący zapach środków odkażających. Mimo to porucznik dotarł do końca schodów, w miarę swobodnie oddychając przez nos. Dopiero na dole, w zimnym świetle lamp rzeczywistość upomniała się o Johna Raymonda Legrasse'a.

Najpierw poczuł zapach karbolu. Intensywniejszy i bardziej dojmujący niż na szpitalnym korytarzu. Niespełna krok później pojawiła się paraliżująca fala formaliny przemieszanej z czymś jeszcze. Legrasse przymknął na moment oczy, usiłując zapanować nad zmysłami. Aż za dobrze znał ten ciężki, lepki odór obłazący człowieka niczym pająki. Zapach śmierci. Jej trupie liżnięcie zawsze najpierw dotyka karku, aby – podnosząc wszystkie włoski na ciele – ześlizgnąć się do uginających się kolan.

Zawsze.

Zapach śmierci w pierwotnej, czystej formie, identycznej dla prosektorium, zalanego błotem okopu oraz miejsca kaźni. Przetworzona przez rzeczywistość, porażająca brutalnością forma, przychodzi po kilku uderzeniach serca. Lepka, mdląca słodycz przylepia się do ubrania, włazi we włosy i wbija się przez nozdrza do mózgu. Policjant za pierwszym razem musiał nacierać nos tabaką przez tydzień. Nie dlatego, że odór śmierci tak długo się trzymał. Nie. Jego mózg oraz receptory zwyczajnie oszalały.

Legrasse szedł korytarzem, w myślach rezygnując z kolejnych gastronomicznych przyjemności. Powstrzymał się przed sięgnięciem do kieszeni po wybawienie. Wiedział, że alkohol nie pomoże. Nie przed oględzinami. Wszedł do pomieszczenia i ujrzał Morgana Brubakera skupionego na swojej pracy. Główny koroner zajmował się osobiście wyselekcjonowanymi przypadkami, zostawiając podwładnym szarą rzeczywistość.

Na stole sekcyjnym leżały bladospine zwłoki kobiety. Umyte, oderwane od okrutnego kontekstu. Wysterylizowana śmierć ujęta w naukowe normy nadal trwożyła. Tylko inaczej. Oczyszczone ciało odślaniało pełnię tortur oraz cierpienia, jakie przeszła kobieta, nim trafiła do świątyni Brubakera. Twarz, część ramion oraz uda oplatała

sieć nacięć. Miejscami ciągnęły się nieprzerwanym łańcuchem geometrycznych skaleczeń, aby przejść w głębokie rany zadane z furją.

Pomimo zwiotczenia rysów twarzy oraz sadystycznych oszpeceń kostucha nie zdołała zatrzeć urody dziewczyny. Jej oliwkowa skóra zdradzała koligacje przodków, po których odziedziczyła wszystko co najlepsze. Legrasse mimowolnie wyobraził sobie jej uśmiech i poczuł przykry uścisk w dołku.

„Nie zasłużyła na to, co ją spotkało”.

Odetchnął i spojrzał na zwłoki rozcięte wedle prawideł sztuki. Ponure cięcia, które układały się w kształt litery Y ciągnęły się od ramion do wzgórek łonowego. Lekarz odciągnął już skórę, odsłaniając zastygły ludzki mechanizm.

„Doskonale, John. – Niespodziewanie w głowie Legrasse’a pojawił się głos ojca. – Teraz tylko musisz poukładać wszystko w odpowiedniej kolejności”.

Przed oczami porucznika zawirowały tryby i trybiki, przekładnie oraz sprężyny pierwszego zegarka, który rozłożył pod czujnym okiem ojca. Patolog nożycami rozłupał mostek, wycinając część żeber, by utorować sobie drogę do organów. Tego już było zbyt wiele dla porucznika.

– Brubaker?

Siwobrody starszy jegomość spojrzał na komisarza, jakby teraz dopiero go dostrzegł. Odłożył narzędzia, dłonie w rękawicach skrzyżował na piersi przesłoniętej gumowym fartuchem.

– Legrasse.

Policjant kiwnął głową na powitanie, pozwalając staremu lekarzowi przyjąć do wiadomości swoją obecność. Patolog, choć znali się od dawna, każdorazowo reagował nerwowo na pojawienie się żywego człowieka w jego otoczeniu, co z kolei zawsze zaskakiwało Legrasse’a. Brubaker, z racji doświadczenia oraz rozległej wiedzy, uchodził za dobrego fachowca, ale bijąca od niego mizantropia skutecznie blokowała wszelkie ścieżki zawodowej kariery. Z tego względu, pomimo profesorskiego tytułu, miał piastować funkcję dziekańską, zadowalał się rolą Charona. Już czwartą kadencję.



Patolog odchrząknął, dając znać, że jest gotowy. Poprawił sterczące na nosie cienkie okulary i teatralnym gestem wskazał na ciało kobiety.

– Jest martwa – obwieścił uroczyście, pozwalając wybrzmieć słowom wymawianym z lekkim, cajuńskim akcentem.

Legrasse'owi nie drgnęła nawet powieka. Przywykł do osobliwego poczucia humoru lekarza.

– To wiem, Morgan. Bardziej nie będzie. Masz coś dla mnie?

– Przyczyną zgonu nie był uraz głowy. – Wskazał na czaszkę kobiety. Zgodnie z zasadami patomorfologii puszka czaszkowa była rozcięta, a zawartość po zważeniu ułożona obok. – To tylko rana powierzchowna. Podobnie ta na plecach. Okropna – skonstatował. – Ale i to jej nie zabiło. Możliwe, że pozbawiło przytomności. Choć na powierzchni mózgowej – wskazał na prawą połówkę szarzejącej masy – są pewne zwyrodnienia. Są nienaturalne. Ciekawe, że akuratnie na półkuli odpowiadającej za marzenia senne oraz świadomość.

– Więc co?

– Była torturowana, co widać tu na skórze...

– Tak. Zauważyłem.

– A zauważyłeś ślady po słabym kwasie lub occie? Pełno go tu.

– Słucham?

– Raczej ocet. W kanale przełykowym są ślady. Podła śmierć. – Patolog ściągnął rękawice sprawnym ruchem. Przygładził brodę i sięgnął po kubek parującej kawy. – Niewyobrażalna kaźń. Umierała powoli. Z pewnością wyła z bólu, gdy jej organy wewnętrzne przepalał roztwór. Znalazłem też resztki opiatów. Możliwe, że była częściowo nieprzytomna, co tłumaczyłoby brak obrażeń typowych dla szamotania. Nie ma połamanych paznokci, czyli nie próbowała się ratować, chociażby drapać podłogi. Dziwne...

– Była podwieszona i spętana.

Patolog zdawał się analizować słowa Legrasse'a. Trzymając kubek w dłoni przeszedł wzdłuż stołu prosektoryjnego i zatrzymał się przy przeciwległym krańcu. Uważnie przyjrzał się sinym śladom wokół kostek denatki.

– To by wyjaśniało, czemu te obrażenia są tak głębokie – pociągnął

łyk kawy. – Skóra twarzy nie nosi znamion poparzenia. Więc przyjęła to świństwo, nim ją zawieszono. Narządy kobiece mogli jej przemyć tym już po fakcie.

Przełamując odrazę, Legrasse spojrział na krocze dziewczyny. Szczęśliwie nic nie zobaczył. W duchu podziękował za brak medycznego wykszolenia oraz zacięcia typowego dla badaczy ludzkiego ciała.

– Dziewicą nie była – rzucił lekarz. – Była w ciąży. Kiedyś. Roztwór zmacerował część śladów po łyżeczkowaniu. Nie wiem, czy to ci potrzebne.

– Też nie wiem – odparł policjant, przyglądając się obrażeniom dziewczyny. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach, a gdzieś w głębi umysłu wzbiera gniew napędzany bezsilnością. Przymknął oczy. – A te nacięcia na skórze?

– To resztki. Ale to, co zostało, tworzy powtarzalny ciąg. – Patolog wyraźnie się ożywił. – Jak jakiś kod. Ma swoją prawidłowość. Zobacz sam. – Lekko uniósł zwłoki, odsłaniając poryty bok ciała dziewczyny. – Tu uchowały się większe fragmenty. Część nosi ślady gojenia, część zaś nie. Te tu – wskazał palcem węzeł świeżych nacięć – powstały tuż przed śmiercią. Przyjrzyj się, proszę, tym liniom. Regularność, którą znajdziesz na całym ciele w różnym natężeniu...

– To raczej nie jest halucynacyjna autoagresja – mruknął Legrasse, przyglądając się upiornemu kodowi.

Na pierwszy rzut oka wyglądał niczym chaotyczna płatanina sadystycznych cięć. Teraz, pod wpływem sugestii profesora, komisarz szukał regularności.

– Jak mówiłem, znalazłem opiaty – ciągnął lekarz. – Meksykański pejotl. Ale słyszałem, że produkują to też po naszej stronie granicy.

Porucznik pokiwał głową. Wiedział, jak działa ta substancja. Czytał opracowanie, które jakiś czas temu trafiło do środowiskowego obiegu. Rząd Stanów Zjednoczonych dołożył swoją cegiełkę do wzrostu społecznej świadomości istnienia pejotlu, gdy zabronił Indianom odprawiania rytuałów powiązanych z zażywaniem tej substancji. Zakaz wykonywania Tańca Duchów nie spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem.

– To nie tłumaczy...

– Nie. Są też śladowe resztki enzymów proteolitycznych. Głównie w okolicach nacieć. To by tłumaczyło punktową martwicę. – Wskazał na nienaturalnie wybarwione plamy w okolicach pozostałości nacieć skóry. – Była gnębiona. Torturowana. Trwało to dłużej niż godziny. Nim ją zamęczono, została nafaszerowana neurotoksyną, która uszkodziła przewodnictwo nerwowe, ale i tak, jeśli odzyskiwała świadomość, wyła z bólu. Tego typu zgorzel jest spowodowana jadem grzechotników, choć nie znalazłem śladów kłów.

Legrasse potarł skronie. Zamęczona dziewczyna była młoda, atrakcyjna i miała życie przed sobą. Przynajmniej tak było do dnia, w którym ktoś ją porwał, zastraszył i zamknął w ciemnej piwnicy. A gdy już zdobył ofiarę, zaczął sycić się bólem, który jej zadawał metodycznie, dręcząc w wyrafinowany sposób według potrzeb chorego umysłu.

– Czasem mam wrażenie, że Bóg nas nienawidzi.

Patolog zachował kamienną twarz profesjonalisty. Upił łyk kawy i zerknął na policjanta. Pod maską obojętności skrywał emocje. W końcu wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

– Ano właśnie – rzekł. – Oby pozbył się tej podłej rasy.

Przez chwilę w milczeniu stali nad denatką, pogrążeni w ponurych myślach. Szukali odpowiedzi na pytania, które człowiek może zadać jedynie Stwórcy. Legrasse poddał się pierwszy.

– To wszystko?

Lekarz przez chwilę mierzył policjanta badawczym spojrzeniem. Zupełnie niczym Sfinks rozważający los nieszczęśnika stojącego przed jego obliczem. W końcu chrząknął i sięgnął do drugiego stołu. Obok nadgryzionego po'boya<sup>8</sup> leżała teczka niewielkich rozmiarów.

– Nie.

Legrasse odebrał od lekarza dokumentację w wyświechtanej, pożółkłej tekturze.

– Przypadek jest dość charakterystyczny. Na tyle, by dopatrzyć się analogii. – Nie kryjąc znużenia, dał czas Legrasse'owi na pobieżne przekartkowanie zawartości aktówki. – Najstarszy wpis pochodzi od mojego poprzednika.

– Mounier?

Legrasse uniósł papier wypełniony zbitym, praktycznie nieczytelnym pismem. Lekarz prychnął z pogardą.

– Ten świętoszek? Nie. Tak. Nawet on w końcu odnotował, że jakąś biedaczkę ktoś porznął na pasy, a wcześniej dał grzechotnikowi do pokasania. To te gryzmoły. Dam głowę, że bigot dostał zawału właśnie nad tą karteluchą.

– To w końcu on czy nie on?

– LaTour. Ten to był fachowiec. I on udokumentował dwa przypadki. Rok po roku. Chyba je jakoś łączył. Znalazłem te notatki w archiwum zakładowym, ale niczego się nie dopatrzyłem. Może by coś było, gdyby nie palnął sobie w łeb – mruknął drapiąc się po podbródku. – Reszta to moje. – Uniósł dłoń, zatrzymując pytanie Legrasse'a. – Nie umiem ich połączyć. Ot, co jakiś czas trafia do mnie pannica umęczona ponad miarę ze śladem lub śladami węzowego jadu. Zwykle są już w takim stanie, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zawyrokuje. A byłem tu w tysiąc dziewięćset siódmym. Byłem i widziałem te koszmary.

Policjant pokiwał głową, uśmiechając się blado. Wspomnienie obławy na bagnach i pierwszego spotkania z koronerem mimowolnie przyprawiło go o dreszcz. Poczul w ustach ziemisty posmak bagna, a w nozdrzach zapach ogniska oraz odór płonących ciał. Odchrząknął. Uniósł kartotekę, spoglądając wymownie na lekarza. Takie gesty nie były jego wizytówką.

– Tak po prostu?

– To *lagniappe*<sup>9</sup>. Na emeryturze nie będę z tego miał pożytku.

– Nie kandydujesz?

– Nie. – Patolog machnął ręką, wskazując na zwłoki. – Czujesz ocet? Skup się, bo jest tu coś więcej. Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach.

– Zioła. – Legrasse wzruszył ramionami. – Ktoś najwyraźniej zaprawił.

Patolog uśmiechnął się ponuro, poklepał kieszenie. W końcu wyciągnął papierosa i zapalił. Z przyjemnością zaciągnął się gryzącym dymem.

– Piołun, rozmaryn i chyba szałwia, choć głowy nie dam. Czy już coś ci świta?

Policjant zmarszczył brwi, intensywnie szukał w pamięci odwołania do układanki podsunętej mu przez Brubakera. Olśnienie przyszło nagle.

– Siedmiu złodziei jest na occie. Ale to magia obronna.

– Przed Złem – prychnął sarkastycznie lekarz. Morgan był znany z pogardy dla wszelkich religii. – Ktoś postanowił natrzeć tę biedaczkę balsamem odganiającym Zło.

– To się nie trzyma...

– Jest druga ewentualność – rzekł patolog z poważną miną. – W dawnych wiekach skazańców pojono żółcią i octem właśnie. Tak czy owak, ta tu Jane Doe jest ofiarą czarnej magii.

## Rozdział 3. Porady fachowca. Cień

Jedediah Whateley od dzieciństwa niczego nie pragnął bardziej niż stać się niewidzialny. Zniknąć. Na swoje nieszczęście był wielki – głowa jak u bizona, klatka piersiowa rozmiarów drzwi od stodoły. Kompensował więc to milczeniem. Odzywał się jedynie, gdy go pytano, i to też, jeśli nie znalazł jakiejś drogi ucieczki. Starał się być niczym cień. W ciszy, kontemplując własne myśli, usiłował rozmawiać z ojcem.

Ten jednak nie odpowiadał. Nigdy też swego ojca nie widział na oczy. Jedynie dziadek, stary Whateley, czasem wspominał Wędrowca, którego spotkała matka Jedediaha. Sama Lavinia nigdy o nim nie opowiadała, a pytania zbywała milczeniem. Zresztą rzadko zabierała głos, często nieobecna, zaaferowana wędrówkami po wzgórzach. Jedediah czasem wyobrażał sobie ojca jako zniszczonego życiem mężczyznę, który ciągnie grzechoczący wóz. Jako druciarza chodzącego od wsi do wsi, mającego na sprzedaż wszystko poza przyzwoitością. Człowieka z krwi i kości w poplamionych spodniach oraz przydługiej marynarce. Wiedział jednak, że to nieprawda.

„Twoja matka jest wiedźmą! – krzyczeli za nim chłopcy ze wsi, ilekroć zachodził tam po sprawunki na polecenie dziadka. Czasem rzucali jedynie przekleństwa, czasem kamienie. – Minotaur!”

Dziwoląg. Jedediah spojrział na swoje dłonie wielkości bochnów chleba. Był stworzony do pracy na farmie, pośród krów, pastwisk i ogromnych pól. Kto mógł, opuszczał Dunwich, uciekając do Bostonu lub dalej – do Chicago. Jemu jednak praca na roli odpowiadała. Najmował się do wszelkich zajęć na farmach porzrzucanych wokół miasteczka. Gdy tyrał jak wół, nie musiał myśleć o Obowiązku. Stary Whateley uczył wnuka, ale nie ukrywał rosnącego rozczarowania brakiem stosownych efektów domowej edukacji. Jedediah dokładał starań, aby pojąć sens słów spisanych w setkach na wpół spleśniałych książek. Trzymano je w ponurej bibliotece – były skarbem rodziny.

„Towarzyszą nam od pokoleń, gromadzone mozolnie przez

kolejnych mężczyzn z naszej krwi – mawiał dziadek, wskazując rozpadające się woluminy. – To część naszego Obowiązku, chłopcze. A teraz powtórz wczorajszą lekcję”.

Jedediah po trzykroć wyrecytował trzy długie modlitwy, łatwo i bezmyślnie niczym zaczerpnięcie powietrza. Pokraczna mowa. Martwy od wieków język pozostawał dla niego nieodmiennie pusty, jak monotonne sentencje klepane co niedziela pod okiem pastora Kleina. Przynajmniej do czasu, aż zakazano mu tam się pojawiać. Ludzie ze wsi nie chcieli go pośród swoich.

„Syn czarownicy, diabelskiej nierządnic!”.

Znał znaczenie tych słów. Zadbął o to zarówno stary pastor, jak i okoliczne dzieciaki, które ciskały w niego kamieniami. Na każdym wyryte były słowa kazań oraz wyimki z Księgi Kapłańskiej.

Jedediah wielokrotnie zastanawiał się, czy to prawda. Niezależnie od tego, ile czasu poświęcił na obracanie w głowie znaczenia obelg i ich konsekwencji, nie potrafił rozstrzygnąć, czy są prawdą. Wiedział jedynie, że martwy bóg pastora Kleina to ułuda. Ponad nim, ponad Jahwe, kłębiły się moce nieznane katechizmowi. Byli to bogowie starsi niż oddech pierwszego człowieka. Bogowie nieznani słabemu zbawicielowi ludzi.

Cień spojrzał ponownie na własne dłonie porane bliznami i poprawił naciąg. Kobieta przestała łkać, sparaliżowana po równo strachem oraz bólem. Rozumiał ją. Gdy pierwszy raz usłyszał język umarłych, też był przerażony. Możliwe, że gdyby nie obecność dziadka, także nie zdołałby utrzymać zawartości pęcherza. Wydał wargi, czując przyjemne mrowienie w podbrzuszu. Lubił patrzeć na czyjąś mękę.

– Nie gap się, tylko podciągnij wyżej – rzucił nieprzyjemnym, chrzęszczącym głosem mężczyzna pochylający się nad pulpitem po przeciwnej stronie trójnogu.

Jedediah Whateley niechętnie, ale posłuchał pokornie polecenia. Od małego wpojono mu pokorę wobec opiekunów, ludzi uczonych w księgach.

\*\*\*

Stał wsparty o ceglana ściąnę sali wykładowej. Loyola University był młodą szkołą cieszącą się statusem uniwersytetu od kilku lat. Bił na głowę konkurencyjne placówki, plasując się na czele stawki południowych uczelni. Najdotkliwiej odczuwał to Tulane University, który za fasadą elitarności chował liszaj intelektualnej miałości. Podczas gdy władze jednego z najstarszych uniwersytetów Południa robiły wszystko, aby nie utrudniać życia latoroślom starej arystokracji, jezuita kierujący Loyola rozwijali skrzydła.

Wydział nauk humanistycznych kontynuował najlepsze tradycje nauk wyzwolonych Starego Kontynentu. Przypieczętowaniem dydaktycznego poziomu była współpraca z Uniwersytetem Browna w Providence, na mocy umowy kadra profesorska obu uczelni naprzemiennie wizytowała szkoły z cyklicznymi wykładami.

– Jedność ludzkiej myśli i wielość kulturowych konstruktów: oto drodzy państwo paradoks leżący u podstaw naszej dziedziny – perorował mężczyzna o wyglądzie zabijaki dla żartu ubranego w surdut intelektualisty.

Legrasse z rozbawieniem przyglądał się młodemu dziewczynom, które maślanymi oczyma śledziły każdy najmniejszy gest wykładowcy. Mógł przysiąc, że pannica siedząca na skraju w lewym rzędzie na powiekach wypisała tuszem: „kocham cię” i czekała na okazję do odpowiednio długiego zamknięcia oczu. Zalotnie uśmiechnięty młody profesor zdawał się nie dostrzegać ostentacyjnych wyrazów uznania. Legrasse wiedział, że nie ma w tym ani grama kokieterii. Choć Malcom Henry Ducote sprawiał wrażenie awanturnika pierwszej wody, kochanka wszystkich kobiet, tak naprawdę był duchem tak niespokojnym jak biblioteczny przeciąg.

„Ot, kolejny akademicki paradoks” – skwitował w myślach sytuację komisarz, obserwując przyjaciela sadowiącego się wygodnie na schodach mównicy.

Po sali poniosło się ciche westchnienie.

– Wszystkie znane nam systemy wierzeń, niezależnie od poziomu ich komplikacji, przejawiają cechę wspólną. – Mówca przyglądał krótką brodę. – Klasyfikują rzeczy, wszelkie stworzenie, na dwie opozycyjne grupy: sacrum i profanum. Nie dajcie się zwieść. Święte



mogą być nie tylko byty nieokreślone nazywające siebie bogami. Do miana sacrum urosnąć może wszystko: skała, drzewo, kamień, a nawet piłka pana Jonesa, jeśli tylko postara się o to w nadchodzącym sezonie.

Sala zanosła się szczerym śmiechem. Tak właśnie Ducote kupował rząd dusz: wiedzą, serdecznością oraz niewymuszoną lekkością myśli balansującą na granicy żartu.

– Sacrum najczęściej przejawia się w obrzędzie. Jest tu jednak pewien wyjątek. Kultury magiczne, czyli prymitywne. Może nie tak prymitywne jak Jankesi, ale blisko.

Znów salwa śmiechu, tym razem głośniejsza, podszyta nieco zjadliwym rechetem zwyczajowo zarezerwowanym dla tych wszystkich lunatyków śniących skrycie o Niewidzialnym Imperium Południa i innych bzdurach wypisanych w Kloranie<sup>10</sup>. Legrasse nie mógł się nadziwić, jak szerokie było społeczne poparcie dla Klanu oraz sentyment do Południowego Krzyża<sup>11</sup>.

– W tych kręgach kulturowych czynności kultowe mają ten sam status co czynności użytkowe. Dla ludzi funkcjonujących w kulturach prymitywnych świat to jedność, a oni dryfują swobodnie i nieprzerwanie od świętości do codzienności, mijając po drodze duchy umarłych. Wracając do naszych wcześniejszych rozważań: Terencjusz uważał, że dusza, czyli animus, jest bliska idei wiatru, czyli anemona. Człowiek żyjący oddycha, z jego ust płynie podmuch, wiatr. Martwy zaś z definicji nie dyszy, więc idąc tym tropem, przyjmujemy, że duszy nie posiada. W wielu językach słowa „dusza” oraz „oddech” mają ten sam źródłosłów. Pozostaje pytanie, jak etymologia przekłada się na oddanie kulturowych uwarunkowań. To jest wasze zadanie na następne spotkanie. Sprawdźcie, co pisze sir Edward Burnett Tylor w *Cywilizacji pierwotnej*. Powtórzcie szamanizm. I spodziewajcie się krótkiego testu. Jesteście wolni. John!

Legrasse uniósł dłoń, odsuwając się od dwuskrzydłowych drzwi audytorium. Rozedrgana dziesiątką podekscytowanych głosów, otoczona kokonem śmiechów i słownych przepychanek ludzka masa naparła na wyjście. Czekaając, aż wezbrany potok przeleje się z sali wykładowej do holu, Legrasse z uśmiechem wybierał z ławicy

akademickiego narybku co atrakcyjniejsze przedstawicielki płci pięknej. Ku radości jego kawalerskiego ego część odwzajemniała uśmiech. Kilka nawet mrugnęło.

– Od kiedy prowadzisz wykłady dla świeżaków?

Malcom Henry Ducote przeczesał w roztargnieniu włosy. Rozejrzał się uważnie, ale sala zdążyła już opustoszeć.

– Dostałem w schedzie po profesorze – odparł. – Nie słyszałeś?

– Czego?

Wykładowca przez chwilę przyglądał się Legrasse'owi jak przybyszowi z innej planety. Po chwili kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Rouquette nie żyje – rzekł z nietypową dla siebie powagą, ale po chwili skrzywił się gniewnie. – Popełnił samobójstwo, Johny.

Legrasse spochmurniał na wspomnienie starego profesora. Można o nim było powiedzieć wiele, ale nie to, że mógłby się zabić.

– Przykro mi – odparł automatycznie. – To strata...

– Daruj sobie, Johny. Chodź, bo widzę, że z czymś przychodzisz, a ja potrzebuję kawy.

Legrasse uniósł brew, ale nie odezwał się słowem. Znali się z Malcolmem na tyle długo, by wiedzieć, kiedy należy milczeć, a kiedy można zacząć zadawać pytania. Zasada ta dotyczyła zarówno podania kukurydzy w trakcie proszonej kolacji, jak i rozmów politycznych, które czasem toczyli do późnych godzin nocnych. Skoro Ducote nie chciał mówić, miał po temu konkretny powód.

Przecięli trawiaste podwórze neoklasycystycznego budynku wydziału nauk humanistycznych, który pełniło rolę studenckiego parku, jednego z wielu. Minęli główny budynek uniwersytetu, który wyglądał jak prowincjonalny angielski zamek, i skierowali się ku Calhoun Street, nieniepokojeni przez nikogo. Wewnątrz kampusu jak zwykle panował specyficzny wytlumiony zgiełk mniej lub bardziej intensywnych rozmów o wszystkim. Odprowadzeni zwyczajowymi „dzień dobry, profesorze”, „uszanowanie, profesorze”, „miłego dnia, profesorze” przetykanymi nieco bardziej obcesowymi „dzień dobry” rzucanymi z wyczuwalną zadrą, która wynikała ze słabej oceny semestralnej, dotarli do akademickiej kawiarni.

Przybytek ochrzczony Coffee and Relax stanowił pas ziemi eksterytorialnej, gdzie studenci mogli zasiadać na równi z profesorami i popijać małą czarną. Przynajmniej w teorii. Mimo że miłość do kawy łączy pokolenia i osoby o różnym statusie, to rozdzielał je umowny Rubikon. Po jednej stronie – rozchybotane stoliki żaków, po drugiej – stabilne przyczółki zarezerwowane dla co najmniej doktorów.

Usiedli na uboczu. O tej porze było tu raczej pusto, co sprzyjało dyskretnej rozmowie. Nim porucznik zdążył się zreflektować, Ducote zamówił dwie duże kawy irlandzkie, zgodnie z przepisami podane bez alkoholu. Gdy kelnerka przyniosła smoliste płyny, zrećnie, bez zbytecznego krygowania się, uzupełnił je alkoholem z własnych zapasów podręcznych. Nie zdziwiło to Legrasse'a. Zapachniało bagiennym aromatem przetykanym smrodem gnijących szczątek.

– Pieprzony Kongres, zasrańce i hipokryci – mruknął Malcom, chowając pierśiówkę do kieszeni marynarki. – Ale oczywiście Kościół może kupować wino galonami...

Legrasse postanowił nie komentować. Najdrobniejsza uwaga, nieprzemyślany argument lub nawet pozornie niewinne chrząknięcie mogłyby być wstępem do niemającej końca tyrady. Odczekał, aż przyjaciel oprze usta o krawędź kubka.

– Więc co z tym samobójstwem?

Ducote nawet się nie zakrztusił. Spokojnie upił łyk kawy.

– Paskudna sprawa, John – odparł. – Wydrapał sobie oczy i skoczył z okna. Śmierć na miejscu. Wiem, co myślisz. – Uniósł dłoń. – Wykluczono jednak udział osób trzecich ponad wszelkie prawdopodobieństwo.

– Dość niecodzienny sposób. Kto nad tym pracował?

– Powels. Nie patrz tak. Zapamiętałem, bo mnie przesłuchiwał.

– To dupek. – Legrasse zmarszczył brwi. – Mogłeś zadzwonić, Mal...

– Nie było takiej potrzeby. Pan Powels chciał pokazać, że ma większego, to co mu będę przeszkadzać. Zresztą. – Machnął ręką w bliżej nieokreślonym geście Ducote. – Miał inne problemy na głowie. Szyszki pociągnęły wszelkie możliwe sznurki, by zamieść to

pod dywan.

– Czemu? Rozumiem, że sprawa kontrowersyjna, ale...

Ducote uśmiechnął się blado.

– Johny. Oficjalnie mówi się, że stary podupał na zdrowiu. Że trawiła go depresja... – Na jego twarzy pojawił się grymas pogardy. – Już krążą plotki, że był wyczerpany badaniami. Że naczytał się arabskich manuskryptów do najnowszej publikacji i oszalał. Wiesz. – Upił łyk kawy. – Niby był wrażliwy, tak pochłonięty pracą, że w końcu popadł w obłęd od opisów jakichś rytuałów. Wdowa przekazała mi jego maszynopis do ukończenia. Byłem przecież jego uczniem. – Skrzywił się jakby mówił o rozpatrywaniu najgorszej z możliwych zbrodni. Gdzieś uleciał młodociany czar intelektualisty Malcolma, a przed Legrassem siedział zmęczony, zawiedziony życiem mężczyzna.

– Obłęd to chyba nie najlepszy sposób tuszowania samobójstwa...

Ducote pokiwał głową, wbijając oczy w detektywa.

– Lepszy niż skandal obyczajowy. Wiesz. – Zniżył głos. – Mówiło się to i owo o relacjach profesora ze studentkami. Że niektóre panienki próbowały w ten sposób zaliczyć... – Tu wymownie zawiesił głos. – Semestr. Ale stary był nieprzewidywalny. Ponoć podawał dziewczynom jakieś środki odurzające, wiązał, więził... Tak się dobrze bawił, że jedna z kochanek ocknęła się, gdy ten brał akurat prysznic. Naga. Jej rzeczy już były w worku. Uciekła, jak tylko się zwlekła z łóżka. Tu na terenie kampusu. – Zwiesił głowę, jakby wyjawiał najgorszy grzech. – Dasz wiarę? Znalazł ją stróż. Na uczelni wrzało jak w ulu. Sprawie ukrećcano łeb na wszelkich możliwych poziomach, byle tylko uniknąć skandalu. Mimo to prokurator, Davis, był w to wciągnięty. Mieli starego solidnie skarcić. Więc ten postanowił im się wymknąć. – Wygrzebał piersiówkę, pociągnął solidny łyk. – I teraz robią ze skurwiela lekko pomyłonego dziadzia, zamiatają łajno pod dywan.

Legrasse utkwził spojrzenie w chmurnym obliczu przyjaciela. Rozmiary skandalu, z jakim mierzyły się władze uczelni, rzeczywiście był ogromne. Sprawa kładła się cieniem na całej społeczności akademickiej, bez względu na to, czy oparła się o prokuraturę czy nie.

Rozwiązanie sprowadzało się do gorzkiego wyboru pomiędzy powodzią lub pożarem.

– Z czym przychodzisz, Johny? – Ducote wskazał na skórzaną torbę. – Bo gdybyś chciał wprosić się na żeberka i pudding Helen, po prostu byś zadzwonił.

Legrasse po chwili zastanowienia rozłożył na stoliku fotografie posążka, który zarekwirowano podczas akcji na bagnach. Mimowolnie wspomniał nagłówki gazet krzyczące o krwawej sekcji z mokradeł.

– Znowu wałkujesz to cholerstwo?

Legrasse zastanawiał się nad najlepszą odpowiedzią. W końcu postanowił grać uczciwie. Nie miał ani siły, ani ochoty okłamywać przyjaciela. Sięgnął do wysłużonego neseseru i wyciągnął topornie wyglądające zawiniątko z gazet.

– Bo takie cholerstwo znalazłem.

Ducote odwinął kawałek starej gazety. Ledwie dotknął chłodnego kamienia, już nerwowo cofnął dłoń.

– Włóczyłeś się po bagnach? – rzucił pozornie lekkim tonem.

Legrasse pokręcił głową, upijając łyk kawy. W świetle dnia maskaron nie wyglądał aż tak przerażająco.

– Nie. To z piwnicy. Nie mogę zdradzać detali.

Ducote wydał wargi, przyglądając się kamiennej płaskorzeźbie. Po chwili namysłu uniósł ją pod słońce, w blasku usiłując rozróżnić detale.

– Ależ to jest szkaradne. I całkowicie, ale to zupełnie odarte z kontekstu. Już ci to mówiłem i powtórzę ponownie: to blaga.

Komisarz ze stoickim spokojem sięgnął po kawę. Już kiedyś zwracał się do Ducote'a po ocenę. Za pierwszymi dwoma razami opinia Malcolma go zirytowała, następne fale krytyki drażniły, aż w końcu osiągnęli status quo: Ducote prawił naukowe połajanki, Legrasse kiwał głową z obojętną miną.

– I niech cię palec boży chroni – rzucił zaczepnie wykładowca, odkładając figurę na stół – wyciągać te banialuki o żyjących w odosobnieniu Eskimosach kanibalach. To jak porównywanie nubijskich piramid w Meroe z Chichén Itzá<sup>12</sup>: i to, i to stożek, więc

jak nic jedna cywilizacja. Zlituj się, Johny.

– Nie zamierzam tego porównywać, Mal. Po prostu uważam, że skoro ten profesor o tym wspomniał...

– I tylko on. Nikt inny. Wiekowy profesor, całe lata temu. Gdyby to rzeczywiście było podparte odkryciem, byłaby publikacja, choćby przyczynkarska. Wiesz, jak to działa.

Legrasse wiedział. Mimo to nie mógł odrzucić niepokojącego wrażenia, że ten kult, dziwaczna sekta jest częścią czegoś większego, bardziej złowieszczonego. Okrucieństwo, czysty obłąd, jakiego doświadczył tamtej nocy, porażało sadyzmem. Lecz gdy człowiek przymknął oczy, wsłuchał się w miarowe uderzenia w bębny, w gardłowe okrzyki, to sięgał prymitywnego ducha, tajemnicy kryjącej się za krwawym parawanem ludzkiego cierpienia.

– Odwiedził mnie krewniak tego Angella. Stary profesorek zszedł.

Mal wyglądał na niezbyt poruszonego tą informacją. Spokojnie upił kolejny łyk kawy i z rozmysłem odstawił kubek na blat stolika.

– Starzy ludzie tak mają. Umierają w końcu.

– Tylko że ta śmierć jest podejrzana. No i ten szczeniak pokazał mi zdjęcie płaskorzeźby wyglądającej praktycznie jak to cholerstwo. – Stuknął palcem w zdjęcia, które sam rozłożył przed przyjacielem.

Wykładowca przez chwilę ważył słowa. W końcu uniósł dłonie w teatralnym geście poddania.

– Wiesz, że to mogą być radosne zmyślenia? Wierutne bzdury? Ktoś chce nabić poczciwego starca w trąbę, młody krewny tropiący jakieś echa. To brzmi nieprawdopodobnie. I dobrze o tym wiesz.

– Nie zmienia to faktu, że znowu znalazłem bożka. W kontekście, który jest objęty tajemnicą państwową.

Ducote z uśmiechem pokiwał głową.

– To jest stare. Spójrz. – Legrasse stuknął palcem w żłobienia symbolizujące wijące się niczym węże kłębowisko macek. – To jest wypolerowane, ale nie w taki sposób, w jaki kamieniarze gładzą swoje wyroby. Ta gładkość wynika z tego, jak wiele dłoni dotykało tej szkarady, zanim przywędrowała do ciebie. Gdzieniedzie zachowały się pierwotne, ostre krawędzie. Niemniej, to nie ma racji bytu, rozmawialiśmy o tym.

Chciał uniknąć przemowy, ale nie zdołał. Malcom Henry Ducote był nie tylko naukowcem z krwi i kości. Był także, a może przede wszystkim, niepoprawnym gadułą.

– Tu są bagna, błocko, komary wielkości kapelusza oraz aligatory. Wielkie, żarłoczne skurczysyny. Nie ma zaś ośmiornic. Swoją drogą, ośmiornice nie żyją w okolicach siedzib Eskimosów. Więc to tu powinno być jak egipski Suchos<sup>13</sup>: mężczyznę z łbem krokodyla. Gdyby to była kultura tubylcza, jak utrzymujesz, jakaś prymitywna, na wpół sekretna, miejscowa banda religijnych wariatów, to ten ich Kuluhulu...

– Cthulhu – poprawił przyjaciela automatycznie, wyrzucając z siebie zbitek dźwięków podobny do tego, który przekazał Castro.

Legrasse przez lata usiłował znaleźć jakiegokolwiek informacje o cudacznym bożku domagającym się krwawych ofiar z ludzi, ale każdorazowo natrafiał na mur. Jego budulcem były absolutna niewiedza, czasem poparta naukowymi dźwigarami, albo zdroworozsądkowy opór.

– Cthulhu, Katulu, a niech i nawet mu będzie Burek. – Machnął ręką od niechcenia Ducote. – Zmierzam do tego, że proste kultury, kultury magiczne bez względu na miejsce występowania, wiążą religię, obrzędy z reprodukcją warunków bytowych. Kontekst. – Ponownie trącił palcem mackowate oblicze bożka. – Tawaret, egipska bogini, chimera: po części hipopotam, lwica oraz Suchos: mężczyzna o łbie krokodyla. W Egipcie nie ma bogów o gębach bizonów, bo bizonów na pustyni brak. Dlatego twierdzę, że to błaga. To nie kult, brachu. To sekta, obrzydliwa i okrutna zgodnie z tym, co mi opowiadałeś, ale nic więcej i nic mniej ponad sektę. Bujda na resorach, wymyślona najpewniej przez jakiegoś suchotnika spędzającego całe dnie z dala od ludzi i słońca. – Uniósł dłoń pojednawczo. – Wiem, wiem, co Webb ci kiedyś powiedział, ale to stare dzieje. Stare dzieje gabinetowego antropologa. – Uśmiechnął się pojednawczo. – Stara szkoła nie wymagała badań w terenie, jeśli rozumiesz, co chcę prze to powiedzieć. Swoją drogą, John, te tańce...

– Co z nimi?

Komisarz spoglądał nachmurzony na kamienne wyobrażenie

dziwnego boga. To, co opowiadał Malcolm, było trafne. Sam wielokrotnie obracał w głowie tę linię argumentacji, nie potrafił skutecznie jej obalić. Czymś innym jest ugruntowana wiedza a czymś innym poczucie, że pomija się coś ważnego.

– Pigmeje w Kongo mają bardzo interesującą kulturę, właśnie nadal magiczną. Nie wierzą w jednego Boga, ale czczą ducha lasu. I dla niego, dla puszczy tańczą. Nocą. Ekstacyjny, dziwny taniec, któremu towarzyszy ryk niby dzikiego zwierza, a w rzeczywistości dmą trąby. Śpiew to tylko zbitek pokrzykiwań, bez słów. Podobnie u tych na bagnach, jak mi opowiadałeś. Taniec, będący sposobem na połączenie z duchem. A zarazem jest tak niesformalizowany, że próżno dociekać, czego dokładnie dotyczy. Ot, takie tam przedstawienie. To, co opisałeś, wygląda na coś takiego. Ergo, nie magia, nie jakiś rytuał, ale zwyczajnie mistyfikacja. – Wykładowca kiwnął brodą w kierunku zdjęć oraz figurki. – A to jeden z jej rekwizytów.

Komisarz leniwie pozbierał materiały i umieścił je ostrożnie w torbie. Unikał patrzenia na Ducote'a. Czuł, że nie zniesie widoku zadowolonego z siebie Malcoma. Dumnego, że rozwikłał kolejną zagadkę, nad którą głowił się jego przyjaciel. Zaiste, ludzka potrzeba bycia lepszym potrafi przejawiać się na najróżniejsze sposoby. Tym razem Legrasse bał się, że może nie zdołać zachować spokoju.

– Sekta niewiele zmienia, Mal. – Zaciągnął mocno troki torby. Zdecydowanie za mocno, ale podziałało. Czerwony diablak gniewu schował się głęboko w umyśle policjanta. – Sam nie wiem, co gorsze: ludzie z bagien czy sekciarze z bagien. I ta poczwara z kamienia.

– Tym bym się nie przejmował, brachu – odrzekł spokojnie Ducote, dopijając kawę. – Paskuda jest niemalże identyczna względem tamtej ze zdjęć. Inny kamień, nieco lepiej poprowadzona linia, ale generalnie to jedno i to samo. Konceptyjnie, rzemieślniczo. Pewnie jak dwie krople wody.

– Owszem. – Zamrugnął jakby właśnie odkrył coś, co było cały czas przed jego nosem. – Ten sam autor?

– Najpewniej. Dość niewprawy swoją drogą. Niemniej sekta to sekta, zostaw te maskarony, są tylko totemami dla naiwnych szeregowców.



Legrasse spochmurniał. Przekładał elementy tej układanki od lat. Początkowo nie traktował kulturowego aspektu zbyt poważnie, ot, musiał się dowiedzieć, co to za posążek, bo tego wymagało domknięcie sprawy. Po identyfikacji, a w sumie braku identyfikacji, pozostał z garścią spekulacji, luźnych opinii w większości wyrażanych nieoficjalnie. Coś jednak kazało drążyć, szukać, czynić karkołomne połączenia. Intelktualne wyzwanie przerodziło się w toksyczną fascynację. Raz po raz budował wieżę z nieforemnych klocków, konstruował teorie z naukowych faktów jedynie po to, aby pozwolić wszystkiemu runąć, i zaczynał od nowa.

Z pochmurnych rozmyślań wyrwał go głos przyjaciela.

– No. – Ducote uśmiechnął się, spoglądając przy okazji na zegarek zdobiący nadgarstek. – Muszę lecieć, John. Wpadnij w piątek. Helen się ucieszy, dzieciaki też.

– Pomyślę, Mal, ale wiesz, jak jest. – Skrzywił się. – To absorbująca robota. Niemniej dzięki za zaproszenie. Zadzwoń pod koniec tygodnia – dodał mimochodem, bardziej dla dopełnienia towarzyskiego konwenansu niż z realnego przekonania.

– Jasne. Serwus!

Malcolm także gładko odegrał swoją rolę. Nie musieli używać dodatkowych gestów. Komisarz potrzebował czasu, by oswoić się ze swoimi demonami, a Ducote zamierzał mu zapewnić tyle przestrzeni, ile tylko mógł.

Legrasse zapatrzył się w kubek. Na dole zebrała się czarna maź śmierdząca paleniskiem, dymem oraz torfem. Niespodziewanie poczuł chłód przeszywający kości oraz lepka, oślizgłą wilgoć sięgającą od stóp do kolan. Przymknął oczy, czekając na odległy odgłos bębnow. Na miarowy, gardłowy śpiew szaleńców tańczących wokół ogni oraz widok zwłok. Ponownie wraz z garstką policjantów brodził przez bagna, kierując się ku migotliwym światłom oraz cieniom skandującym potępieńcze krzyki. Ponownie przemierzał piekło.

– *Libera temet ex inferis* – szepnął, usiłując odepchnąć koszmarne wspomnienie. Otworzył oczy. Nadal siedział w kameralnej kawiarni, otoczony plamami słońca oraz ludźmi goniącymi za swoimi sprawami. Otarł spierzchnięte usta, odliczył symboliczny napiwek

i dźwignął się, kierując ku wyjściu.

Przemaszerował przez kampus nienagabywany przez nikogo. Bez honorowej asysty przedstawiciela wyższych sfer świata akademickiego był jedynie kolejnym statystą przemykającym w cieniu świątyni nauki. Gdyby ktoś go o to zapytał, Legrasse bez wahania odparłby, że mu to nie przeszkadza. Uniwersytecka tkanka była mu obca. Nie zmieniły tego nawet wieczorowe kursy, na które swego czasu uczęszczał. Żółknące w szufladzie dyplomy nie były przepustką do świata oświecenia oraz spokoju. Akademicy, naukowcy, kustosze wiedzy, po odarciu z mitu, po zbliżeniu się na odległość uścisku dłoni, okazywali się ludźmi. Pretensjonalnymi, zadufanymi, swarliwymi ponad miarę, całkowicie zatraconymi w mydlanej bańce nauki, w której absolutnie nic nie było pewnym fundamentem. W tym miejscu poznał jedynie inny wymiar ludzkiego zgorzknienia. Rozczarowany z ulgą powrócił na ulice pełne przemocy oraz niesprawiedliwości. Tu przynajmniej nikt nie ukrywał swoich intencji, nie maskował kwiecistą mową małostkowości.

Gdy już wyszedł poza uczelniany teren, przystanął zaskoczony. Przez chwilę przyglądał się uważnie, ale wedle wszelkich znaków na ziemi oraz niebie wyglądało na to, że nie będzie musiał martwić się o taksówkę lub tramwaj, aby wrócić do Dzielnicy Francuskiej. Przy krawężniku stał zaparkowany służbowy samochód, najwyraźniej dla niego. Obecność samochodu podstawionego bez jego wiedzy i rozporządzenia nie mogła wróżyć niczego dobrego.

Sierżant czekał wsparty o karoserię. Na widok przełożonego zdusił papierosa pod obcasem, ale na tym kończyły się honory. Stuglik ani drgnął. Obojętnie obserwował zmierzającego ku niemu Legrasse'a. Zamiast zwyczajowo uchylić drzwi pasażera, zagroził je i skrzyżował masywne ramiona na piersi. Spojrzenie utkwiał w skórzanej aktówce.

– Dalej nikt nie odkrył nieznanego kultu z podmiejskich bagien?

Legrasse wysilił się na uśmiech. Każdy inny przełożony zrugałby sierżanta, nie zostawiając na nim suchej nitki. Stuglik jednak funkcjonował na zupełnie innych prawach. Mieli zbyt wiele wspólnego ze sobą, by się nie zaprzyjaźnić. Od czasu okopów łączyły ich na przemian przyjaźń oraz obopólne korzyści. Ostatecznie dotarli

do towarzyskiej symbiozy opartej na liście wspólnych grzechów przeplatanych koleżeńską atencją.

– Nie.

Legrasse usiłował wyminąć rosnącego cerbera ubranego w cywilne łąchy, ale na sto kilometrów widać było, że wcisnął się w nie rasowy glina. Gdyby ustawić obok Stuglika stójkowego odzianego od stóp do głów w mundur, młodzik uchodziłby najwyżej za strażaka w stroju galowym. Stuglik był prawdziwym gliniarzem, urodzonym z kajdankami u pasa.

– Był telefon z góry, szefie – przyjął bardziej poufały ton sierżant. – W wielkim skrócie mamy się nie mieszać. Raport już przygotowałem.

Legrasse zmarszczył brwi, usiłując rozwinąć lapidarną wypowiedź Polaka oraz uzupełnić ją o wszelkie możliwe detale. Naciski idące w parze z jasno artykułowaną potrzebą szybkiego zamknięcia sprawy zupełnie go nie dziwiły. Zastanawiający był jednak personalny wątek w całej sprawie. Rozumiał roszady, polityczne umizgi sprzężone z pustymi gestami często oznaczającymi natychmiastowe zwolnienie lub awans. W tym wypadku polityczny wiatr musiał być nie tylko silny, lecz także poparty ryciem kanapowych pitbulli zbijających kapitał na salonach Big Easy<sup>14</sup>.

– Mówili coś konkretnego?

Stuglik nachmurzył się, wydał usta w cichym cmoknięciu niezadowolenia, a następnie ordynarnie zaklął. Legrasse aż za dobrze znał ten rytuał wyrażający w zawołowany sposób skrajne niezadowolenie.

– France przepadły. Jak kamień w wodę. Puf! – Sierżant klasnął w dłoń obrazowo. – I tyle było ich widać. Jak na froncie.

– Jak to zniknęli?

– No ci agenci. Ponoć zapadli się pod ziemię. Niby ma to związek z tym chłopkiem, co to go ubili w areszcie. Zrobiła się z tego chryja, szefie. Biuro się wmieszało i nagle wszystko stanęło na głowie. – Stuglik nie krył poirytowania. – Oficjalnie krawaciarze biorą naszą sprawę, a my mamy, pan ma, skupić się na samobójcu jakiegoś malarzyny, co to jego ojciec siedzi w ratuszu...

Oblicze porucznika wykrzywił gniewny uśmiech podszyty pogardą.

To, że nie zamierzał oddawać śledztwa, było oczywiste w równym stopniu jak to, że komuś bardzo zależało na odsunięciu go od sprawy. Legrasse nie mógł marzyć o lepszym pretekście.

– Może powinniśmy... Hm. Może warto odezwać się do sam wiesz... – rzucił sierżant.

Legrasse spojrział na Polaka spode łba.

– Nie – uciął szybko. – Są inni. Najpierw porozmawiam z Rzemymkiem. To ich teren, powinien coś wiedzieć. A Biuro może nas całować...

Stuglik tego nie skomentował, za co Legrasse był mu wdzięczny. Paktowanie z diabłem nigdy nie było dobrym rozwiązaniem, bez względu na kolor skóry piekielnika.

## Rozdział 4. Sprawy zawodowe

John Raymond Legrasse poczuł nóż na gardle. Odkrycie to było niepokojące po dwakroć. Raz, ostrze nieprzyjemnie ciążyło na krtani. Dwa, tu Legrasse zaklął w duchu, na komisariacie, na jego posterunku, znowu rył jakiś szpicel. Porucznik otworzył oczy, oddychając ostrożnie. Rzeźnicki nóż spoczywał w łapie wielkości bochna chleba. Ramię rozmiarów sążnistego pniaka wyrastało z nieporadnie ociosanego na wzór człowieka granitowego bloku.

– Szef chce cię widzieć – oznajmił dudniącym głosem człekokształtny olbrzym. Nacisk żelaza zelżał.

Porucznik wyprostował się na ławie, przetoczył wzrokiem po zadymionym pomieszczeniu. Nad ciężkimi stołami, ponad poznaczonymi bliznami głowami bywalców, tuż przy okopconych belkach stropowych, unosiła się szara mgła. W knajpie śmierdziało tanim tytoniem, mniej lub bardziej strawionym alkoholem oraz smażoną wołowiną. Pociągnął nosem, krzywiąc się nieznacznie.

Ciężkiej atmosfery nie poprawiały nikłe podmuchy powietrza, nadchodzące od strony raz po raz otwieranych drzwi, dekonspirując wchodzących klientów. Lokal Papcia Rzemyka pod tym względem wymykał się wszelkim standardom. Daleko było mu do sekretnych, szykownych klubów, gdzie szefowie gangów i mafiosi spotykali elitę wielkiego świata w świetle zdobnych żyrandoli. Jeszcze dalej było mu jednak do piwnicznej gorzelnii dla uliczników. Czarny Pies tworzył na mapie Nowego Orleanu niszę w niszy sieci nielegalnych punktów serwowania alkoholu. Tu nie tylko ludzie różnych kolorów mogli w spokoju wypić drinka, a zbuntowane pannice poderwać zakapiora. Tu wolno było głośno politykować!

Z tego względu w *speakeasy*<sup>15</sup> panowały określone zasady. Z wyjątkiem rautów politycznych opuszczanie speluny przedwcześnie postrzegano jako podejrzany nietakt. Nikt jednak nie wiedział, która pora jest odpowiednia. Z tego względu bywalcy zwyczajowo bawili

w knajpie od zmierzchu do świtu. Zazwyczaj miejsce to wypełniały gwar rozmów, pijackie przechwałki, perlisty śmiech kobiet, szelest kart przy stołach oraz muzyczny harmider dochodzący z niewielkiej sceny. Zgodnie wymieszany gęsty tłum złożony z łotrów bez zahamowań, urzędników, tancerek, muzyków, studentów, panien z lepszych domów oraz pijaków, którym było już wszystko jedno, przypominał morze gęstniejące przed sztormem. Krótko mówiąc, Czarnemu Psu blisko było do zoo wypełnionego rykami dzikich zwierząt spacerujących pośród barwnych ptaków. Ale wielu miało go za stateczny przybytek, gdzie dostajesz piwo i czasem leją cię w mordę – rzetelnie oraz przykładowie ponad wszelkimi podziałami, gdyż w lokalu nie uznawano ani segregacji rasowej, ani towarzyskiej. Środkowy palec pokazywano zarówno Kongresowi, jak i obu partiom. W Czarnym Psie nie kierowano się uprzedzeniami, więc nikogo nie dziwiła polityczna niepoprawność, czyniąca tę knajpę przystanią wszelkiej maści wywrotowców, uciekinierów oraz rewolucjonistów. Muzyka na żywo i alkohol, hałas życia, zazwyczaj łączyły w tej spelunie komunistów, złodziei oraz ambitnych studentów prawa.

Zazwyczaj. Tym razem było ciszej, spokojniej, jakby klientela przycichła, skupiając się na kartach oraz zawartości szklanic. Nawet zaróżowiona jeszcze od tanecznego ruchu kelnerka sprawiała wrażenie bardziej skupionej na swojej pracy. Tego dnia w spelunie odbywało się zebranie wciąż aktywnej organizacji IWW<sup>16</sup>. Choć represje wymierzone w związkowców nie słabły, a „czerwone lato” było już wspomnieniem, to potrzeba zmian napędzała gniew kolejnego pokolenia. Na scenie, zwykle zajmowanej przez tani zespół, stał młodzieniec usiłujący porwać tłum.

– Towarzysze! To nieprawda, że robotnicy nie muszą nic robić, a klasa kapitalistów sama upadnie! Ta kasta pijawek i leniwych czerwi nigdy nie odpuści. Musimy walczyć, towarzysze! – darł się pryszczaty agitator.

Detektyw przyjrzał się klienteli. Przy stołach w równych proporcjach siedzieli robotnicy portowi w płóciennych czapkach i koszulach bez kołnierzyka oraz przedstawiciele lokalnej ferajny najniższego szczebla w charakterystycznych cyklistówkach. Na

obrzeżach, zbici w nieformalną grupę, rozsiedli się drobni handlarze dobijający ostatnich umów z kilkoma alfonsami. Nie zabrakło kilku studentów pozujących na ideowych przywódców. Czasami ktoś energicznie podbijał wrzaski agitatora okrzykiem aprobaty. Kobiet było zauważalnie mniej i nie przypominały roześmianych kolorowych ptaków.

Legrasse był pochłonięty swoimi myślami. Inaczej zapewne przepchnąłby się przez ciżbę, złapał chłystka w czerwonej chuście i najzwyczajniej w świecie wywlekł na zewnątrz. Nie chodziło nawet o wrzaski na temat utopijnych teorii. Porucznik był zaniepokojony otwartymi zachętami do zbrojnego strajku oraz sabotażu. Był na froncie, widział efekty ładunków, które odpalono zbyt wcześnie. W przeciwieństwie do młodocianego agitatora pamiętał nie tylko zamieszki, lecz także proces Joego Hilla. Poczul nieprzyjemny dreszcz, ale nie zareagował. Burda była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Dlatego też zmełł przekleństwo w ustach i ignorując niechętnie spojrzenie olbrzyma, osuszył ostentacyjnie kufel piwa. Smakowało podle, ale nie spodziewał się frykasów. Nie w tej części miasta. Policjant dźwignął się ze swojego miejsca, nie spuszczać wzroku z właściciela noża. Uliczny rzeźnik dla odmiany stracił całkowicie zainteresowanie policjantem. Obrócił się na pięcie niczym zdezelowane drzwi wahadłowe i ruszył w stronę baru. Legrasse, poprawiając poły płaszcza, poszedł jego śladem.

Nie przepchnął się daleko. Obecność policjantów, nawet pozostających w cywilnym ubraniu, jest wyczuwana przez bandyckie szeregi siódmym zmysłem, instynktem przetrwania zapisanym w genach przez pokolenia. Tam zaś, gdzie nerwy, tam i pochopne decyzje, podejmowane zwykle przez głupców. Nie inaczej stało się tym razem. Po kilku kąśliwych zaczepkach, które Legrasse zignorował, dwóch krewkich uliczników poderwało się od stołu. Jeden, sądząc po ruchach oraz posturze, był kieszonkowcem. Drugi sprawiał wrażenie zaprawionego w bojach fachowca od obsługi dłużników. Wyglądali niczym kryminalny wariant slapstikowego duetu Laurel oraz Hardy, tylko mniej komiczny. Dostarczyli do Legrasse'a, zagrządzając fachowo przejście. Przyparli porucznika do

kontuaru.

– I co, kundlu – rzucił chudzielec o młodzieńczym zaroście. – Takiś chojrak, że na przeszpiegi przyłazisz? Zaraz ci bużkę przefasuję.

Legrasse nie miał ochoty na odpowiedź. Nie pierwszy raz stawał do konfrontacji. Smarkacza nakręcały adrenalina oraz alkohol. On sam za to poczuł się stary i zmęczony.

„Ilu jeszcze temu podobnych?” – pomyślał.

Palce prawej dłoni wsunęły się w pierścienie kastetu, spoczywającego w kieszeni płaszcza. Zaatakował szybko, brutalnie mierząc łokciem w miejsce, gdzie powinna znajdować się szczeka chłopaka. Po pełnym zaskoczenia okrzyku wiedział, że trafił. Zignorował piekące ukłucie bólu, rozkwitające niepokojąco na wysokości policzka. Był przygotowany na nieporadne uderzenie chudzielca, który musiał przejść do ataku. Legrasse wykorzystał chwilę zamieszania w szyku, uchodząc z niekorzystnego położenia. Teraz pozostało jak najszybciej wyeliminować największe zagrożenie. Nie czekał, pozwalając instynktowi oraz mięśniom robić swoje. Wyprowadził bezpardonowe uderzenie w splot słoneczny drugiego rzezimieszka, pozbawiając go na chwilę oddechu oraz werwy. Częściowo sparował znacznie pewniejsze uderzenie młokosa. Mimo to pięść chłopaka zdołała rozbić wargę komisarza. Legrasse wyprowadził szybką kontrę. Kopnął chłystka pod kolano, wybijając go z rytmu oraz wygodnej postawy. Dłonią okutą w kastet huknął złodziejaska w szczękę, gruchocząc kość jarzmową. Kolanem dokończył dzieła zniszczenia, posyłając młodzika na dechy. Obrócił się w samą porę, aby przyjąć solidny cios, który o mało go nie powalił. Legrasse zatoczył się, wypluwając krew.

– Będzie tego – rzucił osiłek, jakby usatysfakcjonowany przebiegiem zdarzeń. Wykidajło miał poważanie i wystarczyły dwa słowa. – Szef ma z nim do pogadania.

Przedstawienie najwyraźniej dobiegło końca, karczemny rumor wrócił do swojego zwyczajowego poziomu. Burda trwała zbyt krótko, aby kogokolwiek zaniepokoić. Przechodziła prawie niezauważenie. Jedynie barman odłożył na miejsce obity gwoździemi kij. Kelnerka, jak gdyby nigdy nic, zebrała szkło, zakręciła w nozdrzach



awanturników kobiecymi perfumami i mrugnęła okiem do lepszego pięściarza. Dwóch litościwych o gębach poznaczonych bliznami dźwignęło z podłogi jęczącego wyrostka. Tylko kompan pokonanego przyglądał się komisarzowi nienawistnie. Legrasse skontrolował językiem stan uzębienia.

- Powiedz kumplowi, że nie mam urazy.
- Jeszcze się spotkamy – mruknął bez przekonania osilek.
- Tylko przyprowadź kilku pomocników dla pewności.

Legrasse stracił zainteresowanie narwanym duetem oraz ich urażoną dumą. Schował kastet do kieszeni, wpatrując się w mężczyznę stojącego w rogu sali. Wsparty o wysoki stół pił bez przekonania, popalając mechanicznie i udając, że słucha rewolucyjnej agitki. Na ułamek sekundy spojrzenia mężczyzn się skrzyżowały.

„Coś nie tak” – pomyślał Legrasse.

Ruszył głową na boki, naciągnął ścięgna karku, pozwalając chrupnąć stawom. Z milczącą aprobatą przyjął lornetę zaserwowaną przez barmana. Skinął nieznacznie szefowi baru i skwapliwie rozprawił się z cierpką księżycówką. Ostentacyjnie chrząknięcie zmusiło go do ruszenia za osiłkowatym przewodnikiem.

Przeszedł za bar, zanurzając się w obdrapanej kuchni. Ciemnoskóry kucharz, ćmiąc papierosa, doglądał skwierczących na blasze burgerów. W pomieszczeniu unosił się słodkawy zapach doprawionej wołowiny. Ku zdziwieniu Legrasse’a w kuchni panował porządek, a wszystko zdawało się mieć swoje miejsce. Murzyn rzucił kontrolne spojrzenie intruzom, ale widząc, kto i gdzie zmierza, stracił zainteresowanie obcym. W miejscach tego typu umiejętność szybkiego zapominania oraz niewidzenia jest ważniejsza od nauki chodzenia. Olbrzym przesunął regał z konserwami maskujący przejście. Bez wahania wlaź w ziejącą ciemnością dziurę. Po chwili do uszu komisarza dotarł trzask uruchamianej leciwej instalacji elektrycznej.

Znaleźli się w słabo oświetlonym korytarzu. Przechodząc przez wąskie przejście, komisarz usiłował odgadnąć, czy to pozostałość czasów kolonialnych, czy lokalna kontra dla 18. poprawki<sup>17</sup>. Trzewia Nowego Orleanu, podobnie jak wielu innych miast amerykańskich,

przecinał labirynt tuneli oraz kanałów przemytniczych, gwarantujących zarówno bezpieczny transport ulubionych substancji, jak i drogę ucieczki. Nie ulegało wątpliwości, że z takowych korzystał Papcio Rzymek. Cała Dzielnica Francuska była ze sobą połączona takimi korytarzami – jak ciało, w którego żyłach krąży zabójcza trucizna.

Czarny Pies ulokowany był jedynie o parcelę od oficjalnego interesu emerytowanego gangstera i jeśli donosy były prawdziwe, dwie od Lawendy, lokalu dla nieco bardziej wymagającej klienteli. Legrasse zastanawiał się, czy Papcio spiał swoje inwestycje podziemną arterią.

„Któregoś dnia warto by to ostatecznie zweryfikować”.

Nie palił się jednak do tej myśli. Podobnie jak wielu obywateli odnosił się do inicjatywy Kongresu z rezerwą, a wszelkie donosy traktował jak mało wiarygodne. Szczęśliwie, dzięki ostatniej operacji, przez najbliższe pół roku nie będzie musiał tracić czasu na karanie ludzi za bycie pijakami.

Mężczyzna idący przodem milczał, gdy mijali kolejne zakręty oraz zaciemnione odnogi. Kluczyli, przecinając raz po raz kolejne ścieżki. Komisarz instynktownie czuł, że jeśli wielkolud miałby przejść labirynt sam, wybrałby inną, znacznie prostszą trasę. Kilometrowe korytarze musiały wychodzić daleko poza granice dzielnicy, którą władała sycylijska mafia. W końcu piwniczny tunel otworzył się na znacznie szerszy, dobrze oświetlony korytarz. Uleciał też charakterystyczny zapach zastanego powietrza.

Śmierdziało krwią oraz przyprawami. Nieprzypadkowo. John Raymond Legrasse uśmiechnął się kwaśno, ignorując wątpliwe doznania zapachowe. Nie spodziewał się niczego innego. Papcio Rzymek przez lata nieprzerwanej działalności zyskał opinię najlepszego masarza. Wędliny, kiełbasy oraz inne wiktuały nie miały sobie równych w całym Nowym Orleanie. Suszone, długo dojrzewające, łagodne lub pikantne. Czego tylko dusza zapagnie. Sycylijskie tradycje łączył z możliwościami nowego świata. Papiowa *andouille* była słynna na całe miasto.

Papcio Rzymek dla konfratrów. Dla przyjaciół Luigi. Krewniacy

oraz policjanci wszystkich szarzy mówili do niego Tony Gallo. Lokalny przedsiębiorca, tani filantrop, pretensjonalny miejscowy patriota o trefnym akcencie, podejrzanych korzeniach oraz podłej gębie. Mimo to, nieważne kogo spytać, każdy poświadczyłby, że to najlepszy rzeźnik w mieście. Gdyby podpytać zaś bardziej zdecydowanie, przystawić broń do skroni lub podeprzeć pytanie odpowiednim nominałem, można by dowiedzieć się o biznesowym geniuszu Anthony'ego Gallo. Ów geniusz polegał na prostocie oraz szczegółowym rozpoznaniu miejscowego rynku, jego potrzeb, delikatnych fluktuacji oraz subtelnych trendów. Sycylijczyk z równą wprawą oprawiał zarówno wołowinę i wieprzowinę, jak i ludzinę.

Ten ostatni specjał był przygotowywany jedynie na życzenie rodziny Matranga. Papcio Rzemysk, jako przedsiębiorca oraz oddany fachowiec, przetrwał burzę przekształcenia wymuszeniowej szajki w prężną i dobrze zorganizowaną przestępczą siatkę. Nim Tony przeszedł na emeryturę, zdążył wykonać kilka specjalnych podrobów opłaconych srebrnymi dolarami Sylvestra Carolla.

Dlatego w piwnicznym korytarzu śmierdziało krwią. Legrasse kroczył korytarzem, którym wielu ludzi wykonywało ostatni spacer swojego małego życia. Pomiedzy wilgotnymi kamieniami podziemnych murów, w brudzie zalegającym w konstrukcyjnych rozstępach, wyczuwał toczącą to miejsce śmierć. Oto kroczył ścieżką zapomnienia wprost w objęcia szaleństwa. Minęli podwójne drzwi wiodące wprost do mięsnego zakładu Papcia Rzemyska. Za dębowymi skrzydłami skrywało się serce, a zarazem sekret mistrza rzeźnickiego fachu. Anthony Gallo, zgodnie z poradami babki, mięso oprawiał na miejscu, osobiście doglądając nie tylko procesu zasypywania rozmarynem, czosnkiem oraz koprem, lecz także – to było najważniejsze – leżakowania w piwnicznym chłodzie. Dotyczyło to każdego rodzaju mięsa.

Legrasse powstrzymał instynktowną potrzebę zajrzenia za drzwi masarni. Wiedział, że może znaleźć tam odpowiedzi na wiele pytań, ale nie po tutaj przybył. Piekło nie jest do zwiedzania. Policjant głębiej wbił dłoń w kieszenie płaszcz, krocząc podziemnym przejściem za kołyszącym się mężczyzną.

W końcu dotarli na miejsce. Porucznik ukradkiem spojrzął na zegarek kieszonkowy. To, co wydało się wielogodzinną wędrówką, trwało mniej niż kilka minut. Milczący przewodnik zastukał w drzwi, wzbudzając smętne echo. Po chwili zgrzytnął elektryczny mechanizm zwalniający zamek. Papcio Rzemyk był znany z przywiązania do zabezpieczeń.

Osilek wydał z siebie pomruk ostentacyjnej irytacji, zagradzając drogę policjantowi.

– Nie bądź nadgorliwy. Poczekaj przed drzwiami, Joe.

Gderliwy głos dobiegał z wnętrza solidnie oświetlonego pomieszczenia. Legrasse poczuł orzeźwiający powiew świeżego powietrza przemieszanego z aromatem tytoniu. Wielkolud przepuścił policjanta w progu. Ten bez słowa wkroczył do sekretnego gabinetu jednego z najważniejszych ludzi sycylijskiej mafii. Ogarnął wzrokiem pomieszczenie, masywne biurko zavalone dokumentami oraz raportami z ciemnych interesów, które pod przewodnictwem Papcia od przeszło trzech dekad gwarantowały zatrudnienie dla kilku wydziałów nowoorleańskiej policji. Próżno było szukać tu pretensjonalnych ozdób zdobiących biura gangsterskich dorobkiewiczów. Anthony’ego Gallo mierziły przepych oraz pompa. Sam gospodarz siedział w głębokim fotelu, obracając w dłoni hetmana białej armii. Czarne szeregi stały zwarte na szachownicy po przeciwnej stronie stolika, tuż obok pustego fotela. Legrasse, ilekroć widział tego człowieka, wzdrygał się, jakby spoglądał na samą śmierć. Gallo wyglądem odbiegał od stereotypu mafijnego doradcy, w myśl którego powinien być chudy, szczurowaty, z małymi przenikliwymi oczkami. Przypominał jednocześnie poczciwego szewca, taniego adwokata i dobrotliwego pastora. Policjant znał garstkę osób, których aparycja była równie myląca. Anthony Gallo, mimo że sprawiał wrażenie dobrodusznego i naiwnego, dysponował giętkim umysłem, wyrachowaniem i brakiem moralnych hamulców.

– Komisarz Legrasse! Moje najgłębsze uszanowanie! – Gallo przywitał wylewnie porucznika. Wskazał miejsce przeznaczone dla przeciwników. – Raymond, nawet nie wiesz, jak bardzo się zdziwiłem, że nie jesteś na emeryturze. I na Boga, kto ci tak facjatę obił. Częstuj

się!

Legrasse powstrzymał się przed określeniem, jak głębokie jest jego uszanowanie i gdzie Gallo może je sobie wsadzić. Zamiast tego rozciągnął usta w uśmiechu doświadczonego komiwojażera siadającego do niełatwych negocjacji.

Sięgnął po kieliszek wypełniony czerwonym winem. Gangster uniósł swój, jakby w geście toastu.

– Mały spór o rozlane piwo. A co się tyczy emerytury, to za dużo roboty. Wiesz, jak jest.

– Dasz wiarę, że kupiłem winnicę? W Kalifornii.

Gallo mógł pozwolić sobie na wiele, sięgnąć po każdą zachciankę lub urząd, jaki tylko chciał. Zazwyczaj nie chciał, skupił się na przekupstwie i intryganctwie.

– Poza moją jurysdykcją. Mam nadzieję, że się nie rozmyślisz.

– Zbędny sarkazm.

– Mówię poważnie. Niezłe to wino.

– Prawda? Mocny początek, ciekawy finał. Liturgiczne! No nie patrz tak na mnie. – Gallo zaśmiał się szczerze ubawiony. – Kościół ma swoje potrzeby. Bogu niech będą dzięki. – Wykonał zamaszty znak krzyża i o mało nie rozlał rubinowej zawartości kieliszka.

Legrasse musiał się uśmiechnąć. Kto inny mógł się wzbogacić na hipokryzji, jeśli nie Papcio Rzemyk. Szybko jednak zdjął uśmiech z twarzy.

– Nie znam się na winach. I nie przyszedłem tu gadać o szczepach ani bukietach, czy jak to się zowie.

– To po co się tu pan, komisarzu, raczył fatygować?

– Sprawę mam.

Legrasse z kamienną miną sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Po chwili na pasie szachownicy niczym ziemi niczyjej wylądowała szara aktówka opatrzona policyjną sygnaturą. Papcio Rzemyk skwapliwie pokiwał głową, zadowolony z zapłaty, ale nie sięgnął po teczkę. Wyznawał zasadę ojca, zgodnie z którą wynagrodzenie należy się dopiero po skończonej pracy.

– To coś wspólnego z tym ostatnim nalotem? Słyszałem, że poląła się krew. I że znaleźliście torturowaną dziewczynę. Pół dzielnicy

o tym mówi. Ponoć makabryczna sprawa. No i dziewczyny żal...

– Nie udawaj, że martwisz się o czyjeś życie.

– Nie. Ale towaru szkoda. To delikatna branża, trzeba z wyczuciem, bo inaczej zostaje z tego wszystkiego bitka wołowa. A nie za to płacą. Przynajmniej większość – dodał niewinnie, jakby dopowiadał amen do pacierza.

– Kto teraz w rodzinie sprawuje pieczę nad dziewczynami?

– Nikt. Hazard i wóda. Kurestwo to rzecz poruczników, rodzina w to nie wnika.

– To kto w dzielnicy ich pilnuje?

– Marcelo. Ale to nie jego szukasz.

– Nie?

– Nie. Są zasady. – Stuknął palcem w blat stołu. – W myśl zasad nie drzemy pasów z dziwek. Nie sprzedajemy dziewczyn. I nie porywamy dzieciaków, aby dla nas pracowały. Zasady.

– Pieprzenie.

– Tak. Dokładnie to. – Gallo się uśmiechnął się. – O to chodzi i z tego jest pieniądz. – Zapatrzył się w kieliszek, śledząc czerwoną linię migoczącą przez szkło. Posłał policjantowi ciężkie spojrzenie. – Chodzą słuchy, że ktoś mać biznes. Nowa krew i raczej płotka. Słyszałem, że gra ostro i załatwi każdy towar.

– Kto?

– Nie znam detali. Nie ta ranga, żebym się tym zajmował. Ale... – Wyciągnął z kieszeni koszuli biały kartonik. Miał minę, jakby w dłoni trzymał największy z możliwych sekretów. Z ociąganiem podał papier komisarzowi.

– Kto to?

– Jamson. Handlarz. Ojciec i dziadek byli w Kompanii. Synalek kontynuuje najlepsze tradycje rodzinne. Gdyby trzeba, przemyciłby i samego Pana Boga. – Gallo uśmiechnął się przepraszająco, widząc zakłopotanie malujące się na obliczu komisarza. – Wybacz zbędną kwiecistość. Jamson to obrotny człowiek. Podniósł przemysł alkoholu do rangi sztuki. Ale ciebie raczej zainteresuje co innego.

Legrasse odliczył w myślach do pięciu, obserwując mafijnego bonza, szpicla oraz zabójcę. Gangster miał kilka słabości, jednak

największą z nich było uwielbienie dla własnego głosu. I teraz czekał, aż policjant zada pytanie, które pozwoli mu rozwinąć pawie pióropusz i sycić się przewagą. Komisarz mógł tylko odegrać niewielką rolę w teatrzyku mafijnego reżysera.

– Co takiego?

– Plotki mówią, że ta masakra wyglądała jak jakaś ofiara, cholerna bezbożna msza satanistów. Słyszałem o pentagramach i czarnych świecach... – Czekał na reakcję policjanta. Ten jednak nie zareagował. – Więc pewnie zaciekawili cię to, że Jamson szmugluje też różne zabytki, stare graty, co tam ktoś chce. W tym książki. Stare, po łacinie, obłożone w skórę. Kilka przesyłek trafiło pod adres Randolpha F. Breaux. Ponoć jego kolekcja jest imponująca...

– Ten Breaux?

– Randolph Foligny Breaux, przydupas senatora Broussarda – potwierdził Gallo z nieukrywaną niechęcią. – Trudno pomylić skurwiela.

– Nielegalne książki i cenzura to nie mój departament.

Mimo tej odpowiedzi coś głęboko w umyśle policjanta kliknęło.

„Książki ze skóry” – niepokojąca myśl powoli przepalała się przez świadomość porucznika.

– Dziadzio Jamson zaś, w starych dobrych czasach, miał też intratną ofertę dla wyselekcjonowanej klienteli. Sprowadzał najlepsze murzyńskie ciała na zamknięte spotkania. Które nie on organizował, rzecz jasna.

– Słyszałem. Pokątne plotki. Nic nigdy nie udowodniono.

– Legrasse, czasem mnie zastanawiasz. Ponoć po takim spotkaniu często trzeba było pozbyć się ciała. Lub kilku. Murzynek, tanich imigrantek... Użyj wyobraźni. I jak mówiłem, dziedzic nazwiska kontynuuje najlepsze tradycje rodu, a nawet nie otarł się o wasze kartoteki. Inaczej byś tu nie przychodził.

Papcio Rzemek sięgnął po szarą teczkę i z triumfalną miną rozsiadł się wygodniej w fotelu, sycąc chwilą. Jego twarz rozplynęła się w szerokim uśmiechu pełnym satysfakcji. Porucznik odstawił kieliszek i podniósł ze swojego miejsca. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

– Muszę wrócić do Psa. Tym razem nie nadkładając drogi.

Gangster nie odpowiedział. Widocznie posłużył się ukrytym przełącznikiem, bo po chwili do gabinetu wszedł zwalisty wykidajło. Ten sam, który wcześniej przyprowadził Legrasse'a.

– Zabierz komisarza do piwiarni. Najkrótszą drogą.

Nieforemny kolos kiwnął głową na znak przyjęcia polecenia. Legrasse wyszedł na korytarz, roztrzęsając w głowie informacje sprzedane przez Papcia. Nim się zorientował, stał ponownie w kuchni, gdzie Murzyn przekładał gotowe burgery na poplamione wiklinowe tacki. Nawet nie spojrzął, gdy komisarz wynurzył się w nikłym obłoku ceglanego pyłu osiadającego na półkach i puszkach z konserwami.

– Znów nawiało pyłu z wentylacji – rzucił kąśliwie, ruszając po wysłużoną szczotkę.

Komisarz przedelfilował przez zaplecze, uśmiechając się pod nosem. Szef kuchni najwyraźniej był człowiekiem lubiącym zaklinać rzeczywistość.

Wrócił w samą porę. Podpici mężczyźni, niesieni oparami alkoholu, dzielili się akurat na dwie grupy. Tych, którzy muszą prowadzić niekończące się dysputy, marynując idee w spirytusie, oraz tych, którzy napompowani wrażeniami kierowali się ku wyjściu. Papcio Rzemyk wychodząc naprzeciw oczekiwaniom klienteli, w typowy dla siebie sposób zorganizował wszystko z beczelnym mrugnięciem oka. Dla ludzi z zewnątrz wrota do budy Czarnego Psa wyglądały na zapuszczone, zabezpieczone rdzą piwniczne drzwi. Nawet zejście do przyziemia było stosownie zaniedbane, a schody zmurszałe. Jedyne pożółkłe plakaty i spłowiałe afisze sugerowały, że tu może kryć się diabelski przybytek rozpusty. Wykidajło sprawnie sterował ruchem zalanego w pestkę stadka.

Młodzian, którego Legrasse dostrzegł przed wizytą u Papcia, nadal stał przy barze, dopijając piwo. Detektyw przez moment rozważał różne scenariusze. Ostatecznie postanowił zaufać intuicji, a przy okazji wychylić kielicha. Barman bezbłędnie odczytał spojrzenie komisarza i wymienił miarkę burego napitku na lśniącą monetę. Porucznik z miną znawcy i wyczuciem praktyka chwycił szkło. Spoglądał na salę spod przymrużonych powiek, pozornie rozkoszując



się przyjemną wonią destylatu. Kątem oka dostrzegł, jak młodzian ulatnia się z lokalu. Pogratulował sobie intuicji i nie przedłużając katuszy, wlał w gardło ulubioną substancję.

Ruszył energicznie do drzwi, aby zwierzyna zbytnio się nie oddaliła.

Niezatrzymywany przez nikogo wypadł na słabo oświetloną ulicę. Rewolucjoniści, pijacy, sabotażyści, pośledni artyści, biedni urzędnicy i natchnieni ideą domorośli terroryści rozłazili się niczym karaluchy po całej Dzielnicy Francuskiej. Część zmierzała do domów, część do kolejnych barów. Tylko jedna, chuda postać kierowała się ku przeciwległej ścianie budynków. Dopiero teraz Legrasse mógł ocenić całą sylwetkę nieznanego. Komisarz wreszcie odkrył, co mu się nie podobało, gdy patrzył na wygląd chudzielca. Winny był strój. Niechlujny w wystudiowany sposób, idealnie kilkudniowy, wymięty tam, gdzie wymięty być powinien. Amerykański aż do bólu zębów. Porucznik rozpoznał szpicla. Ruszył za postacią, która kierowała się wprost ku ciemnej, zalatującej wilgocią szczelinie pomiędzy dwoma domami. Gdyby Legrasse zdążył pomyśleć, na pewno zrugałby siebie za śledzenie szpicla w zwyczajowo niesprzyjającej policjantom dzielnicy, za włożenie w zacienione, odludne miejsca, ale nie zdążył i poczuł najpierw gwałtowne szarpnięcie, a zaraz potem odór czosnku przemieszany z zapachem piwa. Ciemność zaułka zadziałała na jego korzyść: sprawiła, że napastnik chybił. Porucznik wykorzystał szansę. Wyuczonym na ulicy, a wielokrotnie praktykowanym na froncie, ruchem skoczył przed siebie, uderzając barkiem w przeciwnika. Gdyby miał w dłoniach karabin z bagnetem, właśnie zabiłby człowieka. Wojna jednak się skończyła, przynajmniej dla większości. Przewaga masy dokończyła dzieła. Szpicel wyleciał po drugiej stronie krótkiej gardzieli zaułka. Komisarz, niewiele myśląc, doskoczył doń i z furią wymierzył nieszczęśnikowi serię szybkich, krótkich uderzeń, łomocząc go po żebrach, nosie, szczęce oraz przeponie. Nie trzeba było wiele, by mężczyzna osunął się na ziemię, dysząc ciężko. Krew kapiała obficie z rozbitego nosa, wsiąkając w brud zapuszczonego podwórka.

Legrasse poczuł, jak wrzące w nim emocje opadają. Czerwona

płachta gniewu, choć nadal przesłaniała świat, z każdym oddechem rozpływała się w nocnym chłódzie. Nadchodzący świt studził zmysły. Komisarz rozluźnił pięści, przyglądał się pobitemu mężczyźnie.

Chudzielec chciał się podnieść, ale otrzymał kontrolne uderzenie w policzek. Tym razem komisarz pokarał go obcasem buta. Chłopak przez chwilę leżał, oczekując kolejnego ciosu, ten jednak nie nastąpił. W to miejsce poczuł brutalne szarpnięcie oraz dłoń szybko i sprawnie przeszukującą kieszenie jego marynarki. Niemal dostrzegł błysk uśmiechu, gdy policjant wysupłał niewielki portfel.

Nie spuszczał wzroku z czubków butów komisarza, które czały się niepokojąco blisko jego nosa. Zaryzykował powolne uniesienie ciała. Wreszcie usiadł na chodniku i odważył się spojrzeć w twarz policjanta. Mimo słusznej postury Legrasse wyglądał raczej przeciętnie. Niczym szare tło w bezimiennym tłumie.

To spostrzeżenie przepełniło chudzielca niepokojem.

– Spokojnie – mruknął chropowato Legrasse. – Nie zrobię ci krzywdy. Niemniej, odpowiedz na jedno pytanie. Precyzyjnie.

Komisarz rzucił wymięty pugilares, z którego sterczały niedbale wciśnięte dokumenty.

– Dobrze. – Francusko brzmiące akcenty zawibrowały w głosie chłopaka. Szpicel odetchnął głęboko, pocierając wierzchem dłoni wyschnięte usta.

– Czego chce ode mnie Sûreté?

– Chce mieć jasność co do pana.

Legrasse nachmurzył się, spoglądając gniewnie na pobitego agenta wywiadu.

– Słuchasz agitek dla przyjemności czy szukasz kogoś z rozkazu?

– To i to.

– Panie szefie...

Legrasse zdębiał, słysząc znajomy głos. Zamrugał zdziwiony, ale nie odwrócił wzroku od powalonego francuskiego agenta.

– Czego chcesz?

– Przyszło zgłoszenie. Nalegam, aby szef je obejrzał osobiście na miejscu zdarzenia.

Porucznik przez chwilę ważył usłyszane słowa oraz wszelkie

ewentualne konsekwencje swojego działania. Ostatecznie zdecydował się skupić na jednej sprawie, wychodząc z założenia, że łapanie kilku srok za ogon jeszcze nikomu nie wyszło na dobre. Odsunął się o pół kroku od szpicla i odwrócił na pięcie. Skierował swoje kroki w stronę ulicy. Nawet z tego miejsca mógł pochwycić charakterystyczne rżężenie policyjnego pojazdu.

– A co z nim?

Legrasse wzruszył ramionami, nie oglądając się za siebie.

– To tylko złodziejasek. Nawet nie komunista. Nie warto tracić na niego czasu.

Polak pokiwał głową i ruszył w ślad za przełożonym.

## Rozdział 5. Obiektywne przeszkody. Cień

Wsparł się o wilgotną ścianę zaułka, spoglądając ku ołowianemu niebu. Szaro-granatowe chmury oblepiały sklepienie, przesłaniając siną tarczę księżyca. Jedyne na odległym horyzoncie rysowała się krzywa linia pioruna.

„Gdzieś tam świat właśnie pęka” – przemknęło mu przez głowę.

Przez zakratowaną szczelinę piwnicznego okna przecisnął się gruby szczur. Parchaty gryzoń przypominający wyleniąte truchło posłał człowiekowi niechętnie spojrzenie. Przez chwilę stał w miejscu, szczerząc poźółkłe siekacze, w końcu jednak ruszył pokraczny krok w głąb zaułka, ciągnąc za sobą ostry smród mokrej sierści oraz czegoś jeszcze. Czegoś nieokreślonego, kojarzącego się z ciemnością.

Matka Jedediaha była szalona. Chłopak wiedział o tym od najmłodszych lat. Możliwość słuchania oraz tańczenia pośród kosmicznej kakofonii dźwięków szalonej muzyki wykonywanej przez istoty sięgające swym wzrokiem w głąbę kosmicznej pustki była warta każdej ceny. Kobieta zniknęła z farmy ilekroć w dolinie, pośród odległych wzgórz porośniętych nieprzebytymi lasami, rozbrzmiewały gromy. Echo niosło gniewny łoskot bijących o nagą skałę piorunów. Za każdym razem, gdy Jedediah posłyszał odległy odgłos schodzącej lawiny kamieni, wiedział, że na łysym wzgórzu pojawiły się duchy. Tam, pośród widm, w błysku piorunów na wpół oszalała z przerażenia oraz bólu Lavinia spółkowała z bogami. Pośród nich był też Yog-Sothoth, Wszystek w Jednym oraz Jeden we Wszystkim. Ojciec Bożego Dziecięcia.

Jedediah z żalem oderwał wzrok od bijących w oddali gromów i spojrzał na śpiące miasto. Nowy Orlean stał się jego domem, przystanią, miejscem, w którym nie musiał znosić upokorzeń. Nie musiał się ukrywać przed psami i przed mściwymi ludźmi. Nie zamierzał znowu zawieść oczekiwania dziadka.

„Tym razem będzie idealnie” – z tą myślą wyłonił się z oparów

śmierdzącej mgły zalegającej pomiędzy ciasną zabudową miejską.

W torbie przerzuconej przez ramię czuł kojący ciężar.

Poprawił kołnierz marynarskiej kurtki i ruszył nieśpiesznym krokiem w stronę mężczyzny opartego o niewysoki mur oddzielający chodnik od rzeczno kanału. Jedediah przypominał akolitę, który wraca z procesji pustym podwórzem, z twarzą wykrzywioną migotliwym światłem. Burzowe podmuchy niosły zapach portu oraz oceanu. Ludzie morza zwykli mawiać, że wyjący długo wiatr doprowadza do obłędu. I samobójstwa. To była półprawda. Jedediah spojrzał ku niebu, ku szaremu kłębowisku ponurego sklepienia. Tam, w odległej ciemności tańczyły czarnoskóre demony obleczone w szaty jadu – duchy gniewu kryjące się w burzowych chmurach. Ich obecność zawsze zwiastowała nadejście Najwyższych. Nim jednak to miało nastąpić, element duchowy musiał wypełnić swój obowiązek. Tym razem zamierzał dochować lokalnego rytu, obłaskawiając miejscowe duchy. Dziadek pochwaliłby pragmatyzm, tym bardziej że potrzebował pomocy strażnika bramy pomiędzy światami: kogoś, kto może rzucić pomost między domeną ludzi i bogów.

Jedediah posłał ukradkowe spojrzenie mężczyźnie stojącemu naprzeciw zakładu fotograficznego. Zgodnie z poleceniem kaznodziei Cień wypełniał wolę opiekuna, człowieka małego duchem, pełnego pretensji, który sprowadzał swoją działalnością zagrożenie na bractwo. Nagroda, jaka stała za ryzykiem, które sprowadzał samozwańczy czarnoksiężnik, była warta podjęcia próby. Dlatego kaznodzieja zgodził się na to szaleństwo, nie pytając Rady. I dlatego teraz Jedediah kroczył pustą ulicą oświetloną gazowymi latarniami. Bronił przymierza, wypełniał wolę dziadka i nie potrzebował do tego niczyich poleceń. Zwłaszcza syfilitycznego dandysa. Westchnął cicho.

– Nie wolno tak mówić – mruknął do siebie.

Nowy nauczyciel był namaszczonej przez kaznodzieję na Sztukmistrza i ofiarnika. Choćby z tego powodu należał mu się szacunek. „Pokorni i posłuszni nie muszą wiedzieć wszystkiego, by wypełniać wolę” – pouczało rodowe porzekadło, któremu przez pokolenia pozostawali wierni. Musiał ponieść karę za pychę i brak szacunku. Whateley przymknął oczy, krzywiąc się na myśl o krótkim

pejczu, jaki czekał na niego obok śmierdzącego siennika. Pejczu nasiąkniętym krwią oraz potem. Jego jedynym i prawdziwym przyjacielem, który wyjaśniał słowa dziadka.

„Jesteś personifikacją zazdrości i nieudolności” – rzekł do niego dziadek tuż przed opuszczeniem farmy. Matka albinoska trzymała za rękę jednego z bliźniaków, potrafiącego już wtedy recytować liturgię do Natura Magna Mater, do Najwyższych oraz Śniącego. „Jedediah, jesteś jedynie gniewem, chłopcze”. I to właśnie z gniewem naparł na mężczyznę ćmiącego papierosa w przerwie pomiędzy kolejnymi pociągnięciami z butelki.

Był nieco niższy od Cienia, ale równie mocno zbudowany. Ciął nożem, robiąc ostrzem krótkie, dynamiczne uderzenia doświadczanego nożownika. Jedediah uskoczył zaskoczony, ledwo uchodząc spod ostrza. Z zadowoleniem skonstatował, że nie został ranny i uśmiechnął się szeroko do przeciwnika. Ten przez chwilę patrzył, nie rozumiejąc. Whateley nie przestawał się uśmiechać i czekał. Ledwie po uderzeniu serca człowiek z nożem wypluł krwawą bańkę, a następnie runął na ziemię niczym ścięte drzewo.

Cień rozejrzał się uważnie, ale nabrzeżna ulica pozostawała odludna. Jedynie zwabiony przemocą, toczony chorobą szczur siedział na środku brukowanej ulicy, przyglądając się powolnej agonii człowieka. Jedediah spokojnym, wyuczonym ruchem ściągnął z palca stalowy pazur. Ze spokojem odczekał, aż element duchowy uleci wraz z resztkami zatrutego życia i spojrzał na wykrzywione brzydkim grymasem oblicze mężczyzny. W przerażonych oczach nadal tlił się ogień, ale sparaliżowane ciało z wolna odmawiało posłuszeństwa.

Zawył wiatr nawiewający znad Missisipi zbutwiały zapach rzeki. Powiew niósł drobiny ulicznego brudu. W błysku piorunów zawirowały darte podmuchami wichury cienie oplatające kamienny bruk. Zbliżały się niczym jadowite węże. Jedediah uśmiechnął się szeroko.

– Czorty idą po ciebie. Pozdrów Papę Legbę.

\*\*\*

Nabrzeże wrzało. Legrasse lubił tutejszy folklor, ale nie w nadmiarze. Całe wybrzeże bardziej przypominało jarmark niż miejską arterię. Nikt tu nie mówił normalnie. Owszem, wnikliwe ucho wyłoniłoby z ogólnego harmideru angielskie zdania, jednak tonęły one w powodzi francuskich słów lub grzęzły we włoskich. Zaś trajkotania włoskie przepuszczone przez sycylijskie lub korsykańskie gardła tworzyły makaronową pulpę niezdatną do przełknięcia. Jeśli ktoś jednak podołał, to czekała go przeprawa przez różnorodne słowiańskie świsty i zaśpiewy tłamszone germańskimi monosylabami. Wszystko to zbijało się w iście gargantuiczny klekot. Na dodatek śmierdziało wilgocią. Słowem: koszmar.

Nowy Orlean, choć sprawiał wrażenie zgrabnie poukładanego na urbanistycznej mapie, w praktyce był bezładnym składem dystryktów. Kultury, języki, a nawet całe epoki historyczne zlewały się w jedną dziwną całość niczym zupa *gumbo*. Dowolna zmiana kierunku spaceru prowadziła do nieoczekiwanych obserwacji. Miejski kalejdoskop cywilizacyjny. I gdzieś tam, w tym bulgoczącym tyglu, krył się człowiek poszukiwany przez Legrasse'a.

W końcu porucznik dotarł do celu swojej wędrówki. Sklep kolonialny Jamsona. Komisarz pchnął drzwi i znalazł się w obszernym, zagraconym wnętrzu przypominającym magazyn. Dzwonek na sprężynie zakołysał się dźwięcznie. Niespodziewanie w przejściu wyrósł mężczyzna pracy zdecydowanie ku wyjściu. Tani elegant przepchnął się obok policjanta, posyłając mu niechętne spojrzenie. Legrasse odruchowo usiłował wyłapać cechy szczególne, ale powierzchowność mężczyzny była zupełnie pospolita. Pospolita w świadomy, wystudiowany sposób. Zębata w umyśle porucznika zaskoczyła, ale było już za późno. Elegant zniknął równie nieoczekiwanie, jak się pojawił, rozplywając się pomiędzy przechodniami sunącymi do lub z zoo. Komisarz zmarszczył brwi, ale ostatecznie poniechał pościgu. Człowiek ten mógł być zarówno niezadowolonym klientem, oszukanym kontrahentem, jak i przemytnikiem. Porucznik przysięgłby, że widział tę twarz na jakimś liście gończym. Rozejrzał się za stójkowym, ale jak zawsze nie było żadnego w zasięgu wzroku lub głosu. Zaklął pod nosem i gniewnie

zatrzasnął za sobą drzwi.

Sklep był ogromny. Przybytek, w którym dobijano ciemnych interesów, pełen był niecałkiem legalnych orientalnych towarów, zamorskich zapachów oraz wątpliwie ładnych, a moralnie niepewnych ozdób w rodzaju stojaka na parasole wykonanego z upiłowanej nogi słonia. Wytrawni dekoratorzy mieli szansę znaleźć tu wypchaną małpę, łeb antylopy gnu, a nawet skórę zdartą z lwa. To wszystko zaś w sąsiedztwie świeżo zmodernizowanego zoo Audubona. Tutaj z żywych okazów dostępne były jedynie szczury gnieźdzące się w piwnicach.

Część czysto sprzedażowo-ofertowa mieszała się chaotycznie ze składem dóbr wszelakich, a wszystko to oklejała bezładna sieć regałów, stelaży wystawowych oraz małych wysepek usypanych ze wszelkiej maści szpargałów. Legrasse przecisnął się tym labiryntem z niesmakiem. Jakaż próżność musi kierować klientami tego przybytku! I olbrzymia zasobność kieszeni. A to zazwyczaj idzie w parze. Komisarz sunął przed siebie, mijając ustawione na sztorc role dywanów oraz kolumnady kolonialnych mebli. W końcu w tym bezładzie półek zastawionych książkami, kamiennymi podobiznami Buddy oraz wypchanymi zwierzętami dostrzegł przejście. Niepozorna ścieżka z każdym krokiem rozszerzała się, prowadząc podróżnika do improwizowanej mikroskopijnej oranżerii nakrytej prostą kratownicą okien pełniących funkcję kopuły. Legrasse domyślił się, że przechodzi przez niegdysiejszy dziedziniec łączący budynki. Kamienna kostka ponownie przeszła w wysłużony parkiet, a pozornie dzika roślinność znowu ustąpiła miejsca dywanom, martwym zwierzętom, książkom oraz meblom. Tu też znalazł wyraźnie odciętą przestrzeń kantorku, w którym siedział mężczyzna pochylony nad księgą rachunkową. Pomieszczenie pretensjonalnością wystroju dobrze oddawało ducha sklepu Jamesona.

Komisarz uderzył kłykciami w otwarte drzwi. Chrzękając wymownie, odsłonił odznakę.

– Porucznik John R. Legrasse – przedstawił się oficjalnym tonem, mierząc wzrokiem jegomościa wyglądającego na skrzyżowanie angielskiego lorda z wiejskim księdzem.



Mężczyzna odpowiedział szerokim, obrzydliwie sztucznym uśmiechem. Spokojne, rozważne ruchy, dobrotliwe oblicze i malująca się na nim wyrozumiałość składały się na wygląd dobrze skrojonego inteligenta. O takich bogobojni mówili, że to ludzie o gołębih sercach. Kryminolodzy zaś, że gady w garniturach.

– Jamson. Edward Philips – przedstawił się, wyciągając dłoń i lekko przechylając w stronę Legrasse’a. – Witam w moim skromnym sklepie. Co sprowadza chwytnie ramię sprawiedliwości w te progi?

– Sprawy służbowe – rzucił sucho komisarz.

– W takim razie zapraszam. – Jamson wskazał na fotel po przeciwnej stronie ogromnego biurka. – Pali pan?

Zaskoczony Legrasse zamrugał oczyma.

– Czy pan pali? – ponowił pytanie handlarz, widząc malujące się na twarzy porucznika zdziwienie. – Tak się składa, że mam wyśmienity tytoń z Europy. Absolutna rewelacja. Z domieszką wiśni...

– Nie, dziękuję.

– Rozumiem. W takim razie co chciałby pan wiedzieć?

Komisarz przez chwilę zastanawiał się, jak sformułować pytanie, by od razu uzyskać potrzebną odpowiedź i jak najszybciej opuścić to miejsce. Czuł, że z handlarzem nie pójdzie mu tak łatwo. Doszedł do wniosku, że wytoczenie od razu najcięższych dział nie miałyby sensu. W tych okolicznościach nie chciał zdradzać zbyt wielu szczegółów. Jamson należał do rodziny z bogatymi tradycjami mieszczańskimi, zasługami z wojny domowej oraz orderami i obrazami w zdobnych ramach. Familie o solidnych korzeniach miejsko-wojskowych charakteryzowały się dwiema cechami: chorobliwym przyzwyczajeniem do konwenansów oraz pokrętnymi koneksjami politycznymi. Legrasse nie miał jednak ani czasu, ani ochoty udawać, że siedzi przed nim poczciwy Humpty Dumpty.

– Denatka – odparł, hamując emocje i niemalże wypluwając to słowo. – Analizujemy pewne aspekty...

– Denatka – powtórzył pustym głosem handlarz. – Aspekty... I sprawa na tyle poważna, że od razu komisarz osobiście, a nie jakiś dajmy na to sierżant – ironizował bezczelnie. – Czy mam się obawiać?

– To zależy, panie Jamson.

– Zna pan mojego ojca?

Porucznik uśmiechnął się krzywo. Spodziewał się tego pytania. Zaczyna się kontratak.

– Nie miałem przyjemności aresztować.

Jamsona zatkało. Nie spodziewał się takiego tupetu ze strony byle komisarza. Poczzerwieniał, zbierając się w sobie, aby wypalić pełną salwą, całą burtą, ze wszystkich dział pokładowych.

Legrasse i na to był przygotowany, więc dorzucił:

– Jeżeli teraz zostanę zmuszony do wyjścia, wrócę najdalej za godzinę z nakazem sygnowanym przez mojego zwierzchnika.

– Moja rodzina! Ja mam przyjaciół w prokuraturze! Kuzyn jest w radzie miasta...

– Straci pan te koneksje i zabezpieczenia – odparł Legrasse, udając rozbawienie. Jamson okazał się dokładnie takim człowiekiem, jakiego spodziewał się spotkać. Małym, zawistnym, napuszczonym bufonem. Komisarz nie miał litości dla takich kreatur. – Nie interesują mnie przemyt i kontrabanda. Podobnie jak pana wysokostołkowych protektorów. Trupy jednak... – Zawiesił na chwilę głos, pozwalając słowom wybrzmieć pełnią mocy. – Trupy, panie Jamson, mają to do siebie, że śmierdzą. Truchła, jakie pan zostawiasz za oceanem, nie są kłopotem naszych wspaniałych luminarzy. Torturowane, pojone kwasem, zamęczone na śmierć... – Legrasse z przyjemnością obserwował, jak przemytnik blednie, a skóra na jego twarzy naciąga się chorobliwie. – Nieżywe młode kobiety w naszym mieście są już problemem, i to sporym. Więc jak pan to widzi... – Uśmiechnął się chłodno. – Porozmawiamy jak dżentelmeni, czy woli pan skorzystać z aparatu telefonicznego?

Zapadła cisza. Legrasse ze znudzoną miną lustrował wystrój gabinetu. Otwarte pozostawało pytanie, ile szkieletów kryje się w zdobionej szafie z ciemnego mahoniu stojącej w rogu. Ale nie to go absorbowało. Ciekawość porucznika przykuwała okazała biblioteczka. Egzemplarze zgromadzone na półkach przedstawiały zdecydowanie większą wartość niż te wypełniające regały we właściwym sklepie. Stojące tu woluminy były masywne. Wiele z nich miało grzbiety zdobione okuciami oraz tłoczeniami. Niczym antyki.

– Co chce pan wiedzieć, komisarzy?

– Ponoć pośród towarów, jakie ściąga pan do Ameryki, są książki...  
Poczytałbym coś.

– Co to ma do rzeczy? Jaki to ma związek...

– Ja określam związek – uciał oschle porucznik. – To jak, pomoże mi pan zaspokoić moje bibliofilskie ciągoty?

Handlarz przez chwilę wahał się, w końcu westchnął ciężko, spoglądając na policjanta.

– Jakież to zatem cymelium jest poszukiwane?

Legrasse zapatrzył się na półki zastawione ciężkimi inkunabułami, z których część wyglądała jak zabytki sztuki drukarskiej. Jeden starodruk zwrócił jego szczególną uwagę, choć był to bardziej efekt doświadczenia i specyficznej kalibracji umysłu niż istotnego wyróżniania się w szeregu podobnych staroci.

– Nie wiem – odparł porucznik, nie przestając wpatrywać się w regał. – Pan mi to powie. Jakąż to ostatnio książkę był pan łaskaw przeschmuglować do Stanów?

– Tomik poezji.

Komisarz uśmiechnął się nieszczerze. Był w stanie wyobrazić sobie, jakie to konkretnie tomiki poezji cieszyły się zainteresowaniem na czarnym rynku. Nic tak nie nakręcało koniunktury jak moralizatorskie połajanki i zagładanie ludziom pod pierzyny. Tudzież do barków.

– A nie licząc sprośnych limeryków? – Ta zupełnie przypadkowa złośliwość, która jak to często w życiu bywa, trafiła w punkt ku zaskoczeniu handlarza i cichej satysfakcji porucznika. – No? Jamson, czym zatruwasz pan umysły obywateli najwspanialszej nacji świata?

– Niczym – odburknął handlarz. – Trochę wierszyków dla panienek. Wie pan, erotyki. Nic szkodliwego.

Legrasse ściągnął brwi. Cenzura faktycznie usiłowała uprzykrzyć życie wszystkim. Bostońscy stróżowie przyzwoitości bez mrugnięcia okiem potrafili zabronić czytania *Dekameronu*, a ostatnio nawet czasopisma za opublikowanie fragmentu *Up From Meth-odism*, ale tu była Luizjana, nie purytańskie Massachusetts.

– Nowy Orlean to nie Boston – odrzekł spokojnie. – Rymowanki o cyczkach mało kogo tu ruszą. Mówię o książkach po łacinie albo

w starożytnej grece, albo w jakimś innym słusznie martwym języku. – Nachylił się nad mahoniowym biurkiem handlarza. – Mówię o rzeczach, za które nawet biskup ateista Brown by pana i całą szacowną rodzinę wysłał ekspresem do ostatniego kręgu piekielnego!

Handlarz zamilkł. Legrasse nie chciał otwartej wojny z Jamsonami. Tego typu rodziny były nad wyraz czułe na punkcie swojego zwierzęcego honoru, gotowe utopić w łyżce wody każdego, kto czynił im afront zbyt głośnym oddechem. Wbicie własnej kariery zawodowej w błądka Missisipi zaś nijak nie przysłużyłoby się doprowadzeniu sprawy do końca. Postanowił zaatakować z innej strony, skoro tematyka literacka nie była dostatecznym powodem podtrzymania konwersacji.

– Znasz pan tych ludzi? – Porucznik rozłożył przed Jamsonem dwie czarno-białe fotografie. – Może kontrahenci? Może szukali u pana francuskiego wina? Albo kokainy, tak oczernianej w ich kraju przez polityków i opinię społeczną, hm?

Handlarz ponownie zmarszczył brwi, napiął skórę twarzy do granic możliwości, po czym z wyrazem szczerzej ulgi wypuścił powietrze. Legrasse wiedział, co Jamson powie, nim szubrawiec otworzył usta.

– Pierwszy raz widzę tych dżentelmenów.

Legrasse przez chwilę bawił się fotografiami francuskich agentów, które niedawno wraz z aktami trafiły na jego biurko. W końcu włożył zdjęcia do kieszeni i wyprostował się, nie spuszczać z oczu szemranego kupca. Nie ulegało wątpliwości, że ten mężczyzna coś ukrywał. Komisarz nie mógł się jednak zdecydować, jakie kroki podjąć; pochopne działanie, rwetes i naprzemienne błyskanie odznaką oraz rewolwerem było dobre przy rozbijaniu dziupli bimbrowniczej. Dochodzenie kryminalne wymaga precyzji w działaniu oraz strategii. Kłopot w tym, że poza domysłami i poszlakami nie miał nawet cienia pomysłu co dalej.

Porucznik uśmiechnął się chłodno, a Jamson w odpowiedzi dopiął guzik marynarki, ostentacyjnie przyjmując postawę poirytowanego pedla. Dawał do zrozumienia, że spotkanie dobiega końca.

Legrasse udał, że nie dostrzegł przynaglającego gestu.

– Ładna kolekcja... Wygląda na kosztowną... – Podniósł się ze

swojego stylowego krzesła i podszedł do ściany wypełnionej książkami. Przesunął palcem po grzbiecie pierwszej z brzegu książki, ukradkiem obserwując handlarza.

Ojciec komisarza zwykł był powtarzać, że nie ma pokerzysty doskonałego „Każdy się zdradza. Jedni zaczynają pogwizdywać, innym podwija się rzęsa lewego oka. Musisz szukać zawiniętej rzęsy”. I Jamson ujawnił swoją rzęsę. Był nią sygnet, którym nagle zaczął się bawić. Pierwszy raz obrócił ozdobę na palcu, gdy porucznik zaczął mówić o książkach. Drobiazg, na który mało kto zwróciłby uwagę. Po prawdzie sam Legrasse uznałby to za nic niemówiący nawyk. Jednak w chwili, gdy dotknął grzbietu książki, Jamson junior ponownie poruszył pierścieniem.

– Owszem – odparł, ignorując badawcze spojrzenie policjanta. – Ale to tylko duplikaty tego, co w domu już zdobi bibliotekę.

– Oczywiście – rzucił lekko Legrasse.

W końcu się zdecydował, która książka wydała mu się podejrzana. Chwycił za krawędź i ku własnemu zdziwieniu odkrył, że palce opadły w pustkę. Za plecami usłyszał świst powietrza wypuszczanego przez Jamsona. Trafił. Uśmiechnął się pod nosem.

„Bingo” – myśl w barwie złota załśniła triumfalnie w głowie komisarza. Szarpnął atrapę. Sześć pozornie opasłych tomiszczy spoczywało w dłoni porucznika. Sześć precyzyjnie urzniętych grzbietów podklejonych na cienkiej listwie. Spojrzał w ciemną wyrwę na półce regału.

Nim Jamson zdołał zareagować, porucznik chwycił pudło skryte przed oczami postronnych. Prosta kasetka przypominała kobiecie puzderko na biżuterię. Legrasse podskórnie wiedział, że znajdzie tam jednak coś innego niż korale, kolczyki oraz lśniące pierścionki. Coś znacznie gorszego. Coś, co wymagało pozostawania w ukryciu.

– To prywatne rzeczy! – Jamson poderwał się z wygodnego fotela z czerwonej skóry. Głos juniora rodu nasycła mieszanka gniewu, zażenowania oraz niepokoju. Mężczyzna spłonął się jak przyłapana na świntuszeniu z własnym panem guwernantka.

Legrasse bez słowa otworzył pudełko i zamarł ze zdziwienia. Jamson, zrezygnowany, opadł na fotel.

Początkowo porucznik nie zrozumiał, na co patrzy. Potrzebował chwili, by połączyć obraz ze słowami identyfikującymi to, co trzymał w dłoni. A trzymał całkiem niezgorszą kolekcję wyuzdanych fotografii. Na każdej dziewczyna rozchyłała uda w kuszącej obietnicy, wyginała grzbiet, ukazując idealną linię kręgosłupa, odsłaniając przy tym kobiece krągłości. Na niektórych modelki leżały na łóżku, inne wzorem wschodnich niewolnic były przykute do ściany. Wszystkie piękne i młode, jeszcze niezniszczone życiem.

– Ładna kolekcja – mruknął Legrasse bez cienia oburzenia.

– To prywatny zbiór – rzucił kwaśno Jamson. – Są to rzeczy zamówione. Nic nielegalnego.

– To już ja ocenię. – Przyjrzał się blaszanej puszcze, w której, jak spodziewał się, ukryta była celuloidowa taśma. Z trudem oparł się pokusie rozwinięcia rolki. – Nowy Orlean to nie Boston, panie Jamson. A stręczycielstwo i handel pornografią nie zasilają katalogu legalnych zajęć.

Handlarz ponownie ciężko wypuścił powietrze.

– To nie moje – uciał. Strach przed więzieniem ustępował wracającej pyszałkowatości. – Ktoś mnie poprosił o przechowanie. Z moich usług korzysta wielu znamienitych obywateli oraz ich przyjaciele – podkreślał każde słowo. – Korzystają zaś, bo moje usługi to gwarancja jakości oraz prywatności. Nie zaglądam do cudzych paczek – rzekł dobitnie, wpatrując się w policjanta.

– Zapewne. – Komisarz po raz ostatni spojrzął na fotografie i z żalem odstawił znalezisko na miejsce. – W pana fachu odwracanie wzroku to ważna umiejętność. Proszę się nie fatygować, sam trafię do wyjścia.

Legrasse ruszył z miejsca, nie oglądając się na handlarza, pośrednika oraz przyjaciela elit. Nie mógł odmówić mu racji: Jamson był jedynie żukiem gnojarem, toczącym cudze odchody z miejsca na miejsce. Był społecznie potrzebny, podobnie jak padlinożerzy. Komisarz wyszedł na ulicę zadowolony. Piłka trafiła do gry. Teraz musiał czekać, aż trwożliwy robak potruchta do swoich przyjaciół z informacją, że ktoś już poczuł smród ich łajna.

Chciał uczcić skromny sukces nowoorleańskiej kryminalistyki

dymkiem papierosa oraz nieco mniej ostentacyjnym łykiem z piersiówki. Nie było mu to jednak dane. Tuż przy krawężniku stał czarny samochód lśniąco wypolerowaną urzędniczą powagą. Zgodnie z niepisaną regułą przy samochodzie było dwóch rosyjskich agentów w garniturach dopasowanych kolorystycznie do pojazdu oraz natury przydziału rządowego. Filary niezłomnej praworządności rozdzielał zaś uśmiechnięty mężczyzna ćmiący fajkę.

Legrasse zaklął podle, bez finezji, brak polotu rekompensując szczerą niechęcią.

– Johny! Myślałem, że już nigdy nie wyjdiesz z tej dziupli. – Agent specjalny Biura Śledczego Roy Chauvin stuknął kominem fajki o obcas, wytrzepując resztki żaru oraz popiół. – Jeszcze kilka minut i posłałbym chłopców z odsieczą.

– Dzięki za troskę, Roy – odciął się Legrasse, wpatrując się w agenta federalnego. – Wlazłem ci w szkodę?

Agent Chauvin zaśmiał się serdecznie, zerkając na towarzyszące mu posągi, ale te odwieczną naturą tworów bezosobowych nie przejawiały większego zainteresowania rozmową.

– Nie rozśmieszaj mnie.

Legrasse dostrzegł w oczach mężczyzny stalowy błysk groźby.

– Mamy go na oku od jakiegoś czasu, ale to tylko cwaniaczek. Zamożny i z solidnym spadkiem, ale nadal tylko cwaniaczek.

– Więc? Nie powiesz mi, że Biuro zaczęło pilnować krawężników...

Agent uśmiechnął się, stukając butem w betonowy blok ograniczający uliczny bruk.

– Bez fałszywej skromności. Wiem, że awansowałeś – odparł kąśliwie. – A ja dostałem przydział w NOLA<sup>18</sup>, bo niby to moje miasto. Więc skoro już wróciłem na podwórko, to pomyślałem, że spotkam się ze starym kumplem. Kawa?

– Nie mam czasu. Jestem w środku czegoś.

– Wiem. Dlatego wypijmy kawę.

Legrasse ze złością przyjął zaproszenie. Bez słowa usadowił się na tylnej kanapie lincolna. Sedan model L z 1922 roku może nie był szczytem marzeń miłośnika samochodów, ale był diabelsko wygodny. Najważniejsze jednak, że przy swojej masie, poganiany silnikiem V-8,

potrafił dopędzić dowolny pojazd. A konkretniej uciec przed każdym. Lincoln, zaprojektowany przez kapelusznika Angusa Woodbridge'a, był za drogi na urzędniczą kieszeń, ale cieszył się uznaniem szemranych typków.

– Nie patrz tak. – Roy rozsiadł się wygodnie tuż obok. Dwóch osiłków wgramoliło się na przednią kanapę. – Na stanie po konfiskacie. Trzeba brać, co daje los.

Zaiste. Resztę drogi odbyli w milczeniu, wpatrując się w przewijającą się za oknem panoramę miasta. Legrasse przez chwilę usiłował domyśleć się celu podróży, ale ostatecznie porzucił ten zamiar. Nie miał on realnego znaczenia. Gdyby Biuro chciało się go pozbyć, rozegrałoby sprawę inaczej. Wbił wzrok w chodnik miasta, w sunący potok eleganckich jegomościów, zgrabnych dam, służących taszczących sprawunki. Przystanęli na skrzyżowaniu, puszczając przodem sunącego dumnie packarda, który na ulicy Nowego Orleanu wyglądał jak wojenny galeon pośród rybackich kutrów. Komisarza nie interesowała limuzyna przebijająca się przez miejskie arterie. Usiłował złowić wzorkiem detal, który przykuł uwagę czarnoskórego pucybuta. Chłopak z wysokości swojej ławy pilnie obserwował szkołę ulicznego życia. Legrasse w końcu dostrzegł to, co widział pucybut, i pokręcił z rezygnacją głową na widok smarkacza chyłkiem przeciskającego się przez kolorowy tłum. Jego partner, ospowaty chłystek w spranej cyklistówce, stał na rogu ulicy, wsparty o latarnię. Tuż obok, udając zainteresowanie gazetą, stary wyga uważnie obserwował postępy aspirujących fetniaków w podchodzeniu do klienteli. Porucznik nie zdążył jednak dostrzec, jak zakończyła się toporna w formie próba wyłuskania portfela z płaszcza postawnego mężczyzny. Samochód skręcił gwałtownie i nim Legrasse się zorientował, mknęli już ku Broadmoor, ale nie ujechali daleko. Lincoln zatrzymał się w jednej z bocznych ulic odchodzących od Jefferson Avenue. To nie była ulubiona okolica komisarza, wszystkie ulice wyglądały tu tak samo. Miasto w czystej postaci zabetonowanej dżungli.

Chauvin poprowadził go do niewielkiej knajpki przycupniętej na rogu ulicy. Podłużna, wagonowa buda była poszerzona o nie



najgorzej wkomponowaną w miejską tkanę przybudówkę. Najwyraźniej biznes szedł nieźle, a to by znaczyło, że właściciel miał głowę na karku.

Wnętrze wypełniały stonowane dźwięki leniwie brzmiącego jazzu. Zapach kawy oraz bliżej nieokreślonych potraw potęgował wrażenie, że śniadania jada tu sam Bóg Ojciec. Usiedli przy stoliku możliwie odległym od wejścia.

– *Terribilis est locus iste.* – Agent uśmiechnął się protekcyjnie do komisarza, najwyraźniej niepojmującego języka elit. Odczekał chwilę, z satysfakcją dopowiadając: – *Przerażające jest owo miejsce.* – Chauvin posłał policjantowi wymowne spojrzenie, smakując kawę.

Legrasse z kamiennym wyrazem twarzy wpatrywał się w agenta Biura, ze wszech miar starając się nie roztrzaskać filiżanki o wypielegnowane uzębienie krawaciarza.

– Sam je wybrałeś – mruknął, zerkając na kubek kawy.

Kusiło go, aby wzbogacić smak zawartością piersiówki.

– Ja nie o tym. Taki napis widnieje nad wejściem do kościoła w Rennes-le-Château. We Francji – uściślił.

Legrasse w końcu napił się kawy, miast ją tylko mierzyć niechętnym spojrzeniem. Była gorąca oraz zalatywała mułem. Dokładnie tak jak lubił.

– Gdy Bóg uwierzył w ludzi, wygnał ich z nieba. Do rzeczy, bo teolog ze mnie żaden. – Krawaciarz z odznaką uśmiechnął się wymownie, na chwilę zawieszając spojrzenie na pośladkach przechodzącej po sali kelnerki. – Zaiste, skończmy to pierdolenie.

– Jest jednostronne. – Wzruszył ramionami. – Więc śmiało. Została mi połowa kubka.

Agent Biura wyciągnął z teczek aktówkę i przesunął po blacie stołu.

– Źle mnie zrozumiałeś.

– Czyżby?

– Owszem. Powiem ci więcej: nie chcę spędzić na bagnach ani minuty dłużej, niż muszę. Zamknę dochodzenie najdalej w dwie doby. Świadców dopasujemy. Możliwe, że nikt z naszych nie zginie.

– Taka robota, czasem ktoś obrywa. – Legrasse kiwnął głową w kierunku teczek ułożonej idealnie pośrodku stołu. – Co to?

– Sprawa z tysiąc dziewięćset siódmego roku. Czytałem akta. Paskudna sprawa. Wiem, że siedzi ci to w głowie. Cholera! Pół twojego wydziału wie...

– I?

– I nagle po latach trafiasz znowu. Agenci obcych krajów, kultury, dziwki... No powiedz, nie brzmi to cudacznie?

Komisarz nie odpowiedział. Czuł, jak czerwony przypływ zaczyna powolnie zalewać mu myśli. Skrzywił się gniewnie, szukając czegokolwiek, co pozwoliłoby mu choć na moment zapomnieć o siedzącym przed nim człowieku. Z braku lepszego rozwiązania wbił spojrzenie w młodzieńca o modnie przyciętym wąsiku, który skrobał coś zawzięcie w notatniku. Przez chwilę Legrasse w panice pomyślał, że to szpicel, ale porzucił tę myśl. Wyrostek był tak pochłonięty swoimi sprawami, że nie dostrzegł kelnerki uzupełniającej mu kubek.

– Will – zagaiła bezceremonialnie. Jak na dłoni widać było łączącą ich nić. – Od samego siedzenia pod zdjęciem Hearn'a pisarzem nie zostaniesz. – Te szkice są niezłe, powinieneś wydać...

Młodzieniec odpowiedział coś, czego Legrasse jednak nie wychwycił. Nie interesowały go przemyślenia kelnerki ani niedoszły literat. Ta dwójka jednak zdołała na chwilę odwrócić uwagę porucznika, odwlekając nadchodzący szkwał. Komisarz skrzywił się, spoglądając na agenta.

– Powiedz to tej obdarłej ze skóry dziewczynie.

– Nie... Ty powiesz. Jak domkniesz to po mnie. – Chauvin spojrzał na akta. – Ja mam zrobić wynik i go zrobić. Mamy na oku jakichś komunistów, ezoterycznych pojebów. Stare dziady, zabytkowa willa, młode służące. – Spojrzał wymownie na policjanta. – Mam tu zrobić kipisz, ale nie tracić czasu na przesłuchania. Hoover nie chce powtórki z Innsmouth.

– Skąd?

– Akta. – Agent Biura dźgnął palcem teczkę. – Tu masz wszystko, co jest ci potrzebne.

Komisarz odwrócił obwolutę, spoglądając na zacernioną stronę. Przekartkował pobieżnie pozostałą zawartość teczek. Jedyne gniewny orzeł pieczęci urzędniczej uszedł cało cenzorskiej fantazji.

– Ponad połowa i tak zamazana na czarno.

Roy Chauvin uśmiechnął się przyjacielsko, rozkładając ręce w teatralnym geście. Brakowało jedynie, aby mrugnął porozumiewawczo okiem.

– To wymiana, Johny. Coś za coś, wiesz jak jest...

Legrasse nagle zrozumiał. Świadomość dopadła porucznika z miażdżącą siłą obucha opuszczonego na skroń.

– Jamson – wypluł imię przemytnika z pogardą. – Jamson to wasz człowiek.

Agent uśmiechnął się szerzej, rozglądając uważnie po knajpie. Nikt, nawet kelnerka, nie interesował się dwoma mężczyznami w płaszczach oraz fedorach. Nieważne z której strony barykady byli, zwiastowali kłopoty. Roy docenił ten stan rzeczy, skupił ponownie wzrok na policjancie.

– Jamson to skurwiel, nie ukrywam. Pojawił się kilka lat temu otoczony mgiełką plotek, spekulacji oraz stosownych tajemnic. Są tacy, którzy twierdzą, że jego babką była Marie Laveau.

Legrasse uniósł brwi, nie kryjąc zainteresowania. Fryzjerka szarlatana okrzyknięta Królową Wudu to niecodzienna patronka w drzewie genealogicznym. Niecodziennym i równie mało prawdopodobnym. Agent skwitował niedowierzanie cichym parsknięciem.

– A stryjkiem jest sam Samedi czy jak mu tam – zakpił. – Mówimy na niego Organizator. Podobnie jego, nazwijmy ich: przyjaciele. Bo...

– Bo organizuje to i owo.

– Ano. Zawsze byłeś ten bystrzejszy. – Chauvin odchrząknął i upił łyk kawy. – Chodzi o to, że organizuje wszystko, co zechcesz. Jedyne ograniczenie to wyobraźnia i pieniądze. Kłopot w tym, że na niego mamy za mało, aby posadzić go na amen. A jak posadzimy, to i tak nie dorwiemy tych nad nim.

– Od kiedy Biuro babra się w takich sprawach? Komuniści, porwania... Ale to?

– Hoover to lunatyk. – Agent ściszył głos, konfidencjonalnie nachylając się nad blatem. – Ma świra na punkcie komuchów. Ale ma też dojścia i zasoby. Więc karmimy go czerwonymi, starając się robić

coś dobrego...

– Czyli?

– Czyli to, co najbrzydsze, najgorsze. Bez detali, Johny. Ścigamy naprawdę złych ludzi. I tak się składa, że wielu to klienci Jamsona.

– Jest zamieszany w dochodzenie...

– Niejedno, Johny. Niejedno. Nie możesz go dociskać. Raz, zinfiltrował nasz lokalny oddział. Dlatego mnie ściągnięto. Rozumiesz? Mamy kreta w biurze. I na dokładkę gdzieś pod ziemię zapadli się agenci obcego kraju.

Porucznik wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu. Szybko jednak poniechał złośliwości. Czym innym są utarczki kompetencyjne, a czym innym robienie tego, co jego ojciec zwykł nazywać porządną policyjną robotą. Inna sprawa, że szacowny Bill Hodges Legrasse był nieprzebierającym w środkach reliktem czasów, gdy władowanie w koniokrada garści kul nie wiązało się z dochodzeniem wydziału wewnętrznego.

– To jest straszne gówno. – Roy otarł odruchowo twarz. – Gadamy jako znajomi, Johny. Bez kantów. Wiemy o tym, kto bierze w łapę. Tu jest cały gambit, bo zrekrutowaliśmy Jamsona na tajnego agenta. Nowy Orlean o tym nie wie, ta szumowina raportuje bezpośrednio do mnie.

– Trochę to naciągane.

– Ale działa – odciął się agent. – Mam jego i kreta tam, gdzie chcę i kiedy chcę. A wiedząc, gdzie pierze swoje brudy, dojdę, na czyje zlecenie to robi. Dlatego ani ty, ani żaden inny chabrowy mundurek więcej nie zbliżycie się do tej ulicy. Chyba że powiem inaczej. Dlatego zamknę sprawę tych cholernych Francuzików, zrobię, co chce stary, i wracam do poważnej roboty. A poważną robotą są skurwiele pociągający za sznurki. I Francuzi. Psia mać, człowiek nie znika ot tak!

Legrasse zmarszczył brwi. Chciał coś powiedzieć, odbić piłeczkę, ale nie zdołał. Roy wyprzedził go o jedno uderzenie serca. Jak zawsze. Raz jeszcze zerknął na przekazane akta.

– Jack Walters?

Odczytał pierwszą linijkę wyciągu personalnego. Obok wpięto

zdjęcie przeciętnie wyglądającego mężczyzny w średnim wieku. Pasował na prywatnego łapsa.

Roy, nie patrząc na teczkę, pokiwał głową.

– Popełnił samobójstwo trzy lata temu. W Arkham Assylum. Pomagał nam dorwać pewnych ludzi. Pomyślałem, że może ci się przydać...

– Do czego? Martwi nie opowiadają historii.

Agent wzruszył ramionami.

– Nie wiem. – Spojrzał do kubka, jakby spoglądał ku studni wiedzy. – Nigdy nie rozumiałem wróżenia z fusów. Nie wiem, co można odczytać z czarnej brei. No, może poza przestrogą, aby się nie poplamić. – Zerknął wymownie na porucznika. – Ty też, Johny, powinieneś uważać.

Legrasse zignorował groźbę, zajął się przeglądaniem papierów. Wyglądały na standardowe raporty operacyjne, odręczne notatki najpewniej miejscowych gliniarzy, opinie biegłych przełożone czarno-białymi fotografiami. Wszystko i nic.

– Teczka to nie nagroda pocieszenia, Johny. Nie mogę pozwolić, byś mi włąził w dochodzenie, płosząc tłuste sumy. Mogę jednak dać ci wędkę, robaka i wskazać drugi brzeg jeziora. A jeżeli nawet przypadkiem się spotkamy na środku wodnej toni...

– To masz dupochron.

– Weź teczkę, Johny, i trzymaj się z dala od Jamsona.

Agent specjalny Biura Śledczego Roy Chauvin wyszedł z baru, zostawiając Legrasse'a samego z rozpostartą aktówką przed nosem. Porucznik uważnie czytał akta prywatnego detektywa. Wariata. Długo wpatrywał się w dziwaczny symbol, gwiazdę opisaną na symbolu oka. Pod krwawymi zaciekami ktoś odręcznie podpisał zdjęcie jako znak starszych bogów.

## Rozdział 6. Spartaczona robota

Nowy Orlean śmierdział bagnem. Poziom Missisipi z wolna się stabilizował, cofając wezbrane roztopami wody. Muł oraz resztki wymyte z trzęsawisk przemieszane ze śmieciami spływały rzeką do oceanu. Część jednak zatrzymywała się na palach, dźwigarach mostów, resztkach łajb sterczących z wody i kamiennych obmurówkach nabrzeża. Zgniłe trupy psów, kotów, ptaków tonęły w szlamowatej pianie, oblepiającej skruszałe butelki oraz potrzaskane gałęzie. Drugie oblicze cywilizacji w nieupiększonej formie.

Legrasse miał jednak ważniejsze powody do zmartwień niż zagrożenie epidemiologiczne miasta. Ktoś w Nowym Orleanie ponownie wyregulował gęstość zaludnienia. Pech chciał, że do zdarzenia doszło na granicy rewiru komisarza, a on o mało nie potknął się o ciało.

Panna Rose May bez najmniejszego zawahania wskazała szczupłym palcem zdjęcie Bertranda Belaira. Szczątkowe zeznania, jakie spisali w dniu rozbicia dziupli, nie wystarczyły do zawiązania sprawy. Legrasse potrzebował konkretów, a w zaistniałych okolicznościach prostytutka była jedynym punktem zaczepienia.

Dziewczyna pojawiła się na posterunku wykrochmalona do ostatniej koronki. Choć pobyt w lochu odcisnął swoje piętno, wszystko wskazywało na to, że pokona demony lęgające się w pokiereszowanym umyśle. Jej opiekunka w nieco swobodniejszej kreacji i modnych lokach kompensowała niedostatki powagi surowym spojrzeniem cerbera. Starsza wychowanka Domu Panny Clairville najwyraźniej nienawidziła całego Adamowego plemienia. Z całej męskiej załogi komisariatu jedynie Stuglik nie został zaocznie skazany na ściecie. Polak swój uprzywilejowany status zawdzięczał pewnej nieformalnej roli, jaką pełnił za przyzwoleniem porucznika. Sierżant osobiście sprawował kuratelę nad wszystkimi kobietami, jakie przekraczały próg jednostki i miał nad nimi pieczę niczym ambasador Domu Panny Clairville. Był też jedynym mężczyzną przekraczającym

próg domu na Dufossat Street, który od czasu zamknięcia Storyville nigdy nie był pusty. Dożywotnią wdzięczność pensjonariuszek przytułku Stuglik zawdzięczał bezwzględnej polityce wymierzonej w sutenerów oraz burdelmamy. Swój społeczny program realizował z charakterystyczną dla Polaków zawziętością.

Sierżant czynił honory szambelana dworu porucznika Legrasse'a. Przeprowadził obie kobiety do pokoju zwierzeń, jednocześnie ordynując podanie szklanek z wodą. Pod pachą niósł opasłe tomiszcze z firmowymi fotografiami, zgodnie z wytycznymi Bertillona. Legrasse, niczym ponury hrabia z gotyckiej powieści, wkroczył do pokoju przesłuchań ostatni, dając uprzednio czas sierżantowi na przygotowanie gruntu.

Dziewczyna zachowywała się w sposób bardziej wyważony niż wówczas, gdy widzieli się ostatnio. Spoglądała na porucznika z mniejszą trwogą, a spojrzenie miała przytomne, skupione. Legrasse spokojnym tonem wyłożył jej powody wezwania.

– Chcemy dopaść tego, kto cię... – zastanowił się nad właściwym słowem – ...skrzywdził. – Nie był pewien, czy znalazł odpowiednie, ale Rose najwyraźniej nie zwróciła na to uwagi.

Starsza prostytutka natomiast przewróciła wymownie oczami, lecz litościwie darowała sobie kąśliwy komentarz. Gdy Rose May dotarła do fotografii Belaira, zdecydowanie puknęła w nią paznokciem, wyrzucając z siebie:

– To on.

Tym samym przypieczętowała los podejrzanego.

Pierwszy raz od chwili przybycia spojrzała komisarzowi prosto w oczy. Dostrzegł niewypowiedziane pytanie i niepokój. Wytrzymał jej wzrok. Dziewczyna na moment opuściła głowę, ściągając ramiona. Legrasse przeklął się w duchu, ale nie zamierzał odpuścić. Opiekunka, która także pojęła, o co chodzi, chwyciła Rose za dłoń; najwyraźniej jako starsza wiekiem oraz doświadczeniem wiedziała, jak mogą wyglądać policyjne przesłuchania. Zwłaszcza kobiet, o które nikt się nie upomni. Porucznik słyszał plotki o metodach śledczych z innych komisariatów. Zacisnął szczęki i zniósł piętnujące spojrzenie byłej nierządniczki. Siedział z kamienną twarzą, przebijając wzrokiem ściany

pokoju.

– Przyszedł kilka razy – odezwała się Rose pustym głosem. – Za pierwszym razem nic nie zrobił. Za drugim wszystkie nas dokładnie obejrzał... Powiedział, że jak się spisujemy, to czeka nas wielka przyszłość. Najlepsza z nas, kto wie, może nawet pojedzie do Los Angeles. Więc się starałyśmy. – Wbiła wzrok w blat stołu. Ramiona drżały jej ze zdenerwowania. – Najpierw było normalnie. Chyba. Inni przynajmniej tak samo chcieli. Później jednak, gdy stwierdził, że się nadajemy, porobił nam zdjęcia. Nago. A później... – Głos dziewczyny łamał się coraz bardziej. – A później przyniósł taki inny aparat. I kazał nam z mężczyznami przed nim... Mówił, że to działa magia, i musiałyśmy robić, co chciał. Palił różne duszące kadzidła. A później zabrał gdzieś Mary. Gdy wróciła, była jakaś taka dziwna. Bała się. I chyba ją bolało, bo błagała, by jej nie brali, gdy przychodzili...

Tu nie wytrzymała. Rozplakała się, dając upust nerwom. Legrasse podał jej chusteczkę. May Rose jednak odrzuciła głowę do tyłu i zanosła się histerycznym płaczem. Komisarz nie spodziewał się aż takiej reakcji. Nacięcia na ciele i duszy dziewczyny zostały najwyraźniej mocne blizny.

Przesłuchanie było skończone. Tortury także. Legrasse został w dusznym pomieszczeniu, wpatrując się we wskazane zdjęcie. Spoglądał na człowieka o podłej aparycji i głupkowatym wyrazie twarzy.

„Było warto?” – dudniło mu w czaszce, lecz mimo usilnych starań nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Widywał już takie dziewczęta: pyskate, zapłakane lub wyniośle milczące. Wszystkie przestraszone. Na każdą miał inny sposób, bo w chwili, gdy siadały po przeciwnej stronie stołu, stawały się jedynie źródłem wiedzy. Legrasse całe życie poświęcił zaś na wydobywanie z ludzi informacji, na pogoń, na pościg za umykającym cieniem. Tylko pościg miał znaczenie, choćby wiódł przez dolinę cierni. Poczł się zmęczony.

Stuglik znakomicie odnajdywał się w swojej roli ambasadora. Rose chlipała. Starsza prostytutka trzymała ją pod ramię, gdy opuszczały niewielki pokój przesłuchań. Stuglik dopełnił formalności. Czerwona od łez i nerwów szesnastolatka była drugą z trzech uratowanych



dziewczyn przetrzymywanych w piwnicy meliny. Była też druga, która bez porozumienia z pozostałymi wskazała głupkowate oblicze Belaira. Trzeci potencjalny świadek, Mary Caruso, uciekła z domu panny Leny. Ostatecznie wybrała życie na ulicy. Pod tym względem statystyki policyjne były od dawna jednostajne: dziewczyna, jeżeli trafiła w objęcia brutalnego życia za wcześnie, nigdy nie wracała z otchłani. Nie do końca. Takich przypadków było mnóstwo. Rose May miała szansę, Mary Caruso najwyraźniej jej nie miała. Nieprzychylni pokpiwali, że to jedyny dom z Niebieskiej Książki, który się uchował, bo był poza granicami dzielnicy czerwonych latarni<sup>19</sup>.

Z zadumy wyrwał go znajomy głos. Brwi Polaka zbiegły się w gniewną marsową linię.

– Pora chyba kogoś kopnąć w dupę...

– Nawet wiem kogo – rzucił zimno Legrasse, spoglądając na wciąż otworzoną księgę z wizerunkami podejrzanych.

Stuglik rzucił na blat stołu cienką aktówkę zawierającą kilka sądowych odpisów i kopie raportów. Bertrand Belair był doskonale znany obyczajowce. Ekshibicjonista, sutener, który ostatecznie skończył jako nieudolny handlarz opium. Po opuszczeniu lokalu zniknął z oczu wywiadowców, bynajmniej nie za sprawą spotkania z ostrzem w ciemnej bramie. Po prostu zapadł się pod ziemię. Jego los zapewne pozostałby nikomu niepotrzebną niewiadomą, gdyby nie upór pewnego komisarza.

\*\*\*

Kolejne trzy dni upłynęły Legrasse'owi na mozolnej rutynie administracyjnej przeplatanej równie niewdzięczną dłubaniną śledczą. Przynajmniej trupów nie przybyło, za co porucznik był wdzięczny losowi. Od przeglądania i wypełniania dokumentów piekły go oczy. Każdy aspekt jego pracy przypominał orkę na ugorze. Ściągnięci na komisariat doliniarze, kieszonkowcy i cały przestępczy drobiazg Dzielnicy Francuskiej nie powiedzieli niczego, czego by już

nie wiedział. Jakby nic się nie wydarzyło. Jakby magia pokazała swoją moc i zniknęła, schowała się gdzieś w oczekiwaniu na odpowiedni moment... Szpicle oraz wywiadowcy donosili mało i w większości nieskładnie. Jedynym wymiernym sukcesem mógł się pochwalić Stuglik, który osobiście połamał nos, rękę oraz nogę sutenerowi. Dziwki chociażby z wdzięczności mogłyby pisać słowo, ale nie... Z lęku przed aresztowaniem gotowe były zeznać dowolną bzdurę. W końcu któreś wymknęło się coś sensownego i udało się ustalić personalia kogoś, kto znał kogoś, kto jakiś czas temu kontaktował się z Belairem. Machina ruszyła.

Ku zdziwieniu Legrasse'a Belair otworzył niewielki, acz niezłe prosperujący zakład fotograficzny. Komisarz uważał, że zakazana gęba mężczyzny nie nadaje się do firmowania jakiegokolwiek legalnego interesu. Niemniej większość przeciętnych obywateli nie wykazywała dostatecznej czujności czy inteligencji i nie zauważała tępego, bezwzględnego wyrazu twarzy fotografa. Ani oblicza bezideowego łajdaka. Natomiast z policyjnych akt wynikało jedno – to człowiek zdolny do wszystkiego.

By nie prowokować Biura, Legrasse oddelegował sprawę Stuglikowi, nadzorując formalnie postępy. Dzięki temu prostemu wybiegowi do uszu komendanta nie dochodziły niepokojące sygnały o śledztwie, którego nie powinno być. Oficjalnie komisarz prowadził dochodzenie obyczajowe.

\*\*\*

Zatrzymali się na mało ruchliwej ulicy. Po jednej stronie ciągnęły się długą ścianą niskie kamienice. Na parterze większości znajdowały się drobne punkty usługowe, warsztaty i sklepiki: piekarnia, szewc, krawiec. No i fotograf. Po przeciwnej stronie brukowanej ulicy miejscy architekci zaprojektowali niewysoki mur. Wzdłuż niego ciągnęły się latarnie oddzielające trakt spacerowy od Missisipi. Zaparkowali tuż przy zakładzie fotograficznym z brudnym oknem wystawowym. Szydł, front, a nawet pokazowe prace bardziej przywodziły na myśl zakład pogrzebowy. Brakowało jedynie

sosnowego pudła... Policjanci nie mogli jednak sprawdzić artyzmu i jakości innych dzieł, ponieważ interes był zamknięty na cztery spusty. Nagle usłyszeli podniesione głosy dochodzące z naprzeciwka. Po drugiej stronie ulicy, obok niewysokiego murku, dwóch mundurowych stało ściśniętych przy słupie zwieńczonym niewielką, obdrapaną skrzynką. Jeden z nich, żywo gestykułując, nadawał komunikat do słuchawki policyjnego telefonu. W kierunku Legrasse'a i Stuglika podbiegł trzeci. Stuglik ruszył bez słowa za szefem. Policjanci, spostrzegłszy zbliżających się cywilów, ucięli rozmowę i zablokowali przejście.

– Cofnąć...

Młokos z wypielegnowanym wąsikiem umilkł w połowie zdania na widok dwóch odznak. Formalnie znajdowali się poza swoim rewirem, ale administracyjne linie na mapie miasta często rozmijały się z rzeczywistym zasięgiem danego komisariatu. Legrasse świadomie chciał wykorzystać tę możliwość. Byli dokładnie w połowie drogi pomiędzy Bywater a Dzielnicą Francuską.

– Porucznik Legrasse – rzekł oficjalnym tonem. – Sierżant Stuglik. Ósmy dystrykt.

– Wiem. To jest... Brady O'Branain! Piąty dystrykt, panie komisarzu – zsalutował powtórnie. – Bo my tu na patrolu. I...

– I trafili umrzyka – dorzucił drugi. – O tam, w dole.

Legrasse ze Stuglikiem zeszli po wyszczerbionych schodkach, mijając posterunkowego wciąż trzymającego słuchawkę przy uchu. Chłopak z zapalem potakiwał głosowi po drugiej stronie kabla telefonicznego. Rozglądali się uważnie wokół, szukając czegoś, co mogło być istotne dla zdarzenia. Trup nieznanego leżał z twarzą wciśniętą w śmierdzące błoto. Komisarz mimowolnie skrzywił się na myśl, jaki wyraz mógł zastygnąć na obliczu nieszczęśnika. Nie miał wątpliwości, że był to grymas pełen bólu i przerażenia. Współ z sierżantem ostrożnie obrócili ciało, chcąc sprawdzić, kto tak gwałtownie i najwyraźniej bez własnej woli opuścił ten świat. Od razu pożałował swej gorliwości. Wszystko wskazywało na to, że znaleźli jednego z francuskich agentów.

Na pierwszy rzut oka wyglądał na pechowca, który pojawił się

w złym miejscu o złej porze, zebrał solidne uderzenie pałką w głowę i wraz z wydrenowanymi kieszeniami trafił do rynsztoka. Legrasse uznał, że pora podsumować nowe nieoczekiwane okoliczności. Proste przeszukanie terenu z możliwością skierowania podejrzanego do aresztu wydobywczego bardzo szybko uległo życiowym korektom. Po pierwsze, na miejscu okazało się, że nie ma kogo drutować. Po drugie, tuż obok zakładu podejrzanego mieli zdecydowanie nieżywego człowieka. Po trzecie, nie był to Bertrand Belair.

Legrasse kucnął cały czas przy zwłokach i zasłaniał Stuglikowi cały widok. Sierżant nie mógł ocenić sytuacji i wyraźnie mu to nie odpowiadało.

– I jak, szefie?

– Całkiem nieżywy – odparł cierpko porucznik. Zerknął przez ramię w stronę Stuglika. Ukradkowe spojrzenia innych funkcjonariuszy kręcących się po miejscu zdarzenia podziały na niego jak płachta na byka. – Reszta wynocha, bo tu zادةczecie nawet ślady pazurów niedźwiedziach poślóbionych w kamieniu!

Mundurowi zniknęli niczym robactwo na widok światła. Legrasse wbił gniewne spojrzenie w martwego mężczyznę. Mimo wysługi lat nie był w stanie oswoić się z widokiem śmierci. Zwłoki zawsze wyglądały źle. Te tu przynajmniej nie były napuchniętym, zalatującym zgnilizną topielcem. Szczęśliwie w niczym też nie przypominały ciał zalegających w porzuconych okopach.

Przymknął oczy i nachylił się nad zwłokami, przygotowując na najgorsze. Nie poczuł jednak ani porażającej zmysły, mdlącej trupiej słodyczy, ani tej szpitalnej, trącej śliwką. W ich miejsce zarejestrował niezbyt silną woń alkoholu. Trącił zewnętrzne kieszenie marynarki denata. W prawej widoczne było znajome wybrzuszenie. Legrasse delikatnie wydobył piersiówkę.

– Przymiała jak na takiego chłopca – mruknął sierżant. – Jeżeli po takiej ilości chłopca się zataczał, to musiał cherlawą mieć głowę. Albo lubił mieć przy sobie coś na pokrzepienie w chwili trzeźwości.

Legrasse westchnął, słuchając konkluzji. Ostrożnie odchylił głowę trupa raz w lewo, raz w prawo. Nie dostrzegł żadnych głębokich ran ani pęknięć. Kark nie sprawiał wrażenia skrzyconego, a co ważniejsze,

steżenie pośmiertne nie zdążyło nastąpić.

– Przypomnij no mi, Stuglik, czemu cię jeszcze nie zdegradowałem, hm?

Polak wzruszył ramionami, przyglądając się, jak porucznik sprawdza pozostałe kieszenie garderoby mężczyzny w poszukiwaniu dokumentów lub portfela.

– Co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, że moja pani żona, za przyzwoleniem pana komisarza, nogi z dupy by mu wyrwała, a czerep we wiadomy otwór zatknęła... A po drugie... Rabunek? – zainteresował się nagle Stuglik, przerywając swój wątek.

– W to pierwsze nie wątpię – mruknął bez cienia gniewu na przyjacielski przytyk Legrasse. – W to drugie już bardziej. – Przyglądził brodę, kierując wzrok ku szczytowi schodów. – O’Branain! – huknął. – Odczekał chwilę, zanim dostrzegł sylwetkę policjanta. – Chcę świadka – warknął. – Ktoś coś musiał widzieć. Jak trzeba, masz wyważać drzwi do mieszkań, ale chcę świadka oraz zeznania!

Stójkowy albo nie dbał specjalnie o jurysdykcję, bo przełożony to przełożony bez podziału na administracyjne sektory, albo bał się zwrócić uwagę znacznie wyższemu stopniem oficerowi na to, że nie podlega jego rozkazom. Cokolwiek motywowało chłopaka, z pełnym zaangażowaniem skupił się na przydzielonej robocie.

Tymczasem Legrasse i Stuglik dumali nad stygnącym ciałem. Zwłoki mężczyzny były wiadomością. Mało wyszukaną, tendencyjną i do bólu pospolitą. Co innego ustawiony tuż obok ciała pokraczny totem. Wprawiał w osłupienie, paraliżował strachem, sięgając bezbłędnie do najskrytszych, pierwotnych lęków. Patrzyli na pokraczną konstrukcję, na rozczapierzaną kościaną rzeźbę ulepioną z błota, zwierzęcych czaszek oraz ludzkiego czerepu, z którego wypływały macki kalmara. Na czerepie ktoś wyrył symetryczne kształty opisane na prostym planie krzyża.

– Wygląda jak jakieś... – Polak odchrząknął. – Bo ja wiem, *loa*? Jakiś szalenciec chciał tu złożyć swoją ofiarę?

Wokół stracha uplecionego z połamanych badyli oraz kości kłębiły się osobliwe cienie, momentami przypominające migotliwą, atramentową ciemność.

– Nie wiem. – Legrasse chrząknął poirytowany. – Ale cholera nie wygląda jak coś, co się robi w kilka minut. Gnoj nie tylko miał czas. Jest bezczelny. – Spojrzał na finezyjnie podrapany czerep. – Śmieje się nam w twarz.

Jak spod ziemi wyrósł obok stójkowy i zapominając o obawie przed reprimendą, że powinien być w całkiem innym miejscu, odezwał się wyraźnie poruszony:

– Pieroństwo cholerne, za przeproszeniem pana oficera! Biuro Śledcze już wysłało swoich ludzi i zabronili czegokolwiek tykać.

Posłał wymowne spojrzenie Stuglikowi badającemu fakturę nacięć na czaszce wieńczącej ponury totem. Ten jednak nie przejął się zbyt wiele informacją o nadciągającej kawalerii w czarnych prochowcach. Obrzucił niechętnym spojrzeniem stojącego na schodach stójkowego.

– Diabelstwa nie wolno ruszać – powtórzył krawężnikowy.

Jego twarz wykrzywił grymas zniesmaczenia doprawiony szczerym, katolickim oburzeniem. Legrasse nie znał chłopaka i zaczął podejrzewać, że ma przed sobą informatora McNilla. To by tłumaczyło, czemu on jeden zdobył się na zuchwałość pouczenia starszych stopniem. Legrasse zaklął w duchu.

– Zostawcie, sierżancie – mruknął. – Poczekamy.

Po chwili namysłu spojrzał na posterunkowego.

– A skąd niby Biuro wie? – zapytał, nie spodziewając się odpowiedzi.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że agencja była obiektem marzeń, czci i zazdrości, zwłaszcza wśród najniższych szarż. Któż by nie chciał nosić fedory i po całym kraju ścigać szpiegów, komunistów i mafiosów? Wystarczyło złożyć odpowiedni raport lub, korzystając z policyjnej budki telefonicznej, zadzwonić pod numer lokalnej centrali. Ludzie agencji czasem potrafili to docenić, szczególnie gdy po jakiejś strzelaninie zaczynały im dokuczać braki kadrowe.

– Takie przysły rozkazy – odparł hardo młokos, posyłając komisarzowi zaczepne spojrzenie.

Legrasse był gotów przyjąć, że właśnie został nieoficjalnie oskarżony o lewicowe poglądy, sprzyjanie związkom zawodowym

oraz antyklerykalizm. Zaciśnął pięści, by zetrzeć uśmiezek z gęby mundurowego. Stuglik w porę złapał przełożonego za łokieć, hamując nadchodzący wybuch.

– Cofnij się, młody, z tych schodów – burknął w końcu Legrasse – bo jeszcze co tam naniesiesz. A komentarze zachowaj sobie na pogaduchy pod farą.

Mundurowy spał się, wypinając słuźbiście pierś niczym na defiladzie. Mógłby być żywą ilustracją regulaminu.

– Możesz odejść – odparł sucho Legrasse.

Młokos po chwili zniknął, widząc, że niewiele wskóra. Było jednak pewne, że nie oddalił się daleko. W oczach chłopaka porucznik dostrzegł błysk bezwzględnej ambicji. Iskrę, która spalała wszystko, co stało na drodze do kariery. Dzieciak aż się rwał, by złożyć obrazowy raport, gdy tylko pojawi się federalna kawaleria.

– Cholera... – zaczął Stuglik.

– Ano.

Legrasse wyciągnął paczkę papierosów. Polak ochoczo przystał na propozycję, uzupełniając zestaw o zapalki. Przez chwilę ćmili, wpatrując się w unurzanego w błocie trupa.

– Sataniczny baron torturujący wieśniaków w swoim zamku.

Sierżant zamrugał oczami. Legrasse potrafił go zaskoczyć czy nawet mu zaimponować. Spojrzał na przełożonego z miną człowieka zdolnego do natychmiastowego mordu.

– Abstrakcja. – Legrasse wzruszył ramionami, nie trudził się wyjaśnianiem Stuglikowi czegokolwiek. – Chodzi o absurd. Tu, w tym szlamie, mamy mieszaninę oszołomienia nicością, mesmeryzmu i ezoteryki – sarknął. – Cholera, brakuje tylko podpisanej krwią pieczęci magicznej.

Stuglik przestał mrugać, ale nie znaczyło to, że bardziej przyswoił sens słów komisarza. Przyzwyczyił się do jego gburowatości i tego, że on sam musiał po swojemu ogarniać różne sytuacje.

– Mimo to wzdrygnąłeś się – zauważył trzeźwo. – To jest jak pocztówka, szefie. Ktoś świadomie miesza się w stare sprawy – szepnął, rozglądając się uważnie. – Ktoś może być zainteresowany twoim upadkiem. Tak to wygląda.

Legrasse nie odpowiedział. Wpatrywał się w rzeźbę i usiłował zadać właściwe pytanie. Nie zdążył. Z góry dobiegł go warkot silnika, trzask zamykanych pośpiesznie drzwi samochodowych oraz podniesione głosy. Z bezładnej płataniny zdań po chwili wyłoniły się rozpoznawalne tony.

– Kto? Ach! No tak. Czemu mnie to nie dziwi... Wracajcie do swojej roboty. I ściągnij mi tu ekipę!

Na szczycie schodów pojawił się wyszczerzony Roy Chauvin. Tuż za nim rysowały się kwadratowe sylwetki przybocznych agentów.

– Oto i agent specjalny oraz jego nieodłączni aniołowie dochodzeniowi: agenci Piącha oraz Łom – mruknął Legrasse pod nosem z nieukrywaną niechęcią.

Stuglik prychnął, nie starając się maskować rozbawienia. Agenci federalni zdawali się nie dostrzegać kpiny.

– Johny! Ostatnio widzimy się zbyt często w okolicznościach zawodowych...

Legrasse wykrzywił twarz w grymasie powitania, posyłając przybyłemu ostentacyjnie niechętnie spojrzenie.

– To po ciebie muszą dzwonić. My znajdujemy podejrzanych w toku dochodzenia, nie zastraszania...

Chauvin zdawał się nie słyszeć zaczepnego komentarza. Bez słowa zbliżył się do trupa, wbił weń badawcze spojrzenie. Jakby po dokładnych oględzinach pleców mógł stwierdzić dane personalne, wiek, przyczynę śmierci oraz wytypować zabójcę. Dla uwypuklenia daleko idących domysłów wyduł wargi niczym duszący się karp.

– Wiecie, kto to?

– Nie. I tak. To jeden z Francuzów...

Chauvin nachylił się nad zwłokami, spoglądając w zamglone, ślepe oczy śmierci i westchnął przeciągle.

– A wy tu, po diabła? – zapytał lekko, jakby temat zwłok leżących w błocie pomiędzy nimi był nieistotny. – To nie rewir panów śledczych...

– Chcieliśmy sprawdzić pewną poszlakę w sprawie obyczajowej, którą prowadzi obecny tu sierżant Stuglik. Ja nadzoruję...

– Naturalnie – zgodził się nieprzekonany Roy. – I jak poszło?



– Nijak. – Polak włączył się do słownego pojedynku na kompetencje oraz wpływy. – Podejrzanego nie ma. Za to znaleźliśmy tego tu.

– Ciekawe. – Agent ruszył w górę schodów, z powrotem ku ulicy. Policjanci, nie mając nic więcej do roboty, podążyli jego śladem. – Ten wasz podejrzany... Ciekawe, że akurat tu i akurat teraz. Co to za jeden?

– Bertrand Belair. Fotograf.

– Chyba powinienem z nim też pomówić. – Spojrzał wymownie na obu. – Rozmawialiśmy o tym, Johny. Każdy ma swoje poletko. – Uśmiechnął się fałszywie. – Jakiś pomysł, gdzie może teraz przebywać?

Legrasse wymienił ze Stuglikiem porozumiewawcze spojrzenie. Współpraca z federalnymi rozwijała się w niewymuszony sposób.

– Ustaliliśmy, że prowadzi zakład. Mieszkanie ma na tyłach. – Ton Legrasse'a przeczył spokojnym słowom. – Wejście tylko od frontu. Ma jednak jakiś wynajęty magazyn czy coś takiego.

– Gdzie?

– Lower Ninth Ward.

Chauvin obrócił się na pięcie, rzucając wymowne spojrzenie swoim ludziom. Ci, obleczeni w ciemne garnitury, bez słowa ruszyli do auta, zapuszczając silnik. Roy tymczasem odnalazł wzrokiem gorliwego stójkowego, kręcącego się w pobliżu niczym sęp czający się na resztki.

– Ty tam! Dzwon no mi zaraz na jednostkę w Bywater! Nadaj im, że Biuro potrzebuje za pięć minut wozu i przynajmniej czterech ludzi pod bronią. I przewodnika! A panów... – Spojrzał na policjantów. – Zapraszam ze mną. – Wygląda na to, że mamy świadka do przesłuchania. Biuro stawia.

Ruszyli z piskiem. Na skrzyżowaniu minęli wóz techników kryminalistyki. Na miejsce kierował się też dodatkowy patrol, mający najpewniej za zadanie pomóc w zabezpieczeniu śladów zdarzenia.

Legrasse kłął w duchu. Szanse na to, że porządnie sfotografują i udokumentują miejsce, były niewielkie. Pech chciał, że trafili na kowboja, który chciał pokazać swoją skuteczność.

– Dochodzenie robi się na jakość, nie ilość – warknął.

– Mówiłeś coś, Johny?

Chauvin brzmiał jak zadowolony z siebie dowódca szarżujący na wyludniony przyczółek wroga. Łatwe zwycięstwo, łatwy awans, nic więcej się nie liczyło.

– Nie.

Stuglik uśmiechnął się smutno.

Do celu dotarli po kilkudziesięciu minutach. Odległości może nie były imponujące, ale samo przecięcie Bywater stanowiło wyzwanie. Mimo że dzielnica wydzielona kanałem pamiętała czasy plantacji, obecnie stanowiła jeden z najbardziej kolorowych obszarów miasta. Francuzi, Hiszpanie, Afrykanie, Filipińczycy, Irlandczycy, Niemcy oraz Indianie kształtowali swoją nową małą ojczyznę wedle własnego uznania. Dawne wille oraz farmy obrosły niską zabudową, a życie znalazło sposób na obejście obyczajowego gorsetu. Nikogo więc nie zdziwiło, że to właśnie ta dzielnica była świadkiem finału sporu, który przekształcił się w sądową batalię znaną jako sprawa Plessy kontra Ferguson<sup>20</sup>. Naturalnie segregacja w tramwajach została podtrzymana. Nagrodą pocieszenia było to, że Plessy dołączył do zaszczytnego grona znanych quadroonów oraz octoroonów<sup>21</sup>, z Aleksandrem Dumas na czele.

W milczeniu zagłuszonym warkotem silnika minęli przeprawę oraz Holly Cross, odbijając na zachód, skierowali się w głąb Lower Ninth Ward. Za ich samochodem wyrosła kolumna wozów policyjnych. Krajobraz zmieniał się szybko. Podmiejska zabudowa przerzedzała się z każdym przebytych metrem, podobnie jak bruk na drodze. Coraz częściej za oknami automobili migwały samotne farmy, trupy rezydencji oraz zabudowań plantacyjnych. Z wolna zastępowały je tereny zalewowe i bagniska gęsto porośnięte cypryśnikami.

– Ciekawe, kiedy z tym zrobią porządek – mruknął Stuglik, patrząc na dzikie ziemie.

– Pewnie kwestia czasu – odparł obojętnie Legrasse. – Fort i parafia już są. Dzięki kanałowi pewnie ruszy też osuszanie...

Polak nie odpowiedział.

Po przekroczeniu nieformalnej granicy cywilizacji, jaką był północny odcinek Claiborne Avenue, kolumna pojazdów zwolniła.

Miejscowy gliniarz, wzorem najlepszych gangsterów, stał na progu pierwszego auta, robiąc za przewodnika. W końcu uderzył dłonią w dach, wskazując zjazd. Samochody zbiły się w chaotyczną grupę, wpasowując się w wąską wiejską drogę wiodącą ku ciemności. Reflektory wozów cięły równo mrok, ale na niewiele się to zdało. Dopiero gdy przebili się na drugą stronę linii wysokich drzew, ponownie ujrzeli światło.

– Nieźle to ukryte.

– Aż za dobrze – mruknął Roy Chauvin. – Cholernie daleko...

Legrasse poruszył się niespokojnie. Od dłuższego czasu nachodziło go irracjonalne poczucie zagrożenia, bliżej nieokreślony lęk, który chwilami wręcz paraliżował.

– Zależy dla kogo – rzucił ni to do siebie, ni to do pozostałych.

Tymczasem zapuszczona droga doprowadziła ich przed zaniedbany dom, którego pozostałości utrzymane były w stylu kolonii francuskiej. To, czego nie zrobiła ludzka ręka, przetworzyła na swoje potrzeby natura. Niski, piętrowy dom pokryty liszajami pleśni oraz rozkładu nie zachęcał do odwiedzin. Gdyby Murnau chciał nakręcić kontynuację *Nosferatu*, to miejsce idealnie nadawałoby się na siedzibę luizjańskiej strzygi.

Samochody rozwinęły szpaler, rozjeżdżając pozostałości niewielkiego podjazdu. Zatrzymały się w linii, odgradzając kierunek, z którego mógł nadejść atak.

– To stara posiadłość Delfosse – rzucił miejscowy policjant, poprawiając na głowie czapkę. – Wytraceni wszyscy na wojnie z Północą. Od śmierci pani Genevieve stoi to puste, choć ponoć ktoś kupił te ziemie...

– Dziękuję, to wystarczy. – Chauvin zbierał się najwyraźniej do rozpoczęcia wydawania rozkazów.

Z drugiego wozu wysypała się niewielka drużyna policjantów zbrojnych w pałki oraz rewolwery. Dwóch towarzyszących Royowi ochroniarzy wyciągnęło z bagażnika ładownice do thompsonów. Chauvin z zadowoleniem zatknął kciuki za szelki opinające z wolna rysujący się urzędniczy brzuch.

– Dobra, panowie. W ramach współpracy między wydziałami... –

łgał jak natchniony. – Biuro wspiera śledztwo nadzorowane przez porucznika Legrasse'a. Zatrzymujemy podejrzanego w łączonej sprawie. – Kolejne gładko rzucone kłamstwo, agentowi nawet nie drgnęła powieka.

Legrasse przyglądał się teatralnej inscenizacji z miną człowieka, którego nic nie jest w stanie zadziwić. W duchu dziękował, że nie ruszyli tropem jakiegoś bardziej krewkiego gangstera. Starczyłoby dwóch zdesperowanych mafijnych żołnierzy, aby zamienić ten zrujnowany kurnik w niezdobytą twierdzę... Tym bardziej że samozwańczy generał był niekompetentnym karierowiczem. Porucznik był gotowy dopaść Roya i dać mu w mordę. Tak dla zasady.

– Ciekawe, czy ich tego specjalnie uczą – szepnął Stuglik, krzyżując ramiona na piersi.

Znajomy głos wyrwał komisarza z objęć narastającego poczucia frustracji. Legrasse starł z twarzy zmęczenie, uspokajając napięte nerwy.

– To chyba wrodzony talent – odparł cierpko.

Agencyjny El Comandante tymczasem w najlepsze perorował, prosząc się o postrzał z pierwszego lepszego wykusza.

– Dom nas nie interesuje – zdecydował. – Tu nic nie ma. Nasi wywiadowcy donieśli, że poszukiwany operuje w magazynie. Tak się składa, że jest tu wozownia...

– To tamten ceglany budynek – dopowiedział miejscowy, silnie zaciągając irlandzkim akcentem.

Został jednak zignorowany przez Chauvina, który najwyraźniej uznał odprawę za zakończoną. Wygrzebał z kieszeni marynarki fajkę, dając jednocześnie znak swoim goryłom do poprowadzenia triumfalnego szturmu.

– Toć ich jak kaczki... – Stuglikowi opadły ręce.

Legrasse nic nie odpowiedział, ruchem głowy dał sierżantowi sygnał do działania. Bez słowa minęli dumnego niczym paw agenta i łukiem zaczęli obchodzić zabudowania. Porucznik poczuł pobudzający zastrzyk adrenaliny. Mięśnie funkcjonowały mechanicznie, mózg przestał filtrować myśli, blokując dostęp

zbędnym informacjom. Wyuczone, zahartowane w boju reakcje zaczęły działać. Kątem oka spostrzegł, że Polak lekko przygarbiony sunie tuż za nim. Luizjańskie bagno zniknęło, a torfowy zapach okolicy ustąpił gryzącemu smrodowi spalonego prochu oraz ludzkich ekskrementów.

Biegli pochyleni. Nie tak dawno jeszcze podobnie przedzierali się przez okopy, kierując wprost na umocnione pozycje wroga. Szczęśliwie ciężkie karabiny milczały, podobnie jak móżdżerze. Wszystko wskazywało na to, że przeżyli kolejny szturm. Legrasse przytulił policzek do zimnej ściany...

Stuglik się uśmiechnął. Nie był już umorusanym błoćkiem piechurem, który w bitewnym zgiełku pomylił pułki. Zgodnie przywarli do chłodnego muru z cegieł. Znowu zapachniało porostami oraz wilgotną ziemią Luizjany. Pozostali mundurowi także dopadli do czołowej części starej wozowni. Okute stałą dwuskrzydłowe drzwi wyglądały na nowe oraz solidne. Nigdzie nie było śladu kłódki ani łańcuchów. Nawet jeśli ktoś korzystał ze starego budynku, nie spodziewał się nieproszonych gości.

– Dobra, Polaku, osłaniaj... – zażartował, poprawiając chwyt na rękojeści rewolweru.

Jeden z agentów, zachęcony ciszą oraz niemą publiką złożoną z policjantów, z rozmachem kopnął bramę wozowni. Legrasse wychwycił charakterystyczny trzask elektrycznego zwarcia. Chciał krzyknąć, ale nie zdołał.

Kula ognia przetoczyła się niczym walec, roztrzaskując wszystko, co po drodze natrafiła. Ceglany mur wydał się jakby był z gumy. Huk wybuchu porażał. Najpierw gruchnęły masywne drzwi wraz z framugami, tańcząc niczym opętane diabelskim śpiewem. Wyrwały z butów pierwszego pechowca, urywając drugiemu ramię. Podmuch eksplozji zrobił swoje, rozrzucając pozostałych niczym szmaciane lalki. Wszystko pożarła rażąca ogniem chmura drobin szkła. Ognisty bicz smagnął, niosąc ze sobą drobiny potrzaskanej elewacji.

Legrasse padł odruchowo, nakrywając głowę ramionami. Nad nim rozpętało się piekło. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że leci, pchany siłą wybuchu. Mógł jedynie biernie przyjmować razy. Mignęło

mu, jak Stuglik w pęknięciu bąbla wrzącego powietrza ulatuje w bok. Zarejestrował blok ceglanego muru koziółkujący po ziemi i rozgniatający anonimowego posterunkowego.

Nagle, na ułamek sekundy, pandemonium umilkło, a odkształcona rzeczywistość zafalowała niczym pustynny miraż. Oszołomiony umysł rozpaczliwie usiłował przetworzyć wszystkie bodźce. Legrasse zacisnął oczy, wiedząc, co zaraz poczuje... Świat utonął w kakofonii wrzasków, huku oraz żaru. I jeszcze większego bólu, kłusającego falami jak wściekły szkwał.

Uderzył głową o ziemię po raz drugi. Ostatnia świadoma myśl Legrasse'a rozpadła się, wpuszczając do umysłu ciemność.

## Rozdział 7. *Cherem. Cień*

Z namysłem rozłożył wyświechtaną kartkę papieru, odczytując po raz kolejny lakoniczną wiadomość przesłaną przez Wilbura: „Stary odszedł, z matką coraz gorzej. Wracaj do domu, lękam się, że sam nie dam rady. Zdobądź księgę”. Westchnął ciężko, obracając list i sunąc palcem wzdłuż linii zagnieceń. Machinalnie zaginał kartkę, dopasowując kolejne elementy. Rozsiane, przypadkowe kreski oraz plamy, dla postronnej osoby wyglądające jak zabrudzenia na tanim papierze z odzysku, zaczęły składać się we wzór. Zawinał róg, dopasowując go do jednej z krawędzi.

Krok po kroku z chaosu zgieć oraz linii wyłaniał się sferyczny diagram wyobrazający drzewo Qliphoth. Westchnął mimowolnie i odczytał ukrytą wiadomość. Głęboko w głowie usłyszał szeleszczący głos dziadka rozwodzącego się nad *Sitra Archa*, domeną straszliwych bogów. Jedediah zadrżał na wspomnienie wykrzywionego irytacją starczego oblicza Whateleya zzymającego się na ludzką ignorancję.

– Gdyby tylko ci wszyscy – mruknął, naśladowując głos dziadka – udający świątłych, ci idioci podający się za wiedzących, ci durnie kupczący strzępami Sztuki odczytali prawdziwe znaczenie. – Zachichotał, spoglądając ukradkowo na przerdzewiałą psią klatkę i zwinięty w jej rogu niewyraźny kształt w łachmanach. Dzieciak, który węszył obok jego domu, szczyl, który go śledził, leżał nieruchomo. Cień wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu. – Ci wszyscy durnie najpewniej wydrapaliby swoje ślepie!

Poczuł, jak przyjemny dreszcz rezonuje w jego potężnym cielsku, zachęcając do dalszego działania. Jakby duch dziadka przemawiał przez niego. Otarł mięsiste usta dłonią i uroczystym gestem zgiął ostatni kawałek listu, wydobywając w migotliwym świetle lampy olejnej pełnię wzoru magii geocji.

– Odkąd demony nie są zapraszane, przychodzą same – rzekł spokojnie, usiłując spojrzeć przez wzór w głąb zimnej pustki wszechświata. – Potrzebują jedynie bramy.

Przesunął ostrożnie palcem po kulistych sferach opisanych na siatce linii symbolizujących demoniczne zależności. Przez chwilę spoglądał na wzór boskości, naiwnie czekając na sygnał obecności wyższego bytu. Jednak szybko zganił się w myślach. Yog-Sothoth, Pożeracz Dusz, nie przybywał na wezwanie każdego, nawet własnych synów.

„Pan czasu oraz przestrzeni, Brama Przedwiecznych, potrzebuje zachęty” – głos dziadka w głowie Jedediaha był wyraźny oraz stanowczy. Dokładnie takim tonem wydawał wszelkie polecenia.

Mężczyzna spojrzął nad ramieniem na skulone w psiej klatce dziecko. Poczul przyjemne ciepło rozlewające się po całym ciele – wiedział już, co zrobi ze wścibskim smarkaczem.

– Wszystko w swoim czasie – rzekł na głos, śledząc reakcje swej ofiary.

Dziecko unikało jego spojrzenia, kuląc się w kącie. Obdartus załkał cicho. Jedediah uśmiechnął się przyjacielsko, wykrzywiając porytą bliznami gębę, sycąc się strachem, którego odór niósł się z klatki wraz ze smrodem moczu.

– Wszystko w swoim czasie – powtórzył, dyscyplinując swój umysł.  
– Najpierw obowiązki. Muszę przyznać Sztukmistrzowi. – Zerknął wymownie na chłopca, zadzierając lekko podbródek niczym wytrawny mówca. – Muszę przyznać. Po niepowodzeniu pierwszego spisania dobrze to przemyślał. Ukrył te wywłoki, te kurewki. – Z uśmiechem oblizał wargi. – Ukrył i teraz ich nie znajdą. A nawet jeśli, nas już nie będzie. – Uśmiechnął się promiennie. – Wszystko w swoim czasie.

Ostrożnie schował list do kieszeni, skupiając uwagę na niewielkim pudełku, w którym umieścił *loa*. Wielebny w tej sprawie był nad wyraz precyzyjny, zabraniał zbliżać się do wszędobylskiego gliniarza. Gdy tylko dowiedział się, kto poza Francuzami węszy wokół sprawek Sztukmistrza, wpadł w histerię. Na zmianę śmiał się, miotał klątwy oraz ciągnął własne włosy. Cień przez chwilę myślał, że kapłana niespodziewanie dotknął palec któregoś z niewidzialnych duchów błakających się po ziemi i sprowadzających obłąd na śmiertelników. Szybko jednak czarny kapłan zdołał zapanować nad umysłem.

„To nasz wróg, nasz zaciekły przeciwnik – rzekł. – Od lat tropi



naszych braci. Obserwuj go, Cieniu. Działania tego głupca sprowadziły na nas uwagę wielu. Musimy wiedzieć, co wie Legrasse”.

Nie rozumiał podenerwowania kaznodziei, człowiek wskazany jako zaciekły wróg bractwa nie budził w Jedediahu respektu. Nie rozumiał, jak podstarzały pijak może komukolwiek zagrażać, ale nauczony doświadczeniem nie wyraził głośno swojej wątpliwości. Zamierzał grać rolę potulnego przygłupa tak długo, jak długo będzie musiał, aby wreszcie odebrać księgę. Gdy to się zaś stanie, gdy *Codex Susurrus* będzie kompletny, pokaże tym wielkomięjskim kuglarzom, szamanom z przypadku wypaczającym Sztukę, jak wygląda prawdziwy gniew bogów. A później z Wilburem otworzą Bramę.

Mruczając i kiwając głową, zaczął spisywać krótką wiadomość, jaką zamierzał wepchnąć w pysk martwego zwierzęcia. Stary pastor Klein przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, do czego posłużą jego nauki. Istnieje wiele rodzajów magii, ale nic nie może równać się z potęgą słowa. Jedyne, co trzeba, to umieścić w umyśle człowieka odpowiednie wyrażenie i czekać, aż pajęczyna strachu zacznie oblepiać jaźń ofiary. Jedediah uśmiechnął się jadownicie.

\*\*\*

Legrasse przyjrzał się uważnie zawartości szklanki, czując na języku słodkawy posmak zadowolenia. Chociaż prohibicja nie była egzekwowana z całą surowością umundurowanego prawa, to jednak zdołała popsuć rynek. Destylaty były albo podłe, albo wprost parszywe. Bez odpowiednich znajomości o dobrym jakościowo bourbonie można było tylko pomarzyć. Porucznik nie lubił tępić własnej irytacji byle czym.

Z drugiego końca wysłużonego biurka ponuro spoglądał na Legrasse'a opalizujący stwór. Maszkaron siedział przykucnięty na niewielkim cokole niczym dziecko wpatrujące się w odmęty sadzawki. Trwał w tej pozycji od wieków. Ze wszystkich rzeczy na świecie jednego Legrasse był zupełnie pewien: istota wykuta w lśniącym kamieniu łąpała ślepiami na ludzkość od eonów. Szyderczy grymas nie zniknął z oblicza gargulca. Jak urwis

z kamieniem skrytym w zaciśniętej pięści czekał na swoją ofiarę. Porucznikowi wydawało się, że ramiona straszdyła zadrżały w ironicznym chichocie.

– Pieprzę cię! – Zirytowany wycelował palcem w bałwana. – Pieprzę cię, słyszysz?!

Szerokim gestem machnął szklanicą o przeciwległą ścianę. Na zgnilej żółci pojawiła się plama i rozlała brzydko, zmierzając ku podłodze. Legrasse przez chwilę wpatrywał się gniewnie w liche drzwi, gotowy wyładować złość na kimkolwiek, kto ośmielił się przez nie zajrzeć. Nikt jednak się nie zjawił. Jego jedynym kompanem była pustka. Odetchnął głęboko i sięgnął do szuflady po drugą szklanekę, którą natychmiast uzupełnił. Alkohol nie stłumił gniewu, ale przyjemnie stępił zmysły. Przez chwilę przyglądał się Klarze leżącej bezpiecznie na blacie biurka, rozważając brutalny zamach na jej szmaciany tułów. Zrezygnowany westchnął. Paciorkowe oczy lalki gapiły się w niego tępo.

– Jasna cholera.

Za oknem przez St. Charles Street z hukiem i gracją wystrzelonej kuli armatniej zadudnił tramwaj. Zielony skład zbudowany w zakładach Ford, Bacon & Davis pomknął w stronę Carrollton Ave, ciągnąc za sobą chmurę kurzu. Pasażerowie zajmujący przednią część wagonu niewiele sobie z tego robili. Czarni podróżni ściśnięci w tyle musieli zadowolić się tym, że w ogóle zdołali wejść do wozu. Nic nie oddawało pełni ducha doktryny „oddzielne, lecz równe” jak komunikacja miejska.

Zerknął na obdrapany kalendarz ścienny. Dwa miesiące. Potrzebował ponad dwóch miesięcy, by odstawić w kącie łaskę. Szczęśliwie nic nie zmiażdżyło mu nogi, nie urwało ramienia, nie rozerwało na strzępy, czego doświadczyło paru innych nieszczęśników. Nic nie roztarło go po ziemi, zamieniając w dżem. Lub w żywego trupa zagubionego w labiryncie własnych snów, tkwiącego w trumnie szpitalnego łóżka. Poczul, jak paląca fala gniewu zaczyna go dławić na równi z łzami bezsilności.

„Trepanacja czaszki była nieodzowna” – zadudnił mu w głowie głos lekarza.

Stuglik nie zdołał wybudzić się ze śpiączki. Legrasse'a przeszył zimny dreszcz. Gdyby tylko stanęli bliżej tych piekielnych drzwi, to nikt by nie doszedł, gdzie się zaczyna jeden, a kończy drugi.

Chcąc zagłuszyć dudnienie myśli, sięgnął do aktówki i po raz setny przewertował doskonale znane mu dokumenty. Mógł jedynie kląć w głos. Bertrand Belair został znaleziony niespełna tydzień po wypadku. Martwy. Zabezpieczone na miejscu ślady wskazywały na przedawkowanie kokainy, która częściowo poraziła układ nerwowy i tak rozweseliła mężczyznę, że nie zauważył, jak się topi w wannie. Przez chwilę podejrzewano udział Mary Caruso, którą znaleziono w pokoju obok. Przez chwilę zakładano fatalną w skutkach sprzeczkę kochanków. Ewentualne zabójstwo ze skutkiem zamierzonym nie było brane pod rozwagę, bo i po co? W toku postępowania skupiono się na narkotykach. Wedle oficjalnego raportu mężczyzna się zaćpał, a kobieta, najprawdopodobniej także znajdując się pod wpływem środków odurzających, popełniła samobójstwo. Gdy znalazła kochanka nieżywego, wiedziona psychodelicznym amokiem, targnęła się na własne życie, wkładając głowę do piekarnika, wcześniej odkręciwszy gaz.

„Teatralne” – pomyślał po raz wtóry Legrasse.

W mieszkaniu znaleziono także dwie książki. Zacytowaną, wielokrotnie pokreśloną *Szkarłatną literę* Hawthorne'a oraz równie z maltretowaną Biblię. W obu na marginesach, poza absurdalnymi komentarzami, umieszczono całą masę pogańskich symboli, szkiców oraz diabelskich piktogramów odwołujących się do wudu. W kieszeni marynarki mężczyzny znaleziono plik komunistycznych ulotek. Mówiąc krótko: miejsce było tak pieczołowicie garnirowane sugestiami, że brakowało jedynie płonącego pentagramu.

Legrasse w zamyśleniu podrapał policzek. Sprawa została zamknięta w godnym pozazdroszczenia tempie. Wszystkie elementy układały się w logiczny ciąg: oszołomiona kobieta wpadła w panikę, w następstwie czego popełniła samobójstwo z przyczyn obyczajowych. Kokaina w tle to tylko wisienka dla zwolenników ustawy Harrisona. Błędy proceduralne nikogo nie interesowały. Oczywiście, widziano całą masę ludzi na miejscu zdarzenia. Ludzi,

których trudno jednoznacznie połączyć: handlarze, mechanicy, uliczni szarlatani, marynarze, Cyganki odczyniające wróżby oraz gazeciarze. Żółtodziób klekący czynności przygotowawcze był bardziej skupiony na poprawnym wykaligrafowaniu własnego nazwiska niż na policyjnej robocie.

Legrasse zmarszczył brwi. Tanie okultystyczne dodatki, wyświechtane karty tarota, woreczek bagiennych ziół to dekoracje, nie miał co do tego wątpliwości. Cud, że zostały spisane. Same w sobie nic nie znaczyły, ot, kolejny przejaw fascynacji spirytyzmem. Nowy Orlean to nie Nowy Jork ze swoimi klubami zblazowanych bogaczy pokroju Blackburn Cult, bawiących się w luksusowych stręczycieli. Gdyby jednak ktoś zaczął pytać, łączyć kropki, wygrzebywać inną zamkniętą sprawę zamęczonej dziewczyny, to jak na tacy dostałby proste rozwiązanie wraz z martwym sprawcą. Oczywiście, gdyby ktoś drażył.

No i znowu marynarz. „Postawny, raczej brzydki, ale biały”, jak zeznała jedna ze spisanych dla formalności kobiet handlujących kwiatami na rogu.

Legrasse upił łyk bimbrowy, czując spływający przełykiem żar. Im więcej alkoholu krążyło w żyłach, tym trzeźwiej myślał. Zapomniał o diabelstwie z kamienia, o roztańczonych szaleńcach na bagnach. Naskrobał ogólnikową notatkę, usiłując uchwycić drugie dno.

Policja nie miała czasu na drażnienie spiskowych teorii. Sprawę można było tylko umorzyć. Zwłaszcza jeśli ktoś nalegał, aby nie poświęcano zbyt wiele uwagi potencjalnym połączeniom pomiędzy skompromitowanymi dochodzeniami lub nieszczęśliwymi wypadkami.

„Kurwa”.

„Jesteśmy wdzięczni za wkład oraz poświęcenie” – tak właśnie pożegnał go komendant, uśmiechając się fałszywie. Uścisk dłoni oraz wymowne wskazanie papierów czekających na podpisanie.

Legrasse roztarł skronie i zamknął akta będące bolesnym dowodem żalostnej kondycji rodzimej kryminalistyki. Równie dobrze mógłby do tej sprawy przydzielić zapijaczzonego bezdomnego. Mógłby, gdyby nadal był szefem wydziału. Zaklął w duchu, czując jak krok po kroku

osuwają się w czarnowidztwo. A powinien czerpać radość z tego, że nie musi już zawiadywać zbieraniną gamoni, których wiedza kryminalistyczna ze sporym luzem mieściła się za otokiem służbowej czapki. Poirytowany wbił wzrok w na wpół przeszklone drzwi, odcyfrowując po raz kolejny odwrócone nazwisko poprzedniego właściciela nory imitującej poważne biuro agencji wywiadowczej.

Owen Yeates, zwykle na kacu z paczką papierosów w garści. Legrasse się skrzywił, rozglądając po klitce, którą przejął po detektywie. Śmierdziała antykwariatem, ale bogom niech będą dzięki za barek. Prawdziwa perła wśród meblarskich popisów Yeatesa. Jak przystało na skarbiec pijaka, nielegalna zawartość mieniła się w butelczynach. Pomiedzy bezimiennymi flaszkami dostrzegł kilka etykietowanych. To, że nie zostały rozdrapane po śmierci prawowitego właściciela, zakrawało na cud. Legrasse uśmiechnął się ponuro, przepijając do martwego poprzednika. Yeates wraz z ostatnim tropem rozplątał się w ogniowej kuli wybuchu. Porucznik nie mógł nie doceniać ironii losu. Jego ojciec zwykł powtarzać zasłyszaną gdzieś mądrość: „Wszystko ze sobą łączy się subtelnym splotem niewiadomych”. Równie głębokie, co pomocne, głównie przydatne jako wytłumaczenie śladów szminki na kołnierzyku. A jednak.

A jednak. Nieoficjalnie wydalony ze służby siedział w przypadkiem wynajętym biurze, gapiąc się w koślawy napis na oszklonych drzwiach. Pretensjonalna łacińska sentencja okalała również pretensjonalne egipskie ślepie. *Quid est enim novi hominem mori*<sup>22</sup>. Pokręcił głową. Yeates, patentowany kobieciarz, podglądacz i prześladowca kochanków, miał w sobie na tyle polotu, aby logo firmy opatrzyć łacińskim powiedzeniem. Zabrakło mu zapewne miedziaków na dopłatę za drugą część cytatu z Seneki: *cuius tota vita nihil aliud, quam ad mortem iter est*<sup>23</sup>. Na wyperfumowanych klientkach tropiących mężów hulaków topornie wymalowana łacina zapewne robiła wrażenie. Yeates sam prawdopodobnie dzięki niej czuł się lepszy od innych zapitych łapsów, a finalnie dziwaczna wstawka pozwalała nieco podnieść cenę. Nieznacznie. Tyle, by wystarczyło na papierosy. Bo kogo naprawdę mogło obchodzić, że

człowiek umiera, skoro życie jest prostą drogą ku śmierci?

Dobre pytanie. Szukając na nie odpowiedzi, bezwiednie sięgnął po drugą teczkę leżącą niedbale na prywatnym biurku Yeatesa, obecnie Legrasse'a. Malarz. Druga nieodkryta sprawa, którą zabrał ze sobą na emeryturę. Druga, sprawnie i szybko umorzona chwilę po przejściu jego stołka przez Eda Smutsa, któremu można było wiele zarzucić, ale nie brak politycznego rozeznania. Miał zwyczajnie nosa do spraw, które wymagały szybkiego, efektownego zamknięcia przy wykorzystaniu podstawionych kozłów ofiarnych. Nikt nie wątpił, że ten człowiek zajdzie wysoko i zrobi karierę polityczną.

Ed po starej znajomości pozwolił porucznikowi zabrać kopie dokumentów obu spraw, dokładając starań, aby nikt nigdy ich nie otworzył ponownie. Perfekcyjna robota. Lichą zawartość teczki Malarza mógł jednak zawdzięczać tylko sobie, ponieważ ignorował przydział, konsekwentnie spychając sprawę na bocznicę. Efektem czego dysponował jedynie adresem oraz pobieżną notatką imitującą protokół spisany na miejscu. Nawet rozstawione, najwyraźniej przypadkowo, wskaźniki nie pozwalały rzetelnie ocenić odległości między ciałem a potencjalnymi narzędziami zbrodni. Nic. Zupełnie jakby ktoś dołożył starań, aby rozmontować dochodzenie, nim je zaczęto.

Na dnie szuflady leżała jeszcze jedna teczka. Cienka, miała jedynie odręcznie wypisaną kartę identyfikacji oraz wstępny raport. Osobiście dołożył do teczki wycinek z gazety. Ostatnia sprawa Yeatesa: samobójstwo umiarkowanie popularnego polityka średniej ligi. Chwilę przed fatalnym finałem wydrapał sobie oczy. Podobnie jak malarz Legrasse'a. „Wszystko ze sobą łączy się subtelnym splotem niewiadomych”.

Tak oto wyglądało nowe życie porucznika: sprawa osobista, sprawa honoru oraz sprawa dla zasady. Rosnąca bańka frustracji pękła, rozlewając się po umyśle śledczego mdlącym zawrotem głowy. Wszystko zakołysało się niczym szalupa nagle targnięta przez fale, przygotowując nieszczęsnego załoganta o mdłości. Poczł gniotący ból w klatce piersiowej. Usłyszał dzwonięcie w uszach. Ignorując instynkt, dźwignął się z wysłużonego fotela. Potrzebował odsapnąć.

Lekarz uprzedzał, że musi się pogodzić z nowymi ograniczeniami, jakie będzie co jakiś czas napotykał. Przeżył wybuch, dochodzenie do siebie po takim wypadku może potrwać więcej niż zwykle zrośnięcie kości.

Przemierzył od ściany do ściany biuro robiące za salon oraz okazjonalną sypialnię. Potoczył wzrokiem po wciąż nierozpakowanych kartonach z książkami oraz papierzyskami. Ostatnie lata poświęcił na szukanie odpowiedzi, na dociekanie sensu tego, co wraz z kilkoma innymi ujrzał na bagnach w 1907 roku. Stos książek, dziesiątki antropologicznych rozpraw, i żadna nie przybliżyła go choćby o krok do odkrycia sekretu starego Castro.

„Muszę się przewietrzyć” – błysnęło mu w głowie.

– Prywatny łaps – prychnął, spoglądając na tandetnie wymalowane egipskie ślepie. Wcisnął fedorę na głowę, i zamknął za sobą drzwi do biura.

Legrasse wyszedł na ulicę, zatrzymał się i rozejrzał. Przez chwilę wpatrywał się w nijaki front trzeciorzędowego hoteliku dla przyjezdnych pracowników oraz turystów z płyciznami w kieszeniach. Niewielkie pokoje z otwartymi aneksami imitującymi kuchnie oraz ciasnymi łazienkami. Tak teraz budowano dla biednych – szybko, tanio, nie bacząc na elementarny komfort życia. Mimo to wielu cieszyło się, najmując tę namiastkę własnego miejsca na świecie. Wiedziony dziwnym przeczuciem i uciskiem w klatce piersiowej postanowił najbliższą noc spędzić we własnym mieszkaniu, a nie na sofie w biurze. Wbił dłonie w kieszenie płaszcz.

Zapowiadał się ładny dzień w Nowym Orleanie. Możliwe, że nikt nie postanowi tej pogody uświetnić zabójstwem w afekcie. Chociaż... oznaczałoby to nieco grosza. Z tą myślą przekroczył skrzyżowanie i ruszył w stronę tramwajowego przystanku. Nigdzie się nie spieszył, ale to nie znaczyło, że będzie maszerował następne kilkanaście przecznic piechotą. Wskoczył w nadciągający z łoskotem zielony wagon tylko po to, aby wysiąść kilka przystanków dalej.

Znalazł się w spokojnej okolicy. Stąd daleko było jeszcze do sennych przedmieść, ale dzielnica znajdowała się na tyle daleko od termitier rzezimieszków wszelkiej maści, że z czystym sumieniem

można było polecić ją każdemu szukającemu własnej przystani w Nowym Orleanie.

Warsztat ulokowany był na uboczu, z dala od rozedrganych miejskim życiem ulic. Uwagę zwracał prosty szyld z wyrytym nań tylko jednym słowem: Galvez. Wtajemniczeni wiedzieli doskonale, co oznacza. Zaintrygowani sprawdzali na własną rękę. Byli tacy, co wracali po więcej.

Legrasse przekroczył próg warsztatu połączonego ze sklepem. Świeżo polakierowane stoły, komody, regały i siedziska stały rozrzucone po całym pomieszczeniu. Na niektórych znajdowały się kartki z cenami, na innych kulfoniastymi literami uprzejmie informowano, że towar został sprzedany. Wszystko to zaś tonęło w drzewnym pyłe i wszechobecnych wiórach.

– Zara podejść!

Głos dochodził z głębi, z najpodlejszego kąta, skąd słyhać było miarowe chrobotanie metalu o drewnianą powierzchnię. Joseph D. Galvez pochylał się nad stołem warsztatowym, obrabiając masywną dechę, która w nieodległej przyszłości miała się stać częścią jakiegoś mebla.

– Bez pośpiechu – odparł Legrasse, rozglądając się za miejscem zdatnym do siedzenia. W końcu zdecydował się na gustowny, acz surowo wykończony przysadzisty fotel. – Mam czas.

Stolarz na moment poniechał żmudnego dłubania. Nie odwrócił się jednak do niespodziewanego klienta, ważył w dłoni wysłużony strug. W końcu, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, zaklął podle, zgodnie z prawidłami innego zawodu.

– Musimy porozmawiać, Joseph.

Hiszpan odwrócił się i skrzyżował ramiona na piersi. Był postury dorodnego wieloryba i aparycji leśnego zbója. Tylko błyszczące oczy zdradzały żywą inteligencję.

– Sporo czasu ci to zajęło, John – rzucił z satysfakcją, wymawiając imię byłego przełożonego. – Nowy stołek ci się zamarzył i na przymiarce zaszedłeś?

Legrasse w pierwszej chwili chciał pięścią zetrzeć szyderczy uśmiezek z gęby stolarza. W porę się jednak opanował, zajmując



dłonie obmacywaniem ronda fedory.

– Nie – rzucił, rozpinając płaszcz. – Ale zapamiętam ofertę. – Odetchnął pełną piersią, czując spływający spokój. – Kto kupuje te brzydactwa?

Hiszpan zmrużył powieki. Strug z łoskotem wylądował na stole stolarskim. Olbrzym ociężałym krokiem pokonał kilka metrów dzielących go od chłodziarki. Wyciągnął z wnętrza butelkę coca-coli.

– Ci, którzy nie mają co z pieniędzmi robić. Skoro nie mebla, to czego chcesz? Na wspominki cię wzięło? Słyszałem, że w końcu cię wykopali na bruk.

– Pierdol się – odburknął Legrasse. Zacisnął palce na kapeluszu. Wiedział, że były gliniarz świadomie go prowokuje, szukając jakiegokolwiek usprawiedliwienia do bitki. Nie miałby najmniejszych szans w bezpośrednim starciu z nieformalnym mistrzem ringu. Był nieformalnym mistrzem. Joseph D. Galvez przestał trenować w dniu wylania go z pracy. – Ostatnio trafiłem na... – chrząknął, szukając słów – ...na pewien ślad. Trop, powiedzmy. Myślę, czy nie otworzyć starej sprawy. Tej sprawy...

Olbrzym zamarł z szyjką butelki wycelowaną w usta. Złośliwy uśmiech zniknął z jego twarzy. Ściągnął brwi, przez chwilę świdrował porucznika chłodnym spojrzeniem wytrawnego dochodzeniowca. W końcu upił łyk zimnego napoju. Szybko, nerwowo, jakby chciał splukać coś zalegającego w przełyku.

– Wyłapaliście ich?

Legrasse, chcąc nie chcąc, wrócił wspomnieniami do chłodnej nocy na bagnach. Nocy, gdy jego osąd o świecie oraz o człowieku jako najwyższym bycie we wszechświecie trafił do piachu. Wraz z krwią rytualnie pomordowanych kobiet.

– Myślę, że nie – odparł spokojnie.

Nie wyłapali wszystkich, każdy obecny na miejscu zdarzenia doskonale o tym wiedział. W gęstwinie na bagnach nie mieli najmniejszych szans cupnąć wszystkich, a tropienie kogoś bez psów pościgowych na przeklętych rozlewiskach było jak proszenie się o śmierć. Dopadli jednak dostatecznie wielu, w tym starucha, którego uznali za przywódcę kultu. Dłonie śledczego spotniały, serce zaś

załomotało rażone paniczną myślą powracającą przez lata co jakiś czas: John Raymond Legrasse, nieopierzony detektyw, w chwili próby myli się, dając wiarę starcowi, a prawdziwy przywódca szaleńców bezpiecznie przechadza się ulicami jego miasta.

– Coś tak pobladł? – zainteresował się olbrzym. – I co twoja sprawa ma wspólnego ze mną?

– Musisz mi raz jeszcze wszystko opowiedzieć.

Joseph D. Galvez zamrugał oczyma, otwierając na moment usta w przemożnym zdziwieniu. Wyglądał niczym legendarny Samson w chwili zdrady Dalili. Po chwili jednak zorientował się, że nie panuje nad grymasem twarzy i zaczął kontrolować swoją mimikę.

– Ostatni raz jak mówiłem – wycedził lodowatym tonem – to wzięłaś mnie za wariata, pamiętasz? Inni zresztą też. Że niby, jak to ujął stary: „delikatny konstrukt mej psychiki zachwiał się”? Pamiętasz, jak to się skończyło?

Były komisarz uśmiechnął się chłodno, mrużąc oczy.

– Dostałeś szansę odnalezienia się w nowym fachu. I przestałeś chlać.

Joseph gruchnął pięścią w bok chłodziarki.

– Jesteś gnojem, Legrasse. Wszyscy to wiedzą. A co do tysięcy dziewięćset siódmego roku – wycedził przez zęby – wszystko, co miałem do powiedzenia, jest w raporcie.

Porucznik nie zamierzał ustępować. Rozdrapywanie starych ran nie napawało go uznaniem dla samego siebie, jednak doskonale wiedział, że inaczej nie wydobędzie z Hiszpana informacji.

– Znowu zamordowano. Jest gorzej niż poprzednim razem, bo tę dziewczynę torturowano. Nim obdarto ze skóry... – Wyjął z kieszeni płaszcz płaskorzeźbę, układając ją na widoku. – Galvez, gdybym nie musiał, nie przychodziłbym tutaj – dodał. – Wypieprzyli mnie, nie mam dostępu do żadnych akt. – Zabrzmiało to żałośniej, niż planował. – Wiem, że winisz mnie za to, że cię wylali... Co mam powiedzieć? Że przepraszam? Nie powiem tego – rzucił gniewnie. – Bredziłeś, zachowywałeś się, jakbyś miał pijackie majaki...

– Nie ja jeden zachlewałem to, co tam widziałem.

– Ale ty jeden gadałeś w biały dzień o widmowych szeptach

i podwodnym potworze!

Milczeli przez chwilę, w końcu Legrasse zwiesił głowę z rezygnacją.

– Joseph. Nie naprawię tego, co się stało – rzucił głuchym, bezbarwnym tonem. – Ale ten diabelski kult, ta sekta znowu uniosła łeb. Mam szansę ich dorwać. Teraz po tak długim czasie wiem więcej niż tamtego przekłętą lata. Proszę. Jeżeli nawet nie dla mnie czy dla siebie, nie dla odkupienia tamtych porwań i morderstw, tego plugastwa, to dla tych, których mogę uratować. Bo na jednej kobiecie nie poprzestaną...

– Czego chcesz dokładnie?

– Opowiedz o tym, co słyszałeś. Wtedy na bagnach. Jeszcze raz.

– Nie. To zamknięta sprawa. Było słuchać wtedy.

Legrasse otarł usta dłonią, drapiąc ryżowisko zarostu. Nie spodziewał się tak szybkiej i zdecydowanej odpowiedzi.

– Nie zmuszę cię do mówienia. I nie po to przyszedłem.

– Więc idź do diabła, John – mruknął gniewnie Hiszpan. – Nie mam ochoty z tobą dalej gadać.

– Pójdę.

Nim nałożył fedorę, sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyciągnął dłoń ku stolarzowi, trzymając między palcami złożony wycinek gazety. Galvez ostentacyjnie skrzyżował ramiona na piersi. Legrasse położył rozłożony papier na najbliższym meblu. Odwrócił się na piecie i ruszył ku drzwiom, licząc kroki. Zdążył oprzeć dłoń o klamkę, gdy usłyszał za plecami głos stolarza.

– Czekaj. Kurwa mać – sapnął gniewnie. – Co to? Po co mi jakieś świstki o zaginionej dziewczynie? Już nie pracuję!

Legrasse spojrział na dawnego kompana, krzywiąc usta w nikłym uśmiechu. Do samego końca miał nadzieję, że nie będzie musiał zagrać parszywym asem ukrytym w rękawie. Nie miał jednak wyboru.

– Przeczytaj to, co pod nagłówkiem.

– No widzę! I widzę twój parszywy ryj w moim zakładzie. Miałeś wypierdalać.

Mimo kipiącego gniewu Galvez nie ruszył ku Legrassowi, wciąż wpatrując się w prasowy wycinek. Detektyw przymknął oczy, uspokajając głos oraz myśli.

– Joseph. Przeczytaj cholerny wycinek. Jeżeli nic z tego nie wyniknie, więcej mnie nie zobaczysz.

Stolarz sięgnął po papier, przystawiając go sobie do oczu. Legrasse wiedział, że gra na zwłokę. Do tej pory każdy zdołałby przeczytać krótki komunikat prasowy kilka razy. Co innego jednak przeczytać, co innego przetrwać.

Hiszpan zgniótł papier w dłoni i odrzucił w kąt.

– Doczytałem – warknął, choć już bez gniewu. – Co mnie obchodzi zaginiona czarnoskóra? Na pęczki takich.

– Zaginiona w niewyjaśnionych okolicznościach – doprecyzował Legrasse. – Wyszła z domu i przepadła jak kamień w wodę. Może to ją właśnie znalazłem w cholernej piwnicy...

– Pora, byś wrócił do nory, z której wylazłeś.

Legrasse odchrząknął.

– Pamiętasz Minnie? Ten cud na hebanowych nogach, który żeś sobie przygruchał?

Galvez zwilżył językiem wargę, spoglądając uważnie na byłego przełożonego.

– Tak – odparł po chwili. – Pamiętam, jak wystawiła mnie na tydzień przed... – Odchrząknął. – Przestałem o tym myśleć. I jest mi z tym cholernie dobrze.

– Ona też zaginęła, prawda? Nagle. Księdza nawet już umówiliście...

– Zamknij się, Legrasse – uciał Hiszpan. – Po prostu uciekła z innym...

Porucznik, wpatrując się w Galveza, cofnął się w głąb sklepu. Zdawał sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie.

– I nawet jej rodzina by nie wiedziała? – rzekł cicho, spoglądając uważnie w bystre oczy stolarza. – Nawet jej brat, który przeczesywał miasto razem z nami? Pamiętasz?

Galvez skulił ramiona, przymykając oczy. Zdał się nagle mały i zagubiony. Legrasse wiedział, że trafił, mimo to postanowił docisnąć Hiszpana.

– Co, jeśli... – na chwilę zawiesił głos – ...co jeśli źle założyliśmy? Ucieczka młodej, pięknej dziewczyny z bogatym kochankiem to dobre

wyście. Tylko jej brat...

– DeShawn...

– Tak jest. Tylko on upierał się, że nie uciekła. Ale to by oznaczało... Chyba wszyscy chcieliśmy myśleć inaczej. Prawda? Tak było lepiej... Dla niej.

Galvez stał w milczeniu, wpatrując się czubki własnych butów. Oddychał płytko, ale równo. Na wysokim czole perlił się pot, mimo to Hiszpan wyglądał, jakby odpłynęła z niego cała krew. Mężczyzna zamrugnął oczyma nieoczekiwanie, opadając głucho na stojący opodal zydeł.

Legrasse przez chwilę stał, czekając na jakąkolwiek reakcję stolarza. Spodziewał się, że uderzając w czułą nutę i przebijając kruchą warstwę wygodnego kłamstwa, może wywołać różne emocje. Galvez zdawał się całkowicie skamieniały. Detektyw zaklął pod nosem. Wyglądało na to, że źle ocenił sytuację. Stracił szansę. Zamierzał ruszyć ku wyjściu, zostawiając mężczyznę na pożarcie jego własnym demonom, ale stolarz go zatrzymał.

– Nadalnosisz wodę przy sobie? – Głos brzmiał jak zza grobu.

Porucznik zawahał się, rozważając potencjalne konsekwencje. Patrząc w oczy mężczyzny, wsunął piersiówkę w wyciągniętą dłoń Hiszpana. Ten pociągnął solidnego, głębokiego łyka, ocierając w końcu usta. Legrasse też musiał się napić, splukać gorzałą niechęć do samego siebie. Czuł się jak padlinożerca.

– Myślisz... – Galvez zawahał się. – Czy myślisz, że moją Minnie mogli ci sami... z bagien...

– Pasuje do schematu: młoda, atrakcyjna kobieta o ciemnej karnacji – odparł szybko Legrasse. – No i nigdy jej nie znaleźliśmy. Gdy po prostu uciekają, to prędzej czy później rodzina się dowiaduje...

Galvez przez chwilę przyglądał się własnym dłoniom, jakby oczekiwały niewidzialną dla postronnych krwią. Legrasse nie wątpił, że obudził w siedzącym naprzeciwko mężczyźnie z dawna stłumione myśli. Większość była zapewne wyrzutami sumienia oraz dławiącą gardło goryczą.

– Jeśli... – głos Hiszpana stał się dziwnie zatarty. – Jeśli powiem, co chcesz wiedzieć, na pewno ich dorwiesz?

Legrasse oblizwał wargi. Przymknął oczy, po czym skłamał.

– Tak.

Hiszpan raz jeszcze wyciągnął dłoń po piersiówkę. Raz jeszcze wlał w gardło truciznę, której nie tykał od lat, wiodąc spokojne życie z dala od codziennie odnajdywanych okropieństw świata. Spojrzał szklistymi oczami na człowieka, który odebrał mu spokój ducha.

– Pytaj. Pytaj – powtórzył.

Porucznik otarł usta, szykując się do ostatniej części przesłuchania, w które zmieniało się to spotkanie po latach dwóch byłych towarzyszy broni.

– Byłem na bagnach. Byłem i nie widziałem żadnego diabła poza Castro. Nikt nic nie słyszał poza tą ich cholerną muzyką. Tylko ty jeden...

– No i co z tego?

– Czemu miały służyć te brednie? – Nachylił się ku byłemu podwładnemu. – Bo nie awansowi, prawda? Stary szybko cię wywalił za pijaństwo. Sporo lat minęło, teraz chyba możesz powiedzieć, co tak naprawdę słyszałeś. Nie pieprz o traumie, bo tej byś nie poznał, nawet gdyby się o nią potknął.

– Co to ma wspólnego z nią?! Z innymi zaginionymi?!

Legrasse odczekał chwilę, pozwalając rozmówcy się uspokoić.

– Po prostu odpowiedz na pytanie Joseph. Wiesz, jak wygląda...

– ...przesłuchanie. No nie krzyw się tak. – Hiszpan z roztargnieniem potarł skronie. – Ugrałeś swoje, więc cholera nie krzyw się. Nie udawaj, że masz sumienie. – Galvez wyprostował się, spoglądając uważnie na byłego przełożonego. Przypomnienie dawnej tragedii i zarzut kłamstwa musiały być dla niego wstrząsem. Mimo to zdołał na powrót skryć emocje, przybierając pozę spokojnego osiłka. – Powiem ci, ale tylko z uwagi na nie... – rzekł cicho – Gdy tam weszli... – zaczął i zaraz się poprawił: – Gdy weszliśmy na tę wyspę diabła... – Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał zamilknąć po wsze czasy. W końcu pociągnął solidny łyk. Wódka najwyraźniej dodała mu odwagi. – Boże... Do tej pory słyszę ten bękarci skowyt. Te ryki dzikie, obrzydliwy taniec wokół... wokół... Matko, Legrassie! Jak człowiek jest zdolny zrobić coś takiego?

– Ty mi powiedz. Bo nie mówisz wszystkiego, prawda? Bo chyba nie usiłujesz kogoś kryć w tak pokrętny sposób, co?

Galvez przez chwilę spoglądał niechętnie na Legarasse'a spod ściągniętych, krzaczastych brwi. W końcu wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

– *Merde! Eres un cabrón!*<sup>24</sup>

Legrasse nie zważał na przekleństwa. Wiedział, że Hiszpan się łamie, a przeklinanie ma jedynie dodać otuchy. Myśl, że Galvez kogoś kryje, pojawiła się nieoczekiwanie, ale z chwilą, gdy ją wypowiedział na głos, stała się niepokojąco prawdopodobna. Porucznik nie potrafił sobie jednak wyobrazić, kto mógł kryć się za konfabulacjami byłego policjanta.

„Jak człowiek jest zdolny zrobić coś takiego?”... Zadawał sobie to samo pytanie wiele razy w długie samotne noce, gdy jedyne, co mógł zrobić, to gapić się w sufit, odganiając przerażające sny. Legrasse milczał, obracając rondo kapelusza w palcach, a myśli w głowie.

– Nim zaczęliśmy pruć do tych skurwieli... Tam coś siedzi, Legrasse. W tych ciemnych, odludnych lasach. Nie wiem co, ale to jest stare. Tamtej nocy to słyszałem. Nie wiem jak, nie wiem czemu. Ale na Boga, to tam było. Dyszało ciężko jak zbudzony ze snu luj.

– To mogło być cokolwiek. Jakiś drący się nocny ptak...

– Nie, nie mogło – odparł ostro Hiszpan. – Nadal słuchasz i nie chcesz usłyszeć! Pieprzony, ograniczony racjonalista! – Przez chwilę dyszał ciężko, gniewnie wpatrując się we własne dłonie oraz piersiówkę. W końcu upił kolejny łyk, mrużąc oczy. Oddech olbrzyma wyrównywał się. Jedynie w oczach tliła się irytacja. – Na tych bagnach, pod tymi gwiazdami, nie istnieje zwierzę, które wydaje taki odgłos. Nie taki. Zresztą... Ja to widziałem.

Legrasse zmarszczył brwi.

– Jak to widziałeś?

– Tylko przez chwilę, przez mgnienie oka, Legrasse. Jak Boga kocham, to było tam. Wyrastało jak cholerna góra. Między pniakami stało, wielkie, białe. Tak jak te wieśniaki nam gadały: wielkie, białe, bezkształtne. Wstrętne jak grzech i wóda...

– Mów dalej.

Galvez jęknął boleśnie. Pierwszy raz od chwili spotkania z Legrasse'em ciałem olbrzyma targnął wyraźny dreszcz. Jakby dopiero teraz zaczynał się naprawdę bać.

– Kobieta z pnączy – szepnął w końcu. – Gdy szliśmy, słyszałem ciągle jakiś plusk i trzask zarośli. Jakby coś szło za nami. Bagley też ją chyba słyszał.

– Bagley strzelił sobie w łeb.

– Strzelił, bo mu kazała! Ona widzi nasze winy! I wtedy szła za nami, jak Boga kocham! Widziałem ciało ulepione z pnączy. Widziałem twarz jak ul, splecioną z trzcin. I te puste ślepia. I ona do mnie szeptała...

– Co takiego?

– Nie wiem, naprawdę!

Legrasse przyjrzał się roztrzęsionemu mężczyźnie. Dopiero teraz zauważył, że Galvez kompulsywnie obraca obrączkę wokół palca.

„Niektóre żony wybaczą, byłe narzeczone nigdy” – przemknęło mu przez głowę.

Spojrzał na złamanego panicznym strachem mężczyznę. Hiszpan załkał, zanosząc się nerwowym szlochem. Przesłonił oczy wielką dłonią, nie pozwalając łzom płynąć po ogorzałych policzkach. Dopiero teraz Legrasse dostrzegł, że ten człowiek, choć młodszy od niego, nad wyraz szybko uległ upływowi czasu. Pozornie mocarne ręce oplatała sieć sinych naczynek krwionośnych, a zszarzała skóra zdawała się być sucha niczym pergamin. Porucznik przymknął oczy. Poczł przyływ zrozumienia oraz współczucia dla tego człowieka. Parna, ciepła noc 1907 roku odcisnęła swoje piętno na wielu, łącząc ich paktem milczenia, skazując na samotne zmaganie się z koszmarem pełzającym w cieniach zalegających na krawędzi ludzkiego rozumu i pojmowania.

– I za nią! – Hiszpan chwycił niespodziewanie dłoń porucznika. – Za nią, w głębi. Przysięgam, że widziałem lśniąca białą sylwetkę czegoś ogromnego. Potwornego. Ale naprawdę straszna była tylko ona. Te jej pnącza grzebały w mym mózgu. Nigdy tego nie zapomnę!

Rozedrgany głos zamilkł i tylko wielkie łzy płynęły po ciemnych policzkach trzęsącego się jak galareta Galveza.



Legrasse uściśnął ramię byłego policjanta, usiłując wykrzesać z siebie słowa pociechy, których jednak nie był w stanie znaleźć. Odpowiadając na wołanie o pomoc, obaj weszli na ścieżkę prowadzącą krok po kroku ku rozpaczce.

Porucznik wyjął opróżnioną piersiówkę z dłoni Josepha i ruszył ku wyjściu. Po kilku krokach jednak przystanął i obejrzał się na skuloną postać stolarza. Wyjął z kieszeni wymiętą wizytówkę grupy anonimowych alkoholików, do których dawno winien się zapisać. Na odwrocie niewielkiego kartonika zanotował numer telefonu.

– To mój lekarz – odchrząknął. – Zajmuje się składaniem tego, co zostało z rozbitego ducha. Potrafi trochę pomóc. Powiedz, że jesteś ode mnie.

Hiszpan nie odpowiedział. Siedział na drewnianym zydelku, przyglądając się dłoniom, jakby zastanawiał się, do czego są zdolne. Wyglądał jak otumaniony szokiem mąż, który czuwa nad stygnącym ciałem zamordowanej żony i jej kochanka. Legrasse poczuł zimny dreszcz. W umyśle detektywa pojawiła się niewyraźna myśl, ale momentalnie rozpadła się niczym mydlana bańka.

Legrasse doszedł do progu warsztatu i się zatrzymał. Tuż przed drzwiami, na chodniku, leżało jutowe zawiniątko nie większe od melonika. Odruchowo rozejrzał się, ale na ulicy próżno było wypatrywać choćby szczura brodzącego w rynsztoku. Otarł usta dłonią i przyjrzał się uważnie znalezisku. Ciemne plamy zbierające się u podstawy zawiniątka budziły ponure skojarzenia. Klęknął na jedno kolano, pochylając się nad widmową przesyłką. Wyczuł lekko mdlący odór, tak charakterystyczny dla sklepu rzeźniczego. W powietrzu wirowały ledwo uchwytny nuty alkoholu.

– Co to?

Legrasse się obejrzał. Tuż za nim stał Galvez i gniótł w dłoni kartonik z numerem do lekarza.

– Nie wiem – skłamał policjant.

Wiedział doskonale. Miał przed sobą ostrzeżenie wyartykułowane z istic teatralnym rozmachem. Brakowało jedynie gromów tnących niebo na pół. Nie chcąc odwlekać nieuniknionego, sięgnął ku lichej pętli podtrzymującej zawiniątko. Pociągnął za sznurek, płachta

rozłożyła się niczym kwiat śmierci, uwalniając gryzący, lepki odór rozkładu. Zaśmierdziało szlamem oraz krwią. Zaśmierdziało czarną magią.

U stóp mężczyzn w błocie leżała urżnięta głowa czarnego jak noc kocura. W pyszczku umęczonego zwierzaka sterczała pomięta karteczka. Legrasse sięgnął po wiadomość, rozprostował zmiętą kartkę, wyrwaną z jakiejś książki.

*Jeżeli kto poświęci co ze swej własności dla Pana jako „cherem”: człowieka, bydłę albo część gruntu dziedzicznego – to ta rzecz nie będzie sprzedana ani wykupiona. Każde „cherem” jest rzeczą najświętszą dla Pana. Żaden człowiek, który jest poświęcony dla Pana jako „cherem”, nie może być wykupiony. Musi być zabity.*

Odczytał na głos zabazgrany krwią tekst. Miejscami krwawe pręgi i zacieki tworzyły wzory, podobne do klątewnych konstelacji linii, półkregów oraz symbolicznych odbić liter alfabetu, którego nie był w stanie rozpoznać.

– Co to za diabelstwo? – zachnął się Hiszpan. – Brzmi...

– Brzmi jak obietnica.

## Rozdział 8. Niespodziewany sojusz. Cień

Spojrzał w martwe oczy kobiety. Zastygła w nich resztką bólu oraz przerażenia. Dokładnie tak samo spoglądała na niego Erika. Miała nawet podobną, kwiecistą sukienkę. Cień z rezygnacją pokręcił głową. Nadal nie rozumiał, jakim sposobem mógł tak głupio zapomnieć o kaszkiecie. Możliwie, że gdyby nie znaleźli tego piekielnego nakrycia głowy obok ciała dziewczyny, to wszystko by nie miało miejsca i spokojnie żyłby teraz na farmie. Podobnie jak zguby kaszkietu nie podejmował próby przekupstwa szeryfa podjętej przez dziadka. Stary wąsaty stróż prawa nie dość, że nie przyjął złota, to nie zadowolili się wskazaniem na przygłupiego czarnucha pomagającego w sklepie żelaznym Wellsa. „Świętoszkowate robactwo” – grzmiał stary Whateley.

Jedediah wzdrygnął się.

– Martwi są martwi – rzekł filozoficznie i dźwignął się z kolan.

Kobieta zaczynała się robić nieprzyjemnie chłodna. Od dziecka był wyczulony na najdrobniejsze wahania temperatur. To była chyba jedyna zaleta przeniesienia się do Nowego Orleanu: panował tu zdecydowanie cieplejszy klimat niż na północy.

Przemierzył niewielkie mieszkanie, upewniając się, że wszystkie elementy scenografii rozłożył zgodnie z przygotowanym planem. Pomysł rozprawienia się z potencjalnym zagrożeniem przypadł mu do gustu. Musiał przyznać rację opiekunowi. Dziadek zapewne nie pochwaliby teatralnego zadęcia, pozorantwa, ale w wodzeniu za nos gliniarzy było coś narkotycznego. Jedediah czuł przyjemne podniecenie, ponieważ ocierał się o zdemaskowanie. Sztukmistrz stawał się coraz śmielszy w swych działaniach. Nawet Wielebny był pod wrażeniem, zwłaszcza że ostatnia ekstrakcja czynnika duchowego przebiegła bez kłopotów. Widma przyjęły ofiarę, a w zamian za dar życia wyszeptwały stosowne frazy ofiarnikowi, który wrył je na skórze ladacznicy. Jedediah z zadowoleniem skonstatował, że rekonstrukcja księgi postępuje w zadowalającym tempie. Teraz pozostawało jedynie

czekać. Kaznodzieja nakazał spolegliwość, odczekanie, aż wrzawa żyjących opadnie, ale Cień się tym nie przejmował. Sztukmistrz był człowiekiem niecierpliwym. To, że dawczyni drugiego klucza nie odnaleziono, bardzo go rozochociło. Whateley nie miał wątpliwości, że mimo ryzyka Sztukmistrz nie będzie czekać. Zachichotał, ale śmiech ugrzązł mu w gardle.

Z niechęcią spoglądał na własne odbicie w lustrze. Po matce albinosce odziedziczył białe plamy, które z upływem lat rozlewały się w coraz większe kałuże. Samej twarzy choroba jeszcze nie dotknęła, ale to była kwestia czasu. Mleczny stygmat wyłaził już spod kołnierzyka niczym jezior liszaju. Wydał usta otoczone siatką blizn, bezradnie usiłując nadać twarzy pozory człowieczeństwa. Nie sposób jednak tak łatwo zanegować pochodzenie. Pokręcił wielkim łbem, opuszczając ramiona wzdłuż masywnego tułowia.

– Jestem synem swego ojca – rzekł pochmurnie, posyłając olbrzymowi w lustrze harde spojrzenie.

Małpolud w marynarskiej kurcie wykrzywił gębę. Tuż za jego plecami leżały dwa trupy. Jedediah westchnął. Jedyne, co pozostało, to upozować aktorów pantomimy.

– *Oremus. Magna deos, refugium nostrum*<sup>25</sup> – wymamrotał, przeciągając zwłoki kobiety.

\*\*\*

Poranne słońce poraziło zamglone tęczęwki Legrasse'a, nakłaniając do zmruczenia opuchniętych powiek. Ucisnął skronie dłońmi i z majestatem właściwym pijakom przebrnął na drugą stronę ulicy. Szczęśliwie o tej godzinie ruch był znikomy. Chodnikiem podążało kilka czarnoskórych kobiet ze wzrokiem skierowanym ku stopom oraz torbami sprawunków ciągnących ramiona ku ziemi. Zmierzały do domów, gdzie będą przygotowywały obiad dla państwa. Nieliczni biali z wyćwiczoną wyższością ignorowali sunące bezszelestnie służące. Jedyne mleczarz kursujący między kolejnymi numerami domów a powozem ofuknął je sążnięcie. Wąsacz obsobaczał każdego,

kto mu akurat w drogę wlaź i robił to ponad podziałami etnicznymi. Daleko mu było do jowialnych jegomości z dwukółek z wymalowanym na burtach logotypem Havana & Neplusultra sprzedających spragnionym łyk chłodnego mleka. A mizerne fale pieszych pochłonięte swymi problemami, nie zwracały na mężczyznę najmniejszej uwagi.

Po bezpiecznym dotarciu do przeciwległego brzegu szerokiej jezdni Legrasse poprawił supeł krawatu, odchrząknął i po raz setny od chwili pobudki ułożył wyłogi kamizelki. Następnie ruszył przed siebie w stronę cmentarza Lafayett. Wyglądał jak wskrzeszenie obudzony przez samą Marie Laveau. Ludzie schodzili mu z drogi. Nawet obleczony w biały kombinezon uliczny sprzątacznik unikał spojrzenia jego przekrwionych oczu. Ostatecznie Legrasse nie dotarł jednak na miejsce wiecznego odpoczynku, skręcając zawczasu w Harmony. Odetchnął głęboko i wtoczył się do niewielkiej restauracji Fischera.

Lokal świecił pustkami. Po sali kręcił się chłopak w sztywno wykrochmalonym fartuchu, poprawiając ustawienie stołów. Gustaw Fischer, choć z dawna zadomowił się w nowej ojczyźnie, nie porzucił przyzwyczajęń wywiezionych wraz z oszczędnościami z poprzedniej. Umiarkowane sentymenty do Cesarstwa Narodu Niemieckiego, skrywane tyleż niezgrabnie, co pociesznie, całkowicie wyłaziły na wierzch, gdy szło o kuchnię. Fischer połączył co najlepsze w obu krajach, specjalizując się w prowadzeniu błyskawicznej gastronomii serwującej wursta, musztardę, grzanki oraz pieczywo w iście amerykańskim stylu. Był to bodaj jedyny lokal w Nowym Orleanie, w którym na znak protestu prohibicyjnego kawę serwowano w pintowych kufkach. Nie to jednak stanowiło o popularności tego miejsca. Niemiec, Bawarczyk jak sam podkreślał, wiedział, jak trafić w potrzeby ludzi Południa. Każda pozycja z menu była solidnie wysmażona oraz zalana ostrym sosem. Pod tym względem w lokalu panował niepodzielnie niepopularny w Stanach komunizm zrównujący pozycje z menu. Zasada wysmażenia oraz doprawienia dotyczyła na równi polędwiczek, kiełbasek, bekonu i kapusty. Każde danie było pozbawione soczystości, przypominając trociny, a smakowało ogniem piekielnym.

Legrasse opadł ciężko w bocznym przedziale z dwiema miękkimi kanapami, który oddzielony był od typowo kawiarnianej części lokalu. Nie wiedzieć kiedy pojawiła się kelnerka, z kamienną twarzą przyjęła zamówienie na dwie mocne kawy, podwójną jajecznicę i podwójne grzanki. Nie kryjąc niezadowolenia, uzupełniła filiżankę mężczyzny siedzącego naprzeciwko śledczego.

– Wyglądasz jak egipska plaga – przywitał go tamten, drapiąc ryżowisko porastające policzek.

„Profesore” nie miał dudniącego barytonu nienawykłego do komunikacji werbalnej obwiesia. Mówił gładko i składnie, a w razie potrzeby bez trudu okraszał zdania łacińskimi wtrętami. Edukacyjny sznyt był jego nieformalną wizytówką.

– Nie piłem – mruknął gniewnie detektyw.

– Nawet jeśli, to nie moja sprawa, Legrasse. – Poprawił chustę przewiazaną wokół szyi jak nakazywała moda ulicznych apaszów. Odślonięte przedramiona zdobiły sploty tatuaży. – Słyszałem, że jesteś na boczniczy.

Były policjant uśmiechnął się zdawkowo na widok dwóch kubków, które przed nim niespodziewanie wyrosły.

– Jajka za jeszcze trochę – burknęła kelnerka, odchodząc. – Kuchnia nienagrzana.

– Nie twoja sprawa, co robię, Ronald.

Ronald „Profesore” Turner dopił szybko swoją kawę, nie zważając na temperaturę czarnego płynu.

– Po starej znajomości. – Nachylił się nad stolikiem i położył na blacie zgiętą w pół kartkę z notesu. – Bo Stuglik to dobry chłop jest. Był... – Na chwilę stracił rezon, nie mogąc się zdecydować, czy w jego opinii sierżant jest bardziej martwy, czy też żywy. – Mam u niego dług. – Pociągnął nosem, jakby wciągał działkę kokainy. – Ten twój typek w ostatnim czasie zrobił trochę kursów pod te adresy. Zwykłe krążenie po mieście, nic szczególnego: sklepokawiarnia sprzedająca bagienne zielska i kawę, jakaś malarska melina, kilku kolekcjonerów bibelotów. Nic istotnego, nic charakterystycznego. Spudłowałeś.

Legrasse przymknął oczy, klnąc w duchu. Nawiedzona miętę oraz

chwasty porośłe na cmentarnych nagrobkach sprzedawano w całym Nowym Orleanie na kilogramy. Głównie turystom.

– Jesteś pewien?

„Profesore” skrzywił się, ale bez gniewu.

– A za kogo ty mnie masz, Legrasse? – Zadudnił palcami o stół. – Nie wszyscy siedzimy za biurkiem i kombinujemy, jak tu awans podpieprzyć. – Tym razem w głosie agenta zabrzmiała gniewna nuta. – Jesteśmy kwita. – Wstał, nałożył kraciatą marynarkę oraz kaszkiet. W kieszeni spodni odcisnął się kastet. – Nie kontaktuj się więcej ze mną, poruczniku – wypluł ostatnie słowo jakby to była obelga. Postąpił kilka kroków, gdy gwałtownie się zatrzymał i spojrzał nad ramieniem w stronę umęczonego detektywa. – John. Dopilnuj, abyś nie pokazywał się w Mid-City. Nie wszystkie kule Pan Bóg niesie.

Legrasse pokiwał głową na znak zgody, ale zignorował ostrzeżenie. Nie bał się ulicznych osiłków, młokosów zbrojnych w sprężynowce oraz kastety. Nie robiły na nim wrażenia ponure głosy byłych już kolegów z korytarzy gmachów sprawiedliwości, niemogących znieść jego metod.

„Czasami stróż prawa i bandzior to awers i rewers jednej gwiazdy” – mawiał jego ojciec.

Stary dziad myślał, że szantażem, pobiciem i pudłem ustawił wszystkich. Mylił się, dopadli go i poženili kosę pod żebro, gdy po pijaku wracał do domu.

„Tak kończą brudne gliny” – ktoś rzucił cierpko na pogrzebie.

Legrasse nie wiedział kto, ale to było bez znaczenia. Dzięki temu się nie bał. Zbliżał się do pięćdziesiątki, miał odłamek w udzie oraz ramieniu, niekończące się migreny przetykane napadami gniewu i zaczątki reumatyzmu. Pijaństwo odziedziczył w spadku po ojcu wraz z rewolwerem. Doskonale wiedział, jak umrze.

Skupił się na jajecznicy, którą przed momentem szurnęła mu przed nos kelnerka. Półpłynna masa, szczerze garniowana kielbasianymi skwarkami oraz szczypiorkiem, stawiała na nogi. Podobnie jak kawa: doskonale czarna. Brak snu męczył. Jeszcze kilka lat temu był w stanie bez żalu zarwać noc lub dwie, zwłaszcza jeśli trafiła się sarnia fordanserka chętna na coś więcej niż przelotny taniec. Rwany

koszmarnymi majakami sen nie służył wypoczynkowi, podobnie jak zdezelowana kanapa w biurze. Nie spał, więc czytał akta, czytał akta, więc karmił swoje demony. Fascynacja i jej siostra obsesja. Znał je aż za dobrze, gdyż nurzał się od lat w ich objęciach, szukając tego, czego człowiek nie powinien odnaleźć. Przymknął przemęczone oczy. Bezwiednie gmerał kawałkiem pieczywa w talerzu, zbierając pozostałości jajeczniczy.

Doskonale wiedział, co jest źródłem koszmarów, co napędza nocne mary męczące go z przerwami od lat. W ciągu ostatnich kilku miesięcy bezsenne noce mnożyły się, przechodząc w praktycznie niekończący się pochód wschodów oraz zachodów słońca. Sypiał po kilka godzin, tego był absolutnie pewien. Szczęśliwie chwilę po przebudzeniu się z dławiącym gardło krzykiem przerażenia to senne widmo rozpływało się, nie pozostawiając śladu w pamięci Legrasse'a.

Otworzył oczy i spojrział na kartkę zostawioną przez Ronalda. Nic niemówiące adresy, tylko jeden w Marigny przy Royal Street. W umyśle śledczego przekreśliła się zębátka, wprawiając w ruch kolejną i kolejną. Mechanizm skojarzeń zadziałał bezbłędnie, podsuwając kartotekę obrazów, nazwisk i na wpół zatartych wspomnień. Legrasse starał się pochwycić w kłębowisku myśli tę odnoszącą się bezpośrednio do zanotowanego adresu. 1140 Royal Street. Znał ten dom. Nie, nie dom, starą, kolonialną kamienicę... Znajdowała się blisko, ale nie dość, aby w pełni zrekonstruować obraz sprzed lat. Zaklął podle pod nosem. Wyglądało na to, że w tej chwili musi zadowolić się tym, że Royal Street biegła po sąsiedzku do pewnego szemranego zakładu fotograficznego. Reszta wyglądała jak przypadkowe punkty ścieżki kuriera. Dwukrotnie powtarzał się tylko jeden adres. Skupił uwagę na dzielnicy przyległej do Vieux Carré.

Legrasse dopił drugą kawę i wytarł już do czysta talerz resztkami chleba. Zapowiadała się dłuższa wycieczka, tym bardziej, że postanowił nieco nadłożyć drogi. Nie wierzył w przypadki, a Big Easy nie było zaś na tyle małym miastem, aby wszystkie przestępstwa mogły wydarzyć się w odległości kilku przecznic od siebie.

W zatłoczonym tramwaju wypełnionym roześmianymi studentkami oraz mężczyznami w słomkowych kapeluszach zerkającymi



ukradkowo na damskie łydki, nie można było się skupić. Miasto wrzało od plotek. Nikt jednak nie mówił o Mardi Gras, o ostrzeżeniu przed huraganem czy choćby przyziemnym zakazie picia. W Big Easy mówiło się o zakatowanej kobiecie odnalezionej w jakiejś zapomnianej przez Boga oraz ludzi piwnicy. Drugiej tak odnalezionej w ciągu ostatnich miesięcy.

– Pewnie jakiś czarnuch – zawyrokował pulchny jegomość w koszuli poznaczonej plamami potu. – Udają czarnych Indian i faktycznie żyją jak te dzikusy.

Wyrok spotkał się z cichym pomrukiem aprobaty oraz znacznie głośniejszym ostrzegawczym chrząknięciem wymierzonym w pasażerów tłoczących się po drugiej stronie stalowej bramki. Czarnoskórzy udawali, że nie słyszą. Udawał też Legrasse zapatrzony w mijane samochody, domy oraz *chain gang*<sup>26</sup> machający kilofami i łopatami w pełnym słońcu. Naprawiali podkłady, synchronizując uderzenia narzędzi. Przerywali na czas przejazdu wagonów. Smętny, chóralny zaśpiew pomagał utrzymać rytm pracy, jednocześnie układając do snu strażnika wyciągniętego w cieniu jednej z palm.

Rozkojarzony wysiadł z tramwaju, minawszy właściwy przystanek. Nie przejął się tym zbytnio. Pod wskazanym adresem mieścił się owszem dom Delphine LaLaurie, ale szczęśliwie diabliska od lat gryzła paryską ziemię. Została po niej jedynie krwawa legenda, długi oraz spalony kwartał, zresztą dawno odbudowany. Teraz była tam kawiarnia połączona ze sklepem zielarskim.

Przez chwilę przyglądał się uważnie lokalowi. Pomimo kuszących zapachów świeżo mielonej kawy oraz czekoladowego ciasta wystawione na chodnik stoliki świeciły pustkami. Tylko przy jednym siedział szpakowaty mężczyzna z nogami okrytymi pledem, drzemiąc nad książką oraz filiżanką. Legrasse zapalił papierosa, zastanawiając się, co począć. Kawiarnia wyglądała na kawiarnię i nic ponad to. Ot, jeden z wielu tego typu punktów w okolicy centrum.

„Nic istotnego, nic charakterystycznego. Spudłowałeś”.

Minął wskazany przez wywiadowcę adres i powlókł się dalej, zostawiając za sobą cichą knajpkę pełną zapachów Nowego Orleanu.

Porucznik czuł, że zabrnął za daleko, goniąc jak pies za

samochodem. Musiał cofnąć się do punktu wyjścia i skupić uwagę na człowieku, który był pierwszą odkrytą kartą. Musiał wrócić do pracowni fotograficznej Belaira.

W lokalu przy Lazarus Street było cicho i spokojnie. Legrasse nie lubił takich miejsc. Nawet opromienione południowym ciepłym słońcem pozostawały w cieniu. Przeszedł przez duszne zaplecze, które było składem wszystkiego, i przecisnął się do głównej części. Po jednej stronie ciasna łazienka pełniąca doraźną funkcję ciemni oraz pralni, po przeciwnej niewielki pokój imitujący sypialnię, salon oraz kuchnię w jednym. Wiedziony instynktem ruszył ku łukowatemu przejściu prowadzącemu do frontowej, najokazalszej części: pracowni. To tu rozstawione były lampy, stylizowane płótno, zydel, a po przeciwnej stronie sfatygowane fotele rozdzielone niskim stołem. Wszystko przystrojone czarno-białymi fotografiami. Bertrand Belair może i był skurczybykiem, ale pomimo to w tych kaprawych ślepiach tliła się iskra talentu.

Legrasse zmrużył oczy i wpatrywał się w kolejne twarze, miejskie migawki. Pospolite ujęcia życia Nowego Orleanu mieszały się z niepokojącymi świadectwami okrucieństwa: zakatowany pies leżący w kanale, wyniszczona, przypominająca trupa prostytutka w ciemnej alejce, pobity do nieprzytomności morfinista, uliczne oprychy, stręczyciele oraz nożownicy. Pomędzy nimi fotograf umieścił odcinające się jasną tonacją zdjęcie roześmianej dziewczyny, co jedynie potęgowało przytłaczający efekt. Promienisty kontrapunkt podkreślał okrucieństwo odmienione przez wszelkie możliwe przypadki. W mrocznym labiryncie porucznik dostrzegał błysk nadziei. Piękno radości uchwycone w uśmiechu młodej dziewczyny przebijające się przez skorupę ludzkiego obrzydlistwa.

Niewiele myśląc, zerwał fotografię. Nie poświęcił jej jednak wiele uwagi. Istotniejsza była wisząca obok gorzka migawka miasta. Szara, szutrowa droga rozlewała się w rozdroże prowadzące ku industrialnej pustce, ku szkieletowym resztkom przemysłowych konstrukcji oraz cywilizacyjnych odpadów. Na środku pustej drogi oko obiektywu uchwyciło wyleniałego psa, pozostawiając widzowi decyzję, czy zwierzak jest żywy, czy martwy. Nie to jednak przykuło uwagę

detektywa. Nad zabiedzonym ciałem kundla na tle ołowianego nieba majaczył stożkowaty kształt namiotu cyrkowego. Na pierwszy rzut oka obrazy te niknęły pomiędzy oblanymi słońcem ulicami, kadrkami wież kościelnych i scenek rodzajowych z miasta. Dopiero po chwili do widza docierało, na co patrzy, a koszmar wyłaził niczym pleśń. Jeśli E.J. Bellocq był nadwornym fotografem prostytutek, to Belair był dokumentalistą beznadziei. Ponure, momentami odrażające kadry, poprzetykane pozorami normalności, układały się w jednolitą sekwencję. Legrasse dostrzegł prawidłowość, zamysł, ale nie mógł odgadnąć skrytej za niemymi obrazami idei. Odchrząknął.

Pierwsze, co wychwycił, to oddech. Najpierw wydało mu się, że to szum ulicy, wiatru mknącego pomiędzy balustradami i okręcającego się wokół smukłych łydek kobiet, rozdymającego poły męskich marynarek. Oparł dłoń o rękojeść rewolweru, skupiając się na odgłosach pustego zakładu, na skrzypieniu desek podłogi, rytmicznemu stukotaniu drewnianej okiennicy. Falujące w przeciągu lniane zasłony sprawiały, że wszystko brzmiało jakby za kotarą. Wtedy pochwycił obcy dźwięk raz jeszcze. Świszczący, płytki. Obcy.

Odetchnął w ulgą. Zabójcy, płatne cyngle oraz ochroniarze nie miewali chorych płuc. Legrasse uśmiechnął się pod nosem, a opuszczając rękę, niepostrzeżenie zwolnił zaczep kabury. Lewa dłoń wymacała w kieszeni oczodoły kastetu.

Od niechcienia przejrzał stronicę książki rzuconej na stolik przy wysłużonym fotelu. Koliste zacieki po szklankach, przetarcia i drobne zadrapania znały obicie, tworząc mapę egzystencji fotografa. Tu wspierał łokcie w trakcie lektury, tu odstawiał szklaneczkę, gdy wzburzony potrzebował chwili wytchnienia od cudzych myśli, a ten szerniały strup to ślad po żarze papierosa. Od razu było widać, że mebel, choć czas świetności miał za sobą, był bezpieczną przystanią, ku której codziennie dryfował właściciel. Porucznik pokręcił głową z niedowierzaniem – z każdą chwilą Belair wyłaził z czarno-białego wymiaru szubrawca, zyskując coraz więcej ludzkich cech. Legrasse spochmurniał. Nie lubił, gdy przestępcy przestawali być skurwielami i tym samym burzyli mu prosty obraz świata.

Postąpił krok i zamarł. Zachwiał się, balansując na pięcie. Parkiet

delikatnie zaskrzypiał, a jedna z desek nieznacznie ugięła się pod jego ciężarem. „Pusta przestrzeń” – przemknęło Legrasse’owi przez głowę. Słyszał o praktyce chowania zapasowych elementów drzwi tuż pod pierwszą dechą podłogową za progiem. Rozwiązanie tej zagadki musiało jednak ustąpić pola sprawom bardziej nagłym.

– Długo zamierza się pan tak kryć? – Legrasse obejrzał się wymownie w stronę zacienionego przejścia, częściowo zatarasowanego na wpół przymkniętymi drzwiami. – Za głośno pan oddycha. Astma?

Z głębi mieszkania oszczędnym krokiem doświadczonego żołnierza wyłonił się niewysoki mężczyzna. Dłonie trzymał lekko odchylone od ciała, ale nie na tyle, aby nie zdołać błyskawicznie sięgnąć w razie potrzeby po ukryty pod marynarką rewolwer. Lub nóż. Lub cokolwiek, czym typek lubił zabijać. Bo to, że lubił zabijać, nie ulegało wątpliwości. Był niższy od Legrasse’a, krępy, a pod odzieniem rysowały się nabite stałą mięśnie. Lekko kulał, choć to akurat mogła być gra pozorów. Zapadnięte, ciemne oczy nie pozostawiały jednak wątpliwości. Nieznajomy budził niemiłe skojarzenia z trucizną oraz błyskającym w świetle latarni ostrzem sztyletu.

– Czy nikt w tym mieście nie zjawia się o czasie? – rzucił zawadiacko astmatyk, jakby to było niezobowiązujące spotkanie na Bourbon Street. – Czekałem na pana.

Legrasse był czujny, instynktownie szykował się do odparcia ataku.

– Widzę, ten tego, że opinie o panu nie są przesadzone – rzekł tamten lekko, niemalże przyjaźnie. Głos mężczyzny wibrował francuskim akcentem niezniekształconym kolonialną manierą. Nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten urodził się, dorastał oraz odbierał edukację na Starym Kontynencie. – Przynajmniej te dotyczące instynktu. Ponoć niczym szczur potrafi pan wyczuć zagrożenie.

Legrasse uśmiechnął się, odsłaniając niedbale rewolwer wiszący przy piersi.

– Gdy byłem na froncie – odparł bez cienia gniewu – zauważyłem, że francuscy żołnierze stosują osobliwą taktykę ogłupiania wroga: mianowicie, mierząc do rzeczonego zadkami, prą ku własnej artylerii

i rozpływają się dosłownie w powietrzu. – Zignorował lodowaty wzrok mężczyzny, w którym skrzyła się niewypowiedziana groźba. – Przysięgam, karaluchy wolniej umykają, gdy światło zapalić.

Przez chwilę mierzyli się chłodnym, taksującym spojrzeniem zawodowców, niczym bokserzy krążący po ringu przed pierwszym gongiem. Próba sił, wyzwanie rzucone niemym gestem, obelga zaklęta w zmrużonej powiece, drzenie pompowane adrenaliną. Mięśnie Legrasse'a zagrały znaną pieśń, napinając się, wymuszając na ciele wytrenowaną postawę. Wyrównał oddech. Nie zamierzał pozwolić przeciwnikowi wyprowadzić więcej niż trzy uderzenia. „Cofnięcie, zamarkowane uderzenie, skręt, kontra i strzał w krtań”. Zacisnął szczęki, szykując morderczą pułapkę, wytrenowaną w zaułkach, z dala od ringu oraz czystej gry. Nieznajomy uśmiechnął się, lekko zmieniając postawę.

Nie zaatakowali. Francuz uśmiechnął się pojednawczo, uniósł otwarte dłonie. Zakręcił węża.

– Zaiste, ten tego – rzucił. – Plotki o panu są diabelnie akuratne. Pierre powinien dziękować Świętej Paniencie, żeś go pan nie zatłukł w tej alejce.

Legrasse ocenił sytuację. Z żalem pozwolił splotom mięśni na rozluźnienie, czując delikatne drzenie łydek, ud oraz brzucha, tłumiące rozładowywaną energię. Odetchnął cicho, uwalniając powietrze z przepony.

– Nie wiedziałem, że Sûreté ma zlot w Big Easy – odparł kwaśno.

Zbyt wiele grzybów pływało w tym barszczu i Legrasse nie zamierzał zmilczeć tego drażniącego faktu. Raptownie pożałował, że rzeczywiście nie oćwiczył dotkliwiej chłystka cupniętego w zaułku.

– Sytuacja się zmieniła radykalnie i dramatycznie, szanowny panie. – Francuz nie tylko zignorował przytyk, ale lekko wyprowadził kontrę, dając Legrasse'owi jasny sygnał, że słowne utarczki to ślepy zaułek. – O czym pan wie, panie drogi, ten tego. Teraz zostało nam już tylko uprzątnąć ten nieobyczajny burdel.

Porucznik nagle poczuł się bardzo zmęczony, niczym Atlas uginający się pod ciężarem świata. Wypowiedzenie w pracy, wybuchy, tajemnicze sekty, zakulisowe rozgrywki służb

i wszechobecna śmierć. Musiał usiąść, byle gdzie, aby tylko na chwilę dać oparcie uginającym się kolanom. Stres i brak snu robiły swoje. Rozmasował kąciki oczu oraz nasadę nosa, lekceważąc potencjalne zagrożenie. Mówiąc dosadnie: miał je głęboko w dupie.

– Ktoś pan, panie Sûreté. Aaa... Eee... – Uniósł palec, przerywając brutalnie mężczyźnie, gdy ten zbierał się do odpowiedzi. – Nie śpię od kilku tygodni, nie licząc krótkiego okresu, gdy leżałem bez ducha naszpikowany morfiną, amfetaminą i diabli wiedzą czym, po tym jak wysadzono mnie w powietrze. Chwilę wcześniej strzelano do mnie, grożono mi i usiłowano inwigilować. – W upiornej wyliczance znalazł ku własnemu zdziwieniu odrobinę satysfakcji. – Niekoniecznie w tej kolejności. Więc nim postanowisz pan mnie okpić lub kazać zreć końskie łajno, uprzedzam: mam rewolwer i zastrzelę jak psa. Zatem do rzeczy

Francuz przez chwilę przyglądał się badawczo Amerykaninowi z wyraźną rewerencją.

– Słusznie, ten tego. Tym bardziej, że czas nagli. Rozumie pan, że Francja nie chce dalej prowadzić operacji, w której straciliśmy człowieka na obcej ziemi.

Detektyw wzruszył ramionami. Wygrzebał piersiówkę, pociągnął łyk i bezceremonialnie rzucił metalową flaszyną ku agentowi. Francuz chwycił ją zgrabnie, pewnie, wyćwiczonym ruchem. Porucznik mimowolnie zadrżał, wyobrażając sobie, że człowiek ten dokładnie tym samym ruchem może chwycić podrzucony nóż, siekierę lub diabli wiedzą co.

– Legrasse.

Tamten uśmiechnął się, przepił z honorami.

– Eugene-François de Taffanel – odparł ze stosowną emfazą, jakby obwieszczał karę śmierci.

Były policjant nie potrafił zachować powagi. Parsknął serdecznym śmiechem, absurd sytuacji go przerósł.

– Powiedz pan jeszcze, żeś syn piekarza. – Machnął ręką, widząc, że mężczyzna nie zamierza komentować przyrównania do jego imiennika, założyciela Sûreté. – Dobra. Mniejsza o detale. Zgaduję, że mam przyjemność z przełożonym ludzi, których poznałem.

Nieszczęśnika, którego znalazłem nad kanałem i tego chłystka, co to na robocie wywiadowcy się jeszcze nie poznał.

Francuz spochmurniał, ale nie wyglądał na kogoś chętnego do składania obszernych wyjaśnień. Zamiast tego jedynie kiwnął głową.

– Tak – pozwolił słowu wybrzmieć do końca. – Ad rem, ten tego. Widziałem, że znalazł pan to, co i ja. Proponuję pospołu, kolektywnie, rozpruć sekretny skarbczyk.

– Wyjaśnienia, skurczybyku, mi się należą. Ludzie poginęli...

– Niech pan trzyma dla innych sztubackie pozy. – Francuz błysnął zębami. – Obiecuję nie trzymać kart przy orderach. Przynajmniej nie wszystkich. To co, przestaniez pan, ten tego, zasłaniać tę skrytkę podłogową i dasz zerknąć?

Porucznik zawahał się, ale cofnął o krok. Odkształcona deska parkietowa jęknęła cicho, wracając do pierwotnego ułożenia. Francuz przyklęknął, a w jego dłoni nie wiedzieć kiedy błysnęło ostrze sprężynowego noża. De Taffanel sprawnie podważył zaślepkę, odstawiając skrytkę większą, niż pierwotnie zakładał Legrasse. Wewnątrz znajdowały się charakterystyczne metalowe kasety i niewielkie czarne pudzeczko. Agent Sûreté spojrzał wymownie, wyciągając najpierw niepozorną kamerę.

– Pathex. – Puknął paznokciem w wytłoczone na chropowatej obudowie logo firmy. – Nasza robota – dodał machinalnie, podając urządzenie Amerykaninowi.

– System dla amatorów. To mamy komplet z tym ustrojstwem stojącym w tamtym pokoju – mruknął Legrasse, przyglądający się prostej konstrukcji Francuzów.

Słyszał o wynalazku i systemie Pathé Baby, ale nie miał jeszcze okazji oglądać tego w praktyce. Taśma dziewięć i pół milimetra, choć niezwykle popularna w Europie, w USA nie wzbudziła większego zainteresowania. Detektyw z zafascynowaniem obracał kasety, w której zamknięto mechanizm. Od chwili ogłoszenia sprzedaży w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku Legrasse ciągle obiecywał sobie, że zamówi egzemplarz, i stale odkładał decyzję na później. Kamera z pathescopem, statywem oraz wszelkimi dodatkami była kosztowną zabawką.

– Powinna jeszcze tam być karta ekspozycji – mruknął, oglądając uważnie urządzenie. Szukał zabrudzeń, drobnych otarć na krawędziach i tych wszystkich subtelnych zadrapań, jakie powstają w trakcie użytkowania tego typu sprzętu na świeżym powietrzu.

– Nie ma – odparł Francuz, wyciągając kolejne pudełka z taśmami.  
– Z miny domyślałam się, że plotkarze zapomnieli dodać, iż jest pan miłośnikiem kina.

– A kto nie jest? – Podrapał szczękę, przyglądając się krytycznie znalezisku. Po pierwszej fali ekscytacji policyjne nawyki wzięły górę.  
– Nie ma zbyt wielu śladów użytkowania. Zgaduję, że obiektyw ustawiony jest na pracę w pomieszczeniu.

Francuz wzruszył ramionami, najwyraźniej subtelności pracy kamerzysty amatora niewiele go interesowały. Zapytał:

– Po co to ukrył? To nie jest aż tak drogie, by chować pod podłogą, zwłaszcza że projektor stoi na widoku...

Legrasse potrzebował chwili, aby sformułować w myślach odpowiedź na przytomną uwagę Francuza. To, co podpowiadała mu intuicja, wywołało brzydki grymas, wykrzywiający twarz byłego policjanta.

– Niebieskie filmy<sup>27</sup> – rzucił, wskazując na trzymane przez agenta kasety z taśmą. – Amatorskie sprośności – dookreślił, zupełnie niepotrzebnie.

Eugene-François de Taffanel sprawiał wrażenie całkowicie świadomego, jaki rodzaj filmów wyświetlano swego czasu w trakcie tzw. *Herrenabende* w kinach austriackich. I niemieckich. I w pozostałych krajach Europy też. Francuz pogardliwie wyduł usta, ale nie skomentował w żaden sposób znaleziska. Ściągnął brwi i przez chwilę wpatrywał się w zamknięte rolki celuloide, jakby był w stanie dojrzeć poszczególne kadry.

– Poważny paragraf?

Porucznik spochmurniał. Za posiadanie groziła kara więzienia. Wykrywalność była jednak niewielka i w większości wypadków przypadkowa. Mafia niewiele sobie z tego robiła, całkowicie amatorzy wypłukujący taśmy we własnych wannach ryzykowali mniej niż pokątni bimbrownicy. Fotograf zawodowo zajmujący się celuloidem



był poza zwyczajowym kręgiem zagrożonych prewencyjnym nalotem mundurowych. Kolekcja była jednak spora, a stopień ukrycia znaczny.

– Nie. Więzienie.

– Pijesz piwo, idziesz do ciupy. Oglądasz gołe baby, idziesz do ciupy. Oglądasz gołych chłopów, dostajesz wpierdol i idziesz do ciupy. Wolność aż się ulewa – zakpił de Taffanel.

Były policjant uśmiechnął się smutno. Trudno było nie zgodzić się z tak błyskotliwie postawioną diagnozą kondycji amerykańskiego społeczeństwa.

– Nawet jeśli, nie chciałoby mi się robić specjalnej skrytki w podłodze. Wódę trzymam w szafce. Mam też kilka pikantniejszych zdjęć dziwek, jeszcze z czasów Storyville. Te trzymam w szufladzie.

Francuz zaśmiał się, kręcąc głową z niedowierzaniem na to prostolinijne wyznanie grzechów pomniejszych. Legrasse przyjrzał się uważnie agentowi Sûreté. Francuz najwyraźniej był świetnie poinformowany oraz miał rozeznanie w bieżących sprawach kryminalnych Nowego Orleanu. Porucznik nie zdziwiłby się, gdyby któryś z wyłowionych z Missisipi trupów nosił podpis tego człowieka.

– Najprościej obejrzeć. Ale... – Spojrzał wymownie na dziwnego mężczyznę o aparycji ulicznego zabijaki. – Ale najpierw porozmawiajmy.

Francuz nie odpowiedział, wpatrywał się obojętnie w byłego policjanta. W końcu sapnął ociężale niczym ruszający parowóz. Odłożył taśmy, cofnął się o krok i splótł dłonie za plecami. Na wysokości lewej piersi mężczyzny marynarkę wypychał niewielki prostokątny przedmiot.

– Filmy mnie nie interesują, Legrasse – odparł zimno. – Nie są moją sprawą. Pan jesteś. Spokojnie! – Nie drgnął, nie wykonał najmniejszego ruchu. – Jak policjant z policjantem. Teraz sięgnę do wewnętrznej kieszeni i coś wyjmę. Nie będzie to broń, możesz pan, ten tego, opuścić tę armatę. Jak Boga kocham, Jankesi...

Detektyw poczuł, jak krew w nim się burzy, ale opuścił rewolwer. Tymczasem de Taffanel, tak jak zapowiedział, powolnym ruchem odchylił połą marynarki i wydobył złożoną podłużnie szarą, cienką aktówkę. Rozprostował tekturową obwolutę, upuszczając ją na

siedzisko fotela.

– Co to?

– Prezent od Sûreté. Jakiś czas temu wykradziono ze zbiorów muzealnych pewną księgę. Bardzo starą oraz bardzo niebezpieczną wedle słów naszych uczonych. Grymuar, mówiąc dokładniej. – Uśmiechnął się, widząc przemożne zdziwienie na twarzy Legrasse'a. – Nasi specjaliści zajmujący się księgozbiorami, nie licząc jakiś fantasmagorii, ten tego, zapomnianych bóstw, utrzymują, że książka jest niekompletna. Od chwili jej powstania jest na zmianę obiektem pożądania oraz skrajnej niechęci. I kradną ją na potęgę. Imaginuj sobie, panie Legrasse, że za Bonapartego ktoś ją dwukrotnie podebrał ze zbiorów. Za drugim razem usiłował spalić, wcześniej wyrrywając kilka stron...

– I teraz wam ją znowu ukradli? – prychnął Legrasse. – Powinniście ją jakim łańcuchem uwiązać. Bo policję biblioteczną już widzę, że macie...

Oblicze de Taffanela przeciął szary cień irytacji.

– Tak. – W lodowatym głosie zabrzmiała nieprzyjemna groźba.

Porucznik uśmiechnął się, zadowolony, że w końcu znalazł słaby punkt agenta. Duma. Zadziwiające, jak wielu ludzi na nią cierpi.

– Na zlecenie kogoś z dawnych kolonii. Wytropiliśmy ludzi, którzy ją wykradli. Pan, przypadkiem, bo przypadkiem, znalazłeś człowieka odpowiedzialnego za szmugiel.

– Jamson.

– Tak, on.

– Ale co ma książka z tym wszystkim wspólnego?

Francuz przez chwilę milczał, dając czas Amerykaninowi na podstawienie zmiennych do wyjaśnianego równania.

– To jakaś księga zaklęć i traktat filozoficzny zarazem – powiedział tonem ni to zwierzenia, ni to pogardy. Jakby nie mógł się zdecydować. – Spisana ponoć ludzką krwią. Dokładniej, to została wyżłobiona na ludzkiej skórze, Legrasse. Z tego, co nam przekazano, księga zrobiona jest z ludzi, a wszelkie litery to są ciągi nacięć...

Legrasse pobladł. W głowie detektywa rozszalał się wściekły huragan gnający myśli niczym trzciny łodygi, łamiąc je, płacząc

oraz posyłając w niebyt. Z chaosu wyłoniła się upiorna kobieta ciągnąca potrzaskany trójnóg, do którego wciąż była uwiązana. Poraniona, częściowo obdarta ze skóry. Dudnienie w skroniach przeszło w paraliżujący ból, gdy z odmętów pamięci wyłoniły się niczym lodowaty szpikulec słowa zdradzone przez starego Castro: *Cthulhu ftagh!* Legrasse zacisnął zęby.

– Widzę, że pojął pan powagę sytuacji, z jaką się, ten tego, mierzymy – rzekł Francuz. – Przez nieudolność naszych gryzipiórków, a skuteczność waszych, przez pana podejrzliwość i niechęć współpracy, mam związane ręce. Straciłem też człowieka – dodał dobitnie, wbijając sztyletowe spojrzenie w porucznika, który nagle poczuł się małym, zagubionym chłopcem. – Zostałem odwołany, a pan dla sprawiedliwości, ten tego, został wywalony z roboty. Obaj przegraliśmy, bo są ludzie, którzy nie chcą, byśmy dotarli tam, gdzie się wybieramy. – Tu pozwolił sobie na chwilę zbędnej dramaturgii i znacząco zawiesił głos.

Porucznik odchrząknął, prostując się jak struna. Ignorując nagły ból głowy, zmusił się do logicznego myślenia, odcinając się od wrzenia jestestwa, od dławiącej gardło bestii słusznej złości. Krzywiąc gniewnie usta, wydobył się z ciemności, która usiłowała go dopaść. W tej chwili jedyne, co się liczyło, to zimna kalkulacja, logiczne wnioszkowanie, dobra, policyjna robota, do której nawykł.

– Rozumiem, że zostaje pan w okolicy.

Francuz uśmiechnął się i potwierdził:

– Owszem. Mam kilka spraw do załatwienia. Ta teczka to dla pana. Pomyślałem, że zechce pan spojrzeć na wyniki sekcji mojego człowieka, na przyczynę śmierci. Myślę, że będzie to dla pana wielce interesujące.

Legrasse nie skomentował. Nie miał siły na roztrząsanie podejścia tego człowieka do śmierci ludzi, którymi dowodził. Koniec końców Europejczycy mieli inne standardy.

– Jak pana znajdę?

Francuz skinął głową i ruszył ku wyjściu, ale zatrzymał się w połowie drogi.

– Wiem, gdzie pan teraz pracuje. Proszę przejrzeć raport waszego

koronera. Zapewniam, że Loui nie miał kłopotów z sercem. Każdego osobiście rekrutuję do swojego oddziału.

Po chwili Legrasse został sam w zakładzie, mieszkaniu oraz melinie fotografa. Było cicho i spokojnie. Stał nad dziurą w podłodze pełną amatorskich filmów porno, na fotelu leżała teczka z opisem sekcji zwłok francuskiego agenta, a gdzieś w mieście czaił się człowiek usiłujący zrekonstruować księgę wykonaną z ludzkiej skóry. Zaklął w duchu.

## Rozdział 9. Drugie dno

Legrasse mierzył do czarnoskórego z rewolweru.

„Mężczyzna nosi broń z zamiarem jej użycia” – mawiał jego ojciec.

Atletycznie zbudowany, pewny siebie Murzyn wyglądał na o połowę młodszego od detektywa. Kipiał uliczną bezczelnością i zادیornością. Legrasse spokojnie odciągnął kurek, mrużąc oczy. Drugi napastnik leżał w kałuży krwi u jego stóp. Wokół zbierała się coraz większa grupa mniej lub bardziej pijanych mężczyzn. Gdzieś w tłumie błysnął nóż, ktoś stłukł butelkę o krawężnik. Detektyw nagle poczuł zmęczenie. Spoglądał w tak lśniące oczy zbyt wiele razy, za często gasił tłące się w nich światło. Chłód broni koił, sprowadzał spokój, w którym można było się roztopić. Zapomnieć. Miał jednak coś do zrobienia.

– Cholera – wychrypiął ni to do siebie, ni to do człowieka wpatrującego się w czarne oko LeMata.

Murzyn w słomkowym kapeluszu i błękitnej, spranej koszuli szczyrzył zęby prowokująco, okazując równy rząd złotych koron. Nie usiłował się cofnąć lub zejść z linii strzału. Mimo zagrożenia czuł przewagę grupy oraz sztubacką potrzebę manifestacji odwagi. Legrasse zaklął w duchu. Przed oczyma mignął mu rozpędzony pociąg ciągnący przebliski świadomości.

\*\*\*

W ciemnej norze, oglądając raz po raz amatorskie porno przetykane scenami gwałtów, tortur oraz poniżania, czuł, jak rozpada się jego człowieczeństwo. Taśma za taśmą, obrzydliwy kadr za kadrem, Legrasse staczał się na dno otchłani, jaką uwiecznił na swych filmach Belair. Na samo wspomnienie chwil spędzonych przy projektorze zbierało mu się na torsje. Kobiety bite, maltretowane, skute, wiązane, unieruchomione w dybach i gwałcone. Raz po raz. Korowód

półnagich mężczyzn w maskach przypominających drewniane twarze przewijał się przez celuloidowe taśmy. Legrasse patrzył, zaciskając pięść i zagryzając kłykcie, gdy stawał się świadkiem uwiecznionego na filmie wyrachowanego, dokładnie wyreżyserowanego bestialstwa. Mimo to dalej oglądał, wiedziony instynktem, brodząc w kloace ohydztwa fantazji chorego umysłu. W chwili gdy parada dziwactw, seksualnych dewiacji oraz sadyzmu zaczęła się zlewać w monochromatyczny chaos, Legrasse poczuł bolesne ukłucie. Otepiały umysł, który z wolna zatracił się w obrzydlistwach, niespodziewanie się obudził. Wystarczył błysk, pojedyncze ukłucie świadomości, aby porucznik wyrwał się z lepkiej pajęczyny pełnej diabłów, fantomów oraz katowanych kobiet. W gąszczu zubożniałych, otepiionych narkotykami twarzy dostrzegł tę znajomą. I kolejny raz. Ta sama lśniąca cera, sarnie oczy, gibka sylwetka. Bita, katowana, skrępowana oraz skrzywdzona po wielokroć przez kudłatego, nalanego satyra o obwisłej skórze. Nie miał wątpliwości.

\*\*\*

Na wpół przytomny wtoczył się do tramwaju. Później kolejnego. W kieszeni marynarki ścisnął zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny, uchwyconej w chwili beztroski na tle brezentowych ścian wędrownego kościoła.

Kołysał się niczym barka na wodach Missisipi. Przedryfował przez St. Claud Avenue. Jak we śnie minął kolejne zapyziałe budynki, aby w końcu za torowiskiem wskoczyć do rozklekotanego, oliwkowego wagonu nieopodal Lousia Street. Musiał dotrzeć do Desire. Musiał odnaleźć przekłete miejsce, gdzie na tle cyrkowego namiotu Belair uchwycił portret Czarnej Madonny.

„Zawsze zostawiają jakiś trop. Trzeba go tylko poszukać” – mawiał ojciec Johna.

Jak zawsze miał rację.

Gdy Legrasse pociągnął sznurek sygnalizacyjny na Humanity Street, był jedynym białym siedzącym za parkanem segregującym pasażerów. Podobnie było na ulicy. Wkroczył do piekła.

Buchnęło gorącem, zapachniało jambalaya, w końcu zawiało zjełczalym potem, biedą, beznadzieją oraz pokątnie pędzonym alkoholem. Desire w całej swej okazałości. Piekło dla białych, czyściec dla czarnych, miasto dla wszystkich.

Przyjrzał się uważnie krzywym domom stojącym na ceglanych podwyższeniach. Ruszył przed siebie, mijając jedną zrujnowaną chatę za drugą. Wielokrotnie widywał objawy pecha, ale tu – na dnie cywilizacyjnego tygla – wszystkim przysługiwała równa miara goryczy. Pech noszono tu w wiadrach na wodę, obdzielając nim po równi każdego. Ciężarne podlotki, nastoletnie prostytutki, bimbrownicy oraz sutenerzy niewiele starsi od wczorajszego zacieru. Lower Ninth Ward to oaza, ziemia obiecana w porównaniu do Desire.

Legrasse poprawił fedorę. Zdał sobie sprawę z tego, że zaczyna błądzić w gąszczu urbanistycznego koszmaru. Cała okolica zdawała się świadomie zakrzywiać rzeczywistość, tak by nic nie pozostawało proste, mierzalne lub przewidywalne. Garden District ze swymi białymi willami był daleko. Błądził z każdym krokiem coraz bardziej, z każdą minutą przyciągał więcej spojrzeń. To, że krążył po dzielnicy z wysoko uniesioną ręką, pokazując wszem wobec zdjęcie czarnej dziewczyny, nie pomagało. Kolejni ubrani w same koszule i słomkowe kapelusze mężczyźni odprowadzali Legrasse'a nienawistnym spojrzeniem, splunięciem, a często także jawną groźbą. Kilku ruszyło jego śladem, paru sięgnęło do kieszeni, dwóch postanowiło przeciąć mu drogę.

Tym sposobem wściekły, niewyspany, impulsywny człowiek z bronią w kaburze oraz kastetem oplecionym wokół kłykci stał przed obliczem podpitego lokalnego rzezimieszka. Murzyn krzyczał i pluł śliną, sepleniąc slangiem. Dlatego mężczyzna złamał mu szczękę i zapewne przyprawił o wstrząśnienie mózgu, posyłając młokosa bez czucia w kałużę krwi. Drugiego chciał zastrzelić. Stał na szeroko rozstawionych nogach, mierząc do mężczyzny z rewolweru. Grupa czarnoskórych w tle kołysała się i buczała gniewnie.

Szczęśliwie w porę przypomniał sobie, kim jest i po co tu przybył. Szczęśliwie dla niego samego przez tłum przepchnęła się wysoka, zasuszona kobieta.

Po ulicy poniosł się nerwowy szept:

– Mama Mae.

– Przepuście Mamę!

Głosy niosły się z kurzem ulicznym. Napici, rośli, nawykli do ciężkiej pracy mężczyźni rozstępowali się niczym wody morza przed Mojżeszem. Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że siwowłosa kobiecina dorastała w niemalowanej chacie na jednej z setek plantacji trzciny cukrowej. Miała harde spojrzenie oraz twardy kark przyzwyczajony do noszenia wody na drewnianym pałaku. Zatrzymała się tuż przed białym mężczyzną mierzącym z broni do jednego z jej pobratymców. Wydeła mięsiste wargi, które niegdyś w lepszych czasach były słodką obietnicą. Spojrzała na wymięte zdjęcie leżące pomiędzy łajnem, brudem i zakrwawionym człowiekiem.

– Brawo! – W jej głosie zawibrowała mądrość pokoleń dziadów, ojców oraz wujów bitych za zbrodnię bycia zbyt chorymi, aby pracować w polu.

Legrasse mimo woli się skrzywił, rozważając, kogo zabić najpierw. Wróciły wspomnienia z frontu, chłód porażający palce zaciśnięte na bagnecie.

– *Ahhite*. Czego tu szukasz? Skąd to masz? – Kobieta wskazała na czarno-biały wizerunek uśmiechniętej dziewczyny.

– Ktoś ją skrzywdził – wycedził przez zęby. – A ja chcę tego skurwiela znaleźć.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, jakby szukała tam odpowiedzi na niezadane pytania. W końcu machnęła ręką.

– Moses! – Obróciła się do czarnoskórego byka o złotych zębach. – Ściągnijcie Randolpha na *banquette*<sup>28</sup> i lećcie po medyka. A ty, *creole*<sup>29</sup>, chodź za mną. Dość tu już narozrabiałeś jak na białego w czarnym sercu miasta.

Poprowadziła go w głąb dzielnicy, z dala od głównej ulicy utoczonyj ze żwiru i kruszonych muszli. Odprowadzały ich gniewne spojrzenia oraz wykrzywione złością twarze. Nikt jednak nie ważył się przeciwstawić woli starszej kobiety. Nie urzędnicze nadania stanowiły w tym miejscu o hierarchii czy randze. Ludzie w Desire żyli blisko



ziemi, blisko gliny, z której ulepiono człowieka, respektując stare, plemienne prawa.

To był świat, gdzie nadal beztrąsko opowiadało się o świniobiciach, aligatorach wielkich jak samochody oraz kukurydzianym chlebie z melasą. Żyjący tu ludzie rzadko kiedy opuszczali obrys kilku najbliższych przecznic. Świat biedy obwiązany był pętlą ulic oraz torowisk. Dzieciaki dobiegały do Claiborne Avenue, do makaroniarza sprzedającego masło. Za jego sklepem rozciągał się dziki świat miasta, do którego wstęp mieli jedynie dorośli. Jak dawniej ich dziadowie nie opuszczali ziemi swojego właściciela, tak teraz, niby wolni, byli więźniami tej dzielnicy. Na swój sposób pozostawali szczęśliwi. Po tej stronie kanału nie było śladu po rozedrganym życiu Nowego Orleanu, wymuszonych zasadami garniturach i równo przyciętych sukienkach. Zwyczajny dom, rodzina, wieczory spędzane na ganku, niedzielna msza w pobliskim kościele oraz pudding z bananów, jeśli do portu zawinął transportowiec. To była kwintesencja szczęścia, do tego ograniczało się życie.

Poprowadziła go ku gankowi bielonego domu. Był mały, jak wiele w sąsiedztwie, zadbane, na swój wyjątkowy sposób krzywy. Podkreślał koloryt okolicy i tworzył wraz z innymi niepowtarzalną specyfikę tego miejsca. Wieś w mieście.

W cieniu werandy siwy mężczyzna kołysał się leniwie na bujanym fotelu. Tuż obok równie sterany życiem drzemał olbrzymi pies. Na kolanach dziadka spoczywał stary karabin pamiętający wojnę Północy z Południem. Mężczyzna o twarzy porytej bliznami oraz zmarszczkami nie zaszczycił przybysza spojrzeniem.

– Abraham – przedstawiła kobieta. – Mój mężczyzna.

Tak właśnie powiedziała: „mój”, jasno określając, kto rządzi w tym domu, a najpewniej i dzielnicy. Legrasse uchylił przed starcem kapelusza, ale ten zdawał się nie dostrzegać niczego poza chmurami na niebie.

– Wejdz do kuchni, nie potrzeba tu gapiów – rzuciła do detektywa. Spojrzała surowo na starca. – Abrahamie. Upewnij się, że nikt nam nie będzie przeszkadzać.

Stary Murzyn kiwnął głową na znak, że przyjął polecenie, i na

nowo zapatrzył się w przestrzeń oraz rozkołysaną na wietrze trawę porastającą niewielkie podwórko.

Legrasse przeszedł przez skromny, pachnący ziołami dom, który ze swoją niezwykłością ukrył się za zasłoną zwyczajności. Był gotów przysiąc, że kątem oka dostrzegł falującą rzeczywistość, przenikające się plany, ale gdy tylko spojrział w tę stronę, wszystko wróciło do normalności. Wydeptany słomkowy dywan w miejscu paleniska, kanapa, tam gdzie zdawał się dostrzegać drewniane zydle, oraz gliniane klepisko. Tylko girlandy suszonych ziół rozwieszane po całym domu pozostawały niezmienione.

Mama Mae poprowadziła go do jasnej kuchni przypominającej gabinet wróżki. Obok naczyń wyrastających ze zlewu stały gromnice zwieńczone szerniałymi knotami. Framugi drzwi oraz okien niknęły pod ochrowymi wzorami prostych, geometrycznych pociągnięć rysika. W kącie, z dala od zwyczajowego miejsca krzątania domowników, stał niewielki ołtarzyk: obraz Czarnej Madonny z bliznami na policzkach, kilka prawie wypalonych do cna świec oraz białe jaja obsypane białym ryżem. Nad obrazem ktoś błękitną farbą wymalował z pietyzmem skomplikowany ciąg lustrzanych odbić wzorów tworzących magiczny symbol *loa*, któremu poświęcono to miejsce. W pomieszczeniu czuć było smażoną rybę oraz zioła, w które wgryzał się ostry, słodkawy zapach cygarowego dymu. Śmierdziała ludową magią. Nastroszona, rachityczna Murzynka wykrzywiła usta w drwiącym uśmiechu, gdy zobaczyła, że Legrasse odgadł, kim jest. Brakowało jedynie czarciego gara. Detektyw rozejrzał się, szukając miejsca dla interesantów, odwiedzających Mamę Mae, lokalną wiedźmę. Przy obitym stole nie było żadnego krzesła. Kobieta tymczasem wyjęła ze skrzyni z lodem dzbanek wody z czosnkiem i rozlała do dwóch krystalicznie czystych szklanek.

– Gdzie ją znalazłeś – rzuciła władcym tonem. – Rebecce, gdzie znalazłeś.

Legrasse przez chwilę zastanawiał się nad najlepszą odpowiedzią, przyglądając się pomiętemu zdjęciu atrakcyjnej dziewczyny. Piękności, której każda została sfilmowana ku uciesze anonimowych zwyrodnialców. Ponownie poczuł napływający gniew. Zacisnął pięść

i wbił paznokcie w dłoń. To pomogło, przynajmniej na tyle, że mógł zapanować nad własnym głosem.

– Mam tylko to zdjęcie. Nie wiem, gdzie jest dziewczyna. – Starał się brzmieć przekonująco.

Kobieta przez chwilę przyglądała się białemu mężczyźnie, po czym westchnęła ciężko. Legrasse miał wrażenie, że nieznacznie się skurczyła.

– Widziałam jej śmierć we śnie – rzekła smutnym głosem. – Była...  
– Spojrzała na detektywa. – Bała się. Umarła w bólu, który i ja czułam. Czemu biały interesuje się jedną z nas?

– Byłem gliniarzem...

Wiedźma wyduła wargi, ale nie odpowiedziała. Wyglądała na zanurzoną w świecie własnych myśli oraz majaków.

„Czy jest szalona?” – w głowie Legrasse’a nieoczekiwanie pojawiło się pytanie, drażyło nieustępliwie myśli, domagając się natychmiastowej odpowiedzi.

Detektyw chrząknął wymownie, stukając palcem w czarno-białą podobiznę roześmianej Rebekki.

– Muszę wiedzieć, gdzie to dokładnie jest. Może ktoś widział tego, kto zrobił to zdjęcie...

Desire leżało blisko starej posiadłości oraz wozowni, której sekrety były na tyle niebezpieczne, że ktoś wolał je zniszczyć, niż pozwolić, aby znalazła je policja. Sekrety, które strawił ogień wybuchu. Kanał przemysłowy nie stanowił bariery nie do pokonania.

– W tym mieście – powiedziała bardziej do siebie niż do Legrasse’a – od zawsze żyje duch Aidy Wedo, który nakazuje nam stawiać kobiecy pierwiastek ponad męskim. – Spojrzała z szacunkiem na wymalowany, błękitny *veve* zdobiący bieloną ścianę domu. – Czynimy to na pamiątkę opieki, jaką nas otoczyła: pomagamy dotrzeć babkom do wybrzeży Ameryki, przygotowujemy *griot*... Mimo to są siły, które gnębią i prześladują kobiety.

Przeniosła ciężkie spojrzenie na detektywa wciąż stojącego pod oknem. Bez słowa sięgnęła po niebiesko-białą chustę obwiązaną wokół szyi i poluzowała węzeł. Mahoniową skórę oplatała serpentyna szarej blizny szerokości sznura konopnego. Sądząc po grubości

starego śladu, lina musiała wgryźć się głęboko, zanim Mae została ściągnięta z drzewa.

– Idioci, nawet tego nie umieli dobrze zrobić – prychnęła pogardliwie.

Legrasse nie chciał, aby dopowiadała, czego jeszcze jej oprawcy nie umieli zrobić. Potrafił się domyśleć. Ilekroć we wczesnej młodości odwiedzał rodzinę na wsi, wuj, gdy sobie podpił, a ciotki nie było w pobliżu, z rozrzewnieniem wspominał szczeniące lata w lepszych czasach. W czasach gdy, jak twierdził, każdy chłopak miał swoją czarną klacz do ujeżdżania. Zawsze przy tym mrugał porozumiewawczo, jakby to był najlepszy żart pod słońcem.

– Mae. – Wytrzymał stalowe, nieprzejednane spojrzenie starej Murzynki. – Chcę znaleźć tych, którzy skrzywdzili Rebecę. Jeśli mi pomożesz...

– Oni w większości już nie żyją. A jak żyją, to wkrótce przestaną – rzekła lekko, na powrót oplatając szyję barwną szarfą. – Erzulie D'en Tort przebudzi się na nowo na bagnach. – W głosie kobiety wibrowała satysfakcja. – Już weszła w ciało! Niosąc swoje blizny na policzkach, wymierzy sprawiedliwość tym, którzy krzywdzą kobiety.

Legrasse zaniemówił. Takiego obrotu spraw się nie spodziewał. W umyśle detektywa myśli zaczęły wirować w chaotycznym tańcu. Usiłował dopasować nowy element do stworzonej układanki.

„Blizna na policzku. – Zębatka zaskoczyła, wskakując na odpowiednie miejsce. – Blizna po zranieniu – dopowiedział”.

– Ale skąd by...

Nagle nieistotne stało się źródło przekonania Mamy Mae o wymierzeniu kary. Legrasse'a przeszył zimny dreszcz, gdy niezborna myśl pojawiła się znikąd, wzbudzając lawinę logicznych implikacji. Ktoś najwyraźniej wiedział o nagraniach.

„Idioci, nawet tego nie umieli dobrze zrobić” – słowa czarownicy niczym węże oplotły umysł detektywa. Legrasse przymknął oczy, czując bolesne pulsowanie krwi w skroniach. „Coś pominąłem, gdzieś nie dopatrzyłem. Któraś przeżyła... Przeżyła, jak Mae, i chce wyrównać rachunki” – ponura świadomość spłynęła na niego niczym strumień lodowatej wody.

Musiał raz jeszcze obejrzeć archiwum Belaira, całe. Dokładnie. Jeżeli Murzynka się nie myliła, tym razem powinien szukać kobiety ranionej w twarz. Poczuł nieprzyjemny chłód ciągnący się od krzyża ku potylicy.

– Skąd to wiesz?

Spojrzała na niego wymownie, stając po przeciwnej stronie stołu. Bez słowa przysunęła do siebie zdjęcie ukazujące uśmiechniętą dziewczynę. W tle majaczył charakterystyczny kształt ogromnego namiotu.

– Widzę twoją duszę na krawędzi. Agresywna, gniewna, zagubiona. Coś kładzie cię na ciebie, chłopcze. Jesteś blisko krawędzi.

– Wiem doskonale, gdzie jestem.

– Czyżby? – prychnęła, stukając palcem w zdjęcie. – To tu, w Desire.

Legrasse spojrzał na wskazany sękatym palcem namiot, rozciągnięty na pustym polu. W oddali widniały zarysy jakiś konstrukcji przemysłowych.

– Wiem. Widziałem ulotki...

Kobieta splunęła na podłogę.

– To diabelstwo. Miejscowi tam nie chodzą. Nikt nie chodzi do węzowników. Do ludzi pijących strychninę – zapewniła z mocą tym większą, że spoglądała na fotografię dziewczyny, za której plecami widniał kaznodziejski namiot. Mae musiała dostrzec jego wzrok, bo pokręciła z rezygnacją głową. – Nie wiem, czemu tam była. Może ktoś obiecał jej nadzieję. Młode kobiety idą na to jak muchy, a to lep tylko. Wiele kończy w sieci pająka.

– Gdzie to jest. Dokładnie. – Legrasse wyciągnął z kieszeni spodni złożoną, żółtą ulotkę obiecującą zbawienie każdemu. – Tu jest tylko nazwa dzielnicy. Zgaduję, że gdzieś na uboczu, od strony portu. Ale może ułatwisz mi nieco życie?

Murzynka spojrzała z nienawiścią na broszurę i westchnęła ciężko.

– Rozłożyli się jakoś tak trzy niedziele temu, tam na błoniach, za torowiskiem. Mamią, niby to prawiąc nauki Białego Boga, ale ich kapłan mówi gadzim językiem – cedziła słowa z pogardą. – Odwiedzają go nieszczęśnicy, proste umysły nierozróżniające ducha

od diabła. To złe miejsce...

– Pójdę już.

Legrasse odstawił szklanę na stół. Zawahał się, ale postanowił zostawić zdjęcie Rebekki. Bardzo możliwe, że to jedyna pamiątka z chwili, gdy świat widział jej perlisty uśmiech po raz ostatni. Przynajmniej tyle mógł zrobić.

Wyszedł na ganek. Abraham nadal siedział ze strzelbą, pilnując, aby trawa rosła zgodnie z wolą Aidy Wedo. Po przeciwnej stronie ulicy kręciło się kilku mężczyzn, najwyraźniej nie do końca zadowolonych z decyzji Mamy Mae, ale żaden nie ważył się zaryzykować konfrontacji z czarownicą.

– Idź spokojnie, białasku – mruknął stary, stukając wymownie paznokciem w korpus strzelby. – Idź i się nie oglądaj. Czarnuch cię strzeże. – Zarechotał złośliwie.

Legrasse poprawił fedorę, upewnił się, że rewolwer spoczywa pewnie w kaburze, i ruszył przed siebie. Przez jakiś czas grupka mężczyzn kroczyła za nim. Trzymali się w stosownej odległości i obrzucali go zaczepkami oraz slangowymi wyzwiskami. Jednak gdy zauważyli, gdzie kieruje się biały, zrezygnowali: kolejno znikali w zapuszczonych alejkach. Wiedzieli, że nie mogą sprowokować go do utarczki.

Tymczasem zabudowania i liche budy przerzedziły się. Znikły prawie całkowicie, nim dotarł do niestrzeżonego przejazdu Północnej Linii Kolejowej. Już z daleka widział cel podróży odcinający się na tle wyniszczzonego, częściowo przemysłowego krajobrazu. Przeważały podmokłe nieużytki wyniszczone przez huragany niosące resztki z fabryk oraz magazynów.

Żółty, płócienny namiot stał rozpięty na samym środku pola, które pełniło funkcję okazjonalnego placu. W lepszych czasach rozstawiał się tu czasem cyrk lub jarmark. Teraz jednak była to święta ziemia. Na dowód tego szczyt konstrukcji był zwieńczony ni to krzyżem, ni to gwiazdą, symbolem wiary. Wyglądał na nieukończoną figurę geometryczną, jakby kreślarz w pewnym momencie porzucił swój projekt.

Legrasse zmarszczył brwi. W jego umyśle huczały myśli, które co

chwila układały się w nowe konstelacje. Wszystkie jednak okazywały się nietrwałe. Domysły jeden po drugim rozpadały się bezpowrotnie, wracały do bezkształtnego, ponurego kłębowiska.

– I co ty na to, brachu? – rzucił odruchowo.

Stuglik jednak nie odpowiedział. Tam, gdzie zwykle stał Polak, ziało pustką. Porucznik poczuł nieprzyjemne ukłucie w sercu.

„Nawet jeśli się ocknie, to już koniec. Jego mózg będzie wyjałowiony z myśli. To moja wina” – zakołatał mu w głowie głos pełen gniewnego wyrzutu.

Z ciężkim westchnieniem ruszył przed siebie, jakby szedł prosto na ściecie.

Wokół parkowały rozklekotane bryczki, pomiędzy którymi pyszniły się zdezelowane automobile. Gdzieniegdzie kręcili się ludzie, jakby nie mogli się zdecydować, czy ruszyć za resztą, czy pilnować pojazdów. Wszyscy bez wyjątku patrzyli ku wejściu do prowizorycznej świątyni.

Śledczy ruszył w tę stronę. Z wnętrza dobiegało miarowe klaskanie nadające rytm jakiejś religijnej pieśni. Nie była to jednak typowa pieśń gospel, ale coś bardziej plemiennego, prymitywnego, co korzeniami sięgało głęboko ku ziemi.

Kolejni ludzie schodzili się z okolicy, więc łatwo było wmieszać się w tłum. Większość idących miała już posiwiałe głowy, ale przemykali też i młodzi. Wyglądali na farmerów lub prostych robotników o rumianych twarzach. Kilku wiernych nosiło tanie garnitury domokrażców. Żadna z napotkanych osób nie wyglądała na miejscową, na kogoś z miasta. Było to widać po sposobie poruszania się, spojrzeniach, subtelnej mowie ciała. Legrasse zauważył kilka więziennych tatuaży widocznych spod podwiniętych rękawów. Dwóch mijanych Latynosów miało twarze przyozdobione charakterystycznymi łezkami w kącikach oczu. Mulaci, Murzyni, Latynosi i tylko jeden biały – Legrasse. Mało kto jednak zwracał na niego uwagę.

Na zaimprovizowanej scenie trzy kobiety przestępowały z nogi na nogę i głośnym pomrukiem nadawały rytm. Dla rozgrzewki nuciły i wyśpiewywały pierwsze słowa psalmów. Zebrani, siedzący oraz

stojący, dośpiewywali resztę, bijąc dłońmi o uda lub klaszcząc. Prowadząca chór zażywna Mulatka przeciągnęła ostatnią nutę, wydobywając głęboki, łapiący za serce ton. Dopiero teraz odezwało się wysłużone pianino uratowane z jakiejś zapadłej mordowni. Publika ucichła, a kobieta zaczęła śpiewać, unosząc wysoko ramiona pozbawione dłoni.

*Śnię o nim, jak On wyśnił mnie.*

*O tak, o tak, o tak.*

*Królestwo na mnie czeka, jak na każdego z nas!*

*Możemy tam iść.*

*O tak, o tak, o tak.*

*Bo Pan z grzechu, ze snu złego wybudzony*

*Wkroczy pośród nas!*

Ludzie zawtórowali, a radosne głosy wypełniły wnętrze płóciennej konstrukcji. Legrasse ustawił się z tyłu, tuż przy wejściu, przyglądając się uważnie zebranym. Wszyscy byli jakoś kalecy. Twarz stojącego najbliżej mężczyzny była skryta za pajęczyną grubych blizn, a starzec siedzący nieco dalej był pozbawiony części ręki. Porucznik przymknął oczy. Tego typu rany zostawiała siekiera lub maczeta. Na południu demony miały od zawsze łatwiejszy dostęp do ludzkich dusz.

Od czasu do czasu klaskał w rytm muzyki jak inni, obserwując wiernych spod na wpół przymkniętych powiek. Jeżeli Mae się nie myliła i trafił do kongregacji węzowników, wszystko mogło się wydarzyć. Południe było mistyczną krainą o swoistym kolorycie, lecz ludzie od węzy byli nieobliczalną siłą nawet dla południowców. Węzownicy nie zapuszczali się jednak tak daleko od Sand Mountain oraz Alabamy. Luizjana była zbyt cywilizowana.

Pot płynął po karkach otaczających go mężczyzn, ale nikt zdawał się nie przejmować panującym wewnątrz upałem. W uniesieniu i ekstazie mężczyźni oraz kobiety nucili pieśń pochwalną. Z rąk do rąk wędrował wiklinowy koszyk, do którego wpadały pojedyncze wymięte banknoty oraz wytarte monety. Mulatka, nie przestając kołysać biodrami i klaskać, spojrzała na zebranych przynaglającym



wzrokiem, uśmiechając się szeroko.

– A teraz zawołajcie Pana! Bo nadejdzie dzień, gdy trzewia ziemi się rozerwą i pochłoną grzeszników!

I zrobili to, a Legrasse'a przeszył zimny dreszcz. Zachęceni ponowili okrzyk, dając wyraz swej gotowości na nadejście Prawdziwego Pana.

– O Panie! Tego dnia wybrani zostaną wyzwoleni i wrócą do serca Boga. Innych pochłonie furia oraz głębiny piekielne.

Legrasse czuł, jak kolana zaczynają mu drżeć. Pianista zagrał wolną oraz dziwnie zmysłową melodię, a ludzie, szemrząc, rozsiedli się na rozkładanych krzesłach. Legrasse stał w progu, ocierając perlący się na czole pot. Przez scenę przewijały się jakieś postacie, ale nie słyszał, co mówią. W głowie ciągle huczało ponure *Ftagn!* wyskandowane po dwakroć przez wiernych.

Porucznik otarł spierzchnięte usta. Słyszał historie o szalonych kaznodziejach podróżujących od osady do osady. O wiernych, o kongregacjach żyjących w odciętych od świata zapadłych dziurach na Sand Mountain. O ludziach niesionych ekstazą i mówiących językami, o ludziach leczących świętymi olejami, pijących strychninę i biorących w dłonie jadowite węże. Wszystko, by dać świadectwo siły Boga.

Omiótł spojrzeniem ludzi w ekstazie. Siwe głowy, wysłużone ubrania, ciała sterane ciężką pracą w polu. Wyglądali jak setki innych wiernych sławiących nadejście wybawiciela. Przed oczami stanął mu sędziwy profesor Webb, którego poznał swego czasu w St. Louis na zebraniu Stowarzyszenia Amerykańskich Archeologów. Przypomniał sobie historię o prymitywnych Eskimosach czyniących gusła na skutych lodem odludziach Grenlandii. O kanibalach odprawiających krwawe rytuały pod przewodnictwem *angekoka* ku czci bezimiennego *tornasuka*. Przypomniał sobie w końcu dziką orgię pośród płomieni i umęczonych zwłok na bagnach Luizjany. Wspomniał rytuał, który przerwał.

Zobaczył Castro. Nie był starcem, który miał za sobą lata spędzone w więziennej ciemni. Młody, wyprostowany, o hipnotyzującym spojrzeniu. Regularne rysy sprawiały wrażenie wyrzeźbionych. Stał na

scenie w ciemnym, skrojonym na miarę garniturze. Elegancki i swobodny. Nie był ani spocony, ani zmęczony panującą duchotą. Pogodny i łagodny wyraz twarzy budził zaufanie. Ze swego miejsca na scenie obejmował pełnym troski wzrokiem wszystkie twarze wiernych. Rozłożył szeroko ramiona w ojcowskim powitaniu. Dla Legrasse'a było w tym geście coś niepokojącego, podszytego niewypowiedzianą groźbą. Wyglądał jak kobra mamiąca mysz, by zwabić ją do siebie i unicestwić śmiertelnym atakiem.

– Witajcie, bracia i siostry! – Do Legrasse'a zaczęły przebijać się słowa mężczyzny w czerni. – Mam dla was Słowo. Żyłem w grzechu. W grzechu wielkim sprowadzonym przez mego ojca. I jego ojca. I jego ojca. Ale się podniosłem! Bo życie, bo życie jest jedynie snem. Koszmarem! Marą, z której musimy się wybudzić.

Człowieka w czerni otaczała rozedrgana pustka złuszczonej się smolistymi wylinkami, które ulatywały w słonecznych smugach. Zebrani zdawali się nie zwracać na to uwagi. Tak jak i na mackowate wstęgi atramentowej ciemności rozłazące się niczym robactwo. Półmrok w namiocie gęstniał.

– Oto Słowo Boże! – krzyknął przysadzisty mężczyzna z bocznego rzędu.

Zawtórowały mu głosy poparcia oraz las rąk i modlitewników. Kapłan uniósł ręce w geście prośby o spokój. W jednym z pierwszych rzędów wypatrzył siwą kobiecinę, która kiwała się w rytm słyszanej tylko przez nią pieśni i ścisnęła kurczowo wysłużony egzemplarz Biblii. Uśmiechnął się właśnie do niej.

Legrasse słyszał historię o pewnym kaznodziei, który w trakcie nabożeństw modlił się w sposób typowy dla ruchu uświęceniowego, chociaż dodawał własne elementy. Najpierw brał węże do rąk, później pił strychninę, a w końcu, szukając odkupienia, wypił jad grzechotnika. Skonał w bólu na oczach wiernych.

Pod pewnym względem mężczyzna w czerni niczym nie różnił się od innych wędrownych kaznodziejów: odpowiednimi słowami oraz żywą gestykulacją sprowadzał ulgę, wmawiając wiernym, że oto są częścią boskiego planu, na który nie mają wpływu. Charyzmatyczny wygląd zapewniał dystans do zwykłych spraw banalnej codzienności.

Rugował lęk poprzez zapewnianie o przynoszonej opiece. Wpajał pewność osadzoną na braku krytycyzmu oraz refleksji. Legrasse musiał przyznać: robił to po mistrzowsku, jak na perfekcyjnego szarlatana przystało. Dewocja rodzi się w ciemności, ignorancji i biedzie.

– Oto stoję przed wami, tułacz po tej błogosławionej ziemi!

Wzrok kapłana ślizgał się po zebranych, od czasu do czasu skinieniem głowy nagradzał dobrze się modlących, w końcu jego spojrzenie zatrzymało się na byłym policjancie. I z błędzącego, pełnego łagodności zmieniło się w zimny sztylet. Badawczo oceniał, kim Legrasse może być i dlaczego w ogóle się pojawił. Po chwili wzrok kapłana złagodniał i przyjacielsko zagarnął detektywa. Ponownie powędrował po zebranych, krusząc ich serca. Mężczyzna w czerni wyglądał jak dobroduszny nauczyciel zamierzający nagradzać niepokorne dzieci. Legrasse odruchowo dotknął kieszeni i wsunął palce w otwory kastetu.

Kapłan sięgnął do skrzyni ustawionej na niewysokim podeście. Gdy się wyprostował, ramię duchownego oplatał mokasyn miedziogłowiec. Starczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że grzechotnik jest jadowity niczym sto diabłów. Gad swobodnie sunął wzdłuż ciała kaznodziei, oplatając ramię mężczyzny i badając otoczenie rozedrganym językiem.

Legrasse patrzył z zapartym tchem, podobnie jak reszta kongregacji. Wężownicy są znani na Południu, każdy słyszał o ludziach biorących węże do rąk. Każdy też wiedział, że wszyscy chwytają je tuż za łbem, by zredukować niebezpieczeństwo bolesnej agonii. Porucznik pierwszy raz w życiu widział, że człowiek świadomie pozwala na to, aby gad po nim pełzał. Nigdy również nie słyszał, aby w pełni rozwinięty okaz grzechotnika zachowywał się niczym tresowana świnka morska.

– Ludzie dotknięci nieszczęściem... – Kapłan wznowił kazanie i ponownie wyłuskał z tłumu jasną twarz Legrasse'a. Tym razem już nie spuszczał skrzącego się wzroku z byłego policjanta. – Stają na rozdrożu. Czasem trafiają w objęcia Pana i Nieba chwilę po tragedii, czasem całe lata po niej, ale prędzej czy później wszyscy tam dotrą,

jak wszyscy trwamy w nieszczęściu życia. A Pan nam to wynagrodzi.

Waż, sycząc, przesunął się wzdłuż karku kaznodziei, spokojnie owijając swoje ciało na drugim ramieniu mężczyzny. Zgromadzenie zafalowało i zamruczało, kilka kobiet przytaknęło z pełnym przekonaniem. Siwy, przyciśnięty do ziemi brzemieniem wieku mężczyzna dźwignął się ze swojego miejsca i ściągnął przez głowę koszulę. Jego plecy znaczyła siatka blizn po bacie. Zagrzmiały głosy pełne gniewu oraz współczucia. Kapłan wskazał na starego niewolnika. Siedzący najbliżej poderwali się z miejsc, aby pomóc wyzwolencowi. Ktoś podbiegł do stołu w kącie i nabrał z wiadra nieco wody.

– Spocznijcie, bracia i siostry. Świadcstw nieszczęść mamy pod dostatkiem.

Zamieszanie ustało. Legrasse czuł, jak coś nieprzyjemnego oraz zimnego pełnie mu wzdłuż kręgosłupa, napawając jego umysł strachem. Młody Castro, rozdając skinienia głowy, z łagodnym uśmiechem zszedł po schodach i wolnym krokiem ruszył pomiędzy rzędami krzesel. Legrasse nie miał wątpliwości, dokąd zmierza. Zmobilizował całe ciało, by być gotowym do odparcia ataku.

– Z krzywizny, jaką jest człowiek – podjął kaznodzieja, nie spuszczając wzroku z Legrasse’a – nie wyrosnie nigdy proste drzewo. Bo ludzie są niczym trzciny. Gną się pod naporem. Tak i mnie próbowano nagiąć! – Kolejne rzędy oglądały się za siebie, wbijając wzrok w kroczonego pośród nich pasterza. – Kuszono, spotykałem kolejne żony Potifara, ale Pan nasz w snach mnie hartował. Pan mnie wybrał...

Jakaś kobieta z tylnych rzędów wyprostowała się, kierując palec ku sklepieniu namiotu.

– Chwała Wielkiemu!

– W snach przybył do mnie jak do Szawła, objawiając swoje intencje...

Był już w połowie drogi. Diabeł kroczył pomiędzy ufającymi Panu, a ci dawali świadectwo fałszywemu prorokowi. Wilk w owczej skórze szczyrzył zęby, przesywając Legrasse’a paraliżującym wzrokiem wężowego kapłana.

– Kiedy Bóg karci, kiedy obarcza nas ciężarami i nieszczęściami, czyni to z miłości... – Wyciągnął dłoń w przyjacielskim geście, jakby chciał sięgnąć ku bliskiej sercu osobie. Legrasse cofnął się o krok. – I stanął Smok przed mającą rodzić Niewiastą, ażeby skoro porodzi, pożreć jej dziecko. I porodziła Syna, Mężczyznę, który wszystkie narody będzie paść różgą żelazną. I zostało porwane jej Dziecię do Boga i do Jego tronu. A Niewiasta zbiegła na pustynię, gdzie miejsce ma przygotowane przez Boga, aby ją tam żywiono przez tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni...

Ponownie rozległy się ochy i achy oraz oklaski. Zebrani szemrali, wzajemnie sobie przytakując. Nie wszyscy jednak spoglądali z uwielbieniem na przewodnika i pasterza. Część wiernych, idąc wzrokiem za jego gestem i postacią, wbijała spojrzenia w obcego białego mężczyznę, przedstawiciela prześladowców, który swoją obecnością rzucał im wyzwanie. Przed tym człowiekiem zatrzymał się kapłan, wyciągając przyjacielsko dłoń w geście pojednania. Entuzjastyczne napięcie rosło. Namiot rozbrzmiewał radosnym gwarem, chóralnymi hosannami.

– Długo wędrowałem. – Głos młodego Castro wibrował dźwięcznie. – Odkrywałem sekrety wskazane przez Pana naszego. Uczyłem się mądrości, poznawałem grzechy Ojca oraz Jego Boską wolę. Pan w snach pozwalał mi zajrzeć za zasłonę ciemności.

Castro stanął nie dalej niż krok przed Legrassem. Ich spojrzenia spotkały się i mocowały. Zebrani skupili się na obserwacji dwóch mężczyzn. Twarz kapłana z bliska była szara, pełna pychy i pogardy. Młody, pewny siebie wycelował palec w Legrasse'a. Gest, którego nikt poza detektywem nie mógł dostrzec, bo dłoń kapłana natychmiast rozłożyła się w powitalny wachlarz rozcapierzonych palców. Na twarzy malował mu się grymas pełen jadowitej, triumfującej złośliwości. Porucznik nie był pewien, czy udało mu się ukryć niechęć graniczącą z nienawiścią. Tłum zebrany w brezentowym namiocie trwał w egzaltowanej, ekstatycznej, monotonnej pieśni.

– Na pustyniach Teksasu, w mrokach lasów Nowej Anglii, Pan szeptał mi, abym powrócił do świętej Luizjany. Abym tu, na bagnistych odludziach, naprawił to, co mój Ojciec i wielu przed nim

pozostawili – nauczał. – Pan mnie wybrał – mówił, jakby tłumaczył coś Legrasse'owi.

Kaznodzieja zsunął delikatnie węża z ramienia, podtykając mu dłoń pod pysk. Grzechotnik uniósł łeb i szczerząc kły, zasyczał wymownie. Przez chwilę trwał niczym zawieszony w próżni. Zebrani umilkli, wstrzymując powietrze, czekając. Mokasyn jednak nie zaatakował. Skrył kły jadowe i przepłynął na dłoń kapłana, zwieszając się niczym mordercza liana.

Kapłan zaśmiał się triumfalnie, składając węża na powrót w drewnianym sarkofagu podsuniętym przez towarzyszącego mu chłopaka o ospowatej twarzy, który z wprawą doświadczonego pomocnika scenicznego odsunął się od kapłana, nie chcąc przeszkadzać w nabożeństwie.

Kaznodzieja zbliżył się do Legrasse'a. Wyglądało, jakby chciał objąć białego mężczyznę. Cienie stężały, sunąc pomiędzy stopami wiernych, oplatając ich łydki oraz uda. Czarne smugi spływały po drewnianym palu, wspierającym brezentową konstrukcję świątyni. Piekielna czerń majaczyła u sklepienia, a w pustce zamigotały odległe błyski umarłych światów.

Legrasse zachwiał się rażony nagłym lękiem dławiącym przełyk. Gniew, zmęczenie, frustracja, wszystko prysnęło niczym mydlane bańki, pękające pod naporem podmuchu. Umysł detektywa zalał paniczny, pierwotny lęk, perlący się zimnym potem na czole.

Część zwróconych ku niemu twarzy zniknęła przykryta atramentową ciemnością, rozlewającą się wokół kaznodziei.

– Wyglądasz, jakbyś ujrzał ducha – syknął mu w twarz kapłan, aż Legrasse cofnął się gwałtownie, umykając przed kłaniem cienistych szczęk. Potykając się, wycofywał rakiem, rozpychał plecami tłum, podczas gdy mężczyzna w czarnym garniturze obrócił się na pięcie i zaśmiał niemal serdecznie. Ponownie rozłożył szeroko ramiona. Kapłan i Wybawiciel w jednym.

Legrasse'owi wydawało się, że ekstaza tłumy zlała się w jeden, gigantyczny głos. Tracił oddech w panującej duchocie. Instynktownie szukał wyjścia, cofając się wbrew napierającym ciałom.

– Przyznajcie Panu, synowie Boży, przyznajcie Panu chwałę

i potęgę! Psalm dwudziesty dziewiąty. Śpiewajcie naszemu Bogu,  
śpiewajcie; śpiewajcie Królowi naszemu, śpiewajcie! Psalm  
czterdziesty siódmy. Niech się zbudzi!

## Rozdział 10. Ronald Renee Antoinette

Tym razem było łatwiej. Nadal niekomfortowo, ale znośnie na tyle, że patrzył bez palącej trzewia potrzeby natychmiastowego odwetu. Tym razem był detektywem analizującym materiał dowodowy, a nie człowiekiem patrzącym na kaźń. Nadal jednak przechadzał się po ciemnych zakamarkach piekła.

Legrasse otarł usta, po raz setny zerkając na drzwi. Gdyby do jego biura wtargnęła policja, gorzała byłaby najmniejszym problemem. Przez chwilę zastanawiał się, pod jaki paragraf podpada posiadanie taśm, które przeniósł z zakładu fotograficznego. Nie miał całkowitej pewności, więc roboczo założył ciężką kolonię karną z możliwością przejścia na krzesło elektryczne. Na myśl o karze wzdrygnął się i zmienił taśmę.

„Czy to jest tego warte?”

Nie potrafił wskazać odpowiedzi. Wiedział jedynie, że musi znaleźć rozwiązanie, nawet jeśli oznaczało to nurzanie się w kloace. Świadomość, do czego zdolni są wyznawcy pokracznego bożka, była gorzką zachętą.

Spojrzał na szereg podobnie wyglądających szpuli filmowych. Niechętnie nałożył kolejną taśmę, uzupełnił szklanę burbonem i uruchomił silniczek projektora. Mechanizm zaszumiał, a na rozciągniętym płótnie zamigotały pierwsze puste klatki. Legrasse ściągnął brwi. Poznał to nagranie. Za pierwszym razem w amoku po obejrzeniu blisko minuty pustej taśmy uznał ją za zepsutą i gorączkowo zmienił na inną. Tym razem postanowił doczekać do końca.

Po chwili z terkotu maszyny oraz ciągu filmowej pustki wyłonił się obraz. Legrasse poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Ten film wyraźnie różnił się od dotychczasowych okropieństw. To, co widział do tej pory, mógł z grubsza podzielić na błękitne filmy tworzone z myślą o zarobku, dziwaczne nagrania jednego mężczyzny oraz w końcu niby-rytualne orgietki prowadzące do morderstwa.



Natomiast to jedno nagranie w całym katalogu okropieństw, nadużyć i czystych dewiacji było szczególne.

– Kurwa mać!

Wstrzymał film, rozcierając skronie. Przymknął na moment oczy, czując, jak umysł zalewa mu fala dotychczas oglądanych obrazów zwyrodniałych ludzkich fantazji. Filmy dziejące się zgodnie z określonym, łatwym do odgadnięcia scenariuszem: jedna lub dwie kobiety w pretensjonalnie urządzonej sypialni dogadzają jednemu bądź kilku mężczyznom. Takie filmy nie wzbudzały w detektywie większych emocji. Takie rzeczy widział i znał. Nie znajdował w tym niczego specjalnego. Wymuszone uśmiechy, zobojętniałe spojrzenia na filmach nie były jeszcze powodem do wzburzenia. Nawet gdy oglądał kobiety nakłaniane do współobcowania, to mógł założyć, że miały więcej wspólnego z moralnym zgorzeniem niż prawdziwą zbrodnią. Mieściło się to w ofercie, jaką pamiętał z czasów istnienia w mieście Niebieskiej Książki. Klasyczne pornosy bez szczególnego scenariusza. Porucznik nie wątpił, że miał w dłoniach oryginalne taśmy służące za bazę do przygotowywania kopii, które sprzedawano później na czarnym rynku.

Druga kategoria była mniej oczywista. Pozornie. Potrzebował chwili, by zorientować się, czym w rzeczywistości są liche, rozedrgane ujęcia kręcone z ukrycia. Scenerią zawsze był ten sam pokój, kadrem ten sam kąt z wysłużonym dywanem. Niezmiennym bohaterem był także atletycznie zbudowany mężczyzna. Zmieniały się tylko aktorki i zawsze były to kobiety o jasnej karnacji. Za każdym razem para wchodziła, szepcząc konspiracyjnie, perliście roześmiane dziewczęta sprawiały wrażenie, jakby właśnie czmychnęły spod oka czujnej mamuski.

„One nie grają – pomyślał niespodziewanie dla siebie samego. Zaskakująca myśl zagnieździła się i nie chciała odejść. – One nie wiedzą, że są filmowane”.

Oglądając kolejne scenki, rozgrywające się zawsze według tego samego schematu, szybko zrozumiał, na co patrzy. Nieporadnie rozbierające się dziewczęta, eksponujące swoje wdzięki w sposób tyleż instynktowny co przypadkowy, nie były profesjonalistkami.

A mężczyzna o uśmiechu i zachowaniach uwodziciela pilnował, aby każda z nich rozebrała się na środku dywanu. Kilka zdołał nakłonić do mniej lub bardziej nieporadnego felatio.

„Szantaż” – konkluzja pojawiła się miękko, niesiona kolejnym obrotem zębatek terkoczących w umyśle detektywa.

To, że kanalia Belair trudnił się szantażem, wcale go nie dziwiło. Ale to, że on sam pochopnie pominął taśmę, stawiało pod znakiem zapytania wszystko, co do tej pory osiągnął jako glina.

Trzecia kategoria, najpodlejsza, miała bardziej przemyślany scenariusz oraz dekoracje. Legrasse podejrzewał, że patrzy na specjalnie zaadaptowaną piwnicę, tak by przypominała loch. Młode, ciemnoskóre kobiety, które tu wprowadzano, nie wychodziły o własnych siłach.

Taśma w projektorze początkowo wyglądała na kolejny spektakl sadyzmu podszytego tanim satanizmem. Z białej plamy wyłoniła się piwnica oraz łańcuchy zwisające ze ścian. W rogu kadru pojawiła się kobieta prowadzona na postronku. Detektyw spojrzął raz jeszcze na zatrzymaną scenę filmową. Na zgrabną kobietę o wielkich przerażonych oczach sarny osaczonej przez wściekłe myśliwskie ogary. Miała wszelkie powody, by się bać, trafiła do miejsca, gdzie – jak wiedział – kobiety były traktowane jak rekwizyty. Nie wszystko jednak przebiegało zgodnie z wyuzdanym scenariuszem, według którego banda starców, kryjąc się za dziwacznymi maskami, odprawiałyby swoje zwyrodniałe saturnalia. Nie było też podstarzałych kobiet o obwisłych piersiach i skołtunionych łonach. Nikt nie tańczył wokół płomieni. Ofiara nie wyglądała na odurzoną narkotykami. Nie miała również hebanowej skóry.

Zaciskając usta, ponownie uruchomił projektor. Młodą dziewczynę wprowadzono do sali, bestialsko skrępowano oraz katowano w kręgu świec. W tym akcie brutalności Legrasse nie dostrzegał nadętej teatralności innych nagrań, gdy czarny satyr, zrzucając z siebie płaszcz, chłostał ofiarę ku uciechu zebranych. Ci oprawcy byli młodzi, widział sprężyste ciała, sploty wytrenowanych mięśni oraz wyprężone penisy. Sprawni oraz silni, na zmianę chłostali dziewczynę. Jeden, trzymając wyświechtaną książkę, coś deklamował, gestykułując żywo.

Czało się w tym coś prowokacyjnie bluźnierczego. Coś, czego nie powstydziliby się najbardziej obrazoburczy przedstawiciele europejskiego dekadentyzmu. To, co wyczyniali młodzi, zbuntowani artyści na paryskich, berlińskich i krakowskich salonach było niczym w porównaniu z ponurym przedstawieniem, którego widzem stał się teraz Legrasse. Nagi kapłan we własnej plugawej osobie ujeżdżał i katował przerażoną kobietę. Detektyw nie potrafił odwrócić wzroku od sadystycznych scen. Nawet niedoskonałości amatorskiej taśmy, tym razem rejestrującej bardziej ruchliwy obiektyw, bezczelniejszy w rejestrowaniu tortur, nie potrafiły zamaskować pręg na ciele powstających po kolejnych razach.

Dziewczyna kuliła się na tyle, na ile pozwalały jej więzy. Legrasse czuł, jak koszula lepi mu się do ciała, a w głowie huczy. Ofiara została siłą wepchnięta w dyby. Widział niemy krzyk bitej i gwałconej naprzemiennie. Oglądał nieco niezdarne ruchy katów odprawiających swoje urojone arkana.

W końcu mistrz ceremonii wystąpił z kręgu świec i odrzucił rekwizyty w kąt. Na ten znak oprawcy odskoczyli od zdobyczy jak rażeni, a kadr stał się drżący, ponieważ obiektyw wraz z kamerą zaczął nieznacznie zmieniać kąt ujęcia, tak by objąć nowego bohatera dramatu. Przed skutą dybami ciśnięto skrwawiony, bezwładny ochłap, który kiedyś był mężczyzną. Na widocznych fragmentach ludzkiego ciała rysowały się ciemne pręgi. Detektyw poznał w napuchniętej twarzy rysy uwodziciela, który nakłaniał nieświadome niczego kobiety do rozbierania się przed obiektywem. Ku własnemu zaskoczeniu Legrasse'owi zrobiło się żal szubrawca. Najwyraźniej trafił na gorszych od siebie.

Tymczasem jeden z lubieżników przemierzył pokój lekko chwiejnym krokiem, dzierżąc ostry, połyskujący nóż niczym święty oręż. Herezjarcha skierował w jego kierunku dłoń, w której przed chwilą trzymał księgę. Oprawca spełnił nieme polecenie, skupiając uwagę na leżącym na dywanie ludzkim mięsie.

Reżyser oraz główny aktor piekielnej inscenizacji nieśpiesznie stanął za kobietą i położył dłonie na jej zsiniałych pośladkach. Ta drgnęła trwożliwie, ale drewniane kleszcze skutecznie uniemożliwiły

jej ucieczkę. Uzbrojona w ostrze dłoń sunęła tymczasem wzdłuż jej pleców, znacząc wędrowkę krwawą linią skaleczenia. Drżąca kamera uchwyciła ciemniejącą plamę rozlewającą się wokół nóg klęczącej dziewczyny. Mężczyzna stojący za uwięzioną niewiele sobie robił z tego, że ofiara posikała się ze strachu. Wpatrywał się w piekielny krąg świec, w cienie, które rzucały na ściany sali, oraz w pijanych kompanów preżących się w obłąkańczej rui nad ciałem pobitego. Rozochoceni zapachem krwi oraz moczu katowali biedaka bez opamiętania, pilnując jednak, aby nie zasłonić widoku ani kobiecie, ani kamerzyście.

Belair w końcu złapał satysfakcjonujący go kadr, kąt obiecujący pożądane ujęcie. Filmujący stał za kręgiem świec, okolony migotliwymi cieniami. Przebijając się ponad lśniącem krwią ciałem ofiary oraz jej gnębieli, pochwycił wzrok kobiety brutalnie krzywdzonej przez zamaskowanego człowieka. W finalnej klatce taśmy kamerzysta zarejestrował ból oraz zwierzęcy strach malujące się w oczach dziewczyny. Legrasse poczuł, jak coś dławi go w gardle, i wydało mu się, że słyszy błagalny skowyt dziewczyny: „Aaaa, proszę!”. Nie docierał on jednak do uszu oprawców. Koszmar trwał, projektor rzeził, klatki filmu skakały na ścianie, a detektyw patrzył bezradnie w zamglone z bólu oczy dziewczyny. Niegdyś pięknej. W końcu herezjarcha wyprężył się zwierzęco, wbijając się mocniej w zbolące ciało kobiety. Ostrze błysnęło w jego dłoni, znacząc policzki dziewczyny nacięciami.

W tym miejscu nagranie się urwało, a taśma ze świstem owinęła się wokół bębena. Legrasse upuścił szklanę. Siedem minut. Tyle czasu spędził w tym celuloidowym piekle, a miał wrażenie, że każda sekunda była przemnażana przez dziesięciolecia wypełnione cierpieniem. Oczy go paliły, w skroniach huczało. Czekał na alkoholowe otumanienie, stępienie zmysłów, ale łaska nie nadeszła.

A potem wszystko zaczęło dziać się bez udziału Legrasse'a.

Przyodział płaszcz, naciągnął kapelusz i niewiele myśląc, wyszedł w chłód nocy. Z głową wypełnioną migającymi obrazami mijał kolejne skrzyżowania, potraçał przypadkowych przechodniów. Usiłował skupić się na śledztwie, przeanalizować fakty, ale nie mógł.

To, co pierwotnie wydawało się doskonałym sposobem na uspokojenie nerwów, okazało się przekleństwem. Początkowo szedł z ulgą, pozwalając, by chłodny wieczorny wiatr studził jego rozpalone zmysły, ale nie był w stanie pozbyć się irracjonalnego wrażenia, że jest śledzony. Parokrotnie skręcał w wąskie zaułki łączące równoległe uliczki. Zaczaił się na potencjalny ogon, ukryty w zagłębieniu muru, ale nikt nie pojawił się u wylotu alejki. Stał w cieniu i smrodzie zaułka, patrząc na toczące się w oddali normalne życie. Wrócił na główną ulicę. W neonowych światłach, błyskach samochodowych reflektorów oraz migotliwej poświacie ulicznych latarni eleganckie kobiety szły pod rękę z mężczyznami, śpiesząc na prywatne rauty. Grupa studentów Tulane University z dzikim śmiechem przemknęła w kierunku centrum i przystanku taksówek. Nikt nie zwracał uwagi na mężczyznę stojącego w cieniu zaułka.

Z każdą mijającą sekundą Legrasse miał wrażenie, że oddala się od światła i życia. Szum Big Easy pełen beztronski podszytej muzyką słabł, przechodząc w bliżej nieokreślony pomruk. Były komisarz poczuł nieprzyjemny chłód. Zimny podmuch stęchłego powietrza omiół kark mężczyzny, jeżąc włosy. Detektyw okręcił się na pięcie, ale w głębi zaułka nikogo nie dostrzegł. Panowała tam nieprzenikniona ciemność. Mrok, niemal jak oceaniczne fale, zdawał się falować raz po raz z kolejnymi pływami, zbliżając się do stóp Legrasse'a. Brudna glina poprzetykana resztkami bruku wypłukiwała się spod butów zaskoczonych człowieka wstęgami dymiącej czerni.

– Kto tam?

Odpowiedziała mu nienawistna cisza falującej ciemności. Legrasse sięgnął do kieszeni płaszcza i wygrzebał zapalniczkę. Sprawnie skrzesał ogień i niewiele myśląc, rzucił ją przed siebie. Cienie zafalowały burzliwie. Z mroku wychyły smoliste wrzeciona. Sunęły po kamieniach, pobitych butelkach oraz rozprutych puszkach. Macały, szukając źródła płomienia tłącego się w błocie oraz brudzie zaułka. Coś pochwyciło krawędź jego płaszcza.

Legrasse nie czekał. Słaniając się na nogach, skierował się ku wyjściu, ku odległym światłom miasta.

Krzycząc, wypadł z zaułka niepowstrzymany przez nikogo.

Przechodnie odskoczyli jak porażeni, robiąc miejsce mężczyźnie o przekrwionych oczach, ze źrenicami rozszerzonymi z przerażenia. Legrasse zatrzymał się i ciężko dyszał. Wpatrywał się w cuchnący zaułek, ale wąski prześwit pomiędzy starymi budynkami wyglądał zwyczajnie. Kłębowisko cieni zniknęło. Ignorując kąśliwe uwagi, poprawił ubranie. Przez chwilę szukał zapalniczki, ale ta przepadła.

„Została po drugiej stronie” – ta myśl przyprawiła go o lodowaty dreszcz.

Pokręcił z rezygnacją głową. Wbił dłonie w kieszenie. Chciało mu się palić, a alkoholowe łaknienie boleśnie drapało w gardle. Umysł, do tej pory działający jak napędzany spalinowym silnikiem arytmometr, przestał działać. Rozpadł się misterny układ przekładni odpowiedzialnych za logikę. Wszystko diabli wzięli. Legrasse zadrzał. Uszedł jeszcze kilka kroków i bezwładnie opadł na schody prowadzące do sklepu kapelusznika.

Prosty przekaz, jasno zdefiniowane zasady, które mógł respektować, ale nie musiał tego robić, oraz równie jasno określony wróg. To był fundament pozwalający szybko rozeznać się w codzienności. Legrasse, czując gniotący ból w piersi, przymknął oczy, usiłował wyrównać oddech. Musiał obejść aberrację utrudniającą logiczne myślenie. Musiał natychmiast przesłuchać podejrzanego. Najlepiej jakiegoś buńczucznego, który dałby mu pretekst do użycia siły. Musiał znaleźć Jamsona. Miał kilka pytań dotyczących wysublimowanej klienteli handlarza.

Trzymając się możliwie blisko linii ulicznych świateł, ruszył przed siebie. Na ulicach z wolna dokonywała się wymiana klas społecznych. Nadchodziła pełnia nocy i miasto robiło się barwniejsze, nieco bardziej rozkołysane i uśmiechnięte, nawet jeśli był to uśmiech rzezimieszka. Legrasse miał jednak poważniejsze sprawy na głowie niż uliczne cwaniaczki wytaczające się z dystygowanej mordowni Benny's zadekowanej mało dyskretnie w piwnicy tuż obok głównej ulicy miasta. Prohibicja mogła obowiązywać w Waszyngtonie, od biedy w Nowym Jorku, ale Big Easy rządziło się swoimi prawami. Legrasse wykorzystał chwilową sensację w postaci rozklekotanego samochodu blokującego tramwajowe torowisko i przemknął prawie

niezauważony przez najgorętszy rewir trasy. W roztrzęsionym umyśle mężczyzny kotłowało się zbyt wiele myśli, by mógł dostrzec sylwetkę odklejającą się od ceglanego muru.

Zamyślony w końcu dotarł do ulicy magazynów. Sklep, który był jednocześnie małą faktorią przemysłową Jamsona, tkwił uśpiony w szeregu równych, niczym niewyróżniających się ceglanych budynków. W tej części miasta próżno było szukać neonów oraz samochodów prowadzonych niepewną dłonią pijanych kierowców. Rozbudzone czymś mały z pobliskiego zoo krzyczały wściekle w swoich klatkach.

Legrasse przebiegł pustą ulicę i dopadł drzwi wejściowych sklepu. Witrynę wypełniał blask elektrycznego oświetlenia uwydatniający na szybie logo stylizowane na herb. Ktoś jeszcze urzędował wewnątrz, o czym najdobitniej świadczyły wyłamane drzwi. Po łomie została tylko brzydka szczyrba w rozdartym drewnie oraz poharatane resztki zamka. Legrasse przeklął sam siebie w duchu – w pośpiechu zostawił broń w biurze. Jedyne nieodłączny kastet ciążył w kieszeni. Przystanął na moment. Gdzieś z głębi dochodziły stłumione głosy. Otarł kąciki ust, raptownie zapominając o ciemności czającej się gdzieś na krawędzi wzroku. Teraz chciał odnaleźć handlarza.

Stąpił ostrożnie, przemykając pomiędzy regałami, z dala od głównej arterii składu. Jamsona znalazł na zapleczu. Ściągnięte z monstualnego biurka szpargały bezładnie walały się wkoło. Handlarz, dysząc ciężko, leżał na podłodze targany agonijnymi drgawkami. Jak zwykle nieskazitelnie ubrany, z modnie kontrastującą marynarką, grzmocił piętami o deski parkietu. Palce prawej dłoni wpijał w lewą pierś na wysokości serca, usiłując przebić kościaną klatkę żeber i chwycić rażony skurczem mięsień sercowy. Daremnie. Tłuste żyły wyłaziły mu spod kołnierzyka niczym glisty w deszczowy dzień. Jamson umierał powoli w rytm słabnącego oddechu oraz zduszonego jękiem bólu.

O losie pokątnego sprzedawcy staroci, egzotycznych mebli oraz kontrabandy wszelkiej maści nie przesądził jednak nagły zawał. Tuż obok, niczym sępy, stało dwóch mężczyzn przyglądających się obojętnym wzrokiem konającemu człowiekowi. Wyglądali na

pracowników zatrudnianych przy najbardziej parszywych zleceniach, gdzie bardziej potrzebna była krzepa niż intelekt. Najpewniej staliby i czekali aż do końca, gdyby nie Legrasse. Niespodziewane pojawienie się kogoś jeszcze spłoszyło anioły śmierci, wzbudzając w ofierze nikły błysk nadziei. Chwila ta trwała mniej niż jedno uderzenie serca. Blask oczu Jamsona zgasł wraz z ostatnim oddechem, a zaskoczeni szybko odzyskali rezon. Nim detektyw zdążył zareagować, obskoczyli go, wypychając impetem kolejnych uderzeń w głąb sklepowo-magazynowej przestrzeni. Tu, pośród regałów, wszechobecnych orientalnych mebli, wykwitających ze skrzyń rulonów dywanów, rozdzielili się, osaczając nieproszonego gościa.

Legrasse wierzchem dłoni otarł krew sączącą się z rozciętej wargi, skupiając uwagę na majaczącym przed nim przeciwniku. Jednocześnie usiłował wychwycić szmer stóp, złowić oddech tego drugiego, skrytego gdzieś w cieniu pomieszczenia. Odruchowo postąpił krok do tyłu, chcąc złapać większy dystans względem nieoczekiwanej trudności, z jaką przyszło się mu mierzyć. Śniady, barczysty cudzoziemiec miał w dłoni strzelbę o oberżniętej lufie; broń rzeźników noszoną z myślą o zaułkach, ciasnych przejściach, brutalnym łamaniu woli tych, którzy przeżyli wystrzał. Tej broni nie było w prowizorycznym planie, jaki Legrasse ułożył sobie w głowie w ciągu minionych kilku sekund.

Improwizował. Skoczył w bok, kryjąc się za rulonem pstrokatego dywanu na uderzenie serca przed wystrzałem. Szczęśliwie mięsiste sploty zatrzymały pociski. Nie ulegało jednak wątpliwości, że drugiej salwy nie przetrzymają. Odbity od ścian huk jeszcze trwał, gdy nadszedł kolejny, przeradzając się we wściekły wizg, któremu zawtórował drugi grzmot. Porucznik skulił się; dywanowy rulon zatańczył, o materiał zadudniły siekańce, rwąc mięsistą belę na strzepy. Na głowę Legrasse'a posypały się okruchy porcelany oraz drzazgi.

– Idiota! – rzucił gniewnie, choć zdawało mu się, że w tym samym czasie ktoś inny także złorzeczył strzelcowi.

Nie miał jednak czasu na rozważania i analizowanie kolejności wydarzeń. Najważniejsza była myśl: „To amator”. Legrasse wciągnął



powietrze do płuc. Chmura ołowiu zostawiła w powietrzu ostry zapach prochu. Poczł się jak na froncie, gdy jako ochotnik walczył w okopach, na długo nim Wuj Sam postanowił dostać swoich ludzi. Nozdrza podrażnił mu znajomy zapach. Pomiedzy półkami dostrzegł olbrzyma, krocącego w jego kierunku i usiłującego przeładować dwustrzałową broń.

Niewiele myśląc, Legrasse chwycił figurę rozmodlonego mnicha z zamiarem wykorzystania jej jako pocisku. Z zadowoleniem zważył w dłoni mosiężny odlew. Ryzykował śmiertelne spojrzenie w ślepią dwururki, ale mógł zyskać błyskawiczne zwycięstwo. Ignorując instynktowną potrzebę ucieczki, wychylił się ze swego okopu, zmierzył kombinowanym granatem w kierunku wroga. Trafił. Nieporadnie, mało celnie, ale to nie miało znaczenia. Masa pocisku wystarczyła, by rozbić mężczyźnie nos. Najważniejsze, że impet nagłego uderzenia uniemożliwił celny strzał. Z obu luf plunął ogień, ale siekanina śrutu gruchnęła w niewinny regał pełen książek.

Legrasse dopadł olbrzyma. Bił szybko, brutalnie, ale mimo to nie zdołał ogłuszyć przeciwnika. Tymczasem z boku doskoczył drugi drab. Ten, choć wielkością nie ustępował swemu kompanowi, nie sprawiał wrażenia tak ociężałego. Ruszał się szybko i pewnie. Legrasse zasłonił bok, nurkując pod ramieniem marynarza, który usiłował młócić powietrze obrzynem jak sztchetą wyrwaną z płotu. Detektyw okrążył Mulata, wymuszając na nim obrót, tym samym na chwilę odgrodził się od drugiego napastnika. Legrasse wykorzystał moment. Wymacał kastet i wyprowadził uderzenie, akurat w chwili gdy jego oponent uniósł kolbę broni wysoko ponad głowę. Okuta w żelazne pierścienie dłoń trafiła w zuchwę. Tym razem podziałało – robotnik portowy upuścił broń, zachwiał się, zatoczył i przez chwilę stał jak słup soli. Legrasse nie miał jednak możliwości zadania finalnego uderzenia, odepchnięty serią oszczędnych, morderczo precyzyjnych uderzeń, zadanych przez drugiego napastnika.

Wymieniali ciosy, rażąc i osłaniając się gardą, w milczeniu szurali po podłodze. Wszelkie racjonalne uwarunkowania przestały mieć znaczenie. Liczyła się tylko walka. Legrasse w końcu uskoczył, czując, że przeciwnik zaraz przebije się przez gardę. W głowie kipiał

adrenalinowy koktajl przemieszany z tępym gniewem. Zdołał zmusić się do zachowania wyuczonego reżimu – frontalny atak równał się natychmiastowej porażce. Tymczasem zwłoka działała na jego korzyść. Odetchnął i ruszył, zataczając krąg. Pilnował, aby żaden z osiłków nie mógł uderzyć z flanki.

W boksie liczy się praca nóg. Technika odpowiedniego dostawienia stopy, balansowania ciężarem ciała na ringu są istotnymi elementami treningu każdego zawodnika, bez względu na to, czy to amator, czy aspirujący profesjonalista. Krok nadaje tempo uderzeniu. Legrasse uczył się jednak bicia ludzi inaczej, na ulicy, w zwarcu, często w zaułku, w zasadzce. Z tego też względu bokser ringowy byłby z niego żaden, ale potrafił skutecznie robić pięściami.

Bił jak sam Ares, walił bez pardonu. Doskakiwał, uderzał i uskakiwał, zachowując bezpieczny dystans. Z premedytacją przyjmował bokerską postawę, trzymając gardę. Udawał, że kroczy niczym rasowy goguś postawiony na ringu. To myliło wielu niepotrafiących czytać z ruchu ciała. Robotnik młócił powietrze ramionami, bardziej przeszkadzając, niż pomagając towarzyszowi. Na szczęście dla Legrasse'a. Mężczyzna o obliczu pełnym blizn dobrze wiedział, co robić, aby rozbić czyjąś głowę niczym arbus. Musiał jednak uważać w równym stopniu na byłego komisarza i na niekontrolowane machnięcia klockowatych ramion drugiego draba. Legrasse nie mógł niestety znaleźć sposobu na wykorzystanie tej słabości.

Detektyw zbił uderzenia. Markując nieporadność, oceniał zasięg ramion przeciwnika.

Blok, garda, zejście, w końcu uderzenie. Po nim kolejne. Zdziwienie napastników punktowały miarowe uderzenia kastetu niczym tłuczka do mięsa rozbijającego ich mięśnie. Ku jego zgrozie kolejne razy nie robiły na przeciwnikach wrażenia. Wydawało się, że są całkowicie niepodatni na ból.

Legrasse pewnie prowadził pięść, wkręcał się niczym śruba pomiędzy agresorów, zadając ciosy. Przynosiło to mizerne skutki. Był coraz bardziej zmęczony, znoszenie wściekłych uderzeń, serii ciosów i uskakiwanie przed gwałtownymi wypadami przychodziło mu coraz

trudniej. Kwestią czasu było, kiedy w końcu przegra pojedynek. Zapewne to on pierwszy odczuje wyczerpanie...

Niespodziewanie dostrzegł szansę. Wszystko opierało się na sztubackim założeniu, że wytrzyma cios. W gradobiciu uderzeń czuł, że zaraz powalą go na deski, zatem musiał działać szybko. Uderzenie, blok, zamarkowanie, wciągnięcie niesionego emocjami wroga w pułapkę.

Huknięcie mało go nie obaliło. Nieprzyjemny metaliczny smak krwi wypełnił mu usta. Mimo to twarz Legrasse'a wykrzywiła się gniewnym uśmiechem. Oto ustawił jednego z napastników dokładnie tam, gdzie chciał. Otworzył lewą dłoń, uderzając delikatnie wciąż wyprostowane przedramię marynarza. Nim ten zorientował się, co się dzieje, Legrasse błyskawicznie zakłócił równowagę przeciwnika, na ułamek sekundy wiążąc łapę wielkości pniaka drzewa. Detektyw najpierw zaatakował środek ciężkości olbrzyma, skracając dystans. Potem wymierzył precyzyjne uderzenie. I następne, zacieśniając morderczą pętlę.

Szybki wypad prawicą, zgodnie z oczekiwaniami zablokowany, nakręcał sprężynę lewego sierpowego kończącego starcie.

Legrasse wyuczonym ruchem po raz kolejny obszedł zaimprovizowaną arenę, chroniąc plecy oraz potylicę. Drugi rzezimieszek jednak nie atakował. Krok po kroku cofał się w kierunku głównego wyjścia, otwarcie dezertując. Spojrzał jedynie wymownie na detektywa i pośpiesznie wybiegł z budynku.

Legrasse splunął, ocierając usta mankietem naderwanej marynarki. Przed nim stał marynarz o oliwkowej skórze i spojrzeniu oziębiającego węża.

– May, May, hey, hey.

Minęła chwila, nim napastnik się zorientował. Trwało to jednak wystarczająco długo, aby Legrasse poczuł ukłucie złości oraz irytacji. Nie czekał. Zaatakował, zalał zaskoczonego przeciwnika gradem uderzeń. Zignorował serię bolesnych razów gruchoczących żebra, przebił zastawę, sięgnął nasady nosa mężczyzny i zamienił ją uderzeniem w pył. Łokciem zbił kontrę, skręcił ciało, wyprowadził prosty strzał w splot słoneczny.

Poprawił błyskawicznym kopnięciem. Mulat runął na kolana, obity, zlany krwią. Legrasse bez namysłu wbił nos mężczyzny głęboko w zatoki. Był jak wściekły pies, czujący zapach krwi.

Dysząc ciężko, puścił zmasakrowane ciało. Spojrzał na swoje dłonie umazane krwią, upstrzone drobinami pokruszonej kości, oblepione strzępami zdartej skóry. Wyglądały jak dłonie mordercy. Zaklął. Dopiero wtedy opuścił go gniew.

– Doprawdy – usłyszał głos, który wyrwał go z otępienia.

Legrasse zacisnął pięści, gotując się do kolejnego ataku niczym dzikie zwierzę. Szybko jednak się zreflektował.

– Opowieści nic nie wyolbrzymiają.

Francuz stał kilka kroków od detektywa, przyglądając się zmasakrowanemu człowiekowi rozciągniętemu na podłodze. Gdzieś w oddali zaczęły wyć syreny.

– Pora się zbierać, przyjacielu. Nie mamy czasu.

Legrasse popatrzył nieufnie na wyciągniętą symbolicznie dłoń francuskiego agenta. Skrzywił się. Doskonale wiedział, że dźwięk policyjnych syren nic nie znaczy. Nim pierwszy patrol dotrze na miejsce, minie jeszcze trochę czasu.

– Od dawna tu jesteś?

Agent Sûreté uśmiechnął się, mrużąc oczy. Skrzyżował dłonie na plecach, stając na lekko rozstawionych nogach. Wyglądał niczym żołnierz na apelu.

– Widzieliśmy, jak wchodzisz. Mieliśmy lokal pod obserwacją. Mój człowiek ruszył tropem tego troglodyty, który wybiegł minutę temu. A ja przyszedłem sprawdzić, czy żyjesz.

– Dzięki za troskę – odparł kwaśno, nie spuszczać agenta z oczu.

Legrasse poznał w życiu garstkę prawdziwie niebezpiecznych ludzi i nie miał wątpliwości, że podstarzały Francuz był jednym z najgroźniejszych, jakich kiedykolwiek przyszło mu spotkać.

– Grzeczności później. Jamson jest martwy, podejrzanego zatłukłeś – rzucił, przestępując nad trupem. Skierował się prosto ku tylnemu wyjściu. – Straszne gówno.

Legrasse przez chwilę przyglądał się mężczyźnie. Syreny wyły coraz bliżej. Zbyt blisko. Ktoś musiał ściągnąć pobliski radiowóz, a to

oznaczało, że posterunkowi na nocnej zmianie byli nie dalej niż przecznicę od sklepu. Klnąc pod nosem, ruszył śladem agenta.

– Potrzebuję... Potrzebuję więcej klocków tej układanki.

– Nie wątpię – prychnął Francuz, popychając drzwi wiodące na podwórze. Zimne, wieczorne powietrze uderzyło w płuca Legrasse'a, wypychając oddech. Orzeźwienie przyszło chwilę później. – Jak my wszyscy. Miejmy nadzieję, że Pierre zdoła wytropić tego, który uciekł.

– Obrócił się gwałtownie na pięcie, spoglądając gniewnie na detektywa. – Do diabła! Rozumiem pobić, stłuc do nieprzytomności! Ale, do kurwy nędzy, ten tego, zatłuc? Cholerni Jankesi... Dokąd cię zawieźć?

Wskazał na czarnego forda zaparkowanego w wąskiej uliczce pomiędzy magazynami. Legrasse przez chwilę zastanawiał się nad możliwościami. Korciło go kilka adresów. Przez chwilę rozważał dom byłej żony, a nawet własne biuro. Miał jeszcze jeden adres do sprawdzenia.

– Wież mnie na Murzyński Market.

Francuz nie skomentował, a Legrasse nie zamierzał niczego tłumaczyć. Usadowił się na tylnej kanapie i prawie od razu pogrążył w nerwowym, płytkim sennym otumanieniu – tym dziwnym stanie, gdy umysł jest zmęczony i skłonny do natychmiastowego zaśnięcia, ale zarazem zbyt roztrzęsiony, by ostatecznie oddać się we władanie Morfeusza. Oparł czoło o zimną szybę i przez mgłę na wpół sennych majaków obserwował nieme kadry mijanych ulic.

Oprzytomniał dopiero, gdy czyjeś ręce wypchnęły go na cuchnący bruk. Dźwignął się z rynsztoka. Podniósł głowę ku rozświetlonym neonom. Dryades Street oszałamiała. W porównaniu z konsekwentnie wybielaną resztą miasta pulsujące w tym miejscu życie nie znało uprzedzeń. Dryades, a zwłaszcza market umocowany na prawach Jima Crowa, zadziwiał nie tylko swoją otwartością, lecz także siłą pieniądza. Od czasów wojny secesyjnej Dryades oraz Rampart należały do czarnoskórych przedsiębiorców oraz ich żydowskich konkurentów. Krawcy, szewcy, właściciele sklepów spożywczych i fryzjerzy kusili klientelę, obsługując nawet postępowych, niekoszernych białych, którzy tu czasem zaglądali. A wszystko to po

równi tonęło w dwóch głównych zapachach Central City: Brown's Dairy oraz piekarni Leidenheimera, która działała nieprzerwanie całą dobę.

Legrasse znał sekret Dryades Street. Daleko było tej ulicy do pozorów, jakie stwarzała. Wystarczyły jeden nierozważny krok, jeden zbędny komentarz lub zbyt ostentacyjne spojrzenie. Śmierć czaiła się wszędzie, miała złote zęby, sprężynowe noże oraz mrzonki o równości na ustach. Legrasse spokojnie zanurzył się w kolorowe getto, obiecując sobie, że nie zginie tej nocy zadźgany za sprawę, która go nie dotyczyła.

Skierował się prosto do najważniejszego miejsca, do serca, umysłu oraz siedliska hebanowej duszy Nowego Orleanu. Dzielnica Francuska to był rewir utracjuszy oraz poetów. Prawdziwe serce pompujące krew miasta kryło się w podziemiach, a wszystkie arterie biegły do Dionizosa.

Ochroniarze przy wejściu dyskretnie uchylili kaszkietów, mrużąc burkliwe powitanie. Był to jeden z niewielu klubów, w których Legrasse cieszył się umiarkowanym szacunkiem obudowanym koneksjami. Opinia policjanta, który zwykł odwracać wzrok, gdy trzeba było, pomagała mu przez lata. Detektyw przekroczył obitą czerwonym pluszem sień i wszedł do najbardziej roztańczonego, niepokornego klubu w Nowym Orleanie. Dionizos jak zawsze kipiał energią.

Muzycy skłonili się publice i równocześnie zadęli w instrumenty. Była to istna kakofonia dźwięków. Po sali poniósł się śmiech. Widownia doceniła drobny muzyczny żart. Był środek tygodnia, jak pośpiesznie wyliczył Legrasse, mimo to klub wibrował pełnią nielegalnego życia. W Central City nikt nie przejmował się prohibicją, poprawką do konstytucji ani fanaberią białego senatu. Tu była Dryades Street, a jej sercem był Dionizos, bóg płodności, dzikiej natury, jazzu, winnej latorośli oraz bimbru, reprezentujący wszystko co najlepsze w alkoholowym upojeniu. Menady, bachantki, zmysłowo roztańczone nimfy śpiewały dzikie, szalone pieśni w rytm dudniącego kontrabas, któremu towarzyszyła wściekła trąbka. Kilka fordanserek wirowało na wyludniającym się parkiecie.

Legrasse rozejrzał się uważnie po sali, ignorując spojrzenia bywalców. Biały mężczyzna może nie był niczym nowym w tym miejscu, ale nadal pozostawał pewną atrakcją. Ilekroć detektyw odwiedzał to miejsce, czuł się jak jeden z tych karłowatych czarnoskórych diabłów pokazywanych w obwoźnych ludzkich zoo.

Powinien podejść do owalnego baru ostentacyjnie rozłożonego w centralnej części sali, aby każdy bez trudu mógł napić się zakazanego trunku. Za koncentrycznie rozchodzącymi się kręgami stolików wokół baru, parkietu oraz tymi wokół sceny wisiał krąg *separés*, zwykle zajętych przez co bardziej zamożnych przedstawicieli czarnej społeczności. Jeszcze wyżej był owalny, otwarty korytarz prowadzący do Akwarium, najważniejszego pomieszczenia Dionizosa. Stanowiło ono połączenie salonu z gabinetem. Tu, za olbrzymią przeszkloną ścianą, odbywały się zamknięte dla postronnych spotkania, tu zapraszano najładniejsze dziewczęta i tu w oparach alkoholu oraz drogiego tytoniu dobijano targów. Sala za szklaną ścianą należała, tak jak cała dzielnica, do Ronalda Renee Antoinette'a, biznesmena, jazzmana, gangstera oraz przyjaciela Legrasse'a.

To był jedyny powód, choć nikły, dla którego dwa rosłe golemi w czarnych garniturach nie rozerwały intruza na strzępy. Denote oraz Lashawn posłali detektywowi niechętnie spojrzenia, z czystej złośliwości tarasując przejście. Denote, niższy i bardziej umięśniony, uśmiechnął się szeroko, prezentując połączoną klawiaturę uzębienia.

– Umówiony?

Zarechotali. Legrasse nie miał ani czasu, ani nastroju na słowną przepychankę z gadającymi narzędziami nacisku i opresji. Wykrzywił twarz w brzydkim uśmiechu. Lashawn odruchowo sięgnął do kieszeni, co nie uszło uwadze detektywa. Szczęśliwie mojka pozostała w ukryciu. Z tej odległości uderzenie brzytwą na długiej gumie nie wymagało ręki fachowca, a Lashawn był jednym z najlepiej robiących brzytwą w mieście.

– Szacowny wygląda jak po świniobiciu – rzucił wesoło, pocierając masywną szczękę. – Szef obiada, kazał odsyłać wizytantów.

– Nie pieprz, czarnuchu – odparł kwaśno Legrasse. Był na granicy wyczerpania. Adrenalina jeszcze niedawno buzująca, teraz ulatywała

niczym powietrze z przebitej nożem dętki, toteż czuł się lekko sflaczały. Z trudem się mobilizował. – Mam sprawę, więc łaskawie spierdalaj mi z drogi.

Ochroniarz łypnął złym ślepiem na detektywa. Legrasse wiedział, że igra z ogniem. Nawet dobrze wyszkolone brytany nauczone karności od szczeniaka, nadal były jedynie zwierzętami kierującymi się instynktem.

– Poczekaj. – W głosie Murzyna zagrała złowróżbna nuta, która sugerowała, że nic nie uratuje byłego policjanta przed śmiercią w męczarniach.

Denote bez zapowiedzenia uchylił skrzydło drzwi, w powstałą szczelinę wetknął gigantyczną głowę. Zaanonsował przybycie ulubionego psa, jak się wyraził. Po chwili przejście stanęło otworem, a Legrasse powlekł się do środka. Masywne drzwi zatrzęsnęły się za nim jak za skazańcem.

Antoinette zmrużył powieki.

– Na miłość boską, Raymond – rzucił. – Czyś ty się widział? Gdyby tylko Mama Nia cię przydybała...

Legrasse skrzywił się odruchowo, jednak nie skomentował uwagi. Antoinette może i był twardym graczem, a w czasach pudrowanego rasizmu grywał wedle uznania białych polityków, lecz kiedy tylko mógł, wchodził w rolę świętoszkowatego starszego brata.

– Jeśli nie powtórzysz jej imienia jeszcze po dwakroć, to nie przydybie – odparł kwaśno, ale nie usiadł w fotelu.

Niechętnie przyznał rację Antoinette'owi. Możliwie dokładnie wytarł dłonie w resztki marynarki, ale bez wyraźnego sukcesu. Na skórze zostały bordowe smugi. Podwinięcie poplamionych rękawów koszuli też niewiele dało. Nadal wyglądał jak rzeźnik, który przez przypadek włożył garnitur po robocie.

Legrasse westchnął ciężko. Czuł, jak zmęczenie oraz frustracja przepalają resztki jego woli walki. Usiłował doliczyć się, ile godzin udało mu się ostatnio przespać, ale od rachuby rozboleła go głowa.

Antoinette pokręcił z politowaniem głową. Podeszedł do barku, przyglądając się krytycznie zawartości kolejnych karafek i butelek. W końcu sięgnął po dwie najbardziej pękate.



– Jak chcesz, zostań, odeśpij – rzucił przez ramię. – Ja i tak muszę pojawić się w mieście. Masz. – Podał przyjacielowi wysoką szklanę sownie wypełnioną mętną, brunatną mieszanką. – Postawi na nogi.

Legrasse nie chciał zasypiać. Sen od jakiegoś czasu sprawiał mu więcej kłopotu niż jawa. Koszmary nie były jego sprzymierzeńcami ułatwiającymi rozwiązanie śledztwa. Na każdą senną marę przypadał jeden całkowicie realny horror. Aby odpędzić ponure myśli, skupił się na drinku. Śmierdział gulaszem wołowym oraz wódką. Bullshot, najprawdopodobniej najobrzydliwszy drink świata. Miał jednak pewną specyficzną właściwość: jeśli ktoś zdołał przełknąć to świństwo, rzeczywiście stawało na nogi.

– Dzięki, ale mam coś do zrobienia – odparł, z trudem powstrzymując ziewanie. Obszerna kanapa kusila obietnicą wygody oraz ciepła. – Nie jestem tu towarzysko.

Gangster uśmiechnął się pod nosem, upijając łyk drinka.

– Nieczyste sumienie aż tak męczy?

Legrasse zignorował przytyk. Wiedział, że Antoinette tak łatwo nie odpuści. Nigdy nie odpuszczał, dlatego był, kim był: królem.

– Pytam poważnie, Johny: dysforia, czy jak to tam zwą. Bierzesz te cholerne pigułki?

Detektyw uśmiechnął się blado do zawartości częściowo opróżnionej szklanki. Na chwilę wrócił na Myrtle Street, do małego domu, gdzie mama grała na obdrapanym pianinie. Dorastał, chłonąc żale oraz niechęć do każdego bogatszego niż rodzina Legrasse'ów.

„Nienawidzą nas, białych śmieci z przedmieścia” – zwykła mawiać pani Betty, przyjaciółka mamy.

Mama też tak mówiła. Obie kobiety łączył głęboko zakorzeniony żal oraz poczucie przegranej. Trwały w smutnej konsekwencji życiowych pomyłek. Legrasse był jednym z błędów Mary Joe z domu Baum. Goryczy dodawało to, że najbliższymi sąsiadami Mary byli państwo Antoinette.

„Zaniżają wartość naszego domu” – wypaliła kiedyś, niewiele sobie robiąc z tego, że mały Renee stoi w progu kuchennych drzwi oraz że sączyła drinka przed południem. Największy zaś afront, przez sam fakt siedzenia na werandzie, stanowiła Nia Mosley, zwana Mamą Nia,

prababka Antoinette'a.

Jako oserek widziała świat umarłych. W nikłym świetle chałupy, gdzie przyszła na świat, nie dostrzeżono cienkiej błony na twarzy. Blisko minutę leżała bez ducha po odcięciu pępownicy, nim konował z plantacji w końcu rozciął błonę. Dziewczynka po chwili odetchnęła, ale wróciła z zaświatów odmieniona. Posiadła zdolność rozmowy z umarłymi. Miała w sobie spokój oraz łagodność, dzięki której lgnęły do niej dzieci bez względu na kolor skóry, a Nia je wszystkie zawsze tuliła, co nie każdemu się podobało. Zawiązał się nawet komitet obywatelski gospodyń, które chciały wyrugować z dzielnicy niechciany element etniczny. Matka Legrasse'a była przewodniczącą. Szczęśliwie była równie nieporadną przywódczynią, jak gospodynią. Do tego ojciec Antoinette'a, choć czarny, cieszył się szacunkiem. Potrafił wszystko naprawić, miał dar w dłoniach. A serdeczne usposobienie zjednywało mu ludzi. Próby pozbycia się czarnej rodziny spełzły na niczym, ku radości syna pani Legrasse. Mały Johny uwielbiał Mamę Nię, jej ciasteczka oraz opowieści, nawet te upiorne: o demonach żyjących na bagnach. Mama Nia знаła sekretne imiona złych istot czających się na granicy snu. Widywała je czasem, bo była czarownicą, jak jej matka, babka oraz prababka.

„Strzeż się Śpiącego, Johny. Obiecuj mi” – powiadała, mierzwiąc mu czuprynę.

John potakiwał, niewiele rozumiejąc, ale gdy potakiwał, to staruszka uśmiechała się ciepło i przestawała spoglądać na niego przenikliwie, jakby widziała wszystkie jego uczynki. Wzdrygnął się, co wyzwoliło go z parnego, dusznego wspomnienia dzieciństwa. Wróciło do obszernego gabinetu lokalnego króla podziemia. Czasy się zmieniły. Ostrzeżenie staruszki pozostało.

– Czy nie ubyło ci czasem ostatnio kilku nimf, hm?

Antoinette zamrugał, zdziwiony, ale po chwili odzyskał swoją powagę i ściągnął brwi. Gdzieś nagle przepadł dobroduszny przyszywany daleki kuzyn, powinowaty po ulicznym brudzie oraz jednej biedzie.

– A ubyło?

Legrasse wzruszył ramionami obojętnie. Był zbyt zmęczony, aby

bawić się w podchody. Nie tu, nie z tym człowiekiem. Oparł czoło na dłoni i bezwiednie potarł oczy.

– Zginęły czy nie, Renee? Lub inaczej: czy ostatnio zniknęło więcej czarnych kobiet lub dziewczyn niż zwykle?

Mężczyzna w eleganckim garniturze szytym na miarę nagle się wyprostował. Gdzieś zniknął jowialny chłopak z sąsiedztwa, nieoczekiwany towarzysz niedoli życia słodzonej ciepłymi ciasteczkami starowinki, która umiała rozmawiać z duchami. Został niestroniący od przemocy biznesmen.

– Owszem.

Legrasse pokiwał głową ze zrozumieniem. Odstawił szklanę na niski stół i posłał przyjacielowi ciężkie spojrzenie. Znał odpowiedź na pytanie, które zamierzał zadać.

„Czemu nie przyszedłeś z tym do mnie?”

„To sprawa czarnych. Policji nie interesuje, czy czarnuch zabija czarnucha albo gwałci dziewczynę w alejce”.

Legrasse szybko upił łyk wołowo-alkoholowego napoju i skrzywił się w charakterystyczny dla siebie sposób. Miał serdecznie dość problemu koloru skóry, który wyłaził zewsząd jak pleśń. Mówi się, że Nowy Orlean spajają odchody korników ryjących w drewnianych fundamentach miasta. To półprawda. Drugim, nieodłącznym spoiwem miasta jest segregacja rasowa odmieniana przez wszystkie możliwe przypadki. Paradoksem jest zaś to, że mieszkańca Big Easy zwyczajnie nie da się obrazić, nawet jeśli wyzywa się go od czarnucha.

– Odpuść. Wiesz, jak bardzo mnie to nie rusza.

– Doszły mnie słuchy. Przepadło nam kilka dziewczyn, w tym kilka moich pracownic, choć równie dobrze mogły wyjechać. W Phoenix nieźle płacą. Ciała paru znaleziono. Rozkład nie zatarł tego, co im zrobiono.

– Tortury?

– Najpewniej.

– Ciała były nagie?

– Nie licząc jakichś szmat, zasłon czy diabli wiedzą czego, w co je zawinięto.

Legrasse potarł policzek w zamyśleniu. Nie był zadowolony

z obrazu, jaki się wyłaniał w jego umyśle. Powinien był przyjść tu od razu po rozbiciu dziupli handlarzy żywym towarem. Przymknął oczy i odsunął od siebie oskarżycielskie myśli.

„Na wyrzuty będzie czas. Teraz robota” – szepnęło cyniczne ego zgorzkniałego byłego gliniarza.

– Muszę pogadać z twoimi alfonsami. Jeżeli sam tego jeszcze nie zrobiłeś.

– Po nagłym zainteresowaniu losem czarnych sióstr wnoszę, że również znaleziono trupa jakiejś białaski.

Antoinette zadudnił palcami o blat. Po chwili dźwignął się z miejsca i żwawym krokiem przemierzył gabinet. Otworzył drzwi, wypełniając wejście całą swoją sylwetką. Półszepem wydał dyspozycje osiłkom pilnującym przejścia. Po chwili gangster znów był w pomieszczeniu. Poruszał się nerwowo. Najwyraźniej nie mógł się zdecydować, co powinien zrobić. Wyglądał, jakby właśnie rozpląszczył na podszewie buta psie łajno. Wypił haustem resztę zawartości szklanki i podszedł do wyłożonej drewnem ściany. Odblokował zamaskowany mechanizm, odsłaniając okazałą kolekcję koszul, kamizelek, marynarek oraz butów. Przez chwilę spoglądał na garderobę.

– Masz. – Rzucił ściągnięte z wieszaków ubrania. – Nie mogę patrzeć, jak chodzisz w tych szmatach. Za pół godziny dostaniesz, co chcesz.

– Dzięki. Ale...

– Pamiętasz, co mówiła Mama? O milczeniu?

Legrasse zmarszczył brwi, ale szybko, prawie bezwolnie wypalił, replikując jedno z licznych powiedzonek starej murzyńskiej czarownicy piekącej ciasteczka dla dzieciaków z przedmieść.

– Nigdy nie przegap okazji, żeby się zamknąć.

– Dokładnie tak. – Garnster zmarszczył brwi. Odetchnął, skupiając spojrzenie na detektywie. – Chodzą słuchy. Plotki powtarzane na mieście, że w Big Easy odżyło stare *krewe*<sup>30</sup>. Najstarsze. Takie, przy którym Momus to nawet nie podlotek. Stare, tajne gówno, John. Ich Mardi Gras to nie taniec i śpiew na ulicy. To nie parada. Nie patrz tak. – Wycelował palec ozdobiony sygnetem w mężczyznę. – Ta

grupa, ten klub, cholera wie, jak ich zwać, pamięta czasy pierwszych pielgrzymów. To oni zwozili z Haiti moich braci. – Wykrzywił na moment gniewnie usta. – Stara krew i jeszcze starsze pieniądze, chłopie. Plotki mówią, że lubią w sekrecie się przebierać, śpiewać jakieś pogrzebowe hymny, pić krew niemowląt i maltretować kobiety. *Mucho złe moja, brachu.*

Legrasse zamrugał. Louisiana Club przyczajony niedaleko Canal Street w niepozornym budynku przy Union Street był klubem dla najwyższej klasy błękitnokrwistych. Kto należał do Louisiany, siłą rzeczy należał do Comusa, najstarszego *krewe* w mieście, założonego, nim Kansas przyłączono do terytorium USA. Przynależność do tej grupy była dziedziczna i w przeciwieństwie do nowoczesnych, świeżo formowanych miejskich plemion, nie przewidywała w szeregach miejsca dla czarnoskórych. Porucznik nie potrafił sobie wyobrazić, że w mieście mogła istnieć bardziej restrykcyjna i zamknięta organizacja.

– Żydzi i masoni nie piją krwi noworodków – zakpił, ale tani żart nie poprawił nastroju.

Nie wzbudził też wesołości. Antoinette pokręcił głową z dezaprobatą.

– Teraz ty odpuść! Mówiłem „plotki”. No i nie znaleziono tej pociętej kobiety.

Spojrzał wymownie na Ronalda, usiłując przymusić otumaniony umysł do logicznego myślenia. Nie był jednak w stanie jednocześnie siłować się na półsłówka oraz operować na chłodnym poziomie faktów.

– Co wiesz?

Murzyn oparł się o krawędź blatu, spoglądając na dno szklanki, jakby kłębiły się tam wszystkie cumulusy losu oraz życia.

– Mało. W sumie nic ponad plotki. Kręcą filmy... Nowoczesne sutenerstwo. Kiedyś za centa albo mniej będziesz mieć wszystkie piczki świata.

– Zatrważające. – Zgodził się dla zasady, bez przekonania. Koniec końców podobała mu się ta wizja, pomimo ponurego cienia, jaki się nań kładł. – Mówią na to postęp. Więc co wiesz?

– Nie wiem, kto za tym stoi, jeśli o to pytasz – odparł zrezygnowany gangster. – To ponad moje koneksje. Ale może uda ci się tam, gdzie ja się nie mogłem pobrudzić. Niemniej ręka rękę myje...

– A wszyscy ujebani aż po szyję – prychnął Legrasse gorzko. – Zgoda. Czego chcesz?

Antoinette zmierzył detektywa niechętnym spojrzeniem, ale szybko zgodził się na reguły porozumienia. Napisał na kartce kilka koślawych znaków.

– Tu masz adres. To brat pamiętający jeszcze wciskanie cukru przez kagańce na plantacjach. Mnie nie po drodze, by iść i obcasem dociskać...

– Ale śnieżynce już tak – odparł kwaśno. – Czemu on?

– Wypycha zwierzaki trocinami. – Zawiesił na moment głos. – Mówią, że małe dziewczynki męską bawełną też, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale bez dowodów nie mogę go posłać do ziemi. Lincz łatwo zrobić, rzeka przyjmie każdego, ale cholera wie... Nie zrobię tego bez mocnego dowodu, a ludzie lubią gadać.

– Miłośnik czarnych kaczątek to nie mój problem.

Antoinette obnażył białe zęby.

– On je sprzedaje, ty zimna kupo gnoju – wycedził. – Nie mam dowodów, nie mam nawet strzępu informacji poza gadaniem bab, aby go dać świniom na pożarcie. Tu panują inne zasady.

– Nadal to nie mój problem. Współczuję, ale mam coś innego na głowie.

Antoinette zmrużył oczy. Wyglądał, jakby miał zaraz rzucić się na porucznika i zatłuc go gołymi rękoma.

Legrasse ze zdziwieniem zauważył, że zamiast ukłucia gniewu, iskry każącej mu odpowiedzieć równie gniewnym spojrzeniem, poczuł jedynie smutek oraz pustkę. Było mu wszystko jedno.

– Twoim największym problemem, John... – Gangster nie ruszył się z miejsca. Złość, choć nadal malowała się na jego obliczu, wyblakła. – Tak, twoim problemem jest to, że pod tą maską cynicznego nihilisty jesteś zasranym romantykiem. Romantyk o analitycznym umyśle, niepotrafiący się oszukiwać. Jesteś skurwysynem, John, ale

przyzwoitym. – Pokręcił głową z rezygnacją. – Nia mawiała, że przyjaciół się nie wybiera. To zapłata. – Wyciągnął hebanową dłoń. – Dostaniesz moich ludzi w zamian za spłukanie szamba w Missisipi.

Legrasse przez chwilę przyglądał się pomarszczonej, żylastej dłoni człowieka, którego zwykł nazywać przyjacielem.

– Nie pochwaliby twojego podejścia.

– Ona wróciła na bagna, Johny – burknął Antoinette, a w jego oczach zamigotał chłodny blask. – Odpowiedziała na zew demonów.

## Rozdział 11. Oferta do odrzucenia. Cień

Popełnił błąd. Ponownie.

„Dusza jest wszystkim, co istnieje. Pozostaje niezmienna” – dudnił w głowie stary Whateley.

Miał oczywiście rację, a jego wnuk właśnie przeprowadził ryzykowany dowód. Cień sądził, że rozprawi się z tym człowiekiem równie łatwo i bez kłopotów. Miał zamiar złamać go jak Franza Neumanna, poniżyć jak Erikę w śmierdzącym szlamem i szczynami zaułku Dunwitch. Jak każdego, kto w przeszłości wszedł mu w drogę lub zagroził jego rodzinie. Plan był nad wyraz prosty, sprowadzający się do szukania okazji do konfrontacji. Nie potrafił jednak przed samym sobą jednoznacznie powiedzieć, czemu pragnął śmierci mężczyzny. Czuł jednak, że ten człowiek zagraża całemu przedsięwzięciu. Gdy napatoczył się na niego w sklepie Jamsona, sądził, że gwiazdy mu sprzyjają.

Mało nie zginął. Uciekł w ostatniej chwili, wykorzystując fakt, że Legrasse skupił uwagę na tym czarnym głupcu.

Wielebny miał rację, gdy nakazał zwiększyć ostrożność. Gdyby nie to, leżałby martwy jak ten smoluch, tępy marynarzyna rozciągnięty na brudnych dechach sklepu. Choć Jedediah nie pojmował, czemu zarówno kaznodzieja, jak i Sztukmistrz wysługują się tymi morskimi diabłami, cieszył się, że nie był wtedy sam. Poprawił kołnierz, przyśpieszając kroku.

Już od dłuższego czasu wsłuchiwał się w miarowy odgłos własnego oddechu. Patrzył pod nogi, poruszając się ostrożnie, nasłuchiwał fałszywego dźwięku. Łoskot przypadkowo kopniętego kamyka zadźwięczał mu w uszach. Najwyraźniej ktoś go śledził. Poczuł dreszcz na plecach.

Zaczął pocić się jak ostatnim razem. Wtedy biegł piaszczystą drogą pomiędzy szczecinami trzciny poszatkowanymi cienistymi wstęgami sosen oraz cedrów. Jak wówczas, tropił cienie wskazujące drogę. Kiedyś zbawieniem okazał się most, po którego przekroczeniu



przeskoczył krzaki i powędrował w górę ukrytej ścieżki wzdłuż rzeki, by zmylić psy. W mieście zawsze jest trudniej. Szczęśliwie nie ciągnęło się za nim ujadanie myśliwskich chartów. Przebiegł otwarte podwórze, przesadził rynsztok i zapadł w głąb kolejnego zaułka łączącego ciasno zabudowane kwartały.

Po dwakroć usiłował zmylić ogon, przecinając ulice, kierując się ku coraz ludniejszym częściom miasta. Miał nadzieję zgubić pościg w tłumie. Nic z tego. Ulice Big Easy były wymarłe, otoczone truchłami domów pamiętających minione epoki.

W końcu zdecydował się skrócić w jakąś alejkę nieopodal głównej ulicy. Wcisnął się pomiędzy śmierzące odpadami kubły na śmieci. Palcem otarł pot z czoła. Zaczaił się w mroku i poczuł spływający na niego spokój. Smoliste plamy nicości zbierały się jak ropnie, pęczniąc pośród cieni. Jedediah zafascynowany obserwował, jak atramentowa czerń kałuż mieni się światłem gwiazd. Potarł podszewkami brudną ziemię jak ktoś, kto wdepnął w gnój. Miał wrażenie, że w migotliwej poświacie dostrzega refleks Najwyższych Istnień. Załkał cicho. Oto Najwyżsi uwięzieni w spirali boga idioty spoglądali na swoje dziecię. W skołatanym umyśle eksplodowała myśl niosąca wspomnienie prostej inwokacji powtarzanej przez dziadka Whateleya niczym mantra:

*Salmu Ap-Apsu! Ho Napahu Ap-Salmu!*

*Nek'el'mu anzillu*

*Ushella Mihtuti ikkalbu!*

Jedediah uśmiechnął się. Nigdy nie rozumiał, czemu stary Whateley tak umiłował sobie *Naturom Demonto*, fałszywą księgę śmierci, bardziej przystającą do niedzielnej szkółki pastora Kleina niż prawdziwej magii. Mimo to powtórzył z lubością bełkotliwe frazy, spoglądając w czerń kałuży. Po chwili obraz nieskończoności załamał się, cuchnący szlam zachlupotał, a w rozbitym zwierciadle wody pojawiło się odbicie szczupłej sylwetki mężczyzny. Cień wstrzymał powietrze, przywierając plecami do ściany.

Nieznajomy wkroczył w ciemność zaułka z bolesną niepewnością malującą się na jego obliczu na tyle wyraźnie, że postronny obserwator uznałby, iż zamierza zrobić coś, czego sam nie pochwala.

Jedediah czuł, jak jego tkanki na moment spajają się z porowatą materią ściany, jak końcówki włosów płaczą się w bruzdach szorstkiej powierzchni cegieł. Przymknął oczy, pozwalając cienistym smugom rozlać się na ścianie, niczym korzenie dzikiego bluszczu.

„Jestem gniewem”.

Odczekał, aż nieznajomy wejdzie w pułapkę i zniknie z oczu przypadkowym gapiom. Uśmiechnął się drapieźnie. Olbrzymi Cień odlepił się od ściany i spadł na głupca jak wygłodniały pająk.

\*\*\*

Ludzi na Południu różnią akcenty. Każdy stan, region, a nawet okręg ma swój własny sposób przeciągania zgłosek, charakterystyczny dla danego pagórka. Dlatego w każdej dolinie pędzony jest bimber, aby ułatwiać porozumiewanie się z krewniakami siedzącymi po drugiej stronie góry. Tak przynajmniej przedstawiała sprawę Mama Nia Mosley. Na ile w tym prawdy, trudno ocenić, nie ulega jednak wątpliwości, że ludzie Południa pilnują, aby akcenty zbyt nie mieszały.

W szczeniackich latach Legrasse uważał na to, jak mówi. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował dzieciak dorastający w jego dzielnicy, było pytanie: „Nie jesteś aby z Oklahomy?”. Jego ojciec był. Matka z Georgii. John był z Nowego Orleanu i dokładał starań, aby tak pozostało.

W magazynie na Targowisku słyszał prawdziwy zlepek dialektów oraz językowych naleciałości. Na zmianę pobrzmiwały rozlewiska Missisipi, tembr alabamskiego zadupia, nonszalancko leniwe teksańskie zgłoski, a nawet świergotanie Geechee.

Jednak czym innym jest sposób wypowiedzi, a czym innym jej treść. Ta ostatnia była z grubsza podła, wulgarna oraz obrazowo dosadna. Ot, wezwani na niespodziewaną audiencję alfonsi szczebiotali jak przekupnie, po części dając wyraz swemu oburzeniu, że miast obłapiać panienki i liczyć grosz, muszą wystawać jak te parchy, po części zachwalając swoje towary.

Legrasse był na podwyższeniu i z wysokości rampy rozładunkowej

spoglądał na rozgadana zbieraninę stręczycieli.

„Gdyby tak ich porachować, byłoby pewnie tego z pół batalionu” – przemknęło detektywowi przez głowę.

Nie znał wszystkich, dwóch stojących na uboczu młodzików musiało świeżo doszlusować do znaczniejszych, resztę kojarzył mgliście, nie chcąc w tym momencie przypominać sobie ich danych kartotekowych. Choć ich kompani garowali nie dzięki Legrasse’owi, to i tak któraś wykrzywiona odrazą gębą odwracała się ku niemu, aby posłać mu pogardliwe spojrzenie. Wiedział, że uznanie u takich ludzi zdobywa się jedynie brutalnością oraz żelazną konsekwencją. Szczęśliwie to nie on musiał dzisiaj przemawiać.

„Pora zaczynać przedstawienie” – pomyślał, spoglądając na wysłużony zegarek kieszonkowy.

Ledwie wskazówka minęła połowę tarczy, usłyszał mocne stukanie obcasów. Odgłos odbijał się echem po zamkniętym dziedzińcu obok warsztatu samochodowego oraz magazynu. Niewielkie zagłębienie przemysłowe należało do człowieka, który kontrolował każdego dolara w tej części miasta. Ronald Renee Antoinette stukotem podkutych obcasów obwieszczał swoje przybycie. Każdy kolejny krok, uderzenie buta wybijało niczym dzwon jasne przesłanie: „Nadchodzę skurwysyny, strzeżcie się!”.

Król półświatka zatrzymał się tuż nad krawędzią rampy i spoglądał na swoich sługusów z nieskrywaną niechęcią, żeby nie powiedzieć – odrazą. Ci odpowiadali mu zuchwałym spojrzeniem pretendentów do tronu, pokorną kontemplacją czubków butów lub mieszanką urazy oraz umiarkowanego zrozumienia. Żaden jednak nie ważył się odezwać. Legrasse nie wątpił, że Antoinette dokładnie kataloguje wszystkie twarze, rozdziela w pamięci przyszłe chłosty, ponaglenia oraz subtelne nadania. Fotograficzna pamięć oraz zdolność kojarzenia sprawiały, że gangster znał każdego, nawet najpośledniejszego szeregowca swojej organizacji. Zlustrował zgromadzonych, po czym zmarszczył brwi w jawnym niezadowoleniu.

– Kazałem stawić się tu wszystkim kurwim aniołom stróżom! Nie widzę wszystkich. Gdzie Hes?

Po podwórzu przebiegł szmer. Mężczyźni spoglądali po sobie

pytająco, przepytywali się półszepem, wzruszali ramionami oraz rozkładali ręce. Hes przypadł, nikt go nie widział. Legrasse'a nie zdziwiło zbyttnio, że Moses Specht, mieszaniec, potomek długiej linii bękartów zapoczątkowanej przez dezertera z niemieckiej armii najemnej, nie stawiał się na wezwanie. Nim pradziadek Mosesa zbrzuchacił murzyńską piękność, wraz z innymi Spechtami dławiał amerykańskiego ducha niepodległości. Moses utrzymywał, że zmienił strony z miłości. Co trzeźwiej myślący twierdzili, że zrobił to raczej dla obiecanych dezerterskich pięćdziesięciu akrów ziemi. Bez względu na pobudki przodka najmłodszy Specht zachował rodzinną niepokość, upór oraz słabość do czarnych kobiet i pieniędzy. Jednym słowem był skurwielem jakich mało.

Z tłumu wyłonił się siwy Murzyn z twarzą porytą bliznami. Nosił się z nonszalancją ulicznego eleganta podkreślając powagę wiekowego weterana ciemnych interesów. Detektyw poznał go od razu. Ayo, człowiek bez nazwiska, bo odrzucił te nadane przy wyzwoleniu, był jednym z nielicznych alfonsów, o którego opiece dziwki marzyły, a te, które dostały możliwości kupczenia tyłkiem pod jego kuratelą, chodziły dumne niczym pawie. Ayo, prawa ręka Antoinette'a od czasów gdy ten biegał po ulicach jako kieszonkowiec, był szarą eminencją przestępczego świata czarnoskórych. Legrasse znał starego Murzyna z opowieści oraz z widzenia. Kilkakrotnie podali sobie dłonie przy okazji dobijania targów między policją a półświatkiem.

– Przypadł – rzekł rzeczowo. – Będzie jakieś dwie doby temu. Albo i trzy nawet. – Zatknał kciuki w kieszenie kraciastej kamizelki. – Posłałem za nim ekipę, ale szczura nie znaleźli. – Spojrzał wymownie na jednego ze szczawików trzymanego pod strażą w rogu placu z dala od zgromadzenia.

W rzeczy samej nie był to dziedziniec magazynowy, ale sala rozpraw, Legrasse stał zaś jako oskarżyciel posiłkowy obok głównego sędziego. Detektyw przeniósł wzrok na młodzieniaszka. Młody ulicznik pocił się niepomiernie, siedząc na skrzynce przed ustawioną dla niepoznaki flaszką podłego samogonu oraz rozparcelowanymi jajami z wody. Nie śmiał ruszyć ni wódki, ni zakąski. Po obu stronach

chłopaka siedziało dwóch zakapiorów pełniących rolę strażników. Sprawa musiała być poważna, bo inaczej nie ciągnięto by pechowca przed oblicze najwyższej instancji. Młokos musiał mieć za uszami coś więcej niż okpienie kogoś z ferajny.

– Dajta go tu – rzucił Ayo, nie spuszczać oczu z Legrasse’a. – Szacowny szefie, ten tu, Billy Levis, pracował z Hesem. Dorwaliśmy go w melinie pijanego w pestkę. – Rzucił fetniakowi spojrzenie pełne politowania. – No gadaj, wszo!

Jeden z mężczyzn pilnujących chłopaka, czarnoskóry uliczny zabijaka, zdzielił go pomiędzy łopatki, wypychając na środek placu. Gołowąs zatoczył się, ale szybko odzyskał równowagę oraz resztki godności, mimo drżących kolan. Spojrzał dumnie na Antoinette’a i nabrał powietrza w płuca.

– Moe, to jest Hes, to jest Moses ostatnio dobił interesu – wypluł z siebie z gwałtownością wystrzału karabinu. Widać postanowił wyśpiewać wszystko, co wie, licząc, że zasądzone mu zostanie co najwyżej połamanie kilku gnatów. – Sprzedał... – Głos mu się załamał, ale ciągnął zeznanie. – Sprzedał kilka dziewczyn. Dostał dobre pieniądze – dodał pośpiesznie, jakby to mogło go ocalić.

Nie mogło. Detektyw nawet nie musiał oglądać się na Antoinette’a, by wiedzieć, że król czarnego podziemia ściągnął brwi. Handel żywym towarem był jednym z najgorszych przestępstw, jakich można było się dopuścić w tej społeczności.

– Opowiedz – rzucił beznamiętnym tonem mafiozo.

Porucznik wiedział, że pod pozorami chłodnej kalkulacji wrze strumień gniewu, który niebawem znajdzie ujście. Legrasse zaklął w duchu. Połamanie kulasów było najlepszym scenariuszem, o jaki mógł się modlić ten chłystek. Sprawa nagle stała się rozprawą z karą śmierci w tle.

– No niewiele wiem – odrzekł oskarżony świadek. – Do Moe przylazł taki biały. Nie znam go – zarzekł się szybko – ale bywał czasem u Hesa. Pytał, czy ma jakiś świeży towar. Jak Boga kocham, nie wiem więcej! – wydarł się niespodziewanie płaczącym głosem. Były policjant widział, jak wzdłuż nogawki ulicznika pojawia się ciemna smuga rozlewająca w śmierdzącą kałużę na bruku. Żaden ze

zgromadzonych oprychów nie odważył się na kpinę. – Hes czasem brał szmal, czasem nie. Tylko tyle wiem.

– Ale się domyślałeś – dopowiedział cicho Antoinette. Legrasse nie miał wątpliwości, że wszyscy zgromadzeni go usłyszeli. Oto król zawyrokował kosę. – Musiałeś się domyślać. Nie przyszedłeś z tym do mnie, wolałeś odwrócić wzrok. Kontynuuj.

Chłopak był tak zdenerwowany i roztrzęsiony, że nawet nie zorientował się, że właśnie zapadł na niego wyrok skazujący. Legrasse przez chwilę zastanawiał się, czy jest możliwe, że gołowąs niczego nie podejrzewał. Spojrzał na Antoinette'a, ale zaniechał interweniowania. Tak otwarte upomnienie mogłoby zostać odebrane jako afront.

– Tym razem ten białas przyszedł i wprost powiedział, że chce dziewczyn. Młodych i czarnych. Miały wszystkie być czyste, to jest nietykane, że niby...

Ayo strzelił chłystka otwartą dłonią w tył głowy.

– Wiemy, co to znaczy. Mów!

– Zapłacił Hesowi. – Chłopak przełknął głośno ślinę. – Zapłacił dużo. Mówił Hesowi, że to jednorazowy biznes, bo to dla znajomego, który ma potrzeby specjalne, bo na wózku jest. Hes myślał, że to dla jakiegoś dziada z dzielnicy willowej, jak zwykle, na specjalne usługi. Tylko później opisali w gazetach tę dziewczynę obdartą ze skóry. No i wtedy Hes zrobił się jakiś taki nerwowy. I kurwy gonił. – Popatrzył po stojących na rampie magazynowej mężczyznach. Oczy miał wielkie jak spodki. – Bardziej niż zwykle. Mało ich nie zajeździł. Miały dawać każdemu, za choćby centa. I lał je też jakby bardziej...

– I znowu nic mi o tym nie wiadomo, Ayo – rzekł spokojnie Antoinette, a stary Murzyn spochmurniał, ale zrozumiał sugestię i wystąpił w środek półkřęgu z opuszczonymi ramionami. – Wybierz palec, stary druhu. A ty smarkaczu... – Gangster spojrzał na młodzika. – Kontynuuj.

Chłopak przełknął ślinę.

– No i zbierał pieniądze. Darł pasy z kurw. Kazał brać po kilku na raz. Nawet w rzyć w cenie jak za picz, byle tylko był dolar. A później przepadł...

Legrasse chrząknął uprzejmie, prosząc o pozwolenie zabrania głosu

w sprawie.

Antoinette skinął nieznacznie głową na znak przyzwolenia. Zgromadzeni zaszumieli, ale nikt nie sprzeciwił się otwarciu. Grymasy niechęci były jednak wyraźnie słyszalne.

– Wiesz, kto był rzeczywistym... – Legrasse wydał usta, smakując słowo, jakie przywarło mu do języka. W końcu wypluł je z pogardą jak poranną żółć oblepiającą podniebienie. – Nabywcą?

Chłopak w porwanej koszuli skulił się, a zebrane niebieskie ptaki zaskrzeczały. Trafił w punkt. Teatralna mina zatroskanego tylko przysłużyła się sprawie. Słowo klucz, rzucone z odpowiednią emfazą, natychmiast zjednało mu publikę.

– Mów, łachu, jak pan władza pyta! – rzucił jakiś mężczyzna, nie wychylając się jednak przezornie z tłumu.

Na replikę nie trzeba było długo czekać. Gangsterskie środowisko podzieliło się wzdłuż łatwej do odgadnięcia linii.

– Ale jak swojaka tak krajać psu na pożarcie? Szefie!

Antoinette spojrział wymownie na przyjaciela, po czym przeniósł wzrok na zebranych i głosem świadomego poparcia przywódcy przemówił, unosząc dłoń jak gubernator w trakcie wiecu elekcyjnego.

– Wspólny interes mamy tu. To, co młody Levis wie, da nam wgląd w powody zniknięcia naszych sióstr. Do tego ktoś usiłuje wkłócić mnie w paragraf, rzucając cię oskarżenia na naszą organizację.

Zadziałało. Wiec sutenerów przychylił się do wniosku, wydając prawie jednogłośnie aprobatę dla kontynuowania przesłuchania. Chłopak nie miał wyboru, musiał mówić.

– Ponoć jakiś na wózku. Taki jebaka, ale z przetraconymi kulasami! Nie może być takich zbyt wielu – zakrzyknął zwycięsko, jakby właśnie odkrył niespodziewanie asa w rękawie. Rozejrzał się zadowolony po ponurych gębach zebranych alfonsów.

Żaden z nich nie przejawiał chęci do pochopnych gratulacji z racji rychłego ułaskawienia. Ayo stał, niczym niewzruszony, z obojętną miną ściskając czwarty od kciuka palec lewej dłoni. Po piątym został jedynie zablizniony paliczek.

– Tyle?

– Tyle.

– Czy tyle panu wystarczy, Legrasse?

Detektyw zmarszczył brwi. Opisał chłopakowi Jamsona, najlepiej jak potrafił, przytaczając charakterystyczne cechy. Ku swemu zdziwieniu odkrył, że mężczyzna trudniący się skupem żywego towaru nie był podobny do przemytnika. Podany przez chłopaka rysopis pasował jednak do mężczyzny, którego Legrasse widział w sklepie handlarza podczas pierwszej wizyty, a którego wziął za przypadkowego kupca. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Muszę go mieć – szepnął do Antoinette'a. – Skurwiel może być kluczem do wszystkiego.

– Daj mi dobe – odparł spokojnie gangster, spoglądając wymownie na ulicznika. – Wycisnę tego tu jak cytrynę. Dostaniesz, o co prosiłeś, ale nie zapomnij o zapłacie. – Odchrząknął, zwracając się do kryminalnego audytorium. – Zbrodnia nie istnieje, istnieją tylko rzeczy, co do których czasowo umawiamy się, że są zbrodniami – zaczął mowę końcową z powagą godną najwyższego sądu. – Moralność nie jest stałym punktem odniesienia. Ci, którzy tego w porę nie rozumieją, toną w kipieli płynącego wartko czasu. Legrasse – zwrócił się do przyjaciela oficjalnym tonem – dostał to, czego potrzebował. Teraz zapadnie wyrok. Gdy przyjdzie czas, zgłosi się do pana człowiek po dowód zapłaty.

Audiencja dobiegła końca. Wiedział to detektyw, wiedzieli to zgromadzeni. Coś w tonie Antoinette'a kazało chłystkowi spodziewać wszystkiego co najgorsze, bo zaczął łkać jak młoda dziewczyna odsprzedana z rodzinnej farmy na pokojówkę do miasta. Stary Murzyn skinął jedynie głową, dobywając noża. Życie w półświatku toczyło się wedle własnych zasad, a Legrasse nie miał ochoty uczestniczyć w nim więcej, niż musiał. Bez słowa odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu. Jak na komendę ze świty Antoinette'a oderwało się dwóch drabów mających za zadanie dopilnować, aby były policjant opuścił magazyn w sposób bezpieczny.

Potęźni Murzyni odstawili go do granicy Targowiska, gdzie ponurzy ochroniarze poczekali, aż Legrasse znajdzie taksówkę. Nie zdążyli dopalić papierosów, gdy podjechał wóz na wygaszonym sygnalizatorze. Widać było, że kurs dodatkowy został zamówiony



jeszcze przed rozpoczęciem sądu. Taksówkarz, Mulat o twarzy wielokrotnego mordercy, zapytał jedynie o adres. Dla podkreślenia własnej powagi wskazał na korbę leżącą na siedzeniu przedniego pasażera. Legrasse zmarszczył brwi, skupiając uwagę na leżącej obok gazecie. „The Times-Picayune” w typowy dla siebie sposób krzychał o kolejnym brutalnym samobójstwie. Temat przedostał się już na pierwszą stronę. Detektyw zatrzymał wzrok na czarno-białym, rozmytym zdjęciu, które mogło pokazywać dosłownie wszystko.

Kierowca był przyzwyczajony nie tylko do nocnej jazdy po Big Easy, lecz także do lawirowania w gęstwinie uliczek pamiętających jeszcze sukcesy generała Lee. Początkowo porucznik zamierzał wrócić do domu i pierwszy raz od dawna przespać się we własnym łóżku, może nawet napić się porannej kawy niczym Wuj Sam. Miasto skąpane w cieniach i bladym świetle nocnych latarni napawało detektywa lękiem. Mimowolnie wracał do wydarzeń z zaułka. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej nie potrafił zdecydować się, czy były to majaki, czy coś się jednak tam wydarzyło. Zadrżał na myśl, że prawdziwe może być to drugie rozwiązanie. Odsuwał od siebie tę koszmarną wizję, czując lepka pajęczynę strachu snutą przez jakiegoś pajaka, który zdołał zagnieździć się w jego umyśle. Przemierzając na oślep gąszcz myśli oraz skojarzeń, uciekając przed wyimaginowanym potworem żerującym na niespójnych urojeniach oraz zwidach, prawie przypadkowo natknął się na informacje o ostatniej sprawie Owena Yeatsa. Wpatrując się w mijane za oknem budynki, rozrzucone pod czarnym niebem, sięgnął do niej pamięcią. Dotyczyła samobójstwa. Yeats podejrzewał, że sprawa miała drugie dno, a jego notatki pełne były pokrętnych teorii obwiniających tajną organizację funkcjonującą w mieście. Legrasse próbował przypomnieć sobie nazwisko polityka, którego według Yeatsa spotkała pokazowa kara. Obracając w głowie postrzępione wspomnienie ostatniej sprawy martwego detektywa, coraz bardziej utwierdzał się w decyzji. Sprawdził godzinę i westchnął ciężko. Sen mógł jeszcze chwilę poczekać. Taśmy oraz akta sprawy – nie. Nim wypadli na główną ulicę, nakazał taksówkarzowi jechać na St. Charles Avenue.

Taksówkarz zostawił go obok wejścia do kamienicy, nie przyjmując

nalicznej opłaty. Legrasse skwapliwie zgodził się nie płacić. „Nigdy nie dość pieniędzy na wódę oraz panienki” – przywołał kolejną mądrość ojca łapówkarza i z ciężką głową powlókł się do biura.

Ledwie przekroczył próg holu, poczuł nieprzyjemne uczucie lęku. Podwoił ostrożność. Migotliwe światło lamp na korytarzu potęgowało jedynie wrażenie mroku. Odruchowo zerknął na kantorek stróża, ale najwyraźniej Bob miał dzisiaj wychodne, bo portiernia świeciła pustkami. Nikt nie doglądał kamienicy, co jedynie pogłębiło niepokój detektywa. Ruszył korytarzem, trzymając się wytartej dróżki na dywanie imitującym perskie wzory. Legrasse posuwał się po kociemu, nęcony punktowym światłem wskaźnika windy. Wskazówka na wypolerowanej półtarczy wskazywała 0. Mimo to krata pozostawała zamknięta, a wewnątrz dźwigu spowijała ciemność. Detektyw zadrżał i nie przestawał się wpatrywać w lśniący punkt ponad żelazną paszczą.

„Czy tak czują się ofiary żabnicy?” – pomyślał, cofając się o krok, po czym otarł spierzchnięte usta wierzchem dłoni.

– Zaczynasz zachowywać się jak paranoik – zrugął się.

Dźwięk własnego głosu dodał mu otuchy, rozproszył ciemne myśli. Pokręcił głową, litując się nad własną słabością, i ruszył w kierunku schodów. Z każdym pokonywanym stopniem, wsłuchany w odgłosy uśpionego budynku, czuł, jak ulatują z niego negatywne emocje, a zmęczenie boleśnie zaczyna o sobie przypominać. Wspiąwszy się na czwarte piętro, otarł czoło: ze zdziwieniem odkrył na dłoni słoną smużkę potu. Jeszcze rok, dwa lata temu wbiegłby na to piętro bez zadyszki, teraz czuł się jak zgięty artretyzmem emeryt.

Z ulgą przyjrzał się oświetlonemu tunelowi korytarza. Czwarte piętro wyznaczało niepisaną granicę poziomów użytkowych. Kolejne trzy piętra przeznaczono na wynajmowane pokoje imitujące mieszkania. Gmerając w kieszeni marynarki w poszukiwaniu kluczy, ruszył pustym korytarzem. Nie licząc jego agencji, na czwartym zdomowała się firma rachunkowo-ubezpieczeniowa specjalizująca się w drobnych przekrętach oraz kancelaria prawnicza Murdock & Nelson obsługująca mniej wymagającą klientelę. Legrasse lubił młodych prawników, zwłaszcza niewidomego, upartego jak osioł Matta.

Dostrzegając w beczelnym idealizmie resztki odbicia samego siebie, gdy był w jego wieku. No i ślepy czy nie, nieźle grał w szachy, przy okazji stawiając kawę. Jednak głównym atutem obecności orłów palestry była ich zniewalająco atrakcyjna asystentka.

Legrasse minął opustoszałą kancelarię. Przyglądając się uważnie równomiernie rozłożonym kinkietom, w błysku chłodnego, sztucznego światła usiłował znaleźć odpowiedź na czający się gdzieś w jego mięśniach niepokój. Był czujny czujnością doświadczonego lisa, starego wygi. I słusznie. Legrasse wpatrywał się w zapraszająco uchylone drzwi swojego biura oraz wylewającą się z wnętrza smugę światła. Nasłuchiwał, ale z wnętrza dochodził jedynie cichy szum swingu. Ktoś na niego czekał, zabijając nudę muzyką.

W pierwszej chwili chciał się wycofać. Ufał, że dywan stłumił jego kroki. Coś jednak kazało mu postąpić kolejny krok. I kolejny. Działał odruchowo, zgodnie z wpojonymi przez lata służby odruchami. Poluzował kołnierzyk, wymacał w kieszeni spodni kastet, upewnił się, że marynarka nie blokuje ruchów.

– Panie Legrasse. – Znał ten głos. Rozpoznał, ledwie go usłyszał. – Prosimy do środka. Naczekaliśmy się dostatecznie.

Porucznik popchnął drzwi i wkroczył do biura. Wewnątrz znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden, wielkości ciężarówka, wypełniał powagą swojego cielska prawie całe pomieszczenie. Drugi, szczupły, szpakowaty rozsiadł się wygodnie w fotelu dla potencjalnych klientów agencji detektywistycznej. Na widok Legrasse'a wykrzywił twarz w wilczym uśmiechu.

– Wawrzyniec z Nawarry pisze: „Grzech ma siłę ognia, ale jałmużna ma siłę wody”. – Mężczyzna założył nogę na nogę. – Święty Augustyn dodaje: „Post bez jałmużny krzyżuje ciało, ale duszy nie oświetla światłem miłości”.

Legrasse spojrzął na wypełnioną sówicie szklanke, podsunętą do krawędzi biurka. Przed karnością stała siostrzana, do połowy opróżniona. Między nimi górowała butelka whiskey. Wystarczyło jedno spojrzenie, by rozpoznać rarytas. Etykietowana oraz korkowana, wyglądała na rozlaną do butelek jeszcze przed wojną secesyjną.

– *Eleemosyne*<sup>31</sup>. – Kapłan uniósł szklanę, przepijając łyk. – Każdemu jałmużna wedle potrzeb. – Mówiąc to, lekkim ruchem wskazał na kopertę, która leżała w miejscu posążka, tuż obok tekturowej aktówki, prezentu od Morgana. Aktówki, którą Legrasse osobiście wepchnął do szuflady. Podobnie jak rewolwer, teraz spoczywający wymownie na środku blatu biurka. Kapłan uśmiechnął się zdawkowo ni to do detektywa, ni to do trzymanej w dłoni figurki. – Samotność wyrabia w nas uważność – mruknął. – Uczy obserwowania świata. Jedynie w odosobnieniu jesteśmy w stanie rozwinąć moc intelektu i perfekcyjnie zagłębić się w logikę zdarzeń i sięgnąć dalej. Proszę się częstować. Prywatne zapasy. Butelkowana tego samego wieczoru, gdy zastrzelono Lincolna.

Porucznik, nie spuszczać oczu z obu gości, przeszedł na drugą stronę biurka i usiadł w swoim fotelu. Wysłużona skóra zaskrzypiała ciężko. Przez ułamek sekundy miał nieprzyjemne wrażenie, że twarz osiłka pokrywa nie tyle mozaika blizn, ile jakiś wyrafinowany wzór. Widział już gdzieś coś podobnego. Wzdrygnął się, gubiąc pączkującą myśl.

– Sięgnąć dalej... i włączyć komuś bez zaproszenia do domu?

Nikt nie zareagował na tani żart. Gdyby Legrasse był młodszy i mniej zmęczony, zapewne nie traciłby czasu na pogaduszki i najzwyczajniej w świecie zaatakował intruzów, licząc na zyskanie przewagi przez zaskoczenie. W obecnym stanie jedyne, co mógł zrobić szybko, to stracić przytomność.

– Zdecydowana większość ludzkości żyje w błogiej nieświadomości – odparł kaznodzieja, całkowicie ignorując słowa Legrasse’a. – Ta ziemia... – Uderzył palcem o blat stołu. – Ten świat to swoista wysepka ignorancji, wokół której kłębi się bezmiar kosmicznej potęgi.

– Wypiję zatem za ignorancję – odparował detektyw.

Przyglądał się butelce bursztynowego płynu oraz napełnionej szklance. Usiłował ocenić prawdopodobieństwo dolania trucizny. Siedział naprzeciw człowieka, który przyszedł go zabić, oraz rosnącego troglodyty, który mało co, a zatłukłby go na śmierć kilka godzin wcześniej. Mimo to Legrasse był zbyt obolały oraz zmęczony, by się przejmować. Jeśli chcieli jego śmierci, to mieli go i tak w garści.

Sięgnął po szklanę, postanawiając dopisać kolejną linijkę do prywatnej księgi złych decyzji.

– I ja za nią wypiję – rzekł czarny kapłan, nie przestając się uśmiechać. – Ignorancja jest dobra. Ale usiłujemy... Taka natura ludzi, że usiłuje sama się zniszczyć, a postęp jej to umożliwia. – Odstawił kamiennego idola na blat biurka. Palcem wskazującym wymownie stuknął w dokumentację nieformalnego śledztwa patologa sądowego. Wysunął kartę raportu z podsumowaniem sekcji jednej ze znalezionych dziewczyn. Pokręcił karcąco głową, spoglądając z roztargnieniem w ciemnożółtą whiskey na dnie szklanki. – Pewnego dnia nauka połączy wszystkie rozproszone fakty, splecie ze sobą luźne wątki, odsłaniając piekielny horyzont. – Ponownie stuknął palcem w aktówkę. – Bo, widzi pan, nasz świat wybudowano na zaporze, na lichej tamie, a wokół kłębią się siły przekraczające ludzki intelekt.

Przez chwilę Legrasse byłby skłonny przysiąc, że wyglądał na zatroskanego. Dopiero po chwili zrozumiał, że grymas, który błąka się po obliczu pastora, jest niczym innym jak złośliwą satysfakcją.

Legrasse wzruszył ramionami. Krążący w organizmie alkohol działał otumaniająco, zmęczenie spowalniało reakcje. A wrodzony cynizm i sceptycyzm kazały traktować wszystko półzartem. W efekcie perspektywa apokalipsy była tylko jedną z wielu uciążliwości, nie gorszą niż prohibicja. Wciąż usiłował skupić uwagę na intruzach i sposobie zmiany układu sił. Klął w myślach, rugając samego siebie za pozostawienie rewolweru. Wbił poirytowane spojrzenie w goryla o ponurym obliczu. Nie ulegało wątpliwości, że olbrzym stanowił prawdziwe zagrożenie.

Przez ścianę chaotycznych kalkulacji przebił się głos kapłana:

– Czynimy zdumiewające postępy. Słyszał pan o Aleksandrze Gurwitschu? On właśnie, w samotności, w odizolowaniu, stworzył teorię pól morfogenetycznych. Po pana minie widzę, że nie interesuje pana nic, co nie wiąże się z jakimś martwym pechowcem. – Kapłan prychnął, wykrzywiając przy tym usta w pobłażliwym uśmiechu. – Otóż niech wyobrazi sobie pan istnienie pola o niesprecyzowanej naturze fizycznej.

Kapłan odstawił pustą szklanę i chwycił oburącz posążek bożka.

Uważnie przyjrzał się wykutej w kamieniu sylwetce demonicznego bytu, na moment tracąc zainteresowanie detektywem.

Tyle wystarczyło, aby Legrasse, pozorując zabawę szklanką whiskey, ostrożnie oparł dłonie o krawędź biurka. Szacował szanse. Goryl stał w bezruchu niczym odlana w wosku figura, wpatrując się tępo w punkt na ścianie. Legrasse wstrzymał oddech. Nawet jeśli zdołałby chwycić broń i odbezpieczyć, o dokładnym celowaniu nie było mowy. A olbrzyma stojącego za kaznodzieją nie powstrzyma pojedynczy strzał. Osobną kwestią było to, czy intruzi profilaktycznie nie rozładowali rewolweru. Detektyw położył obie dłonie płasko na blacie, kapitulując w ciszy. W tym momencie z odległego rogu pokoju dobiegł go zduszony śmiech szkolnego błazna, cieszącego się z udanego figla. Zupełnie jakby cały czas czekał, aż Legrasse chwyci przynętę i da mu pretekst do działania. Detektyw musiał przyznać, że kaznodzieja sprawnie pogrywał na jego nerwach. Tymczasem kapłan odstawił ostrożnie figurkę na stół, posyłając porucznikowi tęskne spojrzenie udręczonego rozłąką kochanka. Zdawał się całkowicie nie baczyć na to, że ledwie kilka sekund wcześniej detektyw zamierzał rozpętać strzelaninę w małym pomieszczeniu.

– Wyobraź sobie... – Ton głosu mężczyzny uległ nieznaczonej, acz wyczuwalnej zmianie. Mentorską nutę zastąpiła wibrująca, żarliwa maniera. – Że istnieje nieopisany wymiar, pole pełniące rolę matrycy, w której każdy byt, naprawdę każdy, odbija swój negatyw, zapisuje informacje już przez samo to, że istnieje. – Uśmiechnął się triumfalnie. – A teraz, człeczyno, ty pyle gliniany, pomyśl, a jeśli jest tam coś więcej? I w tym wymiarze, w tej płaszczyźnie tkwi jaźń?

Legrasse nie chciał o tym myśleć. Skupił uwagę na kaznodziei. Nie liczyło się, co mówi, byle mówił. Zajęty własnymi fantazjami, był na tyle rozkojarzony, że Legrasse mógł działać. Detektyw spod przymrużonych powiek przyglądał się uważnie twarzy czarnego fanatyka.

– O tu. – Czarny kapłan wskazał na skroń. – Zapisana jest historia mego rodu. A ja, jeśli chcesz wiedzieć, jestem w prostej linii dziedzicem legendy François Mackandala, Czarnego Mesjasza, Pana Komarów. Tak, jestem potomkiem haitańskich niewolników, panie

Legrasse. Tak jak mój ojciec Castro Mackandal. Z dziada pradziada dźwigamy klątwę wymierzoną w oprawców.

– Godne pozazdroszczenia. – Detektyw ponownie sięgnął po szklanke.

– Pan Komarów. Kawał przydomka. – Kaznodzieja kontynuował swój wykład. – Sprowadził zarażone komary i w ten sposób epidemię malarii, mszcząc się z za grobu. To sztuka. Prawdziwa, zastrzeżona dla mistrzów.

Legrasse siłą woli nakazał sobie zimną analizę sytuacji. Siedzący w fotelu kaznodzieja zdawał się całkowicie nie dostrzegać, że zachwycony sobą stracił kontrolę nad otoczeniem.

– Nie wiedziałem, że stary Castro miał syna. Na bagnach, pomiędzy tymi upalowanymi ludźmi, wśród płomieni, zdało mi się, że wyłapaliśmy wszystkich. Musiałeś znaleźć nielichą kryjówkę. – Legrasse na swój sposób podtrzymał temat.

– Już wtedy mnie prowadził mój Pan. Castro był moim rodzicem tylko formalnie. Matka była nałożnicą bogów. Poczęto mnie pośród piorunów w świetle gwiazd. Podobnie jak moje rodzeństwo. Żyję, by przekazać ojcu to królestwo brudu.

Legrasse przypomniał sobie cytat, który z niewiadomych powodów umiłował Stuglik i przytaczał go przy każdej nadarzającej się okazji:

– Niech ją przeklną złorzeczący dniowi, którzy są zdolni obudzić Lewiatana.

– Hiob rozdział trzeci, werset ósmy. Bardzo dobrze. Nie wiedziałem, że jest pan człowiekiem religijnym.

– Nie jestem. Księgi wszystkich religii są po równi do dupy.

Kaznodzieja zaśmiał się serdecznie, jakby usłyszał zjadliwie inteligentny żart.

– *Touche*, panie Legrasse. *Touche*. Zaiste to jak pan mówi, całkowicie zaprzecza obiegowej opinii na pański temat.

Legrasse zaczął lekceważyć człowieka zakochanego w tembrze własnego głosu. I nie był z tego zadowolony.

– I czego chcesz? Zemsty po latach?

– Castro dostał to, o co się prosił. Stare metody, stare obrządki, stare zasady. Zginął śmiercią przodków. Nie, Johny... Bo mogę ci

mówić Johny, prawda? – Kaznodzieja uśmiechnął się szeroko, jak pomyleńcy zamykani w zakładach psychiatrycznych. – W końcu zabiłeś mojego ojca, mamy wiele wspólnego. Nie zależy mi na twojej śmierci. Chciałem tylko porozmawiać. Pierwszy i ostatni raz. Odstąp, zapomnij. Zrób to, co zawsze: odwróć na chwilę wzrok, przelicz banknoty. – Tu wymownie stuknął w kopertę ułożoną obok opalizującej figurki bożka. – Bądź sobą. Proszę.

Legrasse pociągnął ostatni łyk whiskey, przyglądając się, jak kaznodzieja waży w dłoni wyobrażenie swego boga. Detektyw mógłby przysiąc, że siedzący przed nim mężczyzna szepcze do posążka, czekając na odpowiedź.

– Kiedyś byłem w tym lepszy. – Uśmiechnął się podle. – Ty, twoja rodzinka i żrące ją komary... Raczej się nie dogadamy.

Młody Castro pokiwał głową ze zrozumieniem. Z namysłem odłożył kamiennego idola. Kapłan położył dłoń na teczce Morgana, przeciągając ją ku sobie. Z zadowoleniem zabębnił palcami o tekturową okładzinę aktówki.

Legrasse bez zdziwienia przyglądał się wyborowi dokonanemu przez kaznodzieję.

– Skoro tak...

Kaznodzieja dźwignął się z miejsca, strzelając palcami. Koperta rozpadła się w proch. Pajęczki cieni rozlały się po biurku i raptownie zniknęły w chmurach kurzu. Tam gdzie przed chwilą leżało zawiniątko pieniędzy, spoczywała wypreparowana szczurza czaszka poroża płataniną prymitywnych wzorów. Mężczyzna w czerni uśmiechnął się zjadliwie.

– Nie walcz z grawitacją, Legrasse.

W pierwszej chwili nie zrozumiał i spóźnił się o ułamek sekundy, co wykorzystał olbrzym. Doskoczył do detektywa. Zaskoczony Legrasse mógł się jedynie bronić, odwlekając nieuniknione. Na nic zdały się sztuczki wyuczone na nielegalnych ringach, w ciasnych arenach, gdzie mógł rozładować swój gniew. W tym starciu to on był ofiarą. Skulony w boksterskiej zasłonie usiłował przeczekać pierwszą falę ataku, mając nadzieję na kontrę, która utorowałaby mu drogę ucieczki z narożnika. Na próżno. Potężne ramiona pracowały niczym



łoki parowe, napędzając kolejne miarowe uderzenia.

Legrasse poczuł, jak jego żebra trzeszczą od ciosów. Po kolejnym uderzeniu usta wypełnił metaliczny smak krwi. Kątem oka dostrzegł, jak czarna postać kaznodziei rusza do wyjścia. Kapłan był pewny wyniku walki. Wychodząc, na moment przystanął, wysupłał z kieszeni studolarowy banknot i ostentacyjnie rzucił go na ziemię. Banknot, spadając, huśtał się niczym liść.

Głos czarnego kapłana dobiegał jak z oddali:

– Nie zabijaj go. Może się jeszcze przydać. Dopilnuj tylko, aby zapłacił za przywłaszczenie naszej własności.

Porucznik zachwiał się od celnego ciosu i w konsekwencji opuścił minimalnie gardę. To był drugi błąd. Olbrzym bez litości huknął go w szczękę, posyłając na kolana.

– Tym razem już nie jesteś taki cwany – wychrypiał olbrzym.

Legrasse'owi udało się poderwać i przyjąć postawę, ale zalany serią szybkich, krótkich razów nie miał możliwości, żeby się odgryźć. Trzy szybkie uderzenia w bok, jedno kontrolne prosto w gardę i ponownie bok, tym razem lewy. Nieprzerwane, metodyczne bicie, od czasu do czasu wspierane niespodziewanym mocnym ciosem. W głowie detektywa, choć schowanej pomiędzy ramionami, raz po raz rozbłyskały bolesne impulsy, tępiąc myśli oraz krusząc wolę. Mięśnie karku paliły żywym ogniem od ciągłego napięcia oraz amortyzowania uderzeń. Olbrzym, zachęcony bezradnością przeciwnika, zarzucił oparty na bokerskiej taktyce plan, przechodząc gładko w bezpardonową, czysto siłową młóckę. Legrasse przyjmował kolejne uderzenia jak worek treningowy. W pewnym momencie odgłos trzeszczących zębów oraz kości twarzy zlał się w otumaniający ból. Twarz stojącego nad nim mężczyzny zasnęła lekka mgła, kontury się rozmyły, a rzeczywistość straciła wyrazistość. W rodzącej się pustce, niczym ostatni okrucuch gasnącej świadomości pozostała pojedyncza, zagubiona myśl. Chwilę później Legrasse osunął się w ciemność.

\*\*\*

Wpatrywał się w białą nicość. Jego głowę zalewały fale nieznośnych

dźwięków oraz świetlnych erupcji. Z każdym kolejnym rozbłyskiem odmierzonym mrugnięciem oka biel wypełniały obrazy. Elektryczna maszyna skryta w czaszce aktywowała w końcu zmysły. Niestety. Do mózgu Legrasse'a dotarł ogromny tępy ból, a z nim ostatnie klarowne wspomnienie.

– Figura Lichtenberga – wychrypiał spierzchniętymi ustami.

Mięśnie i ścięgna piekły, szczypały oraz ciągnęły. Obite ciało bolało przy najdrobniejszym poruszeniu. Dźwignął się na łokciach. Ze zdziwieniem zarejestrował, że nie leży na podłodze, wtłoczony w kąt pomieszczenia obok metalowej szafki, wypełnionej ścinkami gazetowymi oraz kurzem.

– Figura Lichtenberga, czyli co, ten tego?

Głos należał do mężczyzny siedzącego w fotelu po przeciwnej stronie obłupanego stolika kawowego. Porucznik potrzebował chwili, aby wyłowić z pamięci nazwisko pasujące do tej twarzy. Skrzywił się, tym razem nie z bólu.

– To wzór – wymamrotał, ustawiając obolałe ciało mniej więcej w pozycji pionowej. – Tłuszcz w materiale nieprzewodzącym prądu układa się w takie jakby drzewo.

– Tyle wiem. – Francuz uśmiechnął się pobłaźliwie i przesunął po blacie listek aspiryny oraz szklanekę z płynem. – Pytam, ten tego, co ty bredzisz?

Legrasse w milczeniu przełknął końską dawkę tabletek, po czym popatrzył na agenta. Sińce pod przekrwionymi oczami zdradzały, że i Francuz miał ciężką noc. Detektyw odnosił wrażenie, że na obliczu agenta przybyło zmarszczek. Dopiero teraz spostrzegł, że mężczyzna waży w dłoniach opalizującą figurkę bożka.

– Dziwne, że nie zabrał tego cholerstwa...

– Albo pokazuje, że możesz im skoczyć, Jankesie.

Legrasse przymknął oczy, analizując słowa Francuza. Wspomniał gniewne, pełne buty oblicze olbrzyma. Jeżeli to była manifestacja siły, tym bardziej musiał znaleźć tego człowieka. Dotknął obolałej szczęki.

– Facet, który mnie tak urządził – mruknął – miał gębę pokrytą bliznami układającymi się w takie wzory. Prawą pięść, którą

podpisywał swoje rękodzieło, też miał pełną blizn. – Z rozmysłem obmacał językiem zęby. Z zadowoleniem stwierdził, że wszystkie są na swoim miejscu. – Takie coś powoduje piorun albo inny mocny ładunek elektryczny. Miałem kilka takich przypadków. Tylko tam to były przebarwienia znikające po dotknięciu.

De Taffanel siedział, w milczeniu bawiąc się kamiennym posążkiem. W końcu odstawił bałwana, zamieniając go na szklanę dopelnioną ciemnobursztynowym alkoholem. Najwyraźniej musiał od jakiegoś czasu opiekować się flaszką przyniesioną przez kaznodzieję, bo w butelczynie było już prawie pusto.

– Ciekawe – rzekł w zamyśleniu. – Mówisz, że ten goryl to efekt działania piorunów. Musiałeś zdrowo oberwać. – Zaśmiał się smutno, spoglądając na własne dłonie. – Jak potwór Frankensteina. – Upił łyk alkoholu. – Zabił Pierre’a. Twoi byli koledzy znaleźli go w jakimś zaułku. Przypominał mi ciebie. – Spojrzał smutno na Legrasse’a, na moment pozwalając emocjom wziąć górę. – W jednej kieszeni niósł kłopoty, w drugiej chował smutek. Był dobrym człowiekiem.

Legrasse przypomniał sobie młodego chłopaka, którego zdemaskował w trakcie roboty wywiadowczej. Chłopaka o zaciętej minie oraz oczach, w których błędnie rozpoznał strach.

– Jesteś pewien? – Spojrzał ciężko na Francuza.

– Tak. W nocy pod sklepem Jamsona ja ruszyłem do ciebie, a młody miał śledzić tego gagatka. Jakiś czas później przypadkowy patrol znalazł mojego człowieka martwego. Następnie ja znajduję ciebie spranego na kwaśne jabłko. We wszystkich trzech przypadkach jest wspólny mianownik. Interesujące, prawda?

Były policjant nie odpowiedział. Nie musiał. Łączył kolejne fakty. Powiada się, że człowiek rażony piorunem, jeśli przeżyje, często zmienia swoje rozumienie świata. To samo stało się z Legrasse’em: przeżył mordobicie, które zabiłoby innego. Wyszedł z tego nie tyle obity, ile odmieniony. Jak gaźnik starej ciężarówki. Zwyczajnie, czasem najlepszym sposobem, by coś zaczęło działać, jest solidny kop.

## Rozdział 12. Piwnica diabła

Cała bandycka trójca pojawiła się nagle, bez uprzedzenia, jak wstydliva wysypka. Po prostu wtłoczyli się do biura Legrasse'a w chwili, gdy po raz drugi tego poranka językiem badał stan uzębienia.

– Ki czort?

Nim detektyw zdążył się rozeznać w sytuacji, został sprowadzony razem z Francuzem na dół, a Antoinette zakomenderował przydziały do automobili. Wszystko sprawnie, szybko, bez zbędnego gadania. Szczęśliwie nie przyszli wyrównywać rachunków.

Antoinette rozsiadł się wygodnie na tylnej kanapie birminghama, rocznik 1921. Czterodrzwiowy czarny sedan należał do de Taffanela, choć Legrasse wątpił, aby Eugene zapłacił za auto choćby centa. Nie drażył jednak tematu. Zielony, dostojny handley-knight sunął grzecznie za nimi. Denote oraz Lashawn zgodnie z poleceniem mocodawcy trzymali się w bezpiecznej odległości.

– Masz. – Antoinette odchrząknął, przełamując długie milczenie. Podał detektywowi zdjęcie. – To znaleźli moi ludzie na miejscu, gdzie ponoć stał ten cały kościół, o którym mówiłeś. Nie patrz tak, Johny. Mama zawsze mawiała, że jak coś robić, to robić solidnie. Więc posłałem kilku czarnuchów, by się rozejrzeli. Na miejscu znaleźli tylko klepisko. W środku była wbita łopata z tym zdjęciem wiszącym na gwoździu.

Legrasse obrócił fotografię w dłoni. Na odwrocie ktoś zamasyście skreślił kilka słów. Były komisarz potrzebował chwili, aby odczytać pochyłe, subtelnie ozdobne pismo.

„Legrasse, pamiętaj, bogowie są łakomi. Nikt nie lubi wścibstwa”.

Francuz zerknął na detektywa z ukosa i odchrząknął wymownie.

– Wiesz, co to znaczy?

– Nie bardzo. Choć pewnie to jakaś mało wymyślna groźba.

Ponownie obrócił fotografię. Cztery upozowane postacie przyobleczone w biel od stóp do głów przeżyły się w żołnierskiej pozie.

Charakterystyczne, szpiczaste kaptury zamieniały twarze w bezosobowe maski fanatyków. Odruchowo pomyślał o ojcu, o fotografiach w domowym albumie i może z tego powodu się skrzywił. Coś się nie zgadzało.

– To ten wasz Ku Klux Klan – rzucił de Taffanel.

Sprawnie przeciął skrzyżowanie, omijając przy tym o całe kierującego ruchem policjanta.

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Legrasse.

Na pierwszy rzut oka postaci wyglądały na przedstawicieli Klanu. Ale zarówno ornamenty, jaki i sama sceneria nie pasowały do tej organizacji. Klan uwielbiał pochodnie, flagi oraz płonące krzyże, a jeśli uwieczniali drzewa, to tylko takie, które obrodziły w ponure owoce ich działalności. Na zdjęciu zaś była prymitywna kapliczka, jakich pełno na bezdrożach. Stawiali je niegdyś misjonarze i co bardziej żarliwi kaznodzieje usiłujący ewangelizować miejscowych.

– To nie Klan – odezwał się spokojnie Antoinette. – Ani żadna inna znana mi banda białasów usiłujących bronić jakiegoś wymyślanego królestwa niebieskiego.

– Co było pierwsze? Kura czy jajo? – Legrasse podrapał się po policzku, przyglądając się uważnie zdjęciu. Skupiał się na szczegółach, ale jedynym, co mogło pomóc w identyfikacji uwiecznionych na nim ludzi, były ich buty. Pstryknął palcami w krawędź fotografii. – Może Klan zgapił od nich to i owo. Jeżeli ten cały Castro rzeczywiście przewodzi jakiejś grupie... Głośno myślę. – Schował zdjęcie do kieszeni. – Na razie pozostanmy przy twoim człowieku, Renee. Gdybanie nad zdjęciem nic nie wniesie.

Antoinette w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko, poinstruował de Taffanela, gdzie mają jechać. Zaczęli objazd szulerni oraz melin Nowego Orleanu zgodnie z kluczem, którego dobór pozostawał dla detektywa tajemnicą. Każdorazowo jednak obowiązywała ta sama zasada: konwój parkował przecznicę przed danym adresem, a Denote oraz Lashawn zajmowali się przepytywaniem lokalnych bandziorów. Legrasse niechętnie przystał na taki tryb, rozumiejąc delikatną konstrukcję niespisanej umowy o wzajemności, jakiej podlegali. Z adresu na adres, z zapadłej nory po mordownię rosło ich

zdziwienie. Moses Specht najwyraźniej zapadł się pod ziemię, zabierając niemałą sumkę. Przy okazji wyszło na jaw, że Hes przeżył swoiste odrodzenie w wierze. Nie tylko pojednał się z Bogiem, przynajmniej w pewnej części Dekalogu, teraz gdzie się dało i komu się dało przepowiadał nadejście Szatana, którego wysłannicy już zresztą byli w mieście.

Szczęśliwie dla Legrasse'a Hes był człowiekiem, który miał wielu wrogów. Dlatego koniec końców udało im się znaleźć źródło informacji. Jednak zanim ustalili, gdzie zaszył się Specht, było już prawie południe.

Gdy dojechali na miejsce, odległe, stosownie zapadłe i obskórne przedmieście tonące w błocie, scenariusz poszukiwań uległ zmianie. Ochroniarze Antoinette'a zostali przy samochodach, łypiąc złym okiem na miejscowych wyłazających z każdej możliwej dziury. Dla umocnienia powagi swojej osoby Lashawn trzymał w dłoni karabin maszynowy, natomiast Denote bawił się nożem.

Tymczasem były policjant, agent Sûreté, oraz gangsterski watażka wdrapali się po pokruszonych schodach wiodących do wnętrza walącego się budynku, opartego balkonem o pękniętą ścianę sąsiedniego. Cała okolica wyglądała, jakby trzymała się jedynie dzięki pajęczynom oraz odchodom korników.

– Johny. – Antoinette odwrócił się na pięcie, nim na dobre zapadli w śmierdzącą moczem pustkę budynku. – Bez broni. Hes to wariat, a musi się wypowiedzieć. Jak mu przystawisz lufę do skroni, zrobi coś głupiego, a tego nie chcę. Sztama?

– Sztama.

Legrasse nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Ronald Renee Antoinette nagle odmłodził. Gdzieś pomiędzy pierwszym a ostatnim stopniem zniknął dostoyny szef półświatka. Teraz znów był zادیornym, pewnym swego ulicznym zabijaką rozbijającym głowy za odpowiednią opłatą.

To zdecydowanie nie była przyjazna okolica. Żyli tu głównie potomkowie wielodzietnych kryminalno-żebraczych dynastii byłych skazańców, uciekinierów oraz wyrzutków społecznych wszelkiej maści. Rodzina Hesa doskonale wpisywała się w ten przestępczy

koloryt. Podobnych rodów było w okolicy dostatecznie dużo, aby postęp cywilizacyjny przegonić na cztery wiatry butelkami oraz kamieniami. Tu nawet budynki wyglądały, jakby łądaczyły się ze sobą.

Legrasse nie był w nastroju. Poruszając się rozklekotaną, ciasną klatką schodową, przeklinał na czym świat stoi. Czuł, jak skwaśniały odór sfermentowanych rzygowin przenika włókna ubrania, przykleja się do skóry. Wspinał się na katorżniczo odległe trzecie piętro rudery i dusił od smrodu mimo wytłuczonych szyb. Fetor był tak niemiłosierny, jakby wszystkie okna były fachowo zamurowane. Apogeum nastąpiło na podeście zawieszonym gdzieś pomiędzy pierwszym a ostatnim piętrem. Wąski pas betonu tonął w obrzydliwej kałuży szczyń ukoronowanych odchodami.

– To tu – rzucił Antoinette, na moment odchylając chusteczkę od ust.

Wyszli z gęstego od odoru półmroku na oświetlony najwyższy taras. Nad ich głowami promienie słoneczne załamywały się na zszarzałych szybach świetlika zadaszającego schody. Antoinette pewnym krokiem poprowadził ich ku drzwiom i bez namysłu naparł ciałem na lichą przeszkodę. Wpadli do środka niczym pocisk armatni.

Legrasse zmrużył oczy. Izba cztery na pięć. Na najwyższym piętrze przy szczytowej ścianie bez okien. W chłodnych miesiącach z takich pokoi nie sposób było wygnać wilgoć, latem natomiast zamieniały się w piekarniki. Woń pluskiew, potu oraz brudu tkwiła w ścianach niczym zardzewiały gwóźdź.

Przywitał ich półnagi mężczyzna o zaciętej minie i palcach zaciśniętych na rękojeści cudacznie wyglądającej maczety o lekko łukowatym żeleźcu. Na piersi mężczyzny kołysał się różaniec, a smukłe ramiona były pokryte tatuażami. Wiele z nich wyglądało na świeże: jeszcze się goiły. Legrasse odnosił wrażenie, że drab usiłuje zasłonić swoje ciało religijnymi talizmanami. Miejscami krzyże i opisane na nich pokraccze sentencje zlewały się w nieczytelną plamę, dosychającą pod czarnymi strupami.

Legrasse nie miał czasu na analizowanie religijnej wymowy malunków. Skupił się na przedziwnej broni. Potrzebował chwili, aby

skojarzyć fakty. Moses dzierżył pozostałość bojowej szabli, zapewne odziedziczoną po przodku. Lata szczerbienia na czerepach przeciwników, ukruszenie sztychu o kamień, zamieniły leciwą broń w skarłały cień własnej świetności. Pamiątka rodowa, mimo wieku oraz wysługi lat, wyglądała na zadbaną. I solidnie naostrzoną.

Antoinette postąpił do przodu, rozłożył ramiona, pokazując, że ma puste dłonie.

– Odłóż kosę, Moe. Nie pogarszaj sprawy – rzekł poufałym tonem. – Musimy pogawędzić, brachu.

– Kto z psami przestaje, tego kundel trącał jajcami. Między nami woda. – Hes splunął ostentacyjnie.

Antoinette przez chwilę przyglądał się plwocinie i pokręcił głową, jak rozczarowany ojciec nad krnąbrnym potomkiem.

– Oddaj kosę, Moe. To koniec twojej drogi, brachu.

Hes ku ich zaskoczeniu, wymachując ostrzem jak najprzedniejszą szablą, rzucił się ku drzwiom. Uskoczyli, unikając wirującego w powietrzu ostrza.

„Krwi nie oszukasz” – mawiał ojciec Johna, a teraz Legrasse miał tego dowód. Moses Specht, zwany Hesem, wywijał młynki i ciął powietrze ostrą szablą, jakby w dłoni nigdy nic innego nie trzymał. Zanim Legrasse zdołał wyszarpnąć rewolwer, Mulat wypadł na korytarz i pomknął ku schodom prowadzącym na górną kondygnację.

Wybiegli za nim, kierując się na schody. Specht przesadzał po kilka stopni naraz, u szczytu schodów uderzył barkiem w liche drzwi broniące dostępu do dusznego poddasza. Na niskim, śmierdzącym ptasimi odchodami strychu zawrzało, przestraszona rodzina gołębi zaczęła młócić wściekle skrzydłami. W trzepocie i towarzyszącym mu charakterystycznym gulgotaniu pościg dopadł pochyłej drabiny prowadzącej na dach.

Legrasse ledwie wychylił się przez prowizoryczny właz, natychmiast złożył się do strzału, pośpiesznie określając geometrię przestrzeni. Wypalił prawie na oślep. Intuicja go jednak nie zawiodła. Trafił, choć nie w czarnego szablistę. Ustrzelił gliniane zwieńczenie komina, którego rozrzucone odłamki uderzyły w policzek zbiega. Rana była niegroźna, ale wystarczyła, aby w połączeniu z hukem



wystrzału złamać ducha Spechta.

Mężczyzna, niespodziewanie raniony, wystraszony odgłosem strzału, zadziałał odruchowo. Skulił się, wciskając głowę między ramiona. To go zgubiło. Gdyby tylko zachował nieco więcej zimnej krwi oraz miał obycie przodków w boju, zignorowałby draśnięcie i nie bacząc na nic, przesadził niewielką odległość pomiędzy pochylonymi dachami budynków. Miast tego, wspierając się na ułamanej szabli, dźwignął się z kolan i spoglądał bezradnie w dół, ponad krawędź niskiego obmurowania. Na ulicy kłębił się tłum obdartusów, pokątnych złodziejasków, tanich dziwki oraz biedoty. Antoinette stanął obok detektywa. Teraz i on trzymał w dłoni rewolwer. Mierzył pod nogi Spechta.

– Udowodniłeś swoje. Musimy pogadać. Albo kulka na miejscu – rzucił gniewnie, usiłując zmusić byłego podwładnego do uległości.

Moe wydał wargi, ale zamiast odpyskować, honorowo przebijając wyzwanie wyzwaniem, rzucił szablę. Dotknął ostrożnie skaleczonego policzka, zaskoczony przyglądał się zakrwawionym palcom. Miał minę zahukanego dziecka, ganionego przez opiekuna.

– Oni idą, szefie – wydusił w końcu łamiącym się głosem. – Idą. Ja... Ja nie wiedziałem. – Odwrócił się na pięcie i wsparł ramionami o niski gzymś. – Widziałem niejedno. Kurestwo jednak, szefie. Tego nikt nie powinien nigdy... Nie tak... – Przeżegnał się oszczędnie na koniec, składając szybki pocałunek na dłoni, którą natychmiast przycisnął do wytatuowanej piersi.

Legrasse ukrył broń w kaburze.

– Spokojnie, Moe. – Porucznik postąpił krok do przodu, wyciągając dłoń ku desperatowi. – Powiedz, kto zmusił cię do ucieczki?

Mulat zwrócił w stronę detektywa twarz wykrzywioną mieszaniną gniewu i strachu. Pulsująca żyła przecinała mu zmarszczone czoło.

– Ty psie łajno! – ryknął. – On sprowadził piekło. – Wyszczerył dziko zęby. – On się budzi. On szepcze! Pieprz się, wale! Ty, Owens i ten zasrany, gogusiowaty Parish! Pieprzcie się wszyscy!

Hes spojrział ponad gzymsem na tłoczących się w ulicznym brudzie obdartusów. Oprych utkwiał wzrok w wysokim, szczupłym mężczyźnie w czarnym fraku, cylindrze i oczach przesłoniętych okularami.

Tajemniczy elegant skinął Mosesowi. Wyglądało, jakby nikt poza Mosesem go nie zauważył.

– *Guédé*<sup>32</sup> – szepnął, poznając dziwną sylwetkę. – Bogowie są nienasyceńci...

Legrasse zadziałał instynktownie, gdy zauważył, że mięśnie Moego się napinają. Rzucił się przed siebie, rozkładając możliwie szeroko ramiona, aby powstrzymać zew anioła śmierci. Nie zdążył. Dopadł krawędzi o uderzenie serca za późno. Moe rzucił się z dachu, dając nura prosto w kościste objęcia Barona Samediego<sup>33</sup>. Wyrznął głową o utwardzoną ziemię. Na moment zastygł, przypominając ciśnięty oszczep, po czym opadł jak ścięta łodyga. Z rozbitej czaszki wypłynęła szaro-czerwona breja, a konającym ciałem wstrząsnęły agonalne drgawki. Długa linia heskich najemników, gwałcicieli oraz zbirów zakończyła się w ulicznym rynsztoku Nowego Orleanu.

– No i chuj – skwitował Denote, kręcąc głową.

Lashaw splunął przez zęby.

Legrasse i Antoinette zeszli z dachu w milczeniu. Rozwrzeszczany tłum falował, plując i skandując. Nikt jednak nie podchodził do ciała. Wszyscy rozpoznawali króla ulicy oraz jego dwóch przybocznych. Co bardziej wyrywni, nowi w mieście, byli natychmiast stopowani przez starszych. Nikt nie chciał sprowadzić na dzielnicę zemsty za uniesienie ręki na Antoinette'a.

Bandycki król stanął nad zwłokami. Pokręcił zrezygnowany głową, wysupłał z kieszeni kilka banknotów o wysokim nominale i rzucił w błoto obok bosych stóp Hesa.

– Walczył do końca! Sprawcie mu pochówek – rzucił w tłum, spoglądając na siwowłosych rezunów o zapadłych obliczach.

Takie miejsca, choć już wrosnięte w miejską tkanę, wciąż kierowały się plemiennymi zasadami, gdzie prawo ustanawiał *houngan* oraz rada starszych.

– Johny. – Odwrócił się ku detektywowi. – Ja swoją część dopełniłem. Za pokwitowaniem. Pamiętaj o swojej.

Nie czekał na odpowiedź. Nie zaszczycił nikogo spojrzeniem, wsiadł do lśniącej limuzyny i odjechał. Nie żeby Legrasse poczuł się w tym momencie jakoś szczególnie opuszczony. Miał inne problemy

na głowie. Formalnie żaden obdartus nie miał prawa do kosy z nim. Formalnie. Zasady zbirów dotyczyły zbirów i były równie mętne co woda w rynsztoku. Legrasse sprawnie zanurkował na miejsce pasażera do drugiego auta, dostojnie ignorując butelkę roztrzaskaną o obgryziony krawężnik. Wystarczająco daleko, aby odpryski nie sięgnęły butów detektywa, dostatecznie blisko, aby być wymownym ostrzeżeniem.

– Co teraz? Wiesz, o kim mówił ten niewydarzony Ikar? – W głosie Francuza brzmiała nieprzyjemna nuta zdradzająca człowieka nawykłego do brutalnego duszenia oporu siłą.

Legrasse przez chwilę przyglądał się wykrzywionym wrzaskiem twarzom, które towarzyszyły im, gdy ruszali.

Znał nazwisko Parisha aż za dobrze. Ich drogi przecinały się wielokrotnie, gdy był jeszcze czynnym policjantem usiłującym jakoś połatać rozłazący się w szwach świat. Mniejsze zło zwykło zaś mieć uśmiechniętą gębę Parisha. Legrasse szczerze chciał uniknąć spotkania z gadem nazywanym dla niepoznaki adwokatem, ale wiedział, że to niemożliwe. Parish był kolejnym ogniwo, niezbędną częścią układanki. Wiedział, że wcześniej czy później musi do niego trafić. Nie zamierzał jednak przesadnie ponaglać losu. Miał jeszcze jedną kartę do zagrania.

– Do centrum, pod park przy zoo – rzucił, spoglądając na czarnucha w cylindrze, który wskazywał w ich stronę tulipanem rozbitej butelki. Zimny dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. – Pora sięgnąć do ostatnich zasobów, jakie mi zostały.

\*\*\*

Lennox Centówa siedział jak zawsze w cieniu rozłożystego dębu w samym sercu parku Audubona, ze spokojem obserwując przechodniów. Siedział nad rozłożoną szachownicą, a puste miejsce na ławce po przeciwnej stronie sugerowało, że czeka na partnera do gry. Wyglądał na staruszka uciekającego przed samotnością. Ulicznego dziadka – takiego, który w zamian za kilka minut uwagi gotowy jest opowiedzieć historię życia. Uśmiechał się dobrotliwie do

rozwrzeszczanych dzieciaków goniących piłkę po trawniku. Jednak gdy dostrzegł zbliżającego się ku niemu Legrasse'a w towarzystwie krępego bruneta, zaczął wiercić się niespokojnie, szykując do ucieczki.

Najważniejszą umiejętnością każdego drapieżnika jest sposób podchodzenia ofiary. By to zrobić, trzeba ją zmylić, omamić, tak by sama weszła w rozstawione sidła. Lennox Centówa Barrie nie szukał towarzystwa eleganckich dżentelmenów, roześmianych kobiet lub dzieci tłumnie wypełniających park. Centówa ukrywał się pomiędzy niczego niepodejrzewającymi ofiarami. Był niczym pajak czający się w sieci. I teraz, zagrożony, usiłował czmychnąć przeciwnikowi. Nim jednak zdążył skryć się w cieniu, zwyczajem swoich stawonogich powinowatych włączając pod kamień, został przyszpilony do ławki. Detektyw bezceremonialnie rzucił na szachownicę wymiętą ulotkę. Centówa wyglądał, jakby ktoś podrzucił mu pod nos rozjechanego szczura. Mimo to przelotnie spojrzął na żółtą kartę papieru.

– Legrasse – syknął Szkot. – Słyszałem, że w końcu cię wypieprzyli na bruk.

Były komisarz uśmiechnął się chłodno. Rozsiadł się na miejscu drugiego gracza. Sięgnął leniwie po piersiówkę ukrytą w kieszeni i pociągnął solidny łyk. Wódka koła nerwy.

– Daruj sobie. – W dłoni detektywa zamigotała pięćdziesięciocentowa moneta. – Ufam, że nie zmieniłeś stawki wejścia.

Szczupły mężczyzna szarpnął postrzępioną brodę i wbił oczy w detektywa. W końcu sięgnął po leżącą na szachownicy ulotkę i wziął w dłoń monetę na znak otwarcia spotkania. Półdolarówka zmieniła właściciela.

– Po starej znajomości, John. – Wskazał na rząd białych figur karnie rozstawionych wzdłuż krawędzi. – Pytanie dycha. Odpowiedź ten sam papier.

Legrasse otworzył partię, przenosząc pion na kwadrat e4. Lennox domknął debiut zdecydowanym ruchem.

– Obrona francuska – mruknął Eugene-François de Taffanel. – Ten tego, jestem zaszczycony.

Legrasse posłał w środek pola kolejny pion. Statystyki mówiły, że w tej partii strona biała wygrywała częściej. Legrasse jednak nie liczył na zwycięstwo. Przez chwilę zastanawiał się nad pytaniem, porzucając pokusę bezpośredniego zagadywania o zgromadzenie.

– Szukam człowieka, Lennox. Wielkolud o gębie ulepionej z brzydoty i blizn. Łapy jak bochny chleba. Robi za osiłka od mokrej roboty i jest związany z tym kościołem.

Staruszek przyjrzał się uważnie Legrasse'owi, czekając spokojnie, aż ten wyłoży banknot. Gdy tak się stało, uśmiechnął się chytrze.

– Mało danych. Doprecyzuj.

Legrasse westchnął i położył kolejny banknot. To nie była ich pierwsza partia szachów. Barrie od lat trudnił się zbieraniem informacji oraz ich dystrybucją. W Big Easy nic nie mogło się ukryć przed Centową i bezimienną bandą smarkaczy pełniących rolę szpiegów. Był przy tym człowiekiem stojącym ponad podziałami, dostarczał odpowiedzi na pytania każdemu, kto płacił. Dzięki temu, że obracał najchodliwszym towarem w mieście, nikt nie dopytywał się o ferajnę obdartych uliczników, z których większość miała komplet mlecznych zębów. Nikt nie chciał wiedzieć, gdzie jest legendarna Nibylandia i ile dziecięcych szkieletów jest tam zakopanych. Protektorzy Barriego oraz ci uzależnieni od informacji po obu stronach barykady skutecznie temperowali zbyt dociekliwych.

– Wierny pies. – Legrasse wspomniął spojrzenie, jakim osiłek patrzył na kaznodzieję. – Ale nie dzięki zapłacie. Obstawiam jakiegoś religijnego popaprańca, karmionego psalmami. Silny, wytrenowany. Ostatnio wyautował Jamsona i pewnego Francuzika...

– I prawie ciebie. – Lennox Centowa uśmiechnął się chytrze. – Miasto szepcze, Johny. Ponoć przypadkiem odpieczętowałeś puszkę Pandory. Razem będzie pięćdziesiąt. – Stuknął kościstym palcem. – Znasz zasady.

Legrasse wykladał pieniądze niespiesznie, jakby odmierzał Szkotowi kolejne policzki.

– Wołają go Cięń. Sam kazał tak na siebie mówić, ale jak się najmował do roboty w porcie, to podał, że się zwie Jedediah Whateley. Z Dunwitch. – Informator zmarszczył czoło, jakby chciał

coś powiedzieć, ale zapomniał, co dokładnie. – Pojawił się w mieście jakiś czas temu, kręcił się przy dokach. – Lenox zwinął pieniądze. – Za łąby z Włochami się złapał i połała się krew. Tak się o nim dowiedziałem, takich ludzi warto znać. – Wykrzywił usta w czymś, co mogło zostać uznane za uśmiech. – W porcie robił dorywczo, tylko gdy zawijała jakaś łajba z Orientu. Czemu tak? Nie wiem. Chcieli go zwerbować i Włosi, i Ruscy. Ale nie był zainteresowany. Gadał tylko z Murzynami tyrającymi w dokach. – Spojrzał wymownie na Legrasse'a.

– Wiesz, gdzie siedzi, gdy nie gada z czarnuchami?

Lenox wydał wargi, jakby mówił wbrew własnej chęci.

– Nie do końca. Jeden z moich go namierzył. Ponoć gdzieś na Old Gentilly Road, ale nic więcej nie zdołał...

Legrasse drgnął tknięty przecuciem. Brzydkie, niemiłe uczucie, które każdorazowo powodowało skręt kiszek. Odruchowo zacisnął pięść, wyobrażając sobie, że tłucze głową Szkota o bruk.

Centówa, jakby czytając w myślach, wzruszył ramionami.

– Nie wrócił do mnie. Niewdzięczne gnojki czasem odtrącają rękę, która karmi.

– Lub posyła na śmierć – syknął Legrasse. Twarz miał zimną, pełną majestatycznej nienawiści. – Co i rusz wyławiamy z rzeki trupa jakiegoś dzieciaka.

– Taka gra – odparł beznamiętnym tonem informator.

Nic w pozie de Taffanela nie zdradzało intencji. Agent w jednej chwili stał, leniwie przyglądając się okolicy, w drugiej sięgał ku gardłu Centówy. Legrasse zareagował błyskawicznie. Złapał Francuza za ramię. Szarpnięcie było jednak na tyle mocne, że zachwiało detektywem, stojącym w i tak niestabilnej pozycji. Całe zamieszanie nie uszło uwadze spacerowiczów. Kilku mężczyzn przystanęło, oceniając zagrożenie. Były komisarz zmusił mięśnie twarzy do uprzejmego wyrazu, uniósł dłoń w przeproszającym geście. Błyskawicznie odwrócił się, upewniając, że nadal rozdziela obu mężczyzn.

– Zostaw – syknął. – Gnoj tylko czeka na to.

Agent Sûreté przez chwilę spoglądał na detektywa wzrokiem

pełnym gniewu oraz pogardy, ale w końcu rozluźnił napięte mięśnie i cofnął się o krok. Legrasse stał w milczeniu i beznamiętnie przyglądał się uśmiechniętemu szyderczo Barriemu.

„Kiedy to przestało na mnie robić wrażenie?” – myśl pojawiła się i przepadła pozostawiona bez odpowiedzi.

– Któregoś dnia, Lenox... – Legrasse wbił ręce w kieszenie spodni. – Sprzedasz ostatnią informację, a wtedy ty i ja odbędziemy z dawna odkładaną rozmowę.

Nie poprawiło mu to jednak humoru. Groźba była pusta i wiedzieli o tym obaj. Szkot, jakby na potwierdzenie, roześmiał się i rozsiadł wygodniej na parkowej ławce. Tuż obok przebiegło dwóch chłopców. Lenox pozwolił sobie na to, aby jego lepki wzrok zawisł na nich nieco dłużej.

Legrasse nie chciał tego dłużej oglądać. Ruszył ku zaparkowanemu w cieniu samochodowi. De Taffanel podążał pół kroku za nim. Widać było, jak dusi w sobie gniew. Poirytowany Legrasse usiłował znaleźć odpowiedź na powracające od jakiegoś czasu pytanie: czy gdybym od razu poszedł do Renee to wszystko to nie miałoby miejsca? Każdorazowy obrót koncepcyjnego kalejdoskopu nie przynosił jednak upragnionej ulgi. Ile istnień straciło życie przez jego zaślepienie? Nie potrafił policzyć.

Sfrustrowany trzasnął drzwiami samochodu.

– Jedź – warknął. – Będę nawigował.

– Dokąd? – zapytał de Taffanel, sadowiąc się za kierownicą.

Legrasse umilkł, wbijając wzrok w przednią szybę. Przez chwilę wyglądał jak odbiornik telewizyjny nagle odcięty od zasilania. Po chwili spojrzął na Francuza. Oczy Amerykanina skrzyły się gniewnie. Tembr głosu zdradzał chłodną kalkulację doświadczonego żołnierza.

– Pora zatrząść tą klatką i zobaczymy, co zacznie warczeć. A następnie rozmówimy się z gnidą, którą trzeba było przepytac od razu.

Francuz zapuścił w milczeniu silnik i ruszył nieśpiesznie, słuchając rzucanych co jakiś czas przez Amerykanina instrukcji. Jazda w ciszy, z mamroczącym pod nosem detektywem mu nie przeszkadzała. Obaj mieli swoje do przemyślenia, a przebijanie się przez kolejne ulice

miasta, dawało chwilę wytchnienia. Jedynie brak radia go irytował. Bóg jeden świadkiem, że teraz przydałaby się mu porządna porcja amerykańskiego swingu.

Old Gentilly Road, ta droga donikąd, prowadziła przez zupełne pustkowia. Krajobraz nieużytków zalewowych oblepiony rozpadającymi się magazynami trefnych firm. Na tej nieurodzajnej ziemi nie wyrastały nawet slumsy. Choć w pobliżu uczęszczanej drogi do portu, Old Gentilly pozostawała na uboczu, zacieniona, skryta za chwastami. Docierali tu jedynie zbłąkani pijacy oraz niespokojne duchy szukające diabła na rozdrożach.

Na całej długości ulicy z wolna pochłanianej przez trawy oraz powykęcane krzewy wyraźnie widoczny był tylko jeden budynek, niczym ostatni paluch u dłoni trędowatego. Niski, piętrowy klocek, który najpewniej kiedyś miał być warsztatem samochodowym. Pozostał z tego smętny trup kapitalizmu z rozdartą bramą, powybijanymi oknami oraz sztydem oblepionym liszajami rdzy. Ukoronowaniem obrazu życiowej rozpaczki był szkielet wraku półciężarówki tkwiący na czterech pustakach, pozbawiony wszystkiego, co dało się wykrecić.

– Wygląda jak cmentarna krypta.

Legrasse kiwnął głową. Ponury budynek zdawał się tkwić w wiecznym cieniu, jakby promienie słońca nie były w stanie sięgnąć zwietrzałych ścian.

– I obstawiam, że to tu znajdziemy gagatka.

Francuz zatrzymał samochód naprzeciw, tuż przy drewnianym słupie sieci energetycznej. Ze szczytu, uczepione porcelanowych ogniów, skręcały się krótkie macki uciętych przewodów elektrycznych. Złomiarze niczego nie oszczędzali.

De Taffanel, przyglądając się budynkowi, przeszedł na tył pojazdu. Bagażnik otworzył się z głuchym zgrzytem wyrobionej dźwigni. W rozpiętej torbie podróźnej Francuz miał upchnięty mały arsenał mogący zaspokoić potrzeby niewielkiej grupy przestępczej. Z namaszczaniem wyładował kolekcję długiej broni. Spojrzał na Amerykanina, ale ten tylko pokręcił głową, wskazując na rewolwer wiszący pod pachą. De Taffanel wzruszył ramionami i sięgnął po



wysłużony karabin maszynowy marki Thompson pochodzący z pierwszej fabrycznej serii, model z drewnianą okładziną.

- Bardziej amerykańsko się nie dało?
- Wasz teren, wasze rekwizyty – odparł lekko Francuz. – Zresztą...
- Chrupnął zatrask magazynka. – Zamierzam skurwiela ubić jak psa
- wyjaśnił.
- Ale najpierw ja z nim pogawędzę.
- Uczciwa oferta.

Mężczyźni z bronią przygotowaną do strzału ruszyli ku niewysokiemu budynkowi. Pod obcasami butów chrzęścił żwir oraz potłuczone szkło. Cicho przekroczyli próg zdezelowanej bramy z blachy falistej i przystanęli. Pod resztkami zwalonego sufitu, wzdłuż masywnych dźwigarów oraz bel nośnych, zwisały rzędy kolorowych butelek, kołyszących się lekko na wietrze. Pomiedzy utłuczonymi fiaskami przeciskał się raz po raz podmuch wiatru dmącego w wyszczerbione szyjki. Przypominały koszarne ozdoby choinkowe. Na jednej z bel przysiadł chromy gołąb, syjąc na głowy mężczyzn sfilcowany kurz oraz zaschłe mysie odchody.

Francuz drgnął, usiłując uniknąć cuchnącej chmury gryzącego pyłu, ale nie ruszył się z miejsca. Lata treningu wzięły górę nad ludzkimi odruchami. Butelki załaskotały gniewnie, podnosząc larum, które spłoszyło ptaka.

- Spójrz.

Legrasse utkwiał wzrok w miejsce wskazane przez de Taffanela. Tuż obok ich nóg, ledwie cal nad zawaloną śmieciami podłogą, ciągnęła się cienka linka rybacka.

– Dobrze, że nie potrask na niedźwiedzie. Tam. – Kiwnął głową w kierunku przeciwległej ściany. – Za kanałem są schody. Obstawiam, że tam, bo piéterko raczej nie nadaje się do zwiedzania.

Francuz przytaknął skwapliwie i ostrożnie przekroczył prowizoryczną pułapkę. Wyrobiona podłoga skrzypnęła cicho pod ich krokami, zdradzając puste przestrzenie pomiędzy fundamentami.

„Pewnie był tam skład” – kalkulował Legrasse, usiłując wyobrazić sobie rozkład konstrukcji okalającej wycementowany kwadrat z kanałem mechanicznym.

Nie zdołał jednak dokończyć prowizorycznej analizy. Drewniana podłoga najpierw zgrzytnęła wściekle, a chwilę później przełamała się w pół, wciągając obu mężczyzn w zapadlinę. Z hukiem, w chmurze kurzu, wśród odłamków oraz śmieci runęli ku ciemnej paszczy podziemia. Nie zważając na stłuczenia, szybko się podnieśli, wsparli się o siebie plecami, spodziewając się nagłego ataku. Nikt jednak nie skoczył im do krtani i nie próbował utoczyć krwi. Byli sami w cuchnącym, zapomnianym przez Boga i czas pomieszczeniu.

– To cholerna piwnica.

– No, na strych nie wygląda – odparł cierpko Legrasse, odruchowo otrzepując się z pyłu. – To tyle jeśli chodzi o efekt zaskoczenia.

Cuchnęło zwierzęcą obecnością. Przez chwilę stali, nasłuchując jakiegokolwiek odgłosu ruchu. Piwnica sprawiała wrażenie opuszczonej, ale były to pozory. W nozdrza wwierał się charakterystyczny zapach kłębiący się zawsze wokół palących się lamp olejnych.

Legrasse zmrużył oczy, przyglądał się skąpanym w półświatle, pokrytym pleśnią półkom oraz walającym się wszędzie puszkom po farbach i olejach. Ceglana ściana, na którą spoglądał, była najpewniej częścią kanału zajmującego centralną część górnego poziomu.

– Skład – rzucił. – Czyli tam... – Wskazał dłonią na wypaczoną framugę pozbawioną drzwi. – Jest drugie pomieszczenie ze schodami.

Pomieszczenie roило się od śmieci. Porzucone ramy części aut, które nie wiadomo, jak tu wniesiono, potrzaskane meble, rozklekotana rama łóżka przykryta spleśniałym materacem. I gazety. Wszędzie szeleszczące, śliskie od pleśni pożółkłe resztki gazet oraz tanich książek do czytania w pociągu.

– A mówią, że ludzie nie czytają.

Francuz był jednak zbyt spięty, by odpowiedzieć. Mruknął niezrozumiale pod nosem, całkowicie pochłonięty prymitywnymi malunkami zdobiącymi część ściany. Przypominały naskalne malunki ludzi pierwotnych. Tylko miast dzikich zwierząt przedstawiały ludzi stojących w obliczu ogni piekielnych. Ogni, z których wynurzały się wrzecionowate ramiona bogów.

Legrasse także rozglądał się bacznie. Skrzywienie gratów skrytych

pod papierzyskami, niepokojące echo oraz nikły zapach lampy olejnej przyprawiał go o dreszcze. I do tego ten smród.

– Czujesz gnijące kwiaty? – szepnął do de Taffanela.

– I zjełczałe mleko, ten tego, psia jego kurwia mać.

Wbili spojrzenie w kąt pomieszczenia, ignorując narastające mdłości. Porucznik zbliżył się do kształtu zwisającego ze spleśniałego materacu. To mógł być skotłowany koc. Mogło być zwierzę, duży pies. „Duże zwierzę” – powtórzył w duchu. Ciało ludzkie cuchnie intensywnie. Pięć litrów krwi, wnętrzności, płyny. Był w okopach, spędził sześć dni w Lesie Argońskim z niedobitkami 77 Dywizji. Nawąchał się trupów. Trzewi, w których lęgną się robaki.

To nie był pies. Żadne zwierzę. Porucznik z gorzką gulą w gardle spoglądał na skryte pod szmatą wybrakowane szczątki dziecka. Usta chłopca były otwarte w niemym krzyku. Szkliste oczy wpatrywały się w Johna Raymonda Legrasse’a, podczas gdy robactwo żerowało w rozplatanym brzuchu. Podniósł rękę, by rękawem zakryć nos i usta. Odwrócił się na pięcie do Francuza.

– Kurwa jasna – warknął.

Detektyw spojrział ponad ramieniem de Taffanela. Drobne, lekko pochyłe pismo pokrywało całą jedną ścianę. Pozornie przypadkowe zbitki liter przetykały proste rysunki, wręcz dziecięce wyobrażenia dziwacznych istot. Gdzieniegdzie całe partie zdań załamywały się, by ustąpić wyobrażeniom cudacznych figur geometrycznych.

– Zapraszam – zadudnił obcy, odległy głos dobywający się z głębi ciemnego korytarza, wychodzącego z pomieszczenia.

Legrasse splunął przez zęby, bez słowa zanurzając się w mrocznej gardzieli przejścia. Eugene-François de Taffanel ruszył jego śladem, gotując się na spotkanie z bestią. Po drugiej stronie paliło się światło. Pochwycili też miarowy, ciężki oddech. Legrasse nie mógł pozbyć się wrażenia, że wchodzi do niedźwiedziej gawry.

Fetor zgnilizny nasilił się. Pierwsze, co ujrzeni, to przedziwną stertę, usypaną w przeciwległym do wejścia rogu. W migotliwym półświatle zalegało usypisko rozdartych psów oraz kotów. Zameczonych, okaleczonych. Musiało być ich kilkadziesiąt. Część wyglądała na świeże ofiary szaleńca, część rozkładała się, rozsiewając mdlący odór

śmierci. Obok stała pusta, przerdzewiała klatka.

De Taffanel zaklął siarczyście, unosząc broń gotową do strzału. Atmosfera tego miejsca sprawiała, że z trudem panował nad emocjami.

Mężczyzna siedział na środku rozległej sutereny za niewielkim, krzywym stołem, zbitym z kilku potrzaskanych mebli. W dłoni ścisnął kawałek czarnego chleba. W migotliwym świetle lampy zdawał się drzemać nad kubkiem i obitym talerzem.

Legrasse strzelił palcami. Raz, by dać znać agentowi. Dwa, by zwrócić uwagę szaleńca, który niewzruszenie siedział pośrodku sali kaźni.

– Jedediah Whateley? Mamy do pogadania.

Na dźwięk głosu Legrasse'a Cień podniósł olbrzymią głowę i spojrzał obojętnie. Uśmiechnął się, spoglądając na wycelowaną weń broń, i powrócił do żucia przerwane go posiłku.

– I przybyli posłańcy – mlasnął – tam, gdzie Śpiący – językiem przeczyścił wnętrze policzka – czekał w swym domu w Ryleth<sup>34</sup>. – Chwilę milczał, jakby smakował nie tylko strawę, lecz także swoje słowa. Następnie dodał gardłowym, niskim głosem, nie ruszając się z miejsca za stołem: – Niepotrzebnie się pan tu fatygował, Legrasse. Wielebny to przewidział, oczywiście. Tym razem sprowadziłeś pan sobie pomagiera. – Wyszczrzył zęby. – Raz żeś mnie pan zaskoczył, raz żeś ja pana ucapił. Ciekawym, jak to potoczy się tera. Wielebny pewnie wiedziałby. – Zasępił się wyraźnie, patrząc na mierzających do niego mężczyzn. Odsunął talerz z szarą breją.

– Połóż łapy na stole, cudaku – rzucił Legrasse.

Cień wykonał polecenie detektywa, przyglądając mu się uważnie. Przekrzywił lekko głowę, rozciągając usta w nikłym uśmiechu.

– Było to załatwić od razu. Jak żeś się pan wtrącił w nasze sprawy. Było im i mnie nie zwlekać.

– Czyli?

Cień uśmiechnął się szeroko, wyłamując palce. Wymierzona weń broń zdawała się całkowicie nie robić na nim wrażenia. Spoglądał na dwóch gniewnych mężczyzn, jakby to były dzieci ścisnąjące w dłoniach zabawki.

– Byłeś ostrzeżony, a i tak przylazłeś... Wielebny osobiście ostrzegał. – Pokręcił głową. – Wielebny nakazał mi pomagać Sztukmistrzowi, pilnować, aby mógł dokończyć w spokoju badania. – Wydał wargi w nieskrywanej pogardzie. – Czemu nie mógł pan robić tego, co kazali szefowie, hm?

Legrasse ze zdziwienia zamrugął oczami, ale natychmiast odepchnął od siebie niepokojącą myśl. Było coś istotniejszego. W potoku spokojnych, obojętnych słów olbrzyma na chwilę wybiły się ostrzejsze tony. Skupił się na bijącej od Cienia niechęci do wspomnianego człowieka.

– Co to za Sztukmistrz?

Cień westchnął. Przez chwilę zdawał się wahać, wpatrując w ciemne ślepie karabinu maszynowego. Chmurne oblicze olbrzyma zastygło w pełnym niechęci grymasie.

– To głupiec – rzekł, nie kryjąc pogardy. – Igrający w próżności z czymś większym od niego. Ale Wielebny kazał go strzec. Mimo że Śpiący wybrał innego... – Zamrugął oczami, reflektując się, że powiedział zbyt wiele. – Nic to, skoro już przyszedłeś, koniec ostrzeżeń, koniec uników. – Huknął dłonią w stół i się wyprostował.

Legrasse zerknął z ukosa na Francuza. Ten nawet nie drgnął i cały czas spokojnie mierzył w olbrzyma.

– Mój dziadzio rzekł raz do mnie i Wilbura, niedługo jak się nam pojawił: „Syneczki, jeśli głupiec pcha się w paszczę lwa, lew ma prawo go pożreć”. – Oblicze Cienia na moment złagodniało, gdy wspomniał rodzinne strony. Na surowej, pooranej bliznami twarzy błąkał się ciepły uśmiech. – Dziadek Whateley był uczonym człekiem. Z książek mnie edukował, choć wolał małego Wilbura. Szkoda, że obumarł. – Wzrok Jedediaha stężał. – Wielki dał ci łaskę, możliwość, ale zrobiłeś to, co tacy jak ty robią: śledzą, obserwują oraz szydzą. – Do tej pory spokojne oblicze Cienia przełamała brzydka rysa skrywanego gniewu. – Tylko teraz ja już nie muszę słuchać ani znosić kamieni. – Dotknął poharatanej twarzy. – Tyle tego – mruknął bardziej do siebie niż przybyłych. – Tyle za nami i przed nami jeszcze, a ciało to tylko naczynie.

Postąpił niemrawo w miejscu, jakby nie mógł zdecydować się, co

powinien uczynić. Spojrzał na żyłaste ręce. Z rozmysłem potarł kciukiem bruzdy żłobiące wewnątrz lewej dłoni. Linie życia i przeznaczenia, wyrysowane przez bogów w chwili narodzin, pozostały nieugięte.

– Klęknij z rękoma nad głową.

Cień zignorował polecenie. Wiedział, że ci dwaj nie przyszli tu, by go aresztować. Wiedzieli to też bogowie, gdy rozpisywali los Jedediaha. Zaciśnął usta w rezygnacji.

– Ciekawe, czy dziadzio wiedział – rzucił głucho, spoglądając na detektywa ze smutkiem.

Nagła konsternacja Whateleya zaskoczyła Legrasse'a. Przez chwilę był gotów przysiąc, że w oczach olbrzyma dostrzegł coś, co przy odrobinie dobrej woli można było przyjąć za przejaw skruchy. Nie zamierzał jednak ryzykować.

– Stój, gdzie stoisz.

Cień prychnął, opuszczając dłonie, które po chwili zaciśnęły się w pięści. Wiedział, że tak musi być. Tak zostało zapisane w gwiazdach, a ludzka powłoka była tylko sentymentalną słabostką. Ledwie migoczący ognik człowieczeństwa zgasł, zastąpiony wyrachowanym chłodem spojrzenia bezwzględного zabójcy.

– Sądysz, że to wystarczy?

– Zdziwię się, jeśli nie.

Cień pokiwał głową bez przekonania. Wyszczrzył zęby, obnażając dziąsła. Wyglądał niczym dziki zwierz gotujący się do ataku.

Agent splunął przez zęby.

– Wedle życzenia! – Ostatnie słowo wykrzyczał, naciskając spust.

Olbrzym chciał przeskoczyć stół, ale nie zdołał. Tommy gun zaterkotał morderczo, wypluwając serię ołowianych pocisków. Huk wystrzału mało nie rozsadził bębenków w uszach. Krótka seria zgięła mężczyznę wpół, odrzucając okrwawione ciało w głąb pomieszczenia. Dymiące łuski zatańczyły na kamiennej podłodze.

Legrasse przez chwilę walczył z dzwonieniem w głowie i otumaniającym wizgiem. Poruszył szczęką, szeroko otwierając usta, by wyrównać ciśnienie. Z ulgą wyłapał wyraźne słowa De Taffanela.

– I tyle, ten tego, w sprawie – rzucił Francuz, symbolicznie

spluwając w kierunku postrzelonego.

Legrasse opuścił broń, spoglądając w miejsce, gdzie leżał wyjący z bólu olbrzym. Francuz musiał trafić w jelita, ponieważ raptownie zaczęło śmierdzieć ekskrementami. Cienia czekała długa agonia w kałuży własnej krwi wymieszanej z moczem i resztkami ostatniego posiłku. Legrasse widział już takie przypadki. Przypadki, gdy jedyne, co mógł zrobić sanitariusz, to dobić nieszczęśnika.

Wiedziony ludzkim odruchem podszedł do postrzelonego olbrzyma. Zamarł jednak w półmroku. Przez smród śmierci oraz brudu przebijał się jeszcze jeden przykry zapach. Zapach, którego nie powinien czuć. Śmierdziało zgnilizną, sfermentowanymi jajami oraz butwiejącym truchłem. Cuchnęło grobem.

„I czarną magią” – powiedział sobie w myślach, czując, jak na ramionach cierpie mu skóra.

Spojrzał na strzęp człowieka. Jedediah leżał wyciągnięty na wznak. Krwawe bąble raz po raz wyrastały i rozpryskiwały się wokół rozciągniętych ust mężczyzny. To, co brał za jęk bólu, w istocie było bulgotliwym śmiechem. Detektyw zadrżał. Pierwszy raz od dawna poczuł, że się boi. Pochwycił go pierwotny lęk, paraliżujący strach nakazujący ludziom kulić się wokół ognia i strzec tego, co kryje się tuż za krawędzią światła. Z ran postrzałowych płynęła krew. I coś więcej. Z trzewi rozerwanych serią z karabinu sączyły się czarne smugi gęstego dymu.

Legrasse jęknął z przerażenia i cofnął się nieporadnie. Tuż przed nim rzeczywistość odkleiła się od teraźniejszości z odrażającym mlasknięciem. Szczercząc okrwawione zęby, Jedediah dźwignął się z kolan. Pozwolił czerni oblewać ciało. Spojrzał na zaskoczonych mężczyzn i uśmiechnął się zimno. Był to ostatni ludzki gest Whateleya.

Potężne żyły na czole mężczyzny zaczęły pulsować, a jego oblicze wykrzywił grymas bólu. Skóra czoła rozdarła się, a w krwawej szparze zalśnił zielonkawy owal uwieczony w sercu pajęczyny szerniałej tkanki. Z rany popłynęła leniwa strużka czegoś białawego, a lśniący kamień nabrał głębi kolorów. Widmowe ślepie skierowało się na sparaliżowanych strachem ludzi.

Na wysokości zawiasów szczęki twarz Jedediaha nabrzmiała i pękła niczym robaczywa grzybnia. W szczelinie pojawiły się maleńkie pająkowate robaki. Właziły jeden na drugiego, formując dodatkową, demoniczną głowę wyrastającą z wykrzywionej twarzy Whateleya. Smoliste smugi wylewające się z ran oplatały masywne uda, przebijając ciało, zaciskając sploty.

Ciernisty sznur dymu przewiercił skórę, odsłaniał fragmenty ciała. Porażony pierwotnym lękiem Legrasse krzyknął, naciskając bezwiednie spust rewolweru. LeMat wypalił, wwiercając kulę w tors diabelstwa. Z rany rozkwitł czarny kwiat dymu. Jedno z pełzających po ramieniu nieszczęśnika wrzecion ciemności wygięło się niczym wąż i sięgnęło ku ranie. Kolejne ciernie wyrastały z ramion, ud oraz torsu Whateleya, podczas gdy on wpatrywał się z zaciekawieniem swym demonicznym wzrokiem w mężczyzn.

– Boże Najświętszy! – jęknął Francuz, naciskając spust karabinu.

Maszyna zaterkotała tępo. Ołowiane kule biły w cielsko demona, miotając nim siłą uderzenia. Legrasse nie czekał na zachętę. Podpierając ramię z wyciągniętym rewolwerem, rozpaczliwie naciskał spust. Nie przyniosło to jednak efektu. Monstrum stało chwiejnie, łypiąc opalizującymi ślepiami. W migotliwym świetle olejnych lamp widmowe macki darły ciało, przemieniając naturalny porządek rzeczy. Rozwarta głowa ulepiona z łąjących po sobie pajęczaków obróciła się w kierunku spanikowanych mężczyzn. Ślepia płonęły blaskiem obcych światów. Z rozwartej szeroko paszczy wyłoniła się kolejna gęba stworzona z mroku oraz pełzających drapieźców.

I wtedy demon zaatakował. Szybko, sprawnie. Bezlitośnie.

Unikał smug światła lamp, sunąc wzdłuż cienia. Pistolet maszynowy walił pracowicie, podczas gdy Legrasse pośpiesznie przeładowywał rewolwer. Eugene-François de Taffanel pruł bezlitośnie, smagając ołowianym biczem cielsko bestii. Kule biły cieniste serpentyny cielska bez efektu. Niknęły w organicznej masie niczym kamienie ciśnięte w wodę.

Istota wpadła pomiędzy zszokowanych mężczyzn, rwąc, drapiąc i roztrącając ich niczym pachołki. Niedźwiedzia łapa opleciona smolistymi wrzecionami huknęła Legrasse'a w szczękę, pozbawiając



go na chwilę tchu oraz świadomości. Detektyw zatoczył się i upadł na kolana, a Francuz z okrzykiem przerażenia pobiegł w odległy kąt piwnicy, miażdżąc stertę rupieci.

Legrasse nie zdążył dźwignąć się z kolan, gdy olbrzymie łapsko zacisnęło się na jego twarzy. Poczuł, jak setki małych odnóży rozpełzają mu się po ciele niczym zaraza. Obezwładniający odór grobu poraził wszystkie jego zmysły. Towarzyszył mu ból miażdżonych kości oraz rozrywanych ścięgien. Usłyszał własny obezwładniający, stłumiony olbrzymią łapą krzyk. Usta wypełniała mu lepka maź smakująca żelazem. Zamknął oczy, szykując się na finalny trzask.

W to miejsce, jak z dna oceanu, doszła do niego seria głuchych huków, a następnie poczuł, że leci. Padł plecami na rozklekotany stół, połamał liche dechy, by wyrznąć o rant stalowej klatki. Cienie oblepiające ścianę niczym pleśń wirowały w dzikim tańcu, ogień ze stłuczonej lampy szybował ku sufitowi. Cuchnące szmaty oraz śmiecie szybko padały ofiarą żarłocznych płomieni rozpełzających się po melinie. W blasku ognia smoliste macki tężały i rozpadały się w dymne cienie. Legrasse kątem oka dostrzegł Francuza prowadzącego rozpaczliwą walkę. Naszpikował przepoczwarzone cielsko demona ilością ołowiu, która zabiłaby kilku roślących mężczyzn. Tymczasem Cień dopadł de Taffanela i przygwoździł go szponiastymi łapami.

Wtedy były policjant to zauważył. Odkrycie, które mogło przesądzić o wszystkim. Pajęczce, smoliste wrzeciona wyrastające z ciała Whateleya szarzały, ilekroć padał na nie migotliwy blask ognia. Niektóre, najbardziej wyeksponowane na płomień, opadały niczym uschłe liście. Legrasse przestał macać w brudzie, gdy jego dłoń natrafiła na charakterystyczny kształt butelki. Niewiele myśląc, z jękiem bólu dźwignął się z kolan. Słaniając się na nogach, cisnął flaszkę samogonu. Alkohol rozlał się po widmowym cielsku. Cień nienaturalnie odwrócił demoniczny łeb w kierunku detektywa. Legrasse, uśmiechając się podle, cisnął zerwaną ze ściany lampą.

Reakcja była natychmiastowa. Płomień uderzył pod sufit, ciągnąc smolistym warkoczem po stropowych belkach. Cieniste

kszałty kruszały, rozpadały się w pył, podczas gdy pająki rażone gorącym płomieni zamieniały się w przepalone kłębowisko podkurczonych odnóży.

Potwór zatoczył się chaotycznie. Przepalone macki odpadały od poparzonego cielska. Olbrzym runął bezładnie na podłogę. Ogień roznosił się błyskawicznie. Wystraszone żarem robactwo rozpierzchało się w panice. Demoniczna istota wiła się, młóćąc bezradnie ramionami. Płomienie przegryzły skórę, topiły warstwę tłuszczu, który spalał się smrodliwie. Popalone mięśnie kurczyły się nienaturalnie. Resztki ludzkiego ciała niszczały, a cieniste cielsko grzęzło w kałuży wrzącego sadła i spalało się niczym uschły pień.

Legrasse i de Taffanel wycofywali się, obserwując w niemym przerażeniu agonalne wstrząsy potwora. Zdeformowane cielsko pożerały płomienie, buchające w górę gorącymi jezorami o czarnych grzywach. Smród dławił. Potykając się, dotarli do schodów. Chwilę później, osmaleni, cuchnący dymem, wydostali się na zalaną słońcem ulicę. Niewiele myśląc, upadli na kolana, spoglądając ku niebu.

Ciepłe, kojące promienie słońca rozpraszały wszelkie cienie. Zdyszani spojrzeli ku pożeranej przez dym ruinie. W powietrzu wirowały, tłuste, czarne drobiny. Cuchnęło palonym łajnem.

## Rozdział 13. Brudna robota

Warga mężczyzny zamieniła się w rozkwaszonego pomidora. Legrasse, nie zważając na konsekwencje, uderzył ponownie, posyłając elegancika na deski. Jęk bólu zdusił bezpardonowym kopniakiem. Chwilę później dźwignął pobitego prawnika i pchnął go na fotel jak szmacianą lalkę.

Hugo Parish, sponiewierany, z koszulą utrefioną krwawymi bryzgami, nie przypominał szarej eminencji palestry, bywalca salonów, ulubieńca Louisiana Club. Detektyw po chwili namysłu huknął prawnika raz jeszcze. Tym razem uśmiechnął się szeroko, czując słodki posmak satysfakcji. Parish był gnojem. Wiedział o tym Legrasse, wiedzieli o tym krawaciarze, którzy sączyli zachłannie ajerkoniak w trakcie spotkań *krewe*. W końcu, gdzieś w głębi duszy, wiedział o tym sam Hugo Parish, syn Billa, wnuk Leona Irwina. Potomek długiej linii szanowanych obywateli najwspanialszego miasta Luizjany, członek prawniczego rodu o bogatych tradycjach mataczenia. Były policjant z uśmiechem, ulgą oraz szczyptą pryncypialności odmierzył cios. Prawniki znów o mało nie nakrył się nogami, a drewniany, obrotowy fotel prawie się załamał. Szczęśliwie porucznik w porę chwycił papugę za krawat.

Pamiętał ten wzór. Tej nocy, gdy się poznali, Parish miał ten sam krawat niedbale zamotany wokół szyi. Wówczas obaj byli w lepszych nastrojach. Prawniki odwiesił marynarkę na słupek, podwinął rękawy i zzuł mokasyny. Za nim z Old Abshinthe House wysypał się tłumek kibiców. Po przeciwnej stronie Bourbon Street czekał już John R. Legrasse, wtedy jeszcze w służbie miasta. Też boso, w koszulce, która odślaniała tatuaże oplatające przedramiona. Sprawa była honorowa, do pierwszej krwi. Nic poważnego, poszło o koleżeńskie wyzwanie. W Dzielnicy Francuskiej, skąpanej w zapachu kuchni kreolskiej, bimbrownicznych wyziewów oraz mulistego oddechu Missisipi, wszystko załatwiało się honorowo.

Tym razem nie było mowy o koleżeństwie. Z tego powodu Legrasse

zaaplikował pośpieszne, a więc dalekie od doskonałości, metody śledcze. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że złamał nos Parisha i bynajmniej nie była to pierwsza utoczona krew.

– Dość. Proszę.

Legrasse ocenił uważnie swoje dzieło. Najpewniej złamał nos prawnika. Krawędź dolnej wargi wyglądała na rozerwaną, ale nie był pewien, połowa twarzy Parisha umazana była krwią.

De Taffanel pokiwał głową z uznaniem i oswobodził sekretarkę, która zachowywała przez cały czas nad wyraz zimną krew. Najwyraźniej nie pierwszy raz widziała szefa nieudolnie się mocującego z rozwścieczonymi klientami. Lub odwrotnie: była w szoku.

– Zmykaj, ten tego, *chérie* – rzucił od niechcienia Eugene, zmierzając ku rozstawionym na niskim stoliku szklankom oraz karafce. – Nic tu po tobie, *petite*.

Dziewczyna, kierując się lojalnością, zerknęła na pryncypała, a ten, najwyraźniej z wolna odzyskując rezon, wyprostował się w fotelu. W ogóle nie zwrócił uwagi na spojrzenie dziewczyny. Machnął za to na Francuza, dając dość oczywisty znak, że potrzebuje przynajmniej podwójnej dawki alkoholowego napitku. Wtedy dopiero odezwał się do sekretarki:

– Weź wolne popołudnie, Ava. Niczym się nie martw. Policja już jest na miejscu – dodał cierpko.

Dziewczyna posłała przelotne, wymowne spojrzenie szefowi i wyszła wystudowanym krokiem, nie przyglądając się zbyt uważnie gościom pana Parisha. De Taffanel bez słowa uzupełnił trzy szklanki zawartością karafki, hojnie lejąc alkohol. Dżentelmeńskie subtelności oraz towarzyskie konwenanse w ciągu ostatnich godzin mocno straciły na znaczeniu.

– Nie każ mi powtarzać – warknął Legrasse. Na poparcie swoich słów wyciągnął LeMata z kabury i ostentacyjnie rzucił broń na blat biurka. – Chcę nazwiska twojego klienta. Tego klienta. Wiesz którego, bo gdybyś miał syna, odziedziczyłby go w spadku z firmą. – Legrasse przysunął się na zydlu, słysząc ryk gniewnej kipieli szalejącej w umyśle. – Nie rób wielkich oczu, Hugo. Byłem dzisiaj w piekle. –

Oblizwał wargi. – I wierz mi, jeżeli będę musiał, wytlukę z ciebie to, co mi potrzebne, ty zasrana, pierdolona kupo gówna w garniturze. – Wyrzucił wiązaną spokojnym, zmęczonym głosem człowieka, który już wszystko widział.

– Kpisz, Legrasse? Wiesz, co cię czeka za to wtargnięcie? Jesteś trupem, psie.

Porucznik bez słowa wyciągnął dłoń w kierunku Francuza. Składany nóż załopotał metalicznie skrzydłami, tylko po to, aby chwilę później wbić się stalowym żądłem w dłoń prawnika. Legrasse z kamienną twarzą, wpatrując się w Parish, wyciągnął sprawnie żelazo. Nim ten zdołał zabrać okaleczoną rękę, nóż ponownie ukąsił, tym razem oddzielając środkowy palec od reszty dłoni. Uderzenie było nieprecyzyjne. Ostrze przecięło ścięgna oraz panewkę stawową kłykcia. Parish, nie zważając na konsekwencje, szarpnął okaleczoną kończyną i skulił się, rycząc z bólu oraz wściekłości. Legrasse, niewiele sobie robiąc z wrzasków oraz cierpienia bliźniego, odciągnął okrwawiony kikut z powrotem na blat stołu. Tym razem dokładnie przycisnął go własną dłonią. W drugiej zaśnił nóż. Ostrze zawisło niczym mordercze wahadło w noweli Poego.

– Nazwiska, adresy, wszystko. – Wbił nóż szybko, pewnie, bez litości odrąbując kolejny palec. – Albo, przysięgam, potnę cię jak wieprza.

Parish zawył bardziej z przerażenia niż bólu. Ten nadszedł dopiero po chwili, ale resztki godności powstrzymały mężczyznę przed skomleniem. Zamiast tego zdrową ręką sięgnął po przydział burej wódki i duszkiem wypił zawartość. Odstawił szklanę, wydechając parzące opary alkoholu przez wyszczerzone zęby.

– Są tu od dawna. – Rzucił oprawcom wyzywające spojrzenie. – Siedzą na bagnach, w miastach, wsiach. – Uśmiechnął się, spoglądając na okaleczoną dłoń. Pokręcił głową, jakby patrzył na niewinny psikus dzieci sąsiadów. – Stare pieniądze, stare bankructwa, są solą tej ziemi. Są tą ziemią, piachem i błotem, w który wsiąka nasza krew, Legrasse. Nie wiesz, na co się porywasz. – Pchnął opróżnioną szklanę ku Francuzowi.

Eugene skwapliwie uzupełnił szkło, również czując przemożną

potrzebę stopienia oszalałych zmysłów. Nie mógł jednak nic poradzić na drżenie rąk.

Legrasse spojrział na prawnika złym wzrokiem, krzywiąc się podle. Strach przekuwał w gniew, gniew w złość, a tę w furję. Miał ochotę zakatować adwokata, tu i teraz, byle tylko oddalić od siebie lodowaty dreszcz paraliżujący zdolność klarownego myślenia. Przed oczyma nadal wirowały mu smoliste powidoki ciemności zalegającej w opuszczonej piwnicy. Nozdrza zalepiał odór płonącego ciała.

Odchrząknął, celując palcem w Parisha.

– A ty wiesz, oczywiście.

– Nie – odparł Parish z porażającą szczerością. – Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jeśli mam być szczerzy. – Gdzieś zniknęła buta prawnika. Widząc, że nie zdoła przebić muru frustracji oraz determinacji, jakimi emanowała dwójka desperatów, Parish postanowił grać w otwarte karty. Zwłaszcza że znał byłego gliniarza. Mieli wspólnych przyjaciół oraz darczyńców. Wiedział, że ten człowiek jest słowny i konsekwentny. – Czy mogę prosić o lód? Jest w barku. Całe wiadro, jeśli można... Powiem, co mogę.

– Wszystko, co wiesz.

Legrasse wbił nóż w blat biurka, robiąc z niego wymowną sugestię kary. Eugene, milcząc, podsunął prawnikowi kubek lodu oraz chusteczkę. Legrasse i de Taffanel znakomicie się uzupełniali i działali wyjątkowo zgodnie. Gdyby przyjąć, że gabinet adwokata jest pokojem przesłuchań, to Legrasse i de Taffanel stanowiliby najlepszy tandem dobrego i złego gliniarza w historii policyjnych działań.

– To to samo – odparł szybko adwokat, rozpatrując w myślach możliwe warianty.

Kalkulował szybko, na tyle przytomnie, na ile pozwalały ból oraz buzująca adrenalina, skutecznie blokująca kojący wpływ alkoholu. Czas, jaki kupił, się kurczył. Spojrział na róz rozlewający się po lodowatych kamykach, pomiędzy które wrzucił urżnięte palce. Przy odrobinie szczęścia da się je doszyć. Znał kilku dobrych chirurgów w Touro z pokaźnym długiem wdzięczności. Jedyne, co musiał zrobić, to rzucić psom kość, za którą pogonią, a on, swobodny, poszuka natychmiastowej pomocy medycznej. Oblizął spierzchnięte wargi

i prawie natychmiast zganił się w myślach. Przez ten gest przegrał masę pieniędzy przy kartach.

– Śpiewaj, papugo – przynaglił detektyw.

Hugo spojrział na wymizierowanego, zalatującego alkoholem oraz potem mężczyznę. Legrasse wyglądał, jakby przeszedł piekło na kolanach. Jego towarzysz nie prezentował się lepiej. Obaj mieli obite gęby. Śmierdzieli spalenizną i czymś jeszcze. Czymś nieoczywistym, czymś, czego odór Hugo Parish poznał na początku kariery, gdy jeszcze niesiony ideami wkroczył na ścieżkę prokuratorską. Szybko jednak z niej zbieczył. Nie był w stanie wytrzymać smrodu trupów.

– Jak wiesz, częścią moich dochodów są nieruchomości – rzekł, usiłując nadać słowom pozór szczerości. – Wynajmuję je. Klienci mojej kancelarii czasem proszą mnie o przysługę, gdy potrzebują zorganizować przyjęcie poza własnym domem, a zależy im na zachowaniu pewnego stopnia prywatności.

– Czyli schadzki – doprecyzował Francuz o twarzy weterana i oczach mordercy. – Ten tego, do rzeczy.

Parish pociągnął łyk wódki, spoglądając w stalowe oczy Legrasse'a. Nie spodobało mu się to, co w nich ujrzał. Ujrzał ponurą wizję własnej śmierci. Okaleczonych zwłok na wpół zanurzonych w bagnie. Legrasse pochylał się nad umęczonym trupem pomiędzy wijącymi się niczym węże cieniami. Parish zadrżał mimowolnie.

– Nie uczestniczyłem nigdy. – Mechanizm zaprzeczenia oraz wybielenia działał bez zarzutu, wyćwiczony latami praktyki sądowej. – Wiem jednak, że czasami potrzeba było specjalnej obsługi... – Myślał szybko, dobierając możliwie neutralne określenia. – Obsługi, której najęciem zajmował się człowiek wskazany przez moich klientów. Ja przekazuję gotówkę i upewniam się, że najęty personel... dotarł na miejsce – Powieka mu nawet nie drgnęła, gdy dokładał kolejne drobne kłamstewko do sieci łgarstw maskujących trywialną prawdę. – Nim zapytasz: nie wiem.

– Czego znowu nie wiesz, Parish? Tego, czy byłeś bardziej alfonssem, czy sutenerem? – zakpił Legrasse, bawiąc się nożem.

W drugiej dłoni opartej o udo trzymał rewolwer. W przeciwieństwie do swojego towarzysza nie pił. Przynajmniej nie

tak, jakby chciał rozpuścić mózg w wódzie.

– Nie znam szczegółów. Za każdym razem inny obiekt jest najmowany, nie zawsze nawet mój. Nie ma zasady, bo dodatkowo korzystają z własnej rezydencji. – Pokręcił głową. Pierwszy raz opowiadał to wszystko na głos komuś innemu niż lustrzane odbicie, do którego przepijał burbona, mając nadzieję zmyć z gardła posmak goryczy. – Nie znam adresu. I nie chciałem znać. Miałem przekazać gotówkę. Jeśli to była moja kamienica, miałem pilnować, aby kobiety wprowadzono dyskretnie.

– Kobiety? – Głos Legrasse’a zachrząścił nieprzyjemnie.

– Tak sądzę. Raz widziałem łydkę zdecydowanie kobiecą. Raz czy dwa słyszałem dziewczęcy głos. Ale za każdym razem wszystkie były zasłonięte od stóp do głów białymi togami z kapturami – dodał pośpiesznie, mało nie odgryzając sobie języka na widok noża, który przestał zataczać niewinnie kręgi. Parish odetchnął, Legrasse nadal trwał przycupnięty na krawędzi biurka niczym olbrzymi sęp. – łydka była zgrabna i ciemna, jeśli to ci coś powie.

Legrasse zapatrzył się w odległy punkt gabinetu, na wiszącą na ścianie oprawioną mapę Nowego Orleanu z czasów, gdy Południe nie myślało jeszcze o secesji. Francuz także nieoczekiwanie spochmurniał, jakby stanął nad grobem własnej matki. Detektyw schował rewolwer do kabury. Z kieszeni wyciągnął złożoną fotografię.

– Takie togi?

Hugo nie potrzebował dwa razy się upewniać.

– Tak. To ponoć uroczysty strój tej... – Tu po raz pierwszy się zawahał, pośpiesznie cenzurując samego siebie. Na szali wisiały nie tylko jego znajomości, palce u rąk, lecz także życie. Legrasse nie był jedynym zdolnym mu to wszystko odebrać, nie szczędząc męczarni. – Tej organizacji. Tacy ni to twardogłowi masoni, ni „Czaszka i Kości”<sup>35</sup>. – Grał na zwłokę, udając niedoinformowanego ignoranta. Ludzie zwykli postrzegać prawników jako chciwe pijawki z głową wypchaną paragrafami niczym trocinami. Hugo Parish był najlepszym spośród nowoorleańskiej palestry.

– Nazwiska, Hugo – mruknął Legrasse, wciąż obracając w dłoniach fotografię zamaskowanych mężczyzn. – Nie muszą być w kolejności



alfabetycznej. Co to za organizacja? Jakaś sekta?

Parish wyduł wargi, udając zakłopotaną minę prawego obywatela skorego do współpracy ze służbami mundurowymi.

– To *krewe w krewe*, John.

„Jeden gram prawdy na dziewięć kłamstwa. Tak to się piecze, chłopcze. A gdy podajesz, skracaj dystans” – instruował go swego czasu ojciec Parish senior, gdy syn dopiero wchodził do adwokackiej branży z dość niecodzienną specjalizacją w prawie podatkowym. Albo fiskus, albo oglądanie trupów co rano wraz z grubiańskimi policjantami. Wybór był oczywisty, choć pewnie, gdyby wtedy wiedział to, co wie teraz, wybrałby poranne zwłoki.

– Nie znam wszystkich. W takich organizacjach tajemnice mają tajemnice. – Ruszył obojętnie ramionami, czego natychmiast pożałował. Zraniona dłoń zapiekła żywym ogniem, a obtłuczona twarz i złamane żebro szybko przypomniały o swym istnieniu. Odruchowo popatrzył na owinięty chusteczką kikut. Zabolało jeszcze bardziej. Parish nigdy nie podejrzewał, że jest tak mało wytrzymały. – Ale mogę ci podać na tacy kogoś, kto wie więcej niż ja.

Legrasse spojrział uważnie na przesłuchiwanego mężczyznę. Ten rozciągnął rozbite usta w szerokim, niewinnym uśmiechu obłąkanego.

– Owens. Jim Owens, parchaty typ.

Parish zadbał o minę oburzonego uczciwego obywatela oraz podatnika. Nie było dla niego istotne, czy Legrasse kupi to przedstawienie. Najważniejsze, aby skupił się na nazwisku, słusznie odrzucając pozory. Podwójna pułapka.

De Taffanel zerknął wymownie na Legrasse'a. Nie uszło to uwadze adwokata, który z zadowoleniem stwierdził, że ryba nie tylko skusiła się na przynętę, lecz także połknęła haczyk z kawałkiem żyłki. To, skąd ci dwaj mogli wiedzieć o Owencie, było sprawą drugorzędną, w tej chwili całkowicie nieistotną.

– Moses Specht, mówi ci to coś, kłamliwy sukinsynu?

Legrasse stał teraz po drugiej stronie biurka, które miało rozmiary małego samochodu. W prawej dłoni nadal trzymał nóż, w lewej dla odmiany szklanekę whiskey. Parish ponownie obdarzył obu mężczyzn szerokim, fałszywym uśmiechem obwoźnego sprzedawcy. Zagadka

wyjaśniła się sama. Specht od samego początku nie wzbudził zaufania Parisha, o czym adwokat nie omieszkiał poinformować swych mocodawców. Ci najwyraźniej albo zbagatelizowali jego opinię, albo działali zbyt opieszale. Bez względu na powód Hugo odebrał to jako policzek wymierzony w powagę jego funkcji.

– Nie znam. Za dziwne nazwisko, bym zapamiętał. Owens – powtórzył precyzyjnie odmierzony gram prawdy, aby odciągnąć uwagę od kłamstwa. – Owens jest człowiekiem, któremu przekazywałem pieniądze. On zawsze wiedział, co i gdzie dostarczyć.

Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia. Parish dostrzegł niemą wymianę zdań pomiędzy Francuzem a Amerykaninem, ale nie był w stanie odczytać podtekstu.

– Gdzie go znajdziemy?

Hugo pokiwał skwapliwie głową, jakby właśnie rozważał trudną decyzję handlową.

– Dam wam więcej. – Uśmiechnął się przebiegle, pierwszy raz szczerze od czasu, gdy ci dwaj wtargnęli do jego kancelarii. Oblepione krwią zęby wyglądały okropnie. – Powiem wam, gdzie jest Bazar. Ten Bazar...

Legrasse spojrział uważnie na prawnika. Bazar należał do barwnego kolażu miejskich legend Nowego Orleanu i mógł istnieć jedynie w takim miejscu. W mieście, w którym podziały na *krewe* i plemienność wyniesiono na piedestał, a segregacja stanowiła jedną z najważniejszych regulacji życia społecznego, istnienie sekretnych miejsc, znanych jedynie wtajemniczonym, nie dziwiło. Nie miało znaczenia, czy chodzi o udział w paradzie, wejście na domówkę, czy partycypowanie w zorganizowanej przestępczości: wszędzie wpuszczano tylko swoich, a do niektórych miejsc dostęp mieli jedynie zaufani zaufanych. Tak jak żaden Murzyn nie miał prawa wstępu do Louisiana Club, a Edward Y. Clarke nie stanąłby na czarnej ziemi Desire, tak żaden policyjny szpicel nie miał szans na przekroczenie progu Bazaru. Były w Nowym Orleanie miejsca wyłączone z obiegu – w tym to, w którym handlowano żywym towarem.

Legrasse z uwagą wysłuchał adwokata, po dwakroć upewniając się, że ten mówi prawdę, tylko prawdę i jedynie prawdę. Raz świadomie

zmylił adres, budząc irytację adwokata. Zaś za drugim razem, dla pewności, przystawił mężczyźnie do skroni odbezpieczoną broń. Upewniwszy się, że prawnik pierwszy raz w życiu nie łże, złamał mu nos. Nie w złości, ślepym gniewie czy bezmyślnej potrzebie manifestacji przewagi. Chodziło o zasady. Bazar, diabelskie targowisko, był nie tylko policzkiem dla konstytucji, ale też zwyczajnie ludzkim szambem. Każdy, kto je chronił, podpadał od razu pod kilka paragrafów. „Podłożysz dowód, jeśli wiesz, że gnój się wywinie?” – zagaił kiedyś ojciec, gdy dowiedział się, że syn marzy o karierze policyjnej. „Strzelę do niego, pozorując próbę ucieczki” – odparł bez zastanowienia młody John, popijając oranżadę. Ojciec uśmiechnął się szeroko: „Zuch”.

\*\*\*

Dotarcie pod wskazany adres nie zajęło dużo czasu. Bardziej niż odległość od centrum dziwiła detektywa sama lokalizacja. Nielegalne targowisko ulokowano z dala od portu, po przeciwnej stronie miasta. Spojrzał na niewielki, czarny kartonik, jaki wyszarpał od Parisha. Bazar znajdował się pod kuratelą Zvi Migdal<sup>36</sup>, a żydowska mafia nie pozostawiała niczego przypadkowi. Ich głównym terenem działania była Ameryka Południowa, dokąd ściągali co urodziwsze córki biednych pobratymców z Polski, Ukrainy oraz Rosji. Model działania zawsze był taki sam: swaty z podstawionym i bogatym absztyfikantem o krystalicznie żydowskich korzeniach, ale mieszkającym w Argentynie. Organizacja oczywiście zapewniała transport. Na ogół już w trakcie rejsu niedoszła oblubienica dotkliwie dowiadywała się o prawdziwym celu podróży. Złamanie ducha oraz pozbawienie woli wymaga czasu, podobnie jak przeprawa pomiędzy kontynentami. Pośród pustki oceanu nikt nie słyszy krzyków gwałconych kobiet. Detektyw poczuł narastający gniew pomieszany z niemocą. Zaklął bardzo wulgarnie.

Czarny kartonik z delikatnie tłoczonym napisem w języku, którego słów Legrasse nie był w stanie odgadnąć, był nie tylko namacalnym

dowodem obecności Zvi Migdal w NOLA. Tłumaczył, czemu policja orleańska raz po raz ponosiła klęskę w poszlakowym dochodzeniu, tracąc kolejnych podstawianych szpicli. To był świat, do którego goj mógł wejść, jedynie okazując przepustkę.

– Zuch – mruknął, spoglądając na opustoszały magazyn, ulokowany na uboczu.

Za plecami mieli Bishop Street, punkt przeprawy rzecznej oraz cuchnące mułem wybrzeże. Jedno z tych miejsc, w których nikt się nie zatrzymuje, nawet jeśli musi się odlać. Przymaszerowali spokojnym krokiem w poprzek ulicy, pilnując, aby dłonie były cały czas widoczne. Nie ulegało wątpliwości, że są obserwowani przez czujkę, a gdzieś w pobliżu czają się ochroniarze z dostateczną ilością broni, aby przetrzebić niewielką armię. Zatrzymali się przed rampą rozładunkową upadłej masarni.

– Jaki plan? – De Taffanel stracił gdzieś lekkość głosu oraz przydające mu jowialnego charakteru nieodłączne „ten tego”. W tym miejscu pobrzmiwały nuty wojskowego przeszkolenia, partyzanckie doświadczenie oraz bezwzględność dowódcy oddziałów zwalczających wrogów Francji wszelkimi dostępnymi metodami. – Wątpię by, ot tak, dali nam to, czego chcemy.

Legrasse uniósł ponad głowę dłoń z czarną kartą, krzywiąc się nieznacznie. Był poobijany, a na dodatek odezwała się źle zaleczona pamiątka po wybuchu nielegalnego studia filmowego. Mimo to uśmiechał się głupekowato, wbijając wzrok w magazyn. Jeżeli mieli przeżyć i nie dołączyć do zalegających na dnie rzeki trupów, musieli dobrze odegrać swoje role.

– Jesteś starym francuskim zboreźnikiem chcącym czekoladowego ciała do bezkompromisowego dmuchania. – Spojrzał na kompana wymownie. – Ja z kolei jestem gnojem, który za odpowiednią zapłatą załatwi wszystko swojemu europejskiemu przyjacielowi. Grunt, by geszeft się opłacał.

– Nie wyglądasz na Żyda, Legrasse. Skurwiela owszem, ale nie Żyda.

– Znam całkiem nieźle żydowski – odparł były policjant z niezachwianą pewnością siebie, która była niezbędną w tego typu

robocie. Szybko poprawił potargane ubranie, doprowadzając się nieco do porządku.

De Taffanel chciał zaoponować, ale nie zdążył. Ku nim maszerowało dwóch drabów, z czego jeden ostentacyjnie trzymał karabin maszynowy. Obaj wyglądali zaś niczym niedźwiedzie noszące garnitury. Francuz zdołał jedynie zakląć pod nosem. Nieuzbrojony goryl podszedł do mężczyzn, a wyglądało to tak, jakby nagle wyrosła przed nimi góra. Bez słowa odebrał kartonik, wodząc paluchami po wytłoczeniach. Powtórzył procedurę dwukrotnie, każdorazowo nieznacznie zmieniając kąt nacisku, szukając ukrytych pomiędzy symbolami znaczników. Na koniec uniósł przepustkę ku słońcu, spoglądając na mikroskopijne perforacje widoczne dopiero pod światło. Delikatne smużki przebiły się przez kartonik, układając się w migotliwy, prosty wzór. Olbrzym zmarszczył masywne brwi.

– Skąd to masz?

Głos miał spokojny, głęboki, adekwatny do masy ciała, z którego się dobywał. Brakowało w nim jednak prostackich nut, chrzęstu charakterystycznego dla gardeł nienawykłych do artykułowania ludzkiej mowy.

– Od pana Parisha – odrzekł swobodnym tonem Legrasse. Szczęśliwie porzucił pomysł imitowania żydowskiego akcentu. – Nazywam się John T. Murdoch z kancelarii Murdoch & Murdoch – łągał, wzbijając się na wyżyny swoich aktorskich umiejętności. – A ten elegant obok to mój klient, pan Pierre Foche. Trafiliśmy tu za sprawą mojego przyjaciela pana Hugo Parisha. – Wyprostował się przy tym lekko jak każdy szanujący się sprzedawca samochodów recytujący z emfazą fabryczne osiągi silnika. – Dał nam tę wizytówkę, zapewniając, że zdołamy tu zrealizować potrzeby mojego aktualnego chlebodawcy. Załatwiłbym to sam, bo byłem informowany, że panowie jesteście sceptycznie nastawieni względem obcych. Kłopot w tym, że pan Foche lubi osobiście podejmować finalne decyzje i nie dał się odwieść od pomysłu, by tu przyjść – dodał pośpiesznie, widząc, że osiłek unosi brew, szykując się jednocześnie do wyplucia kąśliwej wiązanki gdzie, komu i jak głęboko Legrasse może sobie wetknąć Francuza. Ale zaniechał słów i raz jeszcze spojrzął na

kartonik, wybijając nim nerwowy rytm o otwartą dłoń. Legrasse wyszczerzył uzębienie, udając mało rozumnego gościa z prowincji próbującego sił w wielkim mieście. De Taffanel dla równowagi gapił się albo w niebo, albo kontemplował czubki własnych butów, robiąc wszystko, by wyglądać niczym zblazowany fircyk.

– Cwaniak – rzucił pod nosem osiłek do kumpla stojącego nieco z boku, z bronią gotową do strzału.

Ochroniarze wymienili się wymownymi spojrzeniami i kilkoma świszczącymi miękko słowami. Legrasse nie przestawał się uśmiechać, mimo że wyczuwał w bełkotliwej rozmowie nieprzychylny ton. Nie rozumiał słów, ale poznał manierę oraz intonację. Podobnie brzmiał Stuglik, gdy złorzeczył.

– Karta wstępu – rzekł w końcu drab, stając pewniej na rozstawionych nogach. Oparł palec wskazujący na spuście, spoglądając pytająco na olbrzyma bez broni. Widać to on miał zdecydować o losie intruzów.

Legrasse pomyślał o rewolwerze wiszącym w kaburze ukrytej pod marynarką, ale poniechał głupiego pomysłu. Wszelki nagły ruch mógł zachęcić gangstera do oddania serii z thompsona. Z tej odległości nikt stojący po złej stronie lufy nie miał prawa przeżyć.

– Parish?

Legrasse żarliwie przytaknął.

– Dokładnie, otrzymaliśmy ją od pana Parisha jako dowód poręczenia...

Bandzior wydał mięsiste wargi. Wciąż trzymając między palcami niewielki kartonik, wyciągnął drugą dłoń.

– *Cymes*<sup>37</sup>.

Legrasse nie potrzebował zdolności lingwistycznych, aby pojąć znaczenie gestu. Uśmiechając się, wyłuskał z portfela banknot.

– Dobra – mruknął ochroniarz, poprawiając kaszkiet – chodźcie. Tylko uważaj, eleganciku – rzucił ironicznie. Ani prawnik Murdoch & Murdoch, ani jego klient nie wyglądali na poważnych biznesmenów. Obaj za to byli obici, poharatani, z napuchniętymi gębami, odziani w marynarki, które ktoś przeciągnął przez rysztoł. – To nie jest kupon rabatowy. I bez awantur. – Zaśmiał się jak z przedniego żartu,

którego sedna jednak nie pochwycili wymięci mężczyźni.

Minęli oblepione naroślami rdzy masywne wrota, wkraczając do ciemnej hali rozładunkowej. Bielone ściany straszły lizajami odprysniętej farby, odsłaniającymi elementy stalowych konstrukcji. Po lewej i prawej stronie wisały rzędy stosownie zabrudzonych oraz wysłużonych haków. Pełniły rolę dekoracji, podsuwającej umysłowi konkretne wyobrażenia. Podobnie jak zaśniedziałe kratki odpływowe tkwiące pomiędzy obtłuczonymi kafelkami. Prowadzący ich olbrzym kiwnął w pozdrowieniu dwóm oprychom siedzącym przy stole zrobionym z obalonej szpuli kabla telefonicznego. Na improwizowanym blacie rozrzucone były karty, krótką broń oraz pieniądze. Osilki odmruknęły coś niezrozumiale, nie odwracając oczu od kart trzymanyh w dłoniach. Legrasse w pamięci zsumował przeciwników, dochodząc do wniosku, że musieli trafić w godziny poza oficjalnym otwarciem Bazaru.

„Więcej szczęścia niż rozumu” – skwitował, zerkając dyskretnie na kompana.

Po minie Francuza wnioskował, że ten kalkuluje podobnie. Tanie teatralne rekwizyty były jednak niczym w porównaniu z tym, co zobaczyli w drugiej sali.

Za dwuskrzydłowymi drzwiami, za ogromnymi bulajami, kryła się właściwa część Bazaru. Ani okazalsza, ani obskurniejsza. Mimo to przerażała. Choć rzeźnia nie działała od wielu lat, odór rozbieranych porcji świniny oraz rogacizny wgryzł się głęboko w czerwone, nieotynkowane cegły. Cuchnęło tu krwią oraz potem, niekoniecznie zwierzęcym. Najgorszy jednak był widok cyrkowych klatek, w których zamiast lwów oraz tygrysów trzymano ludzkie atrakcje. Legrasse był kiedyś w zoo, gdzie pokazywano dzikusów. Ale to, co tutaj ujrzał, przerażało. W brudnych, śmierdzących pudłach stłoczono „ciała”. W świetle wiszących wysoko przemysłowych lamp łatwo było odgadnąć, który towar sprawiał kłopoty, a który pokornie godził się na swój los seksualnych niewolników. Uprzedmiotowanie było częścią biznesu. Sprzedawano pogłowie, nie ludzi.

– *Klejent!*

Półnagi osilek zapinający pasek obejrzał się przez ramię. Stał nad

poplamionym materacem wciśniętym w kąt pomieszczenia niedaleko turystycznego stołu robiącego najwyraźniej za kombinowane biuro.

– Kupiec? – Oprych dopiął rozporek, spoglądając pogardliwie na posiniaczony strzęp człowieka skulony na materacu. – O tej godzinie?! Nie handlujemy dzisiaj – dodał, przechylając lekko głowę. – Jak tu trafiliście?

Mówił płynnie po angielsku bez cienia naleciałości. Ochroniarz wyrzucił z siebie potok krótkich słów, brzmiących tyle szczekliwie, co obraźliwie. Legrasse wyłapał jedynie nazwisko adwokata w chwili, gdy gangsterzy przekazywali sobie kartonik.

– Hugo Parish? – Oprych uniósł brew, lustrując ostentacyjnie przybyłych, dając jasno do zrozumienia, że ani jeden ani drugi nie wyglądają na znanego prawnika, a tym bardziej majątnego Europejczyka złaknionego wrażeń.

– Tak. – Porucznik odchrząknął, chcąc powtórzyć zgrabne kłamstwo, ale nie było mu to dane.

Handlarz smarknął ostentacyjnie między palce, celując w leżącą na materacu kobietę. Ta nawet nie drgnęła, wbijając obojętne spojrzenie w sufit.

– Więc czego tu szukacie? Bo mordy obite, jakby kto wam cegłówką przyfasował.

Legrasse odkaszlnął, udając skonfundowanie właściwe dla człowieka znajdującego się w złym miejscu o złym czasie.

– Mieliliśmy pewne drobne... – Potarł posiniały policzek. – ...perturbacje. Próbowano nas okraść – dorzucił beznamiętnie, widząc uniesioną brew gangstera. – Towar, który chcemy nabyć, wymaga kontaktów z niekoniecznie uczciwymi kontrahentami.

Półnagi handlarz żywym towarem ryknął śmiechem. Pomazane prostymi tatuażami cielsko zatrzęsło się niczym galareta. Legrasse niewzruszony kontynuował, jakby nie dostrzegał wyszczerzonych wilczo zębów grubasa.

– Chcemy nabyć, jak to mówicie – odchrząknął teatralnie – ciało. Czarne i gibkie. Na stałe. – Legrasse wymownie omiół wzrokiem klatki z czarnoskórymi dziewczynami. Podobnie jak nieszczęśnica unieruchomiona powrozami na zaszczanym materacu, nie



przekroczyły dwudziestego roku życia. – Czy może pan Jim Owens? Hugo Parish o panu wspominał. – Detektyw rozciągnął usta w fałszywym uśmiechu, na oczekaniu składając chwiejną konstrukcję kłamstw, przeinaczeń oraz nadinterpretacji. – Także Moses Specht polecił nam właśnie z panem rozmawiać. Tak się właśnie o panu dowiedzieliśmy. – Wyciągnął dłoń.

Przez chwilę wisiała zawieszona w próżni pomiędzy mężczyznami, aż w końcu handlarz zdecydował się odwzajemnić gest.

– Owens to ja – rzekł, chrumknął niczym wieprz, ściągając gniewnie brwi.

Legrasse uśmiechnął się w duchu. Trafił w odpowiednią strunę.

– Co jeszcze wypaplał ten przygłup, Specht?

Gangster zbliżył się nieznacznie, stając w pozycji dogodnej do wyprowadzenia nagłego ataku. Lejące się kaskadami fałdy tłuszczu raptownie napięły się, dźwigane stalowymi sznurami mięśni. Tłuscioch wyciągnął zza paska poręczną gruszkę, wypełnioną żwirem. Narzędzie proste, tanie oraz morderczo skuteczne. Uderzenie, nawet źle wymierzone, gwarantowało solidny efekt. Trafienie w szczękę lub nos oznaczało skruszenie kości. Legrasse zamachał rękoma, wciskając jednocześnie głowę między ramiona. De Taffanel cofnął się, unosząc nieznacznie dłonie.

– Nic absolutnie nic – szybko wyrzucił z siebie fałszywy adwokacina, błyskawicznie kalkulując. – Powiedział jedynie, że warto z panem się skontaktować, za zgodą Parisha, jeśli chce się dostać taki prima sort jak ostatnio. – Obliznął szybko usta, szykując się do rzucenia tłustej przynęty. – Bo to ponoć pan wyselekcjonował dziewczęta. Moses był jedynie podwykonawcą. Zgaduję więc, że zna pan najlepszych dostawców. Tym bardziej, że Moses zdawał się niechętny naszej ofercie. Mówił jakieś niezrozumiałe rzeczy o złym *mojo*. Zabobony nas nie interesują, chcemy dobić targu – dodał dobitnie, spoglądając na handlarza.

Drab potarł masywną szczękę i przyglądał się im, kręcąc głową. Po minie łatwo było odgadnąć, że bije się z myślami, rozważając możliwe warianty. Chrząknął na znak podjęcia decyzji.

– Parish przysyła, tak? Z polecenia Moe? No dobra, skoro

z polecenia tego chujka – przeciągnął ostatnie słowo, badając reakcję przybyłych, ale żaden nawet nie mrugnął powieką. Legrasse zachował minę wioskowego komiwojażera, a de Taffanel zafascynowanego innością obcokrajowca na wycieczce w zoo. – Czego więc potrzeba? Czarnej dziwki? Żydóweczki się nam skończyły. – Zaśmiał się lubieżnie, kiwając w kierunku skulonej dziewczyny. – Tylko ta, ale ona nie jest na sprzedaż.

– Czemu?

Handlarz wzruszył ramionami.

– Już się nie nadaje.

Poprowadził obu w głąb magazynu, pomiędzy klatki z kobietami. Część wyglądała na młode panny, podczas gdy reszta na niewiele starsze od podlotków, żadna na kobietę w pełni dojrzałą pretendującą do miana starej panny. Wszystkie jak jedna smarkule zapłakane, umorusane i zahukane garbiły się w kątach klatek, spoglądając nieufnie na przechadzających się pomiędzy nimi mężczyzn. Legrasse czuł zawroty głowy, częściowo spowodowane smrodem niemytych ciał, częściowo rozmiarem bestialstwa.

– Wszystkie lekko otumanione opium – rzekł handlarz – dla uspokojenia, bo krzykliwe, he, he. – Wyszczrzył zęby. – Żadna jednak bez stałej ciągoty, więc bez problemu. Młode, zdrowe, silne. Dać trochę słońca i wytrzymają sporo. – Podrapał się z frasunkiem po łbie, przeczesując palcami przetrzebione włosy. – To jak, któraś się nada, skoro Parish posyła?

De Taffanel sprawiał wrażenie, że się zastanawia, a Legrasse rozglądał się uważnie po więzieniu. Uśmiechnął się przy tym zachowawczo, jak powinien ktoś nieprzygotowany na podobne widoki.

– Pan Foche szuka sobie młodziutkiego ciała. – Kiwnął głową w udawanym porozumieniu z klientem. – Najlepiej kruchej cielecinki o ciemnej karnacji. Pan jesteś tu ekspertem od wyszukiwania takowych, tak mówił Moses. Podobno niedawno, przy pana pomocy, przekazał kilka ładnych egzemplarzy dla kontrahenta... Specjalne zamówienie, dla wybrednych. Interesuje nas to samo.

Drab przez chwilę przyglądał się uważnie dwóm wymiętom

trefnisiom, po czym uśmiechnął się chytrze, cmokając przy tym wymownie.

– Czystych szparek brak teraz. Albo zajedziecie w sobotę, albo to, co jest.

Rozejrzeli się leniwie. Legrasse spojrział na Francuza, który jedynie podrapał się po zuchwie i zbliżył do jednej z oblepionych skorupą siana oraz potu czarnoskórych.

– *Combien ça coûte?* – Uśmiechnął się, szczerząc zęby. – Ili to koster? – zapytał nieskładnie, wskazując palcem cuchnącą moczem dziewczynę o posklejanych włosach okalającą twarz.

Wyglądała jak zbity szczeniak.

– Ta dziwka? – prychnął osilek. – Na stałe czy okresowo?

– Na stałe. – De Taffanel dookreślił pokracznie, uśmiechając się przyjacielsko, jakby właśnie zamawiał drinka. – On i ta z materac. – Francuz popisywał się chwiejną gramatyką z rozmysłem, dając Legrasse'owi czas do namysłu.

Nie mieli gotówki ani weksli, aby je wykupić, nie mieli planu, jak działać, a przede wszystkim nie mieli dostatecznej siły, aby przeprowadzić szarżę. Byli za to na najlepszej drodze, aby stracić życie w jakimś zaszczanym, zapomnianym przez Boga magazynie. „Świetna robota wywiadowcza, Legrasse” – cierpko gratulował sobie w duchu detektyw.

– W tym pierwszym pomieszczeniu szlauch był! – Poczuł nagłe olśnienie. – Dajcie te dwie, obmyjmy je i zobaczymy, ile to warte.

Handlarz pokiwał głową.

– To na materacu – prychnął – już nie nada się do użycia. – Zaśmiał się oblesnie. – Se inną weźcie. Cena regularna, skoro dla Parisha.

Przeprowadził ich do bocznej alejki, prezentując kolejny rząd niskich klatek, poplamionych sienników oraz kobiet w porwanych łąchmanach. Brudnych i śmierdzących. Zastraszonych.

– Ponoć ostatnio to sprzedał pan całkiem fortunnie. – Legrasse spojrział przez ramię, uśmiechając się niewinnie. – Jak kilka dam z wyższej półki. Tu tego nie widzę. Mamy adres od Mosesa, tam ponoć słał towar... Gdzie ja to schowałem... – Oklepał kieszenie, udając, że szuka zapodzianej gdzieś kartki z zapiskami. – Adres

w mieście, rzecz jasna. Myśli pan, że ten kontrahent byłby zainteresowany odsprzedaniem? No gdzież ja posiałem ten adres... Jegomość ponoć wielce niepozorny. Typ kawiarnianego lwa – rzucił z głupia frant, sam nie wiedząc czemu.

Owens nie przestał spacerować pomiędzy klatkami, kopiąc w kraty, by wybudzić niewolnice z letargu. Jak zwierzęta. Spoglądały na przechadzających się wzdłuż alejki mężczyzn z mieszaniną lęku oraz nadziei. Niektóre płakały – zapewne nadal wierzyły, że nadejdzie wybawienie. Większość patrzyła na Legrasse'a wzrokiem pełnym tępego zubożenia. Jednak coś się zmieniło w postawie samego handlarza. Jakby stęzał nagle pod napinającą się gwałtownie skórą. Czarne kędziory porastające plecy mężczyzny nastroszyły się niczym pióra.

– Może i tak. – Łypnął uważnie okiem, okręcając się na pięcie. – Może i tak. Widziałem go raz. – Wzruszył masywnymi barkami. – Jak ciała dostarczałem tej mendzie, Moe. Nie wiem, co on na tym wózku z nimi robił, ale tacy mają różne pomysły. A miał jaja, bo sobie skóry kazał pokazywać na pace, na tyłach jakiejś kawiarni czy innej herbaciarni. Ale może by odsprzedał. – Zerknął badawczo nad ramieniem. – Albo tę swoją niby narzeczoną da. – Zarechotał. – Wyglądał mi na takiego, co to by własną siostrę sprzedał, gdyby była potrzeba. A ta jego, to niezła, niezła... Pomimo tych szram na gębie. – Znow się zaśmiał. – Niezła też była wcześniej, nim ją chłopcy pokroili. No ale... – zmitygował się gwałtownie, czując, że powiedział o kilka słów za wiele. – To co wam nie odpowiada w tych tu? – usiłował nieporadnie zamortyzować błąd.

– A to – rzucił hardo Legrasse, wiedząc, że trafił w sam środek tarczy i zaraz zgarnie całą pulę – że chcemy jedynie zdrowych dup. Młodziutkich jałówek o ciasnych piczkach, a nie oblatanych kłapouchów. – Porucznik zacisnął dłoń na obejmie kastetu. Nie umknęło mu wyznanie bandziora, jednak nie miał czasu analizować znaczenia wulgarnej deklaracji.

– Wedle potrzeb – odparł rzezimieszek.

Drgnął nieznacznie, przenosząc ciężar ciała na wykroczną nogę, i błyskawicznie złożył się do uderzenia. Nie zdążył. Francuz

wykorzystał moment. Doskoczył do Owensa, tnąc gładko nożem wyciągającą się rękę. Legrasse działał odruchowo: wyszarpnął LeMata, odciągnął kurek i oparł palec o spust. Nie strzelił. De Taffanel poruszał się jak diabeł, obracając nożem w dłoni. Skrócił dystans i zachrobotał ostrzem o kilkudniowy zarost mężczyzny na podbródku.

– Nie piszczałbym, ten tego! – Docisnął nóż, głębiej przecinając skórę. – Bo śmierć czeka. I nie będzie to – dodał świszczącym szeptem – lekka śmierć, *collègue*.

Stłoczone w klatkach kobiety zawyły, łomocząc w kraty. Oprych zamrugał oczyma.

– Mów! – zażądał Legrasse.

Owens zaśmiał się, rzucając pełne wyzwania spojrzenie.

– Zdechnijcie... Wyrwij mnie, mój Boże, od moich nieprzyjaciół... – Drgnął, ignorując niebezpieczeństwo. Rzucił zuchwałe wyzwanie kostusze, sięgając po ukrytą broń.

Francuz ciął szybko, brutalnie i fachowo. Wystarczyły dwa idealnie odmierzone uderzenia, a Owens zwałił się na podłogę, przyciskając dłonie do szyi. Na wiele się to nie zdało. Gdy de Taffanel rozciął gardło gangstera gładkim cięciem i poprawił drugim, z tętnic mężczyzny zaczęła wylewać się krew, tworząc gęstą kałużę. Legrasse widział takie rany na polu walki. Ofiara nie miała szans, umierając kilka uderzeń serca po pierwszym pocałunku noża. Mimo to Francuz przycisnął dłoń do ust szubrawca i dźgał majchrem bez opamiętania, dziurawiąc kolejno płuca, wątrobę, otrzewną i przeponę. Brudna robota, brutalna, niemająca nic wspólnego z operacją profesjonalnych zabójców. De Taffanel, jakby czytając w myślach Amerykanina, splunął na tonącego w krwawej kałuży trupa.

– Gównu by powiedział – odparł Francuz, oczyszczając o trupa ostrze. – Modlił się o śmierć wroga, przyjacielu. Tak czy owak, powiedział, ile trzeba. Potwierdził adres.

Legrasse mógł jedynie się domyślać, iloma językami władał stojący przed nim człowiek, który przed chwilą zasztyletował drugiego człowieka bez mrugnięcia okiem.

Porucznik rozumiał jednak potrzebę operacyjną. Odetchnął głęboko, rozglądając się po zaimprovizowanym magazynie.

Prowadziło do niego tylko jedno wejście: to, którym przyszli. Stało przed nim dwóch wielkoludów z bronią. Szczęśliwie jeszcze się nie zainteresowali harmiderem, jaki podniosły uwięzione. Było to jednak tylko kwestią chwili, gdy przynajmniej jeden z nich zajął się sprawdzeniem, jak idzie nieoczekiwana transakcja.

– Jak stąd wyjdziemy?

Francuz uśmiechnął się złowieszczo, otwierając pierwszą z brzegu klatkę. Kobiety, chwiejąc się na nogach, ruszyły ku de Taffanelowi, ale ten sprawnie wy dostał się z dziękczynnego kręgu. Chwycił brutalnie jedną z otumanionych i powłókł ku dwuskrzydłowym drzwiom.

– Dokładnie tak, jak weszliśmy.

Nim Legrasse zdołał zareagować, zszokowana dziewczyna zamachała rękami, uderzając z impetem o masywne drzwi. Przeleciała na drugą stronę, wpadając z krzykiem na dwóch wielkoludów. Zaskoczeni ochroniarze spóźnili się z reakcją. Zamiast otworzyć ogień, skupili uwagę na dziewczynie, sądząc, że usiłuje uciec. Uderzeniem w szczękę została rzucona na podłogę. Mężczyźni, wymieniając się przekleństwami, doskoczyli do kobiety. Ta jednak nie broniła się, leżała jak rażona prądem, wbijając pełne przerażenia oczy gdzieś ponad nią. Jeden z goryli powiódł wzrokiem do miejsca, na którym skupiła swój wzrok. Dopiero wtedy dostrzegł czarne ślepie lufy. Gwałtownie zbladł, ale było za późno. Reszta rozegrała się w huku wystrzałów, świcie ołowiu, chmurach gazów oraz bryzgach krwi.

\*\*\*

Legrasse ćmił papierosa i przyglądał się burym odciskom linii papilarnych na bibule. Pozwolił uciec myślom do katalogu metodologicznej wykładni E.R. Henry'ego<sup>38</sup>, którą wałkowano na każdym kursie dla aspirujących dochodzeniowców.

„Ile charakterystycznych wzorów minucji<sup>39</sup> zostawiłem w tej cholernej rzeźni?”. Rozprostował ramię, które natychmiast zapiekło

wściekle. Kula szczęśliwie przeszła na wylot, omijając kość. Gorzej z nożem, którym jeden z bandziorów oskrobał mu lewy bok. Spojrzał z ukosa na de Taffanela, któremu sanitariusz kończył obwiązywać bandaż na udzie.

„Skurwiel wyszedł z tego prawie bez zadrapania” – gniewne myśli kłębiły się w głowie detektywa.

Wspomnił martwe oczy dziewczyny wpatrzone w brud oblepiający podłogę. Leżała nieopodal wyjścia, musiała się czołgać między walczącymi, nim ktoś władował jej kulę w głowę.

– Poruczniku...

Legrasse dźwignął głowę, spoglądając na młodego policjanta ze świeżymi niczym poranne bułeczki szlifami sierżanta.

– Wszystkim się zajmiemy... – Młody wykonał ręką nieokreślony gest, ogarniając dwa radiowozy i krzątających się mundurowych. – Nikt was tu nie widział. – Młokos spojrzał wymownie na sanitariuszy, którzy w milczeniu zatrzasnęli skórzaną torbę i ruszyli ku otoczonemu przez policjantów budynkowi. – Dzięki za w pełni anonimowy cynk. – Młodzik uśmiechnął się wymownie, salutując podręcznikowo, jakby właśnie odbierał honory od samego prezydenta.

– Drobiazg, Oli, wykonałem swój obywatelski obowiązek. – Legrasse odsalutował jednym palcem, uderzając o rondo sfatygowanego kapelusza. – Pozdrów ojca, chłopcze.

– Jasna sprawa, poruczniku.

Chłopak skłonił się lekko i odszedł nadzorować ludzi zostawionych samopas.

– Masz posłuch, Legrasse – mruknął Francuz, dopalając łąpczywie papierosa. Potargany, w poplamionej, porwanej marynarce i rozwichrzonych włosach polepionych pyłem oraz krwią wyglądał niczym knajacki bóg wojny.

– Powinienem ci władować kulę w brzuch – syknął gniewnie były policjant. – Albo przynajmniej dać tym tam w kajdankach...

De Taffanel wzruszył ramionami, zdjął zniszczoną marynarkę i z obojętną miną chwycił za klamkę drzwi pasażera. Spojrzał ponad dachem samochodu na detektywa.

– Mężczyzna robi to, co musi. Twoja decyzja, Johny, ale obaj wiemy, że beze mnie nie doprowadzisz tego do końca.

Legrasse przymknął oczy, słysząc zatraskiwane drzwi samochodu.  
„Muszę się napić. I umyć”.



## Rozdział 14. Spuścizna LaLaurie

Weszli do kawiarni na rogu ulicy. Uderzył ich zapach mocno prażonej kawy, pieczonego ciasta oraz przypraw. Pachniało ziołami, nagrzanymi tyglami oraz tą specyficzną nutą, którą można poczuć w niektórych lokalach, przy niepozornych kramikach, a czasem i w zapadłych dziurach. Wszędzie tam, gdzie jest miejsce na duszę.

Mimo to lokal nie był nabity gośćmi. Ludzie zdawali się go unikać, obchodząc delikatnym łukiem zacienione stoliki wystawione na chodnik. W kawie, w cieście, w zapachu ciążyło coś więcej, coś nieokreślenie prymitywnego, drażniącego nozdrza. W pierwszej chwili zapach ten ulatywał niezauważony, jak zawsze. Dopiero potem, gdy ciało zaczynało reagować na obecność dziwnego bodźca, wraz z pojawieniem się pierwszych dreszczy docierał do świadomości. Pomędzy przeszklonymi słojami wypełnionymi ziarnami kawy i pomiędzy stylizowanymi meblami czaiło się coś złowrogiego i nieprzyjemnego. Coś, co cienistymi smugami sączyło się pomiędzy półkami, pozostając niezauważone, jednak wciąż wyczuwalne. Nie było to miejsce dla każdego.

Legrasse omiół pomieszczenie kawiarni krytycznym spojrzeniem. Patrząc na drewniane belki, na pękaty piec rozstawiony pod głównym dźwigarem, nie mógł pojąć, jak to miejsce mogło umknąć jego uwadze. Po raz wtóry rzeczywistość wymierzyła mu soczysty policzek. Gdyby nie zaślepienie, mógłby dotrzeć tu znacznie wcześniej. Jak amator szukał potworów w zatechłych piwnicach, a prawdziwe zło mieszkało w zupełnie oczywistych, jasnych miejscach. Jak zawsze pod niewinną postacią.

– Niech to chuj – jęknął, spoglądając na kobietę stojącą przy barze.

Instruowała kelnera, jednocześnie skupiając na sobie uwagę dwóch marynarzy USN, zostawionych chwilowo samopas przez właścicielki dwóch modnych kapeluszy. Legrasse nie dziwił się żołnierzom. Wysoka, smukła oraz piękna kobieta przyciągała męskie spojrzenia. Uwagę porucznika zwróciła skaza na twarzy dziewczyny. Długa,

pociągła blizna w kształcie rybackiego haka spływała wzdłuż policzka na szyję i kończyła się zawijasem na wyzywająco odsłoniętym dekolcie. Druga, nieco mniejsza, znaczyła wargę białą linią. Legrasse poznał ślady profesjonalnego cięcia. Ktokolwiek chciał oszczędzić dziewczynę, poniósł porażkę, bo tylko utworzył kontrast pomiędzy brutalnością blizn a delikatnym pięknem i subtelnością rysów jej twarzy. Detektyw zapatrzył się w jedwabście pociągłe oblicze. Kreolskie rysy mieszały się z echem murzyńskiej krwi. Wszystko to razem sprawiało, że poprzestanie na podziwianiu bez próby zdobycia było dla niego niemożliwością.

Porucznik zajrzał w brązowe, łagodne, wprost sarnie oczy dziewczyny. Dziewczyny upodlonej ku uciezce zwyrodnialców noszących maski. Prymitywów zadowolających się brutalnym seksem, kierujących się najniższymi odruchami. Oczy były takie same jak na filmie. Może bez tego zwierzęcego strachu i skowytu przerażenia. Detektyw otarł spierzchnięte usta.

– Co dla panów? – Kiwnęła wymownie na kelnera, posyłając go w bój niczym doświadczony generał. Jednocześnie spojrzała na przybyłych z taką czułością, jaką kobiety zwykły obdarzać z natury głupszych od siebie mężczyzn. A przynajmniej tak to mogło wyglądać dla towarzyskich nuworosy.

Legrasse pod tą maską umiarkowanej kokieterii dostrzegł nieprzyjemny refleks prawdziwego oblicza bogini Enyo.

– Café Diabolique. Dla kolegi woda – rzucił od niechcienia, zmierzając do stolika najbardziej oddalonego od kawiarnianych bywalców. – Po prawdzie to my do pani. – Bez cienia zawahania pokazał policyjną pięcioramienną gwiazdę wpisaną w odwrócony półksiężyc. Nad nieaktualnym już numerem służbowym wybito dumnie „Detective”.

Pogłos rozmów oraz szmer gazet nieco ucichły, a przybyli skupili na sobie dyskretnie rzucone spojrzenia.

Chwilę konsternacji wykorzystał kelner, aby z niewzruszoną miną obwieścić:

– Serwujemy bez brandy.

Legrasse machnął ręką. Był na to przygotowany, jak każdy w Big

Easy.

– John Raymond Legrasse. – Ukrył odznakę w kieszeni marynarki.  
– Mój partner Malone. – Wskazał na de Taffanela. – Pani pozwoli, pani...

– Panna Rabalais – odrzekła machinalnie, dumnie, ze stosowną emfazą przysługującą bogatym rodom Nowego Orleanu. – Emma Rabalais. A w jakiej sprawie, jeśli mogę wiedzieć?

Legrasse zerknął na stół w rogu sali nieopodal kontuaru, ukryty przed postronnymi i przypadkowymi gośćmi. Jako jedyny stolik w kawiarni wyposażony był tylko w trzy krzesła. Niesprzątnięta filiżanka stała przy tym boku, przy którym gość musiałby stać, spoglądając na pozostałych z góry.

„Lub siedzieć na wózku” – umysł detektywa szybko łączył detale.

Nie potrafił powstrzymać ciężkiego westchnięcia. Nie czekając na zaproszenie, zajął stolik obok. Na blacie stała niewielka miseczka z orzechami cajuńskimi. Porucznik wygrzebał kilka i przez chwilę obracał pomiędzy palcami. Kobiety żyjące na bagnach z zasuszonych nasion Loosa robiły amulety, ufając w moc rośliny.

– W sprawie pewnego sfilmowanego wydarzenia. – rzucił to lekkim tonem, bez uśmiechu, bez cienia satysfakcji, zadbał o stosowną intonację, sugerującą wszystko i nic. Stary numer przetrzebający co bardziej słabujących na duchu podejrzanych.

Tym razem jednak prosta zagrywka psychologiczna nie zadziałała. Kobieta z obojętną miną usiadła naprzeciw detektywa, spoglądając wyzywająco w oczy mężczyzny.

– Nie wiem nic o żadnych filmach, panowie...

Odczekali, aż kelner rozstawi zamówienia. Legrasse spojrzął na kobietę i bez cienia zażenowania ulał stosowną dawkę alkoholu z piersiówki. De Taffanel wyciągnął swoją i bez zbędnych ceregieli pociągnął łyk, czym wzbudził ledwie słyszalny aplauz żołnierzy, najwyraźniej pierwszy raz goszczących w Nowym Orleanie i nienawykłych do miejscowego podejścia do polityki. Emma Rabalais w milczeniu przyjęła jawną manifestację pogardy dla prawa.

– Gustowna rzecz. – Legrasse wskazał na symbol zdobiący ścianę nad barem.

Pośród wijących się wzorów, zgrabnie wkomponowany w filarowe rusztowania podtrzymujące wijący się bluszcz, wzrok przyciągał wymalowany srebrną farbą znak. Porucznik nawet przez chwilę nie wątpił, że w przeciwieństwie do pozostałych niby babilońskich, niby orientalnych esów-floresów, do których użyto tu zwykłych barwnych farb, ten konkretny ornament wykonano z mieszaniny prawdziwego srebrnego oraz miedzianego proszku. Przez lata tropienia kultów, religijnych fanatyków oraz nawiedzonych mistyków bez trudu rozpoznawał Pieczęć Astaroth: pięcioramienną gwiazdę przeciętą dwiema równoległymi liniami zwieńczonymi kulistymi sferami.

– Owszem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Klienci lubią szczyptę okultyzmu. Zwłaszcza odwiedzający miasto lubią szukać duchów...

– Duchów Goecji – odparł Legrasse, nie spuszczać wzroku z panny Emmy Rabalais o obliczu oszpeconym w trakcie rytualnego gwałtu. – Tu akurat samego księcia piekielnego, upadłego Serafa będącego spadkobiercą Astarte. – Porucznik rozciągnął usta w uśmiechu, widząc zaskoczenie malujące się na surowym oraz wyniosłym obliczu kobiety. – Wężowego Ducha propagującego wiedzę oraz nauki wyzwolone...

– Lubię inteligentnych mężczyzn. – Ucięła wywód. – Ale nie lubię tracenia czasu, panie Legrasse. Co ma mitologia do filmu i tej wizyty? Znowu ktoś doniósł, że szerzymy tu satanizm?

– Nie. – Były policjant odchrząknął, spoglądając na gustowną bransoletkę na smukłym nadgarstku kobiety. – Taka sama pieczęć widnieje nad kamiennym podestem. Nad ołtarzem zdobionym w kwiaty lotosu, będące symbolem Astarte. – Legrasse patrzył, jak brązowe oczy Emmy Rabalais rozszerzają się tylko po to, by po chwili zalśnić refleksem gniewu przemieszanego z bólem. – Ołtarzu, przed którym kilku zamaskowanych mężczyzn skatowało i upodliło parę...

– Dość – syknęła. – Skąd to wiesz?

Legrasse uśmiechnął się smutno.

– Odnalazłem nagranie, Emmo. – Porzucił obojętny ton dystansu nakazywanego mu przez profesjonalizm. Znowu miał przed oczyma kolejne migawki z obrzydliwego filmu, który oglądał. Chciał zgrabnie ująć dłoń kobiety, ale ta cofnęła ją gwałtownie niczym ranione

zwierzę. – Wiem, co te bydlaki ci zrobiły... – dodał ciszej.

– Gówno wiesz. Obaj gówno wiecie – warknęła, nachylając się nad drewnianym blatem. Dotknęła twarzy. – To jest tylko drobnostka... Kanalie.

Legrasse wyprostował się, dotykając plecami oparcia krzesła, spojrzał z ukosa na Francuza. De Taffanel siedział nieruchomo, przyglądając się kobiecie beznamiętnie jak profesjonalny dochodzeniowiec, który skupia uwagę na treści zeznania, a nie osobie zeznającej.

– Wiem – szepnął Legrasse, czując jak mimowolne poczucie winy wyciska mu powietrze z płuc. Przywołał w pamięci pierwsze minuty terkoczącego celuloidowego koszmaru, będące niczym bezpardonowe, metodyczne tłuczenie obcasem po głbie. Jedyne, co pozostaje w głowie widza, podobnie jak ofiary, to szok oraz pulsujący, niemy krzyk: „Dość!”. – Wiem, Emmo. Chcę dorwać tych skurwieli. Tych pyszałkowatych skurwysynów, którzy ci to zrobili.

Zaśmiała się głuchym, rżącym nieprzyjemnie śmiechem. Próżno było w nim szukać perliskości, subtelnej nuty oddającej delikatność kobiecej natury. W chrzeście, jaki wydobył się z ust Rabalais, dźwięczał bezmiar gniewu. I coś jeszcze. Coś niepokojącego, napawającego lękiem niczym odległy monochromatyczny horyzont wyrysowany sinym blaskiem martwego światła. Coś, co kojarzyło się z lodowatą satysfakcją zemsty.

– Muszę porozmawiać z tym mężczyzną, Emmo. – Spojrzał w skrzące się gniewnie oczy kobiety. – Z tym katowanym, którego cierpienie oraz krew były ofiarą. To twój kochanek?

Parsknęła pogardliwie, kręcąc głową dla podkreślenia przeczenia.

– Z Noelem? – Wymownie odwróciła się w kierunku stolika z pustym miejscem. – Noel nie mówi. Od tamtego czasu... nie mówi i nie chodzi. Jeździ na wózku. Wymaga stałej opieki. I to mój narzeczony... – Odchrząknęła, łapiąc się na błędzie. – Był nim kiedyś. Teraz... teraz to tylko Noel...

Legrasse rozumiał. Łowców posagów nie brakowało. Podstawiony absztyfikant fingował pochodzenie, akcent, maniery oraz podstawowe papiery. Przez chwilę zastanawiał się, jaki drobiazg zdradził

pochodzenie człowieka zwanego Noelem. Cokolwiek to było, starczyło, aby siedząca przed nim kobieta domyśliła się prawdy. Przynajmniej części.

– Ale zajęłam się nim – dodała chłodno. – Stwierdziłam, że będę mieć go na oku.

Porucznik spojrział wymownie na Francuza, dając znać, by nie drążył. Nie było sensu dowieść, ile sekretów oszusta zostało odkrytych. W tym momencie nie miało już znaczenia, czy Emma Rabalais zdawała sobie sprawę z faktu, że były kochanek brał udział w rytualnych orgietkach. W przerwach od żerowania na jej uczuciach.

– Niecodzienne podejście...

– Moje motywy nie są pana sprawą – ucięła.

Legrasse spojrział badawczo na kobietę. W jej tonie oraz spojrzeniu było coś niepokojąco przewrotnego. Zdecydował jednak nie przyciskać Rabalais. Przynajmniej tak długo, jak długo mówiła.

– Więc czego teraz chcecie od tego, tego... od niego? Doznał urazu mózgu w efekcie porażenia nóg oraz lewego ramienia. Nie mówi, bo nie, choć lekarz nie ma pewności czy to afazja, czy jakaś blokada. Tak czy owak nie mówi. Komunikuje się za pomocą obrazków.

Legrasse zaniemówił. Tego się nie spodziewał. Kobieta nie wyglądała na zdolną do kłamstwa, nie teraz, nie w takiej sytuacji.

– Obrazków?

– Tak. Lekarz zalecił terapię – odparła poirytowana. – Aby mógł pokonać swoje męskie problemy. – Wydeła wargi, dając jasno do zrozumienia, co sądzi o traumach byłego kochanka. – Więc siedzi albo tu, albo w swoim studio i maluje. Muszę przyznać, że nawet mu to wychodzi. Gnój dwulicowy ma iskrę bożą w sobie.

Wskazała ruchem głowy na obraz wiszący na jednej ze ścian. Barwna, ekspresjonistyczna wizja. Wyszczierzony w przedziwnym grymasie człowiek tonący w kwiatach. Sielankę kontrapunktowała rozciągnięta w paranoicznym uśmiechu twarz o obłąkanych oczach. Kwiecisty puch zaś, gdy zmysły patrzącego przywykły do ferii barw, przypominał chmurę żuków. Robactwo oraz obłąd wyglądały z obrazu, rozbijając pozorny błogostan.

– Kilka się nawet sprzedało, parę zamówiono. – Wzruszyła

ramionami. – Wszystko dzięki jakiemuś jego przyjacielowi z dzielnicy willowej. Ale się urwało, gdy tamten sobie oczy wydrapał. – Prychnęła ni to z rozbawieniem, ni to z satysfakcją.

Legrasse zmarszczył brwi, wspominając jeden z krzykliwych nagłówków gazetowych. W oczach Emmy detektyw dostrzegł cień chłodnego wyzwania.

– W każdym razie ma najęte studio, nie wiem po co zresztą, bo od kilku dobrych miesięcy ponoć maluje w plenerze. Dotąd żadnego obrazu mi nie pokazał, mimo że prosiłam. Gdyby był zdrow, tobym powiedziała, że na dziwki chadza, ale w jego stanie to tylko może popatrzeć, jak ten olbrzymi goryl jakąś obraca...

– Goryl?

– W kościele naszym, jego, moim. Nieważne. – Machnęła ręką. – Kaznodzieja uprosił mnie, abym pozwoliła jakiemuś olbrzymiemu przygłupowi robić mu za niańkę. Ponoć dla obu mogło to być zbawienne. I nad wyraz ważne dla naszego dobrodzieja. Więc się zgodziłam.

– *Madame* – sapnął przebudzony nieoczekiwanie z pozornego letargu Francuz. – Jak ten olbrzym wyglądał?

– Jak obwieś. Taki zapluty, z bliznami i gębą jakby kilofem cyzelowaną.

Legrasse oblizwał wargi.

– I jest teraz z nim?

– Nie. Nie widziałam go kilka dni. Noela dzisiaj jakaś najęta pielęgniarka obwozi po mieście. Miał malować, chyba w studio. Prosił, bym później go tam odwiedziła.

– Adres. – Legrasse poczuł się stary oraz zmęczony. Ścisnął palcami podkrążone oczy, usiłując oszukać przemęczenie. – Musimy znać adres. Teraz.

– Nie rozumiem.

Rozumiała aż za dobrze. Legrasse wyczuł kłamstwo bez trudu. Kątem oka zauważył, że de Taffanel zmrużył lekko oczy.

– Adres, Emmo. Gdzie on maluje te swoje obrazy? – Detektyw zawahał się na moment, ale nie miał nic do stracenia: emocje zdradzają ludzi w najróżniejszy sposób. – Podaj adres, a może nikt za

kilka dni nie znajdzie kolejnej oskórowanej kobiety, zameczzonej, Bóg jeden wie, w jakim celu.

Zamrugła oczyma, poruszyła teatralnie ustami. Po chwili opamiętała się, przyjmując na powrót pozę twardej, pewnej siebie kobiety. Pokręciła z niedowierzaniem głową, sięgnęła po papierową chusteczkę. Legrasse podsunął wieczne pióro.

– Czyli jednak...

Legrasse ostatni raz słyszał tak wystudiowane zdziwienie, gdy republikański senat przyjmował oficjalne doniesienia o nadużyciach za czasów administracji Hardinga<sup>40</sup>. Legrasse poczuł przykre ukłucie w sercu przypominające mu o własnych sekretach, o życiu, które z głupoty odrzucił. Spojrzał na Emmę, starając się pierwszy raz nie widzieć w niej ofiary, ale podejrzanego. Kobieta szybko zanotowała adres, zwracając pióro oraz kartkę. Widząc numer oraz nazwę ulicy, Legrasse wyrzucił z siebie potok przekleństw. Emma Rabalais i jej gra raptownie straciły znaczenie. Detektyw całkowicie skupił uwagę na nazwie ulicy zapisanej lekko pochyłym pismem.

Nie czekając na reakcję zaskoczonych kobiety, wstał od stolika, ukłonił się nieznacznie i ruszył ku wyjściu. W głowie huczały mu oskarżycielskie myśli. Po raz kolejny sam siebie oszukał. Tak bardzo skupiał się na odnalezieniu na wpół urojonego kultu, siatki fanatyków kryjących się po bagnach, zaułkach i ściekach, że nie potrafił dostrzec tego, co leżało tuż przed jego nosem.

Pogrążony w czarnych myślach, nawet nie zauważył, gdy de Taffanel zaparkował auto na skraju Dzielnicy Francuskiej. Odetchnął głęboko, czując kojące zapachy najwspanialszej dzielnicy świata. Aromaty kuchni, zapach pędzonego pokątnie bimbru oraz miejski, specyficzny gwar. W Big Easy wszystko się przenika. Radość oraz żal, śpiew z pogrzebowym lamentem, skupiając się w jednym miejscu – wiecznie bijącym sercu miasta.

„Jak mogłem nie zauważyć? Cholerny głupiec”.

Poczuł tępe dzwonięcie w uszach zwiastujące nadchodzącą nieubłaganie migrenę. Od czasu wybuchu bóle głowy wracały z zatrważającą regularnością.

Legrasse zatrzymał się przed opuszczoną posiadłością *madame*



Delphine LaLaurie i kręcąc z niedowierzaniem głową, klął w duchu. Trzykondygnacyjny budynek stał na rogu ulicy niczym widmowy strach na wróble, odpędzający każdego, kto przypadkiem zawędrował w okolice 1140 Royal Street. Sam dom, okazały i elegancki, mimo lat ponieważ zachował coś z dawnego dostojęstwa. W chwili gdy go pobudowano, był najwyższy w promieniu kilku kwartałów. Podobno, jeśli by stanąć wówczas na dachu, można by było bez trudu omieść spojrzeniem całą Vieux Carré, sięgając wzrokiem aż do wijącej się w oddali Missisipi. Legrasse powiódł wzrokiem wzdłuż kolumnienek dźwigających zewnętrzny, okalający budynek balkon, za którym widniały wysokie okna przesłonięte drewnianymi okiennicami. Ponad nimi wznosiło się ostatnie piętro zdobne w arkadowe łuki. Wzdłuż obłupanego gzymsu sejmikowały brudne gołębie.

– Straszna buda, ten tego – skwitował Francuz, spluwając przez zęby. – Co tu było?

Legrasse’a zaskoczyło nagłe zainteresowanie de Taffanela. Potarł piekące oczy, odpędzając zmęczenie. Pociągnął łyk z piersiówki, oceniając, ile jeszcze zostało do dna.

„Oby dostatecznie dużo” – przemknęło mu przez głowę.

Coś łupało niemilosiernie w czaszce detektywa, rwało go ramię, ciągnęły nałożone doraźnie szwy na boku, a na dokładkę powrócił ból w klatce piersiowej. Czuł się, jakby oblażyły go wszystkie plagi egipskie.

– Liceum, konserwatorium muzyczne, poprawczak – wyliczył jednym tchem. – A teraz najwyraźniej kamienica czynszowa bez chętnych do płacenia czynszu. – Potarł policzek. – Ale najważniejsze jest to, że to posiadłość LaLaurie.

Francuz cmoknął z udawanym uznaniem, spoglądając na jedyne uchylone okno na najwyższej kondygnacji.

– Ktoś tu jednak jest. Ten LaLaurie to był ktoś ważny? Jak was znam, Jankesi... – rzucił ironicznie, ruszając ku wejściu – to pewnie jakiś spasiony bankier co to obracał czarnuszkami na lewo i prawo, aż w końcu przesadził.

Legrasse odruchowo upewnił się, że LeMat wisi w kaburze i ściskając w kieszeni kastet jak talizman, ruszył śladem Francuza.

– Blisko. – Pchnął kutą bramę, której przerdzewiały zawias zgrzytnął ciężko, żelazne skrzydło uchyliło się i przepuściło mężczyznę do niewielkiej, sklepionej sieni prowadzącej na podwórzec, a stąd do kolejnych drzwi. – Bez broni?

De Taffanel wzruszył ramionami, odsłaniając rewolwer spoczywający w biodrowej kaburze.

– Na kalekę więcej nie potrzeba.

Legrasse chciał podzielać ten optymizm, ale po wydarzeniach ostatnich dni i po tym, co zobaczył w zrujnowanej piwnicy, nie był już niczego pewien. Spojrzał na zalegające w kątach cienie.

– LaLaurie – podjął opowieść, otwierając masywne drzwi zdobione w wyobrażenie Apollina – był fizykiem. Albo chemikiem. Nieważne. Istotne jest to, że poślubił Delphine z domu Macarty, krewniaczkę burmistrza miasta.

Obszerny niegdyś westybul został przebudowany na potrzeby motelowego przedsionka pełniącego zarazem funkcję niewielkiej poczekalni, bagażowni, portierni i Bóg jeden raczy wiedzieć czego jeszcze. Z pierwotnej konstrukcji zachowała się jedynie czarno-biała mozaika podłogi. Przeszli obok nieczynnej recepcji, bez trudu odnajdując schody wiodące na szczyt. Tuż przy pierwszym stopniu w niewielkiej wnęce stał stary wiklinowy fotel na kółkach. Detektyw przymknął oczy, odganiając czarne myśli.

„Skup się, John, nie pora na wyrzuty sumienia”.

Przerobiona klatka schodowa była duża i przestronna. Budynek był pusty, duszny oraz zakurzony. Pnąc się ostrożnie po wysłużonych schodach, Legrasse nasłuchiwał. Czekał na choćby najdrobniejszy znak, że ktoś ich obserwuje. Sunęli blisko ściany, unikając co bardziej wyrobionych stopni.

– Był jej trzecim oficjalnym kompanem łóżkowym. To nieważne, że kilkoro dzieci pochodziło z romansów. Istotne jest to, że w tym domu katowała ludzi. Służbę, Murzynów. Dosłownie katowała. W tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym, jeżeli dobrze pamiętam – rozejrzał się uważnie po rozległym westybulu – nie bardzo przejmowano się niuansami. Niemniej jednak to, że jedna z niewolnic wołała skoczyć z dachu, niż wrócić pod jej kuratelę, jest dość wymowne.

– Dość – mruknął Francuz.

Legrasse uważnie spoglądał pod stopy. Pomyleńcy, wariaci, gotowi mordować w imię iluzorycznych rojeń, lubują się w prostackich, brutalnych wnykach. Zadrżał na myśl o mieszaninie siekanych gwoździ oraz śrub, bluzgającej w huku wybuchu z jakiejś ukrytej puszką po farbie. Nic takiego jednak się nie stało. Posiadłość przerobiona na sieć tanich pokoi tonęła w półmroku oraz grobowym spokoju.

– Inna służąca, kucharka, zaproszyła ogień. Raczej przypadkiem, bo jak zeznał strażak, który ją wyprowadził, nim ją wyciągnął z kuchni, musiał ją odkuć. Miała obrozę i uwiązano ją jak psa...

Odsapnęli, docierając do szczytu schodów. Legrasse ze zdziwieniem stwierdził, że ma zawroty głowy. Oparł się o ścianę, spoglądając na pobladłego Francuza. Coś było nie tak. Na piętrze, niegdyś okazałym i rozdzielonym na kilka salonów, nie było żywej duszy. Idąc wzdłuż wewnętrznego tarasu okalającego konstrukcję niczym korona, nie spotkali żywego ducha. Wszędzie natrafiali na ciągi zamkniętych naглуcho, obłazących farbą lichych drzwi. Jedynym przejawem życia były robaki. Sine larwy pełzały pomiędzy tłustymi pajakami wynurzającymi się z mroku pęknięć. Pomiedzy nimi raz po raz lśniły chitynowe pancerze karaluchów oraz robactwa, którego porucznik nie był w stanie rozpoznać. Pierwszy raz widział taki korowód.

– Jak cholerne szczury idące do swojego grajka.

Legrasse potarł skronie, przyznając w duchu słuszność porównaniu. Nie zajmowały go jednak robaki, skupiał się bowiem głównie na wyrównaniu oddechu i uspokojeniu błędniaka. Odchrząknął, dochodząc do wniosku, że najłatwiej będzie utrzymać tempo, podtrzymując rozmowę. Szli pośród szeleszczącego korowodu robactwa, ignorując spadające im raz po raz na barki pajęczaki, które niezainteresowane ciepłotą ludzkiego ciała truchtały ścianami oraz sufitem, gnane przedziwnym zewem. Zerknął nad balustradą, ale w dole ujrzał jedynie wir ciemności. Zamknął oczy i oddychał głęboko. Po chwili ruszyli dalej. Poziom niżej był zakurzony westybul, nadal noszący ślady bardziej reprezentacyjnych czasów. Legrasse ze wszystkich sił starał się nie dostrzec kłębiących się

w załomach cieni.

– Koniec końców – szepnął, spoglądając wymownie na Francuza.

Agent Sûreté kiwnął mu na znak, że rozumie. Obaj dobyli broni.

– Gasząc pożar, wtargnięto do jednego z pomieszczeń na ostatnim piętrze. Wedle relacji byli tam przykuci mężczyźni. Dośpiewaj sobie resztę – mruknął. – Po ucieczce madame Blaque ludzie przekopali dziedziniec, szukając skarbów... Znalaziono ludzkie gnaty oraz ukrytą studnię, gdzie odkryto jeszcze więcej kości. Głównie dziecięcych.

– Myślisz, że to ma jakiś związek z, ten tego, no tą całą niby sektą? Ten adwokat gadał, że to wpływowi, bogaci itd.

– Nie wiem. Minęło dużo czasu, policja wtedy nie bardzo się tym interesowała, mimo że gazety wałkowały temat na okrągło. Wściekły tłum obdarł ponoć rezydencję do gołych ścian, więc jeśli coś tu było, przepadło.

Wkroczyli na schody wiodące ku kolejnemu piętru. Detektyw zawahał się, czując rozlewającą się po ciele niespodziewaną falę niepokoju. W mroku opuszczonych schodów, pośród pełzających pluskiew, poczuł drażniący nozdrza zapach zjonizowanego powietrza nasyconego nieprzyjemnym odorem wychodka. Cuchnęło czarną magią. Splunął, usiłując pozbyć się tłustego pyłu zbierającego się w gardle.

– Co za odór! – Francuz otarł dłonią twarz.

Legrasse wykonał chaotyczny ruch ręką, wskazując sufit. W absolutnej ciszy, stąpając ostrożnie, ruszyli po zawijających delikatnym ślimakiem schodach. Porucznik z trudem powstrzymywał instynktowną potrzebę ucieczki, pierwotny bezpiecznik umieszczony głęboko w podświadomości, który wielokrotnie pozwalał mu uniknąć gwałtownej, często bolesnej śmierci. Śledzeni setkami owadzich ślepi, minęli próg klatki schodowej prowadzącej na ostatnie piętro. Tam, na poddaszu, w dawnych kwaterach służby, mieściły się najtańsze pomieszczenia. Kwaśne powietrze tężało, lgnąc do skóry niczym wilgotna tkanina.

Tu też napotkali szereg zamkniętych drzwi. Były jednak rzadziej rozmieszczone, bardziej przypadkowo, jakby pierwotna konstrukcja posiadłości uniemożliwiała porcjowanie przestrzeni domu. Tu zresztą,

w gęstym fetorze bijącym spod jedynych drzwi na wschodnim boku, można było przysiąc, że budynek żyje własnym życiem. Oblepione robactwem ściany korytarza zdawały się drgać wraz z widmowymi oddechami przeklętej posiadłości.

Możliwie cicho ustawili się po obu stronach drzwi, zza których dochodził miarowy, pełen bólu oraz rezygnacji jęk. Wymienili spojrzenia. Legrasse przymknął na moment oczy, biorąc głęboki wdech.

„Boże, co tam znajde?”

Pchnął drzwi, szybko robiąc miejsce de Taffanelowi, który z impetem wpadł do pomieszczenia, gotowy strzelać, aby zabić.

W środku śmierdziało terpentyną, farbami, topiącym się tłuszczem oraz moczem. A nade wszystko zjonizowanym powietrzem. Legrasse, trzymając broń w gotowości, pośpiesznie zlustrował zupełnie ogołoczone wnętrze. W kącie pokoju ściśnięto płótna, wetknięto częściowo zamalowane oraz poplamione sztalugi. Część obrazów zakryta była zszarzałą płachtą. Nie to jednak przykuło uwagę obu mężczyzn.

Pośrodku pomieszczenia stał olbrzymi trójnog, dokładnie taki sam, jaki znalazł Legrasse pewnej upiornej nocy, gdy wraz z oddziałem policji szturmował bandycką melinę. Tak samo jak tamtej nocy na stelażu wisiała umęczona Murzynka. Wisiała rozpięta pomiędzy trzema ramionami drewnianej konstrukcji, otoczonej wymalowanym precyzyjnie kręgiem magicznym, oświetlonym łojowymi, smrodliwymi świecami. Duszny dym przynajmniej częściowo zabijał drażniący nozdrza, przykry zapach uryny.

Tym razem Legrasse zdążył – kobieta żyła. Wiła się przywiązana do trójnogu, jęcząc, gdy kolejne nacięcia przecinały jej gładką, lśniącą od potu skórę. Otaczały ją widmowe szepty umarłych, migotliwe cienie oraz szarzejące plamy, widoczne najprawdopodobniej tylko dlatego, że ludzki umysł nie jest w stanie zaakceptować całkowitego braku koloru. Ludzka wada, wypaczenie zmysłów uniemożliwiająca ujrzanie tego, co ukryte. Szare smugi raz po raz smagały kobiece ciało, zadając płytkie, nierówne rany. Plecy ofiary pokrywały równe linie groteskowego pisma tonącego w krwawych zaciekach.

Po przeciwnej stronie, nieopodal obdartej do gołej cegły ściany, na obitym pluszem fotelu siedział mężczyzna. Wyglądał niczym zblazowany arystokrata zafascynowany tandetnym przedstawieniem. Legrasse poczuł zimną szpilę wbijającą się w kręgosłup: znał tę twarz. Widział tego człowieka, gdy poprzednio trafił pod ten adres za sugestią „Profesore”. O mało nie nacisnął na spust. Zamiast tego stanął, na wpół zafascynowany, na wpół przerażony anomalią z wolna rozlewającą się przed jego oczyma. Kątem oka dostrzegł de Taffanela, który także stanął oniemiały. Aberracja rzeczywistości była tak groteskowa, że ludzki umysł w pierwszej chwili w ogóle jej nie zarejestrował. Porucznik zmrużył oczy. W oknie powinien widzieć dachy Nowego Orleanu, niebo, może refleks słońca. W to miejsce otwór ział pustką okoloną wieńcem sinych płomieni, wyglądających jak łopoczące na wietrze strzępy rozdartej tkaniny. Demoniczny wiatr, wyjąc na krawędzi rzeczywistości, zagarniał drobiny świata ludzi, ciskając w głąb obcej materii.

Mężczyzna na fotelu zdawał się tym jednak nie przejmować, ignorował piekielny świst, zachowując się tak, jakby to był orzeźwiający przeciąg. Legrasse jednak z trudem zachował spokój, czując jak myśli, fundamentalne idee stanowiące podporę logiki, trzęsą się w posadach, tracąc zdroworozsądkowe podparcie. W lejącym się chłdzie, w cuchnących podmuchach wiatru czaiło się coś obcego. Coś nienaturalnego, nakazującego każdej żywej istocie uciekać. Oblizął spierzchnięte wargi. Oto patrzył na piekielną bramę. Poczuł, że na ramionach dostaje gęsiej skórki, a w kotłowaniu myśli, pośród wzburzonej plątaniny koncepcji, uczuć oraz wspomnień, zaczynają więc się przerażające węże niosące ze sobą paralizujący, atawistyczny strach. Usłyszał własny jęk pełen zgrozy oraz budzącego się szaleństwa.

Mężczyzna na fotelu uniósł wzrok znad książki, którą kartkował, obdarzył przybyłych pobłażliwym uśmiechem wiekowego profesora egzaminującego ulubionych studentów.

– Legrasse! – Klasnął w dłoń. – Oraz czarny koń, nieoceniony pan Eugene-François de Taffanel we własnej osobie reprezentujący Sûreté Nationale. Muszę przyznać, że sporo kłopotu mi pan narobił, panie

Francuzie. Obaj. Choć, Legrasse, jak ten pijak, potykając się o własne nogi, jakimś cudem dotarłeś do celu. Moje uznanie. W porozumieniu z kaznodzieją kazałem nawet Whateleyowi pana postraszyć, licząc, że się pan zachłasz na śmierć i odejmiesz nam zmartwień. Ale... cóż. Widać się pomyliłem. Swoją drogą, skoro panowie tu, a tego osiłka nie ma, to znaczy, że już się spotkaliście. Może to i lepiej? Był brutalnym, cuchnącym potem prymitywem z kompleksem dziadka. Pożądał księgi, podobnie jak ten cholerny klecha...

– Nadchodzi czas białego zimna i białego światła, czas szaleństwa...  
– wychrypiała okaleczona kobieta.

Noel zaśmiał się, przeczesując dłonią włosy. Rozparł się wygodnie na krześle. Tuż obok na pulpicie spoczywała książka, którą jeszcze przed chwilą leniwie wertował.

– Ach, droga *madame* Delphine LaLaurie. Umęczona luksusem i ekstrawagancjami zaczęła szukać mniej konwencjonalnych rozrywek... Gdyby nie ona, panowie, nigdy byśmy się nie spotkali. Moja nieodżałowana babka... – Spojrzał chytrze na detektywa, szukając najmniejszej oznaki zdziwienia. Legrasse jednak zbyt wiele widział i słyszał w ciągu ostatniej doby, by choćby unieść brew. – To ona dołożyła starań, aby pozyskać z dawna zapomniane prawa, odtworzyć minione rytuały. Czarnuchy. Cholerne dzikie diabły w swej krwi mają zaklętą pierwotną mądrość, panowie. Nie dajcie się zwieść. Trzymała ich w swojej pracowni, tu pozyskiwała z Leonardem wiedzę. Zaiste! – Przeniósł wzrok na wijącą się w bólu kobietę wpatrującą się w mężczyzn migdałowymi oczyma. – Któż by pomyślał, że zajdą tak daleko i to dzięki przypadkowi.

Były policjant zmarszczył brwi. Znał legendy powtarzane raz po raz w Nowym Orleanie. Zbrodnie oraz wynaturzenia LaLaurie stały się lokalnym folklorem, którym karmiono turystów. Jedna z historii mówiła, że mąż *madame*, znakomity fizyk, osobiście wykonywał eksperymenty. Legrasse'owi ścierpła skóra. Chciał zastrzelić tego tu siedzącego bydlaka na miejscu, ale nie mógł. Musiał słuchać rojeń szaleńca, bo tylko tak mógł definitywnie zamknąć ten rozdział życia: lata strawione na poszukiwaniach sprowadzały się do trywialnej ludzkiej potrzeby dominacji oraz szaleństwa.

– Ponoć umarła w Paryżu – rzucił mimochodem, zerkając z ukosa na Francuza.

Eugene-François de Taffanel, pozornie spokojny i opanowany, kipiał gniewem. Wystarczyło spojrzenie, aby dostrzec nadchodzący sztorm. Ale zamiast rzucić się z nożem, zadrwił:

– Uciekała ponoć tak, że gorsety gubiła...

– Tak pan sądzi? – prychnął Noel, nie zauważając prowokacji. – Faktycznie, biedna musiała salwować się ucieczką. Ale wtedy już miała wiedzę, dostatecznie dużo zrozumiała, by udać się dokładnie tam, gdzie powinna. Ponieważ, widzą panowie, takich miejsc jak to, jest niewiele. Miejsc, gdzie kotara zasłaniająca nasz świat jest przetarta. Miejsc, które są na krawędzi. Delphine w Paryżu znalazła piękną kamienicę, podobną do tej tu. Przy Rue d’Auseil, z oknem takim jak to tu. I ma się dobrze do dziś, śniąc w swoim nowym domu.

– Nie ma w Paryżu takiej ulicy – rzucił de Taffanel, głosem tyle gniewnym, co zaniepokojonym, jakby ktoś odkrył wstydliwą tajemnicę. Francuz zacisnął zęby, cedząc: – Nie ma też kamienicy z oknem wychodzącym na piekło.

Szaleniec zaśmiał się, uderzając dłonią w uda, jakby właśnie zasłyszał przedni żart.

– Nasza ziemia to nic innego jak jedynie przedsionek. Żyjemy na krawędzi strachu oraz koszmaru, przemijając, nieświadomi czarnych arkanów starożytności leżących tuż przed naszym nosem. I ja sam... – Strapił się teatralnie. – Też byłem ślepcem. I znowu szczęśliwa koincydencja. Tak jak Delphine niechcący odkryła sekret Sztuki, tak ja, zrzędzeniem losu napędzanym zawiścią oraz chęcią zemsty, przeszedłem upodlenie. – Zawiesił głos. Brzydki grymas twarzy, jaki wykwitł na obliczu mężczyzny, był pierwszą prawdziwą emocją, jaką zdradził. Legrasse spojrział w oczy człowieka, którego widział na filmie, katowanego, upodlonego, oglądającego rytualne pohańbienie wybranki. – Gdyby nie to, nigdy bym nie odkrył swojego przeznaczenia. Bo duch Delphine, mej szacownej antenatki, był uśpiony. Potrzebował przebudzenia... I teraz, po latach hańby...

Nie dane mu było dokończyć. Skrępowana, torturowana kobieta szarpnęła się w swych powrozach i z krzykiem wyłamała sobie jeden



z barków. Ciało nienaturalnie zawisło, tracąc podporę. Konała w mękach w rozlewisku krzepnącej krwi oraz moczu.

– Ruszysz ciemnym szlakiem – zawyła, odwracając umęczone oblicze w kierunku Legrasse’a. Zamglone oczy lśniły chorobliwie. – Wstęga wijącą się przez odludzie, pośród szarych głązów rzuconych wzdłuż tego traktu zapomnianych. Ruszysz tam, aby spotkać okrucieństwo. Stara droga pośród mokradeł wiedzie ku piekłu.

– Och, na wszystkie pieczęcie! – Machnął ręką Noel. – Nie słuchajcie jej. Wszystkie kobiety stykające się z *Amnion*, uświęconą przez dawnych bogów barierą między światami, mają tendencję do wieszczenia. – Zaśmiał się lekko. – I jak sami słyszycie, zwyczajowo to brednie konającej.

De Taffanel warknął, spluwając przez zęby. Nim porucznik zdołał zareagować, zbliżył się i z przyłożenia strzelił dziewczynie w głowę. Szkarłatna plama wykwitła na skroni nieszczęśnicy, a chwilę później jej ciało opadło bezwładnie, ostatecznie zwisając na podtrzymujących je pętach. Krwawy ochłap, piękny kwiat, który ktoś zerwał i okaleczył ku własnej uciechu. Okrutna, monotonna mantra zamarała. Szare miraże jednostajnie zawyły setką widmowych gardeł, przerywając skrobanie po ciele kobiety. Mary w dzikim wizgu rozpięzły się na wszystkie strony świata, gasząc płomienie świateł.

John, niewiele myśląc, złożył się do strzału, posyłając ołowiane pociski w kierunku szaleńca. Ten jednak był szybszy. Rzucił prymitywną, warkliwą frazę. Wyciągnął dłoń, pozwalając kuli ugrzęznąć pomiędzy splotami ścięgien i kośćcem. Oplótł ją smugami czarnego dymu. Sztukmistrz pokręcił głową, dźwigając się ze swojego miejsca. Z żalem spojrział na martwą kobietę wiszącą pośrodku wygaszonego kręgu. Wzdychając ciężko, przeniósł pełne gniewu spojrzenie na mężczyzn.

– Psie syny – syknął. – Ujrzyjcie Spuściznę Alhazreda!

Rozerwał poły szaty, odsłaniając wąły tors. Pod workowatą skórą kryły się resztki muskulatury, zdradzające dawne trudy atletycznego treningu. Noel odrzucił głowę w tył, wypływając w bryzgach śliny wykoślawione słowa, rozbrzmiewające echem dawno zapomnianych mogił. Nie to jednak zajmowało umysły mężczyzn. Z przerażeniem

spoglądali na wijącą się, odrażającą narośl nagle rozkwitłą na torsie szaleńca, a już pokrytą błoniastymi pęcherzami. Pod poszatowaną drobnymi żyłkami pergaminową powierzchnią skóry, raz po raz odciskał się zarys zdeformowanej dłoni. Coś ukryte w Noelu się przebudziło. Coś, co narodziło się na krawędzi świadomości, co rosło w doskonałej symbiozie z człowiekiem, dbając o potrzeby nosiciela. Niczym pasożyt dostosowujący słabe ciało gospodarza do nowego istnienia.

Mackowate wstęgi oderwały się od Noela, wodząc w powietrzu jak receptory potwornego właściciela. Częściowo porośniętą czarną szczecinę ludzkich włosów i rozedrgane końcówki raz po raz zwijały się i rozprostowywały, szukając czegokolwiek do pochwycenia. Legrasse cofnął się o krok, zdjęty trwogą, wpatrując się w hipnotycznie wijące się węzowate twory.

– Jestem Emisariuszem Świtu – wydukał czarnoksiężnik. – W ciemności wypowiadam imię Śniącego, aby ten mógł przeze mnie przybyć. Ukorzcie się... – Reszta słów utonęła w potwornym ryku.

Ciałem maga targnęły pełne bólu drgawki. Twarz mężczyzny rozlała się niemal jak stopiony wosk, spływając tłustymi wstęgami. Tam, gdzie odbicie człowieczeństwa znikało, na wierzch, niczym sącząca się ropa, wypływała czerń. Smolista, monochromatyczna maź oblewała resztki twarzy Noela. Czerń z wolna zastygała, niczym wrosła w ludzką tkankę obrzydliwa szklana maska. Na gładkiej powierzchni migotały odległe błyski, by po chwili zalśnić pełnią nieodgadnionej potęgi. Pod jedynym, na wpół rozlanym okiem Noela rozjarzyła się gwiazda wyglądająca jak wypalona dziura. Po chwili rozbłysła kolejna i kolejna. Jedna po drugiej, w barwnych smugach odległych mgławic, mieniając się kosmicznymi kolorami zakazanych niebios. I wtedy porucznik to dostrzegł. W odległej pustce nieznanymi galaktyk, pośród lodowatej nicości, coś spojrzało na stojącego po drugiej stronie człowieka. Coś, co nigdy nie powinno ujrzeć świata śmiertelników.

Lodowata igła sięgnęła serca detektywa, pobudzając oszołomiony umysł.

Legrasse strzelił. Bez mała na oślep, nie tracąc czasu na mierzenie,

zadowalając się jedynie uniesieniem rewolweru. Kula z plaśnięciem wgryzła się w ciało maga. Pasożytnicza narośl zadrżała, gdy kolejna kula trafiła Noela. Twór wyciągnął się, młóćąc mackami, jakby chciał oderwać się od rannego ciała. Sztukmistrz zgiął się wpół, ale miast opaść na kolana, wychrypiał zbitek słów, kreśląc pośpiesznie dłonią niejasny wzór. Słowa, choć całkowicie niezrozumiałe dla Legrasse'a, napawały pierwotnym lękiem, sięgając w głąb jaźni, porażając okrutnymi wizjami. Gestowi towarzyszyła cienista smuga otaczająca dłoń maga. De Taffanel doskoczył do istoty, składając się do potężnego kopnięcia. Jednak nie zdążył. Przeróżający, oślizgły stwór zaciekle chronił swojego żywiciela, blokując uderzenie. Mackowate sznury owinięły się wokół nogi Francuza. Ten runął na deski podłogi niczym kłoda, ale nie przestawał walczyć. Dobył noża i ciął na odlew. Miotając najgorsze przekleństwa, rznął trzymające go sploty. Tymczasem mag pełzł, nie zważając na wysiłki Francuza ani na kolejne strzały z LeMata, aż wczołgał się na de Taffanela. Przygwoździł agenta, unieruchamiając go kolejnymi splotami macek. Eugene wbił nóż w na wpół cieliste wrzeciono, ale nie zdołał wykonać cięcia. Oślizgłe cielsko szarpnęło gwałtownie, porywając broń i pochłaniając ją kolejnymi splotami węzowatych ramion. Chrzękając i plując czarnym śluzem, Sztukmistrz usadowił się okrakiem na powalonym, pozwalając mackowatym wypustkom oplatać człowieka, podczas gdy on sam szeptał odrażającą inwokację. Sięgnął ku twarzy leżącego, okrywając ją prawie całkowicie czarnym dymem. Legrasse doskoczył do czarnoksiężnika, chcąc zepchnąć go z powalonego, ale nie zdołał. Jedna z macek zdołała go dosięgnąć, zaciskając się wokół krtani mężczyzny jak imadło i ściągając go do parteru. Francuz trząsał się jak rażony wstrząsem epileptycznym.

Noel spojrzał na detektywa swym ocalałym okiem.

Rozsadzająca czaszkę pieśń ucichła, pozwalając rozwiać się dymowi. De Taffanel szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się brudny sufit. Z kącików oczu płynęły mu łzy.

– Już drugi raz mi przerywasz, człeczyno. *Amnion* to tylko ułuda – wycharczał, jakby nigdy wcześniej nie korzystał ze strun głosowych. – *Codex Susurrus* pozwala wejrzeć głębiej. – Koślawił ludzką mowę. –

Pozwala osiąść prawdziwe zrozumienie. Pozwala odezwać się do Starszych.

Legrasse, podpierając się na ugiętych kolanach, aby stawić opór żywemu sznurowi zdeformowanych tkanek, wygiął się nienaturalnie. Rozpaczliwie wierzgnął ciałem. Na chwilę zawisł na macce, czując jak sploty nienaturalnych ścięgien miażdżą mu krtań.

Pociągnął za spust. Tym razem trafił dokładnie nad na wpół rozlanym okiem czarownika. Kula strzaskała upiorne zwierciadło. Stwór w dzikim ryku poderwał się na nogi, przytykając dłonie do twarzy. Spomiędzy palców istoty, która niegdyś była Noelem Johnsonem, wypływały grudowate, tłuste krople mazi. Zatoczył się, potykając o własne nogi. Z podbrzusza, z bolesnym trzaskiem, wyrosły dwa rachityczne odnóża. Pasożytniczy byt oplótł częścią ramion ciało mężczyzny, dźwigając je nieznacznie. Legrasse nacisnął języczek spustowy raz jeszcze, ale usłyszał jedynie głucho trzaśnięcie. Trzęsąc się ze strachu, upuścił bezużyteczny rewolwer i patrzył na rozgrywający się horror. Za jego plecami w jedynym odsłoniętym oknie kłębiła się obca ciemność. Tam, gdzie powinny lśnić światła miasta, skąd powinien się dobywać uliczny zgiełk niesiony ciepłym wiatrem, wiał chłód. Porucznik, kulejąc, cofnął się w głąb pokoju. Potknął się, wpadł na stół i o mało nie runął na podłogę. Oblizął spierzchnięte wargi, gotując się na śmierć. W głowie usłyszał obcy, drażniący zmysły szczełkot układający się w znane mu doskonale wołanie: *Cthulhu fhtagn!*

Stwór jednak nie zaatakował. Pajęczce odnóża drobily w miejscu, podczas gdy cieliste wypustki usiłowały pochwycić coś, co z wolna materializowało się z ciała Sztukmistrza. Noel, bulgocząc niezrozumiale, skupił swoją uwagę na tym, co rozgrywało się pośrodku pomieszczenia. Świetlna sfera wyrosła niespodziewanie nieopodal zmaltretowanego ciała kobiety i pękła niczym nabrzmiąły wrzód. Z każdej świetlistej kropli rodziły się kolejne pękające pęcherze. Wyglądało to, jakby sama rzeczywistość nagle zaczęła wrzeć.

– Ty?! – zawyła zgrzytliwą mieszaniną głosów poczwara. Jeden z nich brzmiał jak ludzki.

Kolejny bąbel pękł. Tym razem jednak Legrasse nie dostrzegł, aby pojawiły się nowe pęcherze. Zamiast tego dotarła do niego odbita fala mdłości przyprawiających o zawrót głowy. Wraz z wyciskającym dech z płuc, drażniącym żołądek uczuciem, pojawiła się nawalnica mglistych, nieskładnych wizji, które zalały umysł Legrasse'a. Krzyknął rażony bezmiarem bolesnego zrozumienia, pełnego rozpaczony oraz beznadziei, pożerającego każdą inną myśl. Odruchowo zacisnął oczy, usiłując przewyciężyć pochłaniające go bagno. Sięgnął w głąb siebie ku pilnie strzeżonym skarbowi, ku szczęśliwym wspomnieniom, ku pierwotnej idei. Wreszcie otworzył oczy, dysząc ciężko.

Noel, chwiejąc się, miotał roztrzaskaną głową demona. Kwilił boleśnie jak brutalnie zarzynane małe zwierzę. Sięgnął dłońmi ku twarzy, ku wytrzeszczonemu oku, ku ziejącej krwawą pustką ranie po drugim. Wyjął, wydrapał to, co pozostało, rozrywając resztki własnego oblicza.

Detektyw zachwiał się na uginających się pod nim kolanach. Nie upadł jednak. Zrozumiał, że fala obrzydliwości nie była skierowana przeciwko niemu. Zdołał się wyprostować, wypierając z umysłu rozmyte, obce obrazy. De Taffanel jęczał cicho jak osoba budząca się z koszmarne snu. Przetoczył wokół zamglonym wzrokiem, podrywając się tyle gwałtownie, co nieporadnie. Porażone mięśnie odmówiły mężczyźnie posłuszeństwa, a otumaniony umysł, nadal częściowo po drugiej stronie bramy snów, nie nadał się z analizowaniem bodźców.

Legrasse po raz wtóry przymknął oczy, rozkoszując się spływającym na niego spokojem. Oszalałe zmysły, rozedrgane myśli w końcu zdołały połączyć się w jedną, spójną oraz akceptowalną wizję świata. Wyobrażenie wyłaniające się z obłądu było dalekie od ideału, ale pozwalało mężczyźnie osadzić w nim samego siebie i przypisać składnikom rzeczywistości podstawowe wartości.

„Niech i tak będzie”.

Porucznik odetchnął, uśmiechnął się do ostatniego, jaśniejszego wspomnienia i ruszył przed siebie.

Nie miał planu, działał instynktownie. Wiedział jednak, że musi to zrobić, że musi osobiście zamknąć krąg szaleństwa, w jakim

nieświadomie żył od lat. Skoczył, omijając ziejącą czernią czeluść okna, i dopadł bezradnego demona obleczonego w resztki człowieka. Wykorzystując siłę rozpedzonego ciała, pchnął Noela prosto ku lodowatej pustce, ku piekielnym prądom z wizgiem wciągającym strzepy świata śmiertelników. Resztką istoty, jaką był Noel, potykała się o własne porażone kończyny, o bezwładne ludzkie nogi. I runęła, zawadzając o krawędź okna. W naturalnym dla każdej żywej istoty przedśmiertnym panicznym odruchu zamachała ramionami. Macki zawirowały, batożąc wściekle powietrze. Jeden z cielistych węży smagnął Legrasse'a po udzie, pazurzasty szpon przeorał policzek, a czerniejąca dłoń maga chwyciła nieporadnie połę marynarki detektywa.

Porucznik zwalczył odruch. Wiedział, że jeżeli teraz usztywni kolana, straci panowanie nad środkiem ciężkości własnego ciała i runie w pustkę. Stawił opór przyciągającej go sile – szarpnął się do tyłu, usiłując runąć na plecy. Zawisł nad ziemią, zaparty nogami o ścianę, z rozdartą twarzą Noela przed sobą. Mag usiłował się ratować, chwytając, czego popadnie. Był niczym topielec wciągający innych w głębiny ku pewnej śmierci.

Przyciąganie było zbyt potężne w pobliżu przejścia, ludzkie ciało zaś jak gnąca się na wietrze trzcina. Napór kosmicznych prądów zasysających łąpczywie pożerał materię. Porucznik czuł, jak cal po calu unosi się, wciągany wraz z Noelem w próżnię. Rozpaczliwie wbił pięty w ścianę, mając nadzieję, że choć trochę zablokuje morderczy ciąg. Na nic się to jednak nie zdało. Legrasse spojrział ponad zdeformowanym ramieniem maga na bezdenną czerń, na pustkę, z której nawet światło nie może się wydostać, i zamknął oczy. Chwilę później usłyszał głuchy trzask.

Niespodziewanie upadł na ziemię. Poczuł, że coś szarpie jego ciało w przeciwnym kierunku.

– Nie rzucaj się, psia mać! – syknął de Taffanel.

Spanikowany Legrasse otworzył oczy, ze zdziwieniem rejestrując, że nie umiera. Francuz odciągnął go kilka kroków poza zasięg bezlitosnych sił piekielnych. Przerażony detektyw spojrział najpierw na swego wybawcę wciąż dzierżącego rewolwer, a później na

diabelską bramę.

Noel wyglądał jak przylepiona do smoły mucha z wolna tonąca w gęstej mazi. Niknął, emitując jasne promieniowanie rozpadającej się struktury. Pożeranie przez nicość molekuł organicznego ciała wywołało silną falę jonizacji. Symbiont zawył boleśnie po raz ostatni, porażony kolejnym szarpnięciem wciągającym go w głąb idealnej czerni kosmicznej spirali, z której nie ma ucieczki.

Wraz z każdym calem pożeranej substancji oraz z każdym wchłoniętym strzępem trawionego przez ciemność Sztukmistrza trupie światło bramy gasło. Pochłaniając człowieka, który ją otworzył, przejście samo się zasklepiało. Legrasse, czując, jak łyzy płyną mu po policzkach, patrzył na obrzydliwe zjawisko i cofał się w głąb pomieszczenia. Dopiero tam skołowany umysł, zalany falami adrenaliny, porażony strachem, odmówił posłuszeństwa.

Porucznik upadł na podłogę. Obok kucał de Taffanel, który dyszał ciężko i rozcierał skronie, raz po raz przesłaniając oczy dłonią.

Po chwili Legrasse usłyszał własny, nerwowy śmiech.

## Rozdział 15. Początek nowej drogi

Na trupa natknęli się nieoczekiwanie. Młody chłopak wyglądający na studenta leżał w szuwarach, spoglądając na nich spod rozłożystych paproci rozdrapanymi oczodołami.

– Niech to czart! – zaklął Legrasse, pocierając policzek.

Obejrzał się za siebie. Łuna świateł birminghama nadal była widoczna nad bagiennym lasem. Zostawili auto na skraju przejezdnej drogi, tuż przy zmurszałym kamieniu milowym przypominającym stary nagrobek.

„Ruszysz ciemnym szlakiem” – wspomnienie złowrogiej wróżby zawirowało w umyśle porucznika. – „Wstęgą wijącą się przez odludzie, pośród szarych głazów rzuconych wzdłuż tego traktu zapomnianych. Ruszysz tam, aby spotkać okrucieństwo. Stara droga pośród mokradeł wiedzie ku piekłu”.

Legrasse poczuł suchość w ustach. Spojrzał na dłonie, na pościerane kłykcie. Nie był w stanie powiedzieć, gdzie i kiedy stał je do krwi.

Od wydarzeń na poddaszu upiornej kamienicy minął miesiąc z lekkim okładem. Tak przynajmniej rachował, ale nie miał pewności, bo czas stał się nad wyraz płynny, a Legrasse dryfował pomiędzy dobami. Codziennosc zlała się w szklance z samogonem. Otumaniony umysł był w stanie wyłuskać jedynie kilka dni zlepionych z bezładnych wschodów i zachodów słońca oraz nerwowego spoglądania na zalegające w kącie cienie. W otchłani wspomnień, parokrotnie przewinęła się twarz Mal. Malcom Henry Ducote musiał go odwiedzić przynajmniej raz, bo znalazł resztki popisowej zapiekanki Helen. W ciągu przeważały puste doby, w trakcie których na przemian gapił się w dno szklanki lub leniwie obracające się łopatki wiatraka, robiąc wszystko, by nie czytać gazet. „The New Orleans Bee” oraz „The Times-Picayune” usiłowały przebić brukowy „New Orleans Item-Tribune” w krzykliwości nagłówków. Dziennikarze wymyślali, co tylko się da, by jak najwięcej ugrać na cuchnącej skandalem serii samobójstw oraz zaginięć białych



mężczyzn. Pikanterii dodawały odnalezione, częściowo odarte ze skóry, czarnoskóre kobiety. Nadchodzącej rewolucji w magistracie nie można było już powstrzymać, choć na razie media nie rzuciły się na polityków oraz szefa policji.

Spekulacje rodziły spekulacje, prawda rozmywała się w morzu domysłów, rojeń oraz teorii spiskowych pozwalających głupcom czuć się inteligentnymi. Nikt, nawet najęty celem grania na najniższych pobudkach wróżbita stawiający tarota, nie zbliżył się do źródła prawdy.

I za to pił Legrasse. Za błogą niewiedzę. I piłby pewnie nadal, gdyby nie Ducote. Po prostu któregoś dnia pojawił się w asyście dwóch osiłków. Bez trudu zawlekli porucznika do półotwartego więzienia udającego klinikę. Pobyt opłacił Ronald Renee Antoinette. Gdy był policjant wytrzeźwiał dostatecznie, pozwolili mu wrócić do nory, w której go znaleźli. Tylko po to, by popadł w odrętwienie.

Ocknięcie przyszło nieoczekiwanie. Po prostu któregoś dnia znalazł pod drzwiami złożoną na pół kartkę z krótką, suchą notką. Podczas gdy Legrasse miotany zwidami chlał i krzyczał, Stuglik ostatecznie złożył broń.

Nastąpiły ciche dni, wypełnione desperacką rutyną. Legrasse drzemał, przekładał resztki papierów ze stosu na stos bez celu, byle tylko zająć ręce. Spieniężał, co mógł, na pokrycie bieżących wydatków. Czuł, jak osuwa się w przepaść, a mimo to, miast się ratować, z szaleńczą obojętnością wyczekiwał nadchodzącej katastrofy. Instynktownie czuł, że powinien opuścić miasto, ale nie potrafił. Nie potrafił odejść, nie domknawszy sprawy.

De Taffanel pojawił się nieoczekiwanie pewnego dusznego popołudnia. Francuz wyglądał, jakby przez ostatnie tygodnie oddychał haszyszem. Wszedł bez pukania do biura, ogołoconego z większości mebli. Rozejrzał się, na moment zatrzymując wzrok na pęknięciach ściany znaczonej bordowymi plamami i usiadł bez słowa na podłodze. Sięgnął po szklanki ustawione na parapecie. Spojrzał na szkło pod słońce, szacując, czy alkohol zabije zarazki oblepiające ścianki naczynek. Mruczając pod nosem, wyciągnął z za pazuchy piersiówkę. Gdy polewał, nie był w stanie powstrzymać

drżenia dłoni, którą jeszcze nie tak dawno pewnie robił nożem. Detektyw po chwili zastanowienia opadł naprzeciw Francuza, opierając się o biurko. Z ociąganiem odebrał swój przydział alkoholu. Milczeli, wpatrując się w drobiny kurzu unoszące się chaotycznie nad podłogą w słonecznym świetle.

– Chyba nie skończyliśmy – wypalił w końcu de Taffanel, unosząc szkło do ust.

Legrasse przez chwilę zastanawiał się nad słowami agenta, po czym spojrzął na zawartość szklanki. Było tego tyle, co w kieliszku. Powąchał.

– Co to?

– Stara dobra mieszanka – odparł lekko Francuz. – Bimber z kokainą.

Amerykanin skrzywił się na wspomnienie frontowego pobudzacza. Na każdym odcinku frontu można było spotkać kogoś, kto używał kokainy do utrzymania się na nogach. Mrużąc oczy, upił łyk, smakując cierpkość taniego alkoholu pomieszanego z narkotykiem.

– Wiesz, gdzie jej szukać?

Legrasse nie zastanawiał się długo. Emma Rabalais przepadła niczym kamień ciśnięty w odmęty Missisipi. Pracownicy kawiarni zarzekali się, że ostatni raz widzieli szefową w dniu spotkania z detektywami. Legrasse miał jednak przeczucie.

– Wiem – odparł tamtego popołudnia, dopijając zawartość szklanki.

Tyle wystarczyło. Porucznik nie znał pobudek Francuza, ale potrafił się ich domyśleć. Obaj byli ulepieni z tej samej gliny, obaj dotarli do miejsca, w którym wiara w podstawowe prawa rządzące rzeczywistością przestaje mieć znaczenie. Stanęli na rozstaju starych legend oraz koszmarów, na granicy pierwotnych zabobonów. Dotarli do punktu bez powrotu, spoglądając za zasłonę oddzielającą dwa światy.

Teraz, mając niknące światła znanego świata za plecami, brnęli błotnistym szlakiem donikąd. Przedzierali się zapomnianą przez ludzi oraz Boga ścieżyną wijącą się pośród zdradliwych płycizn, grzęzawisk oraz powalonych pni drzew.

Szlak, jeżeli kiedykolwiek istniał, stracili z oczu pośród cyprysów,

lian mchu oraz bagiennych wyziewów. Zgubili drogę w podmokłym lesie, gdy brnęli przez chaszczę, usiłując nawigować według gasnących promieni słońca. Z wolna zapadał wieczór tonący w nerwowych dźwiękach przetykanego brzęczeniem owadów żabiego koncertu, przez który przebijało się świergolenie zimorodków.

– Jasny chuj – rzucił Legrasse, poprawiając pas amunicji zwisający z ramienia.

Tym razem nie pozostawili nic przypadkowi. Zarówno Legrasse, jak i de Taffanel przygotowali się na spotkanie z najgorszym. Z każdym krokiem w podmokłym terenie przegrywali walkę z bezlitosną naturą, która najwyraźniej sprzyjała piekielnym mocom. Duchota oraz wszechobecne komary dawały się mężczyznom we znaki. Cisnęli w bagienne szuwary przepocone marynarki, podwijając rękawy koszul. Przedramiona obu znaczyły proste tatuaże przesłaniające blizny.

W oddali, w mętnych rozlewiskach, wodna tafla łamała się z pluskiem, naruszona gwałtownym ruchem polującego aligatora. Coś czaiło się w szarości zmierzchu, co napawało świerszcze oraz nocne ptaki strachem. Poganiani pierwotnym lękiem przyśpieszyli kroku.

Drzewa zdawały się okrążyć mężczyzn brodzących w morzu błocka, mchu oraz paproci. Potykając się, dysząc i złorzecząc, wkroczyli na ziemię, które z dawien dawna nie były przynależne ludziom oraz ich błahym ambicjom. Co chwila jakieś pnącze czepiało się ich nogawek i mankietów, drąc ubranie, obnażając w nich zwierzę usiłujące za wszelką cenę ukryć się pod cienką tkaniną człowieczeństwa. Brnęli, zapadając się w skrytej pod trawami oraz liśćmi szlamowatej brei. Nagle wpadli po kolana w zimną, czarną niczym smoła wodę. Na mętnej powierzchni pękły bąble pełne cuchnącego gazu. Nieopodal, na skraju widzenia, pojawił się nieśmiały ognik. Wpadli w bagienne szuwary.

– Duchy się budzą. – De Taffanel rozejrzył się uważnie, obracając w dłoniach koraliki prostego różańca. – Obyśmy zdołali wyjść stąd żywi.

– Niegroźne są – odparł beznamietnie Legrasse, brodząc przed siebie w poszukiwaniu w miarę stabilnego wyjścia na brzeg. – Zresztą

szkoda zachodu z modlitwą. – Wygramolił się, chwytając chaszczy. – To siły, które tu bytowały, nim chrześcijański Bóg przybył ze znakiem krzyża. I w dupie mają pacierze. Swoją drogą, od kiedy takiś religijny?

Francuz zawahał się, przystanął niezdecydowany, nie przestając obracać paciorków w palcach.

– Pośród potworów każda pomoc się przyda.

– To nie Snallygaster, przyjacielu – prychnął Legrasse. – To nie diabeł i safari Roosevelta.

De Taffanel nie odpowiedział. Wydarzenia sprzed kilku tygodni zburzyły filary podtrzymujące konstrukcję świata, w którym funkcjonował. Wszystkie wartości oraz prawdy fundamentalne legły w gruzach. Zatracił komfort wiary w chłodną logikę oraz prymat rozumu nad duchem.

Legrasse chrząknął, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu punktów orientacyjnych.

– Co zrobiłeś z księgą?

– Spaliłem w piecu – odparł Francuz grobowym głosem, podążając tropem detektywa. – Cuchnęło, jakbym palił końskim łajnem. Babsko, u którego najmowałem, wywaliło mnie za to. – Splunął przez zęby. – Ale przynajmniej mam pewność, że nikt tego więcej nie użyje. To, co zostało, wywaliłem do kanalizacji.

Porucznik spojrzał na de Taffanela, mrużąc oczy.

– A twoi mocodawcy? Miałeś to odzyskać.

– Chuj z nimi. Misja skończyła się fiaskiem.

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Bez słowa odwrócił się na pięcie, ponawiając uciążliwą wędrówkę przez płytkie błocko. Tuż przed nimi majaczył niewysoki pagórek kuszący nie tylko obietnicą wytchnienia od lepkiej mazi butwiejących roślin. Z wzniesienia mogli rozeznaczyć się w terenie.

„Byle tylko dostrzec tyki znaczące drogę” – przemknęło byłemu policjantowi przez głowę.

Wydostali się na rozmiękły brzeg poorany butwiejącymi korzeniami oraz przerośniętym mchem. Zziązani przyłgnęli do chropowatego pnia drzewa wyrastającego ze środka niewielkiej łąchy

względnie suchej ziemi. Wiecznie podmokłe grunty w trakcie ostatnich ulew zamieniły się w nieprzebyte grzęzawiska porośnięte przeżartym przez robactwo kozuchem roślinności.

Przed nimi otwierała się pusta przestrzeń. Minęli resztki zmurszałej do cna ceglanej podmurówki oraz szerniałe pale sterczące z obrosłej rzeszą wody. Legrasse splunął przez zęby. Pamiętał przesiekę oraz rozrzucone bezładnie proste domy potomków Lafitte'ów. Bezimienna wieś ukryta wśród oczarów oraz lagun. Miejsce, które w 1907 roku zdało się ukrywać na bocznicę historii. Detektyw rozejrzył się uważnie. W otoczeniu nie było żywego ducha, bagno z wolna pożerało walące się ruiny.

– Tu krzatali się ludzie – mruknął zrezygnowany, rozglądając się po opustoszałej okolicy. – Jesteśmy na głównym placu – wskazał nieregularną łąkę zarastającą dzikim zielskiem. – Tu staliśmy i słuchaliśmy, jak jeden przez drugiego domagają się odnalezienia ich bliskich.

Francuz zakręcił się na piętrze, spoglądając na czarne ruiny będące siedliskiem wszelkiej maści robactwa. Natura szybko odzyskiwała to, co prawowicie się jej należało. Było kwestią czasu, aby mchy oraz porosty całkowicie pokryły ostatnie przegniłe dachy.

– I co? Znaleźliście?

Legrasse otarł twarz dłonią. Przed oczyma stanęły mu rozedrgane cienie diabłów odbijające się na twarzach nawleczonych na pale. Oprawcy zadbali, aby upiorny okrąg był zamknięty, splatając ramiona zamęczonych nieszczęśników. Gdy Legrasse przybył na miejsce, część kobiet jeszcze żyła.

– Tak – odparł cierpko. – Nic tu po nas.

– Ciekawe, co z tymi się stało – rzucił de Taffanel, nie przestając przyglądać się uważnie zapadającym się w grzęzawisku domom. – Widać spaleniznę, ten tego. Tu i tam z traw sterczą jakieś resztki beczek i skrzyń. Oglądałem już takie miejsca.

Legrasse także. Dwudzieste stulecie było niezwykle łaskawe względem okazywania prawdziwej ludzkiej natury. Zrabowane, na w pół spalone domy, w których jedynie wiatr zawodził, prześlizgując się przez porozbijane drzwi oraz okna. Całe wsie wyrżnięte w pień.

Bez słowa ruszył przed siebie wzdłuż linii niskich traw, które zarastały starą drogę. Znał ten szlak, wiodący do bagiennej bramy, ostatniego kamienia milowego, za którym rozpościerały się przekłete ziemie, na które zapuszczali się jedynie głupcy. Niegdyś wysypana kruszonymi muszlami oraz żwirem ścieżka prowadziła do stojącego na obrzeżach osady małego kościoła. Porucznik nie pamiętał, aby tamtej listopadowej nocy spotkał sprawującego tu posługę księdza. Mimo to skromna świątynia była zadbana, a stojąca u bramy figura otoczona wieńcem świec.

Przed mężczyznami, podobnie jak w 1907 roku, na otwartej polanie wznosiła się fasada kościoła. Biała farba pokrywająca deskowanie dawno zniknęła, pożarta liszajami pleśni, mchu oraz wykwitami wilgoci, tym większymi, im bliżej chromej konstrukcji było do błota przetykanego łąkami traw. Część dzwonnicy osunęła się w głąb mulistego gruntu. Resztę konstrukcji podtrzymywały dzikie pnącza, porastające to, co zostało ze świątyni.

Rozkołysana na wietrze chroma konstrukcja skrzypiała wyrobionymi dechami i zardzewiałymi klekoczącymi gwoździami. Wiatr jednak nie zawodził, bo przepalona dawno zapomnianym pożarem budowla stawiała liche opór napierającym siłom natury. Jedynie ceglane elementy konstrukcji zdawały przeciwstawiać się napierającym siłom natury, dając przy tym wsparcie pozostałościom drewnianych ścian i słupów. Nie łoskotały obluzowane okiennice, nie skrzypiały na wpół wydarte skrzydła drzwi. Stary, zapomniany kościół trwał skulony, w milczeniu wbijając wytłuczone ślepie okna w wyszczerbiony rząd kutego płotu.

Legrasse zaklął, rozglądając się wokół. Wyślizgane kamienie znaczące niegdyś drogę niknęły w błotnym rozlewisku. Dokoła piętrzył się cyprysowy las, do którego gęstwiny nigdy nie zaglądała jasność. Stara ścieżka wiodąca w głąb gęstwiny, dawny szlak myśliwych, zagięła pochłonięta przez wijące się korzenie drzew i rozpasane, niczym nieskrępowane krzewy. Zwisające z gałęzi supły hiszpańskiego mchu spletały się w zielone pajęczyny, broniące dostępu do sekretów nieprzeznaczonych dla ludzkich oczu.

– Sprawdźmy za kościółkiem – zaproponował de Taffanel. –

Z drugiej strony może być przesieka, sądząc po tych drzewach.

Legrasse spojrział ponad zapadnięty dach. Korony drzew rzeczywiście zdawały się tworzyć niewielką przecinkę.

– Może i tak być.

Minęli wyłamana bramę płotu. Nieopodal pochylona figura ugięła się pod własnym ciężarem, ciężąc ku ziemi. Detektyw w postaci z trudem rozpoznał rysy brodatego świętego. Twarz wyrzeźbiona niewprawną ręką miejscowego artysty bardziej przypominała poczwara niż rysy człowieka. Przez chwilę Legrasse rozważał spostrzeżenie. Zatrzymał wzrok na figurze ustawionej przed kościołem. Wspomnienia, jak ptaki, obsiadły mu ramiona i umysł. Pamiętał ludzi tłoczących się wokół rzeźby na kolanach. Przysunął lampę do pomarszczonego oblicza figury. Spękane drewno pogłębiło surowy wyraz twarzy świętego. To, co pierwotnie brał za dziwaczną koronę cierniową, okazało się kapturem zwieńczonym rzędem zębów.

– Jak to mogłem przeoczyć? – mruknął zafascynowany, choć doskonale znał odpowiedź.

Ostatni raz, gdy tu był, wiódł dwudziestu chłopów głęboko w bagniste gęstwiny, wszyscy byli uzbrojeni. Prawie dwadzieścia lat temu, gdy prowadził tędy oddział policjantów, szedł odbijać porwane kobiety oraz dzieci z rąk prymitywnych sekciarzy, kryjących się na bagnach. Prawie dwadzieścia lat wstecz wchodził w paszczę szaleństwa, nie wiedząc, co robi.

– Co przeoczyłeś?

– Nic – odparł szybko, unosząc wyżej lampę.

Migotliwy płomień oświetlił zrujnowany front. Nad dwuskrzydłowym wejściem uchwalała się jednak zdobna belka z wrytymi prostymi literami składającymi się w napis: „Ukorz się przed prowadzącym ludzi”. Legrasse pokręcił głową, przekraczając próg kościoła.

Wewnątrz ukazał mu się prosty, żebrowany tunel, ciągnący się aż do głównej nawy. Tak to przynajmniej musiało niegdyś wyglądać. Obecnie tuż za linią pierwszych ław rozsiadła się zielona dzicz. Pomiędzy młodymi pędami a pniami drzew świeciły pozostałości surowej konstrukcji świątyni. W miejscu ołtarza leżała rozwalona

ściana porośnięta dzikim krzewem. Mimo zniszczeń nadal można było dostrzec oryginalne deskowanie.

– Wiesz, kim jest Agesandros?

– Nie bardzo. – Francuz wzruszył ramionami, spoglądając na dzikie ptactwo, które nieoczekiwanie poderwało się z łoskotem, jakby spłoszone dźwiękiem antycznego imienia.

– Agesandros. – Legrasse przywołał strzępy wiedzy zbieranej przez ostatnie lata, fragmenty akademickich wywodów, nad którymi śleczął, łudząc się, że znajdzie odpowiedź na dręczące go pytania. – Agesandros – powtórzył z emfazą, spoglądając na zrujnowany kościół wzniesiony zgodnie z antycznymi prawidłami – to znaczy „prowadzący ludzi”. To inne imię Hadesa, przyjacielu, boga zaświatów. Wkroczyliśmy do Szeolu.

Za kościołem, za zmurszałymi kamieniami porytymi na wpół zatartymi glifami rozciągały się domeny czarnych legend, rozległe łowiska gadzich potomków pierwszych bestii tego świata. Tam, pośród paproci, mchów i zdeformowanych drzew, które nigdy nie widziały słońca, czaiły się czarty, pamiętające pierwsze dni Ziemi. Pamiętające smak ludzkiego strachu.

„Stara droga pośród mokradeł wiedzie ku piekłu” – myśl wypłynęła na powierzchnię niczym napuchnięty trup.

Legrasse skrzywił się na wspomnienie na wpół obłąkanej z bólu kobiety.

– Ścieżka. – Głos Francuza był spokojny, ale detektyw wyczuwał w nim napięcie.

Coś niepokojącego chrzęściło w intonacji mężczyzny. Coś, co pochodziło z pustki, ku której spoglądał od jakiegoś czasu.

Przekroczyli w milczeniu płytki bród oddzielający ruiny osady od właściwej gęstwiny. Ledwie minęli linię drzew, zapadli się po kolana w cuchnącej wodzie i sunęli ku wijącej się nieopodal trawiastej prędze. Pomiedzy cyprysami w płataninie korzeni dostrzegli iluzoryczne migotanie płomieni. Legrasse po raz drugi w swym życiu wkraczał na ziemie zakazane. Na ziemie wyjęte spod jurysdykcji człowieka rozumnego.

Dopiero teraz pochwycili niesione przez wiatr rytmiczne dźwięki.



Gdzieś w oddali, gdzieś pośród drzew rozbrzmiewało bicie bębnow. Legrasse mimowolnie zadrżał, czując schodzący wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz: już raz słyszał podobne bicie. Żywiołowe, otumaniające uderzenia nadające rytm symbolicznemu tańcu poświęconemu złaknionym krwawych ofiar zapomnianym bogom.

Ruszyli wzdłuż wąskiego przesmyku porośniętego mchem, posuwając się powoli, jakby sunęli po grzbiecie zagrzebanego w bagniskach olbrzyma. W oddali migotały nikłe światła.

– Zbliżamy się.

Legrasse z odrazą splunął przez zęby w wezbraną brunatną wodę. Plwocina ostentacyjnie zakręciła koło w niewielkim wirze i popłynęła pod prąd, rozczapierzając się na kilka nikłych nitek, z których każda zdryfowała w innym kierunku.

– Zaiste.

Chciał się przeżegnać, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Zamiast tego wyciągnął z kieszeni piersiówkę. W mroku podmokłego lasu, w nienaturalnej ciszy pozwolili naczyniu zatoczyć krąg. I kolejny. Poręczna flaszeczka krążyła, dopóty starczyło palącej przelyk księżycówki, która była ich spowiedzią, pokutą oraz ostatnim pokrzepieniem. Zbawienie było zbyt odległe, a diabeł chwycił za gardła. Gdzieś w oddali mignęła najpierw jedna, następnie kolejna błyskawica, choć nie było słycać grzmotu. Za to po lesie coraz silniej niósł się monotonny, smętny pomruk, któremu wtórował pusty pogłos diabelskiego bębna. Coś się zbliżało.

Ruszyli jednocześnie, bez słowa, kryjąc swoje lęki głęboko w łomoczących sercach. Legrasse odruchowo przełamał dubeltówkę, upewniając się, że naboje spoczywają na swoich miejscach.

– Zagaś lampę, Eugene – mruknął, pozwalając dłoni prześlizgnąć się wokół pasa z nabojami. – Nie bądźmy jedynym błędnym ognikiem zmierzającym do celu.

Francuz bez słowa skreślił płomień, by po chwili odrzucić lampę w grząskie błocko. Tętent bębna nasilał się, wybijając pierwotny rytm. W oddali coś, co nie powinno się nigdy narodzić, wyrzaskiwało nienawiść do podłego świata.

Przemknęli przez chaszczę tojadu, pośród których na wydartej

dziczy ziemi ustawiono pień otoczony wieńcem świec. Figura demonicznego starca, lustrzana kopia tej spod kościoła, niczym latarnia morska wyrastała z morza przerośniętych traw i kolczastych krzaków. Wykrzywione oblicza zapomnianego boga umieszczone z każdej strony drewnianego pała wskazywały cztery kierunki, choć zdawało się, że wszystkie wiodą ku nicości. Przystanęli na chwilę, spoglądając na relikwiarz przeszłości. Od bałwana biła siła zmuszająca do mimowolnego ukorzenia się przed potęgą, którą reprezentował. Starzy bogowie nigdy nie opuścili swych ziem. Skryli się jedynie w cieniu.

Eugene-François de Taffanel zamachnął się, chcąc za wszelką cenę zgnieść czarcie plugastwo. Zatrzymała go zaciskająca się na ramieniu jak imadło masywna dłoń porucznika.

– Zostaw, bratku – mruknął. – To tylko drogowskaz.

Francuz spiorunował detektywa spojrzeniem pełnym gniewnego uniesienia. Nie było mu jednak dane wygłosić tyrady. Ómy wyroiły się z rozwartych ust posągu, wzbijając się wstęgą ku ołowianemu niebu. Zatoczyły krąg tuż ponad wierzchołkami drzew, ledwie je muskając i pomknęły ku migotliwym światłom ognisk.

Legrasse zgrzytnął zębami. Pewnie chwycił myśliwską strzelbę i odciągnął kurek. Był gotowy posłać grad breneków w każdego, kto przed nim się pojawi. De Taffanel przycisnął do piersi wysłużonego thompsona.

Nad ich głowami z wrzaskiem uniósł się wroni sejmik. Ptaszyska guzikowatymi ślepiami łypały na przybyszów. Z grzęzawiska wypadli wprost na ubitą ziemię, wykrojoną linią migotliwego światła latarni podwieszanej na konarze. Jasny błysk cieszył oczy, koił nerwy, ale też zdradzał ich obecność na tej zapomnianej przez czas ziemi. Legrasse, niewiele myśląc, cisnął kamień, rozbijając lampę chwiejącą się na gałęzi. Płonąca nafta rubinowym językiem liznęła kałuże błota. Zawilgotniałe grudy ziemi utrzymywały pełgający płomień w ryzach, powolnie wchłaniając oleistą ciecz.

Brzęk tłuczonego szkła był głośniejszy, niż się spodziewali. Zachęcił nieproszone spojrzenia do wyteżonej pracy. Strażnicy opuścili swe kryjówki. Dwie sylwetki odkleiły się od spowijającej okolicę

ciemności i wychywały spomiędzy krzaków. Węsząc niczym zwierzęta, powolnym krokiem zbliżyły się do przyczajonych mężczyzn, zastygając w pokracznie skrzywionych pozach. Przystanąły blisko rozłożystego cypryśnika, w którego cieniu kryli się Legrasse i de Taffanel. Detektyw bez trudu słyszał upiorne mlaskanie oraz ciężkie, nosowe oddechy. W ciemności porucznik nie potrafił ocenić, czy strażnicy mają broń. Dziki krzyk poderwał przycupnięte na gałęziach drzew rozkrakane ptaszyska. Zadał porywisty wiatr niosący smugi mgły gnanej znad podmokłych łąk otaczających las. Rozkołysane gałęzie zaskrzypiały niczym trumienne wieka. Podmuchał także po bagnach zapach obcych, zdradzając kryjących się pośród zarośli mężczyzn.

Strażnicy wyciągnęli szyje, ruszając nozdrzami jak dzikie zwierzęta. Warknęli gniewnie. Legrasse i de Taffanel jak na komendę wyskoczyli zza prowizorycznej zasłony, składając się do strzałów. Kule nie były jednak w stanie zatrzymać szarżujących. Jeden, nic sobie nie robiąc z postrzałów, rzucił się do gardła Legrasse'a. Porucznik, zaskoczony tempem oraz zwinnością przeciwnika, nie zdołał uskoczyć. Próbował się bronić, ale furia ataku przełamała gardę, wytrącając z jego dłoni dubeltówkę. Owiał go smrodliwy oddech przesiąknięty cebulą oraz strawionym alkoholem. Detektyw usiłował wyprowadzić uderzenie, ale pięści, które były w stanie powalić praktycznie każdego, grzęzły w oplatających sylwetkę napastnika cieniach. Sploty ciemności niczym węże wiły się wokół torsu, chroniąc właściciela przed kolejnymi atakami. Olbrzym uniósł detektywa jak szmacianą lalkę, zaciskając żelazny uścisk na krtani mężczyzny. Legrasse'owi zaczęło brakować tchu. Gdzieś obok usłyszał wystrzał z karabinu, któremu zawtórował syk oraz gwałtowny błysk. Prawą ręką bił w przeguby i stawy łokciowe przeciwnika, usiłując choć na chwilę uwolnić się od dławiącego życie uścisku. Napastnik, stękając, niewzruszenie trzymał gardło porucznika.

„Bliżej nie będzie” – myśl eksplodowała w umyśle byłego policjanta.

Lewa ręka opadła wzdłuż ciała. Wymacał rękojeść myśliwskiego noża i bez wahania wy dobył ostrze, by następnie wbić je w pierś

wroga. I ponownie. Raz za razem, metodycznymi, wyuczonymi ruchami przebijał się przez zwoje ciemności, raniąc oraz rozrywając organy wewnętrzne. Masywne cielsko osłabło i osunęło się na kolana, zwalniając chwyt. Legrasse odskoczył, kaszląc. Ścisnął w garści zakrwawione ostrze. Tuż przed nim klęczał wielkolud. Charczał, z trudem łapiąc kolejne oddechy. Krwawe bąble rosły i pękały na jego ustach niczym dojrzałe purchawki, zdobiąc oblicze rubinowymi kroplami. Z ran sączyły się smoliste cienie, które rozwiewały się na wietrze. Moce ciemności opuszczały wybrańca, pozostawiając umierającą ludzką skorupę na pastwę losu.

Porucznik stracił zainteresowanie konającym, unieszkodliwionym przeciwnikiem, rozejrzał się, szukając kolejnego celu – drugiego osobnika, który ich zaatakował. Z ulgą dostrzegł stojącego opodal de Taffanela. Obydwaj patrzyli na leżący na ziemi poskręcany kształt. Legrasse dopiero teraz poczuł mdlący zapach spalonego mięsa.

– Nieźle – mruknął, sięgając po leżącą w wilgotnej trawie dubeltówkę. – Myślałem, że przyjdzie mi i tego drugiego do tańca prosić.

– Nie wyglądałeś na mistrza sali balowej, ten tego – odparł agent i oparł się całym ciężarem ciała o drzewo. – Rzekłbym, że poważnie zastanawiałem się, czy nie odbić ci partnera... – Nie zdołał dokończyć, dławiąc się w tłumionym ze wszystkich sił kaszlem.

Legrasse pokiwał głową. Uśmiechnął się pod nosem, przeładowując dubeltówkę. Zamek korpusu zatrzasnął się z suchym trzaśnięciem.

– Pieprzeni Jankesi – wychrypiał Francuz. – Śmierć tu z ołowiu odlana.

Legrasse popatrzył na Francuza, czując jak twarz rozszerza mu się w uśmiechu.

– Przynajmniej szybko. Ponoć kanadyjska śmierć używa kija hokejowego.

De Taffanel zaśmiał się cicho, przewyciężając napad kaszlu. Detektyw pokręcił głową, dziękując losowi, że pozwolił mu nie tylko wyjść z tego starcia z życiem, ale nie dopuścił do pomocy idącej z rąk suchotnika.

– Dalej – rzekł, przecierając twarz dłonią. – Jesteśmy tuż przy

legowisku tych diabłów. I na pewno słyszeli wystrzał, mimo tego wycia.

– Racja.

Francuz ruszył ku światłu ogniska, ale jednak trochę w bok. Wszedł w gęstwinę niczym stary, doświadczony wilk. Legrasse poszedł za nim, za instynktem starego partyzanta. Nie potrafił jednak oponować ciekawości, czując cały czas mdlący odór spalenizny.

– Co to był za błysk, który, jak zgaduję, usmażył tego biednego czorta? Fosfor?

De Taffanel zrównał się ramię w ramię z detektywem, wskazując na niewielką torbę przewieszoną przez ramię.

– Tak. Szybkie gwałtowne spalanie w jasnym świetle. Nie sądziłem, że tak zadziała. Nie, że wypali na wiór. – Odchrząknął. – Po ostatnich doświadczeniach postanowiłem się przygotować, skoro skurwieli ogień tak bardzo razi...

Legrasse nie odpowiedział. Dotarli do granicy czarnego grzęzawiska. Piaszczysta łącha, skryta pomiędzy mętными rozlewiskami, wydawało się, że trwa niezmiennie od czasu, gdy był tu po raz ostatni. Tym razem jednak nie usiano jej drgającymi i zawodzącymi ciałami nieszczęśników porwanych z osady.

Wyspa lśniła czystym, białym piachem, odbijającym światło księżyca. Na środku łąchy płonęło ognisko, wokół którego siedziały cieniste postaci. Upiornej orkiestrze przewodziła półnaga kobieta intonująca pieśń złożoną ze słów obcych ludzkiej mowie.

Legrasse pamiętał ekstatyczny, pełen pierwotnej dzikości taniec, jakiemu onegdaj przewodził w tym miejscu stary Castro. Nie zmieniła się jednak bluźniercza pieśń, która wibrowała zwierzęcą intonacją w tym spowitym cieniami pustkowiu. Pomiedzy rytmicznymi uderzeniami bębnow, pośród niezrozumiałych, ulotnych słów, porucznik bez trudu był w stanie pochwycić diabelską frazę sprowadzającą na niego od lat koszmary: *Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagl fhtagn!*

– Spójrz. – De Taffanel wskazał palcem na wyłaniający się ze słupa dymu granitowy monolit. – Tam na szczycie jakby czegoś brakuje.

Porucznik nawet nie musiał spoglądać, by wiedzieć, o czym mówi

Francuz. Granitowy słup otoczony płomieniami ogniska kiedyś wieńczyła opalizująca zielenią figurka koszmarnego bożka. Kiedyś, ponieważ w trakcie brutalnego nalotu Legrasse, wiedziony impulsem, zabrał rzeźbę.

Wokół trzaskającego ognia siedzieli pomazani popiołem oraz węglem mężczyźni. Kilku biło w bębny, pozostali kiwali się na piętach, śpiewając rytualną pieśń. Z ust pochłoniętych diabelską mantrą sączyły się smużki czarnego dymu wirującego ponad głowami zebranych. Smugi czerni przeplatały się ze sobą niczym kłębiące się w dole jadowite węże. Sunęły wzdłuż kamiennej kolumny i tam, u samego szczytu, ulatywały, rozdarte podmuchami wiatru.

Tak jak pamiętnej listopadowej nocy, tak i teraz zadziałał impulsywnie. Ze strzelbą przyciśniętą do barku ruszył przed siebie, mając nadzieję oddać celny strzał, nim zostanie spostrzeżony. De Taffanel poszedł jego śladem, brodząc po pas w śmierdzącej wodzie. Coś zaryczało dziko w oddali, przerywając hipnotyczny śpiew. Błotnista woda zafalowała, poruszona widmowym prądem, wzburzając się jak sztormowy ocean.

– Widzę, że ominęliście strażników.

Gniewny głos odbił się od drzew, chłoszcząc żelazną wolą. Nie zatrzymali się jednak, maszerując przez płytkie bagnisko z bronią gotową do strzału. Miarowy rytm urwał się gwałtownie, ledwie przekroczyli krąg światła. Bębniarze dźwignęli się karnie z kolan, spoglądając na intruzów. Wyglądali niczym prymitywni łowcy z czasów, gdy ludzkość nadal kryła się w kamiennych jamach. Praktycznie nadzy, osłaniający poryte krwawymi znamionami ciała przypadkowo wyrastającymi z ran pńczami przebijającymi skórę, które oplatały kończyny. Bez słowa dobyli kościanych noży wiszących na trokach oplatających piersi. Wyciosana z bielących się gnatów broń może była prymitywna, ale zabójczo skuteczna. Co do tego Legrasse nie miał najmniejszych wątpliwości. Starczyło jedno spojrzenie na długie na prawie łokieć ostrza, w których nadal tkwiły zęby aligatora.

Na swój upiorny sposób przypominali gwardię przyboczną samego Barona Samedi. Warstwy szarego, łuszczonego się popiołu, który

maskował ich ciała, nie były w stanie zakryć poranionych kroczy oraz przypadkowych nacieć, z których sączyła się smrodliwa maź. Wszyscy co do jednego byli pozbawieni męskości. Kilku dzikusów przywodziło na myśl bardziej nadgniłe zwłoki niż żywych ludzi, mimo to poruszali się energicznie, osaczając ofiary.

Legrasse poczuł zimny pot zalewający plecy. De Taffanel syknął boleśnie, nie odrywając wzroku od napastników. Bez wyjątku mieli zaszyte powieki, a mimo to zdawali się doskonale wiedzieć, gdzie znajdują się wrogowie.

Powarkując, stanęli w rozsypce, tworząc nieregularną linię. Huknęli dziko, skandując warkliwe zawołanie. Poranione, poprzebijane czarnymi pędami mięśnie napięły się gwałtownie. Szara chmura sadzy oraz popiołu wzbijała się w powietrze, z której po chwili wynurzyły się demony.

Obłąkani, ze zwierzęcą zwinnością pokonali dzielącą ich od Legrasse'a oraz de Taffanela odległość, osaczając intruzów niczym lwy na sawannie. John strzelił bez ostrzeżenia, ścinając pierwszego napastnika z nóg w gromie palby. Gdzieś zagrział wybuch, któremu zawtórował jasny błysk oraz dziki ryk bólu. W powietrzu zaśmierdziało spalenizną. Legrasse poczuł na ustach metaliczny posmak krwi oraz popiołu. Na niewiele to się jednak zdało. Ledwie jeden z upiornych eunuchów padł trupem, w jego miejsce pojawił się kolejny, kierując ku detektywowi zaszyte, ropiejące oczy. Z czarnych ust dobywało się ciche rżenie.

Porucznik pociągnął ponownie za spust, rozrywając siłą wystrzału ciało szarego okultysty. W rubinowej girlandzie dostrzegł kolejnego atakującego. Odrzucił strzelbę, dobywając rewolweru, ale nie zdołał strzelić. Gibki dzikus skrócił dystans dostatecznie, by związać Legrasse'a walką wręcz. Z tyłu doskoczył kolejny umazany popiołem kultysta. Kościane ostrze przeorało udo porucznika. Silne uderzenie wytrąciło mu rewolwer z dłoni. Gdzieś obok usłyszał pełen wściekłości oraz bólu krzyk de Taffanela. Raptownie wrzask przeszedł w bulgot tonącego. Nagie, popielate ciała kultystów zwały się w jedną, nieprzebraną masę, która z upiornym rykiem rzuciła się na mężczyzn.

Legrasse szarpnął się wściekle, usiłując oswobodzić ramiona

z żelaznego uścisku. Wszystko na próżno. Trafił w imadło uścisku olbrzyma o sylwetce przerośniętego boksera, twarzy wioskowego idioty oraz odporności skały. Zaprzestał szamotaniny.

– Przyprowadź mi go, Hugo – zabrzmiał władczy głos Emmy Rabalais.

Niczym jednak nie przypominał tonu głosu kobiety, którą detektyw poznał w kawiarni. Tej Emmy nie wiązały konwenanse, społeczny gorset oraz prawo. Erzulie D'en Tort, bogini z bagien, była ponad to, co ludzkie.

Olbrzymi Murzyn o twarzy pomalowanej węglem oraz popiołem chwycił detektywa za kark, popychając przed oblicze wiedźmy. Legrasse zachwiał się i z trudem utrzymał na nogach. Tuż obok, ciśnięty niczym szczapa drewna, wylądował de Taffanel, oszołomiony, z brzydką raną ciągnącą się wzdłuż piersi. Mokre włosy oklejały twarz Francuza jak kokon. Dyszał ciężko. Z rozbitej głowy sączyła się krew. Nie wyglądało to dobrze. Szare widma ludzi otoczyły ich zwartym pierścieniem. Legrasse nie miał wątpliwości, że mimo wydartych oczu śledzą każdy, najdrobniejszy ruch.

– Poza życiem nie ma nic – stwierdziła obojętnym tonem wiedźma, spoglądając na konającego Francuza. – Nie ma nieba, piekła. Jest jedynie pustka, do której prowadzi powolne zanikanie. To jak z fotografiami pozostawionymi na słońcu, po jakimś czasie z człowieka pozostają jedynie mgliste zarysy. – Poglądziła po głowie warującego u jej nóg kalekę.

Legrasse z trudem poznał młodszego Castro. Od czasu ostatniego spotkania ktoś urąbał mu ramiona ponad łokciem, zastępując je wiklinowymi pędami splatającymi się w powyginane, niesfunkcjonalne protezy oblepione bagiennym szlamem. Jako jedyny ze świty wiedźmy nie miał zaszytych powiek. Kaznodziei darowano możliwość spoglądania na świat, ale odebrano możliwość mówienia. Usta mężczyzny przeszywał niechlujny ścieg. Podobne ślady dratwy ciągnęły się wzdłuż szyi, przebijając pomiędzy rozchełstanymi resztkami koszuli. Z ran sączyła się czarna ropa, obłaząca cienistymi smużkami ulatującymi na wietrze.

Wiedźma się zaśmiała.



– Żal ci go?

Legrasse oblizwał spierzchnięte usta, usiłując przewyciężyć gniotący ból w piersi. Huczało mu w głowie, a myśli nie były w stanie spleść się w logiczny ciąg przyczynowo-skutkowy. Z trudem identyfikował bardziej złożone bodźce. Coś wewnątrz umysłu porucznika, coś szeleszczącego niczym stare liście, spychało jaźń w najciemniejsze zakątki ludzkiego umysłu. Atawistyczny strach, prymitywny oraz irracjonalny, dławił wszelkie inne uczucia. Pokręcił głową, wywołując tym zdawkowy uśmiech na obliczu kobiety, która była kiedyś Emmą.

– Pycha go zgubiła. – Oparła dłoń o głowę mężczyzny. – Ty dokończyłeś zadania. Śniący oddał mi go jako trofeum. – Przechyliła głowę, obdarzając detektywa niemal współczującym spojrzeniem. – Zaprawdę. Do samego końca sądziłam, że nie dasz rady. Mój błędny rycerzu – prychnęła. – Gdy upatrzył sobie Noela i tego osiłka... Ale wtedy Pani darowała mi siebie.

Detektyw przyjrzał się nieszczęśnikowi. Kaznodzieja zdawał się nie pojmować tego, co się z nim stało. Legrasse zadrżał. Na ułamek sekundy, na jedno uderzenie serca spojrzenia mężczyzn się skrzyżowały. W zapadniętych, otoczonych czarnymi sińcami oczach detektyw dostrzegł obłęd. Okaleczony, umęczony strzęp człowieka w niczym nie przypominał potężnego i pewnego siebie kapłana Śniącego.

Erzulie D'en Tort, Pani Zemsty, opiekunka kobiet, zbliżyła się na wyciągnięcie ręki. Mógł bez trudu dostrzec detale jej smukłej sylwetki osłoniętej na modłę i podobieństwo nieznających wstydu ludów prymitywnych jedynie girlandą paciorków oraz obwiązaną wokół ud wzorzystą chustą. Zlekceważyła błędzący wzrok mężczyzny. Wyciągnęła smukłe ramię, delikatnie unosząc brodę Legrasse'a tak, aby ich spojrzenia mogły się odnaleźć.

– Dlatego tak ważna jest pamięć – usłyszał głos Emmy Rabalais. – Ona chroni wspomnianych przed zniknięciem. Usyp krąg z popiołu, nakreśl palcem symbol Księżyca, Słońca oraz Wiatru. Wszepcz słowa w języku joruba, bo to język nasączony magią. Wszepcz słowa po łacinie, bo to mowa starożytnych: *Libera nos a malo*, ciało nie wyżyje długo bez duszy. – Wykonała dłonią skomplikowany gest,

obrysowując w powietrzu wzór niknący na wietrze.

Legrasse poczuł charakterystyczny, kwaśny zapach starej magii. Smród zgnilizny, który unosił się w pokoju na poddaszu.

– Wymów słowa modlitwy, detektywie – szepnęła zmysłowo wiedźma – a odnajdziesz do mnie drogę.

Niespodziewanie przywarła do niego. Legrasse przez przemoczone ubranie czuł napór jej piersi, elektryzujący dotyk miękkiej skóry. Złożyła pocałunek na ustach mężczyzny. Była słodka niczym obietnica i gorzka jak piołun. Smakowała wilgotną ziemią. Legrasse poczuł bolesny skurcz w sercu, spoglądając w lśniące oczy odbijające blask księżyca. Chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu, przykładając do jego warg smukły palec. Uśmiechnęła się delikatnie, przechylając głowę.

– Nie teraz – szepnęła. – Śpiący cię usłyszy. Wasze przybycie już i tak dostatecznie go poirytowało.

Legrasse czuł bolesne pulsowanie w skroniach. Coś pozostającego w mroku, na krawędzi świadomości, nieprzyjemnie drapało szponami, usiłując wedrzeć się do umysłu intruza.

– Odsunąć, Johny. – Odsunęła się, unosząc ramiona powolnym, tanecznym ruchem, któremu zawtórował ruch bioder. – Poddaj się, panie Legrasse. Dość już spustoszenia uczyniłeś... – Wiedźma się uśmiechnęła. Tym razem nie był to zmysłowy grymas kusicielki. Obnażyła białe zęby niczym dziki pies. Korale na nagich piersiach kobiety zaszeleściły. – Nie każ mi pokazywać, co mogą bezsilne baby. – W głosie Emmy zawirowały lodowate odłamki. – Nie chcesz zobaczyć tego, co te gnidy.

Legrasse nie chciał. Strach był silny. I dziwne, dogłębne pożądanie.

Raz poczuł jedynie odprysk mocy zemsty wiedźmy i na samą myśl, że sam mógłby być obiektem gniewu kobiety, zadrżał. Teraz rozumiał Galveza aż za dobrze. Opadł na kolana, nie odrywając wzroku od lśniących hipnotycznie tęczęwek. Przez chwilę miał wrażenie, że błyszczące dyski rozdzielają się, tworząc iluzoryczne odbicia wewnątrz oczu Emmy.

– A co z nim? – Wiedział, że nie musi wskazywać na Francuza, bo choćby milczał, pnącza i tak swobodnie penetrują jego myśli.

Wiedźma wzruszyła ramionami.

– Jest mój, Johny, przekroczył granicę. Przekroczył ją dawno temu, znacząc swe decyzje krzykiem mych sióstr. Wykorzystywał je. – Przykucnęła obok oszołomionego de Taffanela. Zmierzwiała mu włosy, jakby był małym dzieckiem. – Ciesz się. Ciebie chcę inaczej. Zasłużyłeś na to – mruknęła zalotnie. – Ty przyjdiesz do mnie sam. Gdy zatęsknisz. Męka... – Musnęła delikatnie policzek mężczyzny, a Legrasse poczuł przyjemny, ciepły dreszcz. – Męka jest wyborem. A gdy Ojciec nasz się przebudzi, przyjdziemy po was wszystkich, Johny.

Legrasse zamrugał oczyma, czując palący ból oraz lepka wilgoć rozlewającą się po policzku. Wiedźma cofnęła dłoń, oblizując zakrwawiony palec zakończony szponiastym paznokciem. Detektyw odruchowo zacisnął pięści. Nie rzucił się jednak do ataku. Ledwie drgnął, a kościane ostrze ukąsiło go ostrzegawczo nad nerką. Równocześnie brutalne kopnięcie poparte uderzeniem w tył głowy powaliło detektywa na kolana. Erzulie D'en Tort stała nad nim, uśmiechając się, jakby spoglądała na krnąbrne dziecko usiłujące zwędzić czekoladkę z kuchennego słoja.

– Pamiętaj, John, to zawsze jest wybór. Nie każ mi zbyt długo czekać. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła w głąb lasu, ku poskręcany cyprysom, ku sznurom mchów oraz krzakom paproci. Ku pierwotnej ciemności zalegającej w piekielnej dzicy.

De Taffanel, rzeżąc, powłókł się za nią, a jego śladem podążyły cienie eunuchów o wyłupionych oczach. Cienie stręczycieli, gwałcicieli oraz zwykłych damskich bokserów. Upiorny pochód zamykał okaleczony kaznodzieja. Włókł się smętnie prowadzony na łańcuchu przez rosnącego Murzyna o plecach porytych pajęczyną blizn.

John Raymond Legrasse stał przy trzaskającym ogniu, spoglądając na granatowe niebo upstrzone migotliwymi gwiazdami, na poszarpane korony drzew. W nieprzebytej dzikiej głuszy, pośród zmurszałych pni, pośród zapomnianych duchów, dał wiatr, niosąc głuche, rytmiczne dudnienie. Legrasse czuł, jak coś kiełkuje, coś ukrytego w głębi jego umysłu, ukrytego tam we wspomnieniu cierpienia Emmy Rabalais. Dziki, kolczasty pęd lęku oraz szaleństwa

posiany przez Erzulie D'en Tort, Czarną Madonnę. Wiedźmę z bagien.

---

<sup>1</sup> Po przekształceniach Drugiego Biura Sztabu Generalnego, sformowana w 1915 roku SCR była częścią służb wywiadowczych.

<sup>2</sup> Najniższy stopień służbowy w policji francuskiej, odpowiednik naszego posterunkowego.

<sup>3</sup> Georges Benjamin Clemenceau, premier Francji w czasie I wojny światowej, zwany m.in. „Tygrysem”. W 1906 powołał tzw. Brygady Tygrysa. Były to mobilne grupy zajmujące się działaniami kontrwywiadowczymi nie tylko na terenie Francji. Gdy reaktywowano Drugie Biuro Sztabu Generalnego (Deuxième Bureau), brygady weszły w skład wywiadu wojskowego.

<sup>4</sup> W 1917 roku SCR wraz z innymi służbami została przesunięta pod dowództwo *Sûreté Nationale*, czyli policji. SCR zajmująca się kontrwywiadem raportowała do Ministerstwa Wojny, natomiast oddziały policyjne zajmowały się wyłapywaniem osób wskazanych przez wywiadowców.

<sup>5</sup> Dzielnica Francuska, najstarsza i najsłynniejsza część Nowego Orleanu.

<sup>6</sup> 7 sierpnia 1914 roku VII Korpus zaatakował niemiecką Alzację celem zajęcia Miluzy i Colmaru. Na mocy traktatu wersalskiego Colmar (wraz z resztą Alzacji) powrócił w granice Francji.

<sup>7</sup> Nowoorleański drink z whiskey, absyntu, cukru oraz Peychaud’s Bitters.

<sup>8</sup> Kanapka popularna w całej Luizjanie. W najbardziej znanym wariacie pieczywo przekładane jest wołowiną lub owocami morza pomieszanymi z lokalnym sosem. W zależności od pomysłu dodawane są warzywa i ser. Bary serwujące najprostsze dania nazywają się *po’boy shop*. Poza kanapkami podawane są tam nieskomplikowane dania kuchni kreolskiej.

<sup>9</sup> Coś, co można otrzymać za darmo. Upominek dodawany kupującemu przez sprzedawcę w ramach promocji.

<sup>10</sup> Zbiór zasad, opis ceremonii, nazewnictwa, funkcji oraz hierarchii Ku Klux Klanu. Pierwszy Kloran spisał w 1915 roku William Joseph Simmons.

<sup>11</sup> Organizacja powstała w Nowym Orleanie w 1865, działająca na zasadach zbliżonych do Ku Klux Klanu.

<sup>12</sup> Meroe – starożytne miasto w Nubii, znajdujące się pomiędzy VI a V kataraktą na Nilu.

Chichén Itzá – starożytne miasto założone przez Majów na półwyspie Jukatan.

<sup>13</sup> Suchos, Sobek, Sebek – w mitologii egipskiej opiekun jezior, wody, symbol siły królewskiej.

<sup>14</sup> Określenie Nowego Orleanu, podobne jak Big Apple to Nowy Jork.

<sup>15</sup> Określenie nielegalnego lokalu sprzedającego m.in. alkohol, bardzo popularne w czasie prohibicji w USA. Inne określenia takich miejsc to „ślepy prosiak” lub „ślepy tygrys”. Pierwsze odnotowane użycie tej nazwy pochodzi

z Pensylwanii z 1889 roku.

<sup>16</sup> Industrial Workers of the World – rewolucyjny związek zawodowy założony w 1905 roku.

<sup>17</sup> Poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych uchwalona przez Kongres 18 grudnia 1917, ratyfikowana 16 stycznia 1919 roku. Wprowadzenie zakazu wytwarzania, sprzedaży i przewozu napojów alkoholowych rozpoczęło okres prohibicji.

<sup>18</sup> Akronim określający Nowy Orlean.

<sup>19</sup> Storyville, dzielnica czerwonych latarni w Nowym Orleanie. Funkcjonowała pomiędzy 1897 a 1917 rokiem. W jej obrębie obowiązywały specjalnie prawa regulujące prostytucję oraz obrót narkotykami. W 1900 roku tzw. Niebieska Książka kosztowała 25 centów. Była przeznaczona dla turystów i zawierała podstawowe informacje o lokalach, cenach oraz rodzajach uciech, jakich można było zaznać w Storyville.

<sup>20</sup> Spór prawny z 1896 roku, związany bezpośrednio z doktryną „oddzielne, lecz równe”, zasadą z czasów segregacji rasowej usprawiedliwiającą udostępnianie różnym grupom społecznym osobnych usług i dóbr. W 1892 Homer Plessy, człowiek o mieszanym pochodzeniu (Afroamerykanem był w 1/8), nabył bilet na pierwszą klasę w East Louisiana Railroad. Z uwagi na pochodzenie miał obowiązek zająć miejsce w innym przedziale. Ostatecznie wyrzucono go z wagonu, a sprawa trafiła do sądu. Plessy został skazany na grzywnę w wysokości 25 dolarów. Sąd Najwyższy podtrzymał decyzję. „Plessy” jest uznawana za jedną z najgorszych decyzji amerykańskiego Sądu Najwyższego.

<sup>21</sup> Przeszły termin z czasów segregacji rasowej. Mianem tym określano osoby o określonym udziale rasowym – octoroon oznacza 1/8 pochodzenia od czarnoskórych przodków, quadroon 1/4. Quadroonem był np. Aleksander Dumas ojciec.

<sup>22</sup> Cóż dziwnego w tym, że umiera człowiek.

<sup>23</sup> ...którego całe życie jest niczym innym niż drogą ku śmierci (łac.).

<sup>24</sup> Gównu! (franc.) Jesteś draniem! (hiszp.).

<sup>25</sup> Módlmy się. Potężni bogowie, nasza ucieczko (łac.).

<sup>26</sup> Grupa więźniów spiętych łańcuchem i w ramach wyroku wykonujących jakąś fizyczną pracę.

<sup>27</sup> Określenie filmów pornograficznych, często produkowanych amatorsko. Były one udostępniane w prywatnym obiegu. Szczytowy okres popularności *blue movies* przypada na lata 40. XX wieku.

<sup>28</sup> W Nowym Orleanie słowo to oznacza chodnik, pobocze.

<sup>29</sup> Słowo odnosi się do mieszkańców Nowego Orleanu (i okolic) o kolonialnych francuskich oraz hiszpańskich korzeniach. Czasami tym mianem określa się też ludzi majątnych.

<sup>30</sup> Organizacja, której celem jest przygotowanie parady lub jej części na potrzeby karnawału, m. in. w święto Mardi Gras. *Krewe* funkcjonowały jak kluby. Niektóre limitowały kandydatury kolorem skóry, inne zasobnością konta bankowego. Do najbardziej elitarnych można było dostać się dzięki odziedziczeniu członkostwa. Najstarsze *krewe* w Nowym Orleanie to Mistick Krewe of Comus założone w 1856 roku oraz Knights of Momus powstałe w 1872 roku. W latach 20. XX wieku przynależność do któregoś z tych klubów oznaczała dostanie się na szczyt towarzyskiej piramidy oraz zapewniała błyskotliwą karierę dzięki klubowym koneksjom.

<sup>31</sup> Eleemosyne – (gr.) datek dla biednych oraz potrzebujących.

<sup>32</sup> *Loa* (duch) płodności oraz śmierci o wyglądzie wysokiego, szczupłego mężczyzny w czarnym fraku, cylindrze i okularach. Atrybutem *loa* jest rum. *Loa* są strażnikami granicy między życiem a śmiercią.

<sup>33</sup> Pan podziemi, mistrz magii, przywódca oraz ojciec wszystkich duchów śmierci.

<sup>34</sup> Legendarne, zatopione miasto z opowiadań H.P. Lovecrafta. W tym mieście skrywa się Cthulhu, czekający na odpowiednią koniunkcję planet.

<sup>35</sup> Tajne i elitarne stowarzyszenie działające na Uniwersytecie Yale, zrzeszające głównie przedstawicieli finansowej arystokracji USA. Do „Czaszki i Kości” należą przede wszystkim członkowie rodów od wieków osiadłych na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych.

<sup>36</sup> Organizacja przestępcza, stworzona przez polskich Żydów, działająca głównie w Argentynie. Zajmowała się stręczycielstwem oraz handlem kobietami.

<sup>37</sup> Coś ekstra, bonus.

<sup>38</sup> System klasyfikacji linii papilarnych Henry’ego, stosowany w krajach anglosaskich.

<sup>39</sup> Linie papilarne opisuje się za pomocą minucji, czyli charakterystycznych cech takich jak początki, zakończenia i rozwidlenia. Poprzez układ minucji można zidentyfikować daną osobę.

<sup>40</sup> Warren Harding, 29. prezydent USA. Jego następcą był Calvin Coolidge. Obaj reprezentowali Partię Republikańską.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Redaktor prowadzący: Anna Salwa  
Redakcja: Jerzy Wachowski  
Korekta: Katarzyna Sarna, Ida Świerkocka  
Projekt okładki: Anna Gaik-Czasak  
Fotografie wykorzystane na okładce: © oriontrail / shutterstock, © Beatrice  
Pavasini / Arcangel Images

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-6691-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**